

Korupcja na szczytach władzy, manipulacja mediami, nagłe zwroty akcji
i sensacyjne zakończenie, którego nikt się nie spodziewa!

MAREK KOZUBAL

Milusha

SKARPA WARSZAWSKA

MAREK
KOZUBAL

Milusha



Redakcja
Monika Orłowska

Korekta
Bożena Sigismund
Janusz Sigismund

Skład i łamanie
Łukasz Slotorsz

Projekt okładki
Mariusz Banachowicz

© Copyright by Skarpa Warszawska, Warszawa 2024

© Copyright by Marek Kozubał, Warszawa 2024

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie

Wydanie pierwsze
ISBN 978-83-83293-84-4



Wydawca

Agencja Wydawniczo-Reklamowa

Skarpa Warszawska Sp. z o.o.

ul. Borowskiego 2 lok. 24

03-475 Warszawa

tel. 22 416 15 81

redakcja@skarpawarszawska.pl

www.skarpawarszawska.pl



Konwersja: [eLitera s.c.](#)

Po więcej darmowych ebooków i audiobooków kliknij **TUTAJ**

Spis treści

Karta redakcyjna

Wstęp

CZĘŚĆ I. PORWANIE

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

CZĘŚĆ II. ZBRODNIA

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

Rozdział 30

Rozdział 31

Rozdział 32

Rozdział 33

Rozdział 34

Rozdział 35

Rozdział 36

CZĘŚĆ III. ZAPŁATA

Rozdział 37

Rozdział 38

Rozdział 39

Rozdział 40

Rozdział 41

Rozdział 42

Rozdział 43

Rozdział 44

Rozdział 45

Rozdział 46

Rozdział 47

Zakończenie

Wstęp

Był 1 lutego 1946 roku. Ciężarowy opel blitz z zamalowanym na zielono niemieckim krzyżem na bocznych drzwiach i z oliwkową plandeką stał na wąskiej drodze, ukryty za kilkoma karłowatymi drzewami bez liści. Światła były wygaszone, w okolicy panowała ciemność. Nawet księżyc ukrył się za ciężkimi śnieżnymi chmurami. Przymrozek stopniowo ścinał cienką taflą lodu wszechobecne błoto.

Edek Cydejko zapalił papierosa, benzynową zapalniczkę podał siedzącemu za kierownicą Johanowi, który wygaszony niedopałek trzymał w zębach. Okna były zaparowane od wewnątrz, to dlatego, że przed wyjazdem wypili butelkę ruskiego samogonu. W szoferce zrobiło się siwo od dymu. Edek uchylił lufcik bocznego okna.

W ciemności majaczył budynek kościoła w Kamenz, obok znajdowały się zrujnowane budynki gospodarcze, które, co widzieli w dzień, tonęły w głębokiej na pół metra czarnej mazi. Wtem uchyliły się drzwi kościoła. Przez szparę na podwórze wpadła pomarańczowa łuna światła, za nią podążały jakby rozciągające się i pełzające po ziemi cienie dwóch osób.

Edek zdusił papierosa w puszcze po tuszonce.

– Wyleźli, mam nadzieję, że nasz samogon tak ich rozgrzeje, że zaraz zasną – odezwał się cicho. Spojrzał na swoją cymę. Na cyferblacie wskazówki pokazywały godzinę szóstą po południu.

Dwaj sowieccy żołnierze ubrani w walonki, ciężkie brązowe spodnie i pikowane kurtki, z przewieszonymi przez ramię automatami, ruszyli wzdłuż budynku. Po chwili zniknęli za rogiem. Edek wyskoczył z auta, pobiegł w ich kierunku. Po minucie wychynał i dał znak latarką.

Johan odpalił silnik, przez moment siłował się z drażkiem skrzyni biegów, aż rozległ się zgrzyt i samochód powoli ruszył. Wtoczył się na

niewielkie podwórko i stanął bokiem do drzwi kościoła. Kierowca sprawnie wyskoczył z pojazdu, otworzył tylną klapę. W tym czasie Edek ostro się napiął i łomem rozerwał skobel, na którym wisiała półokrągła kłódka, broniąca wejścia do świątyni. Kawalek żelastwa upadł metr od furty.

Edek uchylił drzwi, zapalił latarkę, wszedł do środka. Za paskiem skórzanej, popękanej od długiego noszenia kurtki miał wciśniętą parabelkę. Omiótł wewnątrz kościoła wąskim strumieniem światła. Inny by się przestraszył, ale nie on, wprawiony w podobnych wejściach.

Cienie wyrzeźbionych świętych tańczyły na ścianach, a monstrancje mieniły się w słabym świetle złotem i bursztynem. Podszedł do wielkiej szafy gdańskiej, uchylił jej drzwi i spojrzał na stojące w równych rzędach stare księgi, rękopisy, których grzbiety lśniły czerwienią, zielenią i srebrem. Podniósł wieko pierwszej z brzegu drewnianej skrzyni i spojrzał do środka. Stały w niej zawinięte w szary papier, obsypane wiórami obrazy. Sięgnął po jeden, sporych rozmiarów, namalowany przez Jacoba Jordaensa ze Świętym Iwo, który wspomaga biednych – odstawił go pod ścianę, potem wyjął pejzaż Jana van Goyena przedstawiający brzeg rzeki, aż natknął się na *Oplakiwanie Chrystusa* Lucasa Cranacha.

Cydejko wiedział, gdzie ma szukać, i co jest najcenniejsze w tym skarbcu, który przypominał mu Sezam z dziecięcych książek o Ali Babie. Kupił tę wiedzę od urzędnika starostwa, niejakiego Trześniewskiego.

– Johan. – Wychylił się za drzwi. – Spokojnie?

– Ja.

– A ten niemiecki ksiądz, jak mu tam Schultheiss...

– Tyż, nic nie słysza. Spokojnie, jak na wojnie. – Ślżak zarechotał.

– Ładujemy!

Załadowanie ciężarówki zajęło im godzinę, na pakę wepchnęli, wykorzystując ułożone deski, kilka skrzyń z obrazami, worki wypełnione cennymi rękopisami, średniowieczne rzeźby świątków, które przez setki lat stały w śląskich kościołach. Edek wiedział od ruskich żołdatów, że następnego dnia to oni wpakują wszystko na ciężarówki i wywiozą całość

tego poniemieckiego magazynu do Sowietów, gdzieś do Moskwy, a może dalej. Dlatego musiał się spieszyć, aby szaber poszedł na konto trofiejszczyków.

Droga powrotna zajęła im prawie dwie godziny. Opel piął się powoli po górskiej, wysypanej kamieniami drodze, koła ślizgały się na lodzie, ale Johan, mrużąc oczy, dawał radę. Z jego ust ciągle zwisał poplamiony tłuszczem niedopałek.

W pewnym momencie zjechali z głównej drogi na leśną ścieżkę. Po przejechaniu kilometra wjechali na niewielki parking, szczelnie osłonięty skałami z trzech stron. Znajdowali się jakby w rynnie. Johan wysiadł i w ścianie skały znalazł ukryte solidne żelazne drzwi, pociągnął je do siebie, a one, umieszczone na nasmarowanych rolkach, wyjątkowo łatwo się odsunęły, pokazując ciemną czeluść. Samochód wjechał do środka. To był jeden z setek tuneli wydrążonych przez niewolników pracujących dla nazistów w Górach Sowich.

– Zostawiamy go – zaordynował Cydejko.

Obok stały dziesiątki innych skrzyń i leżały paczki, dywany, a nawet meble. Edek z wysiłkiem podniósł i przesunął w bok jutowy wór, odchylił go i spojrzał do wnętrza.

– To lubię – burknął pod nosem. Zatopił na chwilę rękę w kopie złotych i srebrnych numizmatów. To był jego najcenniejszy łup. Rok wcześniej, zaraz po zajęciu tych terenów przez Armię Czerwoną, w Seichau odnalazł pierwszy magazyn z niemieckimi skarbami, a w nim, w rozbitych skrzyniach i cynkowych kasetach, tysiące monet pochodzące z krakowskiej kolekcji Andrzeja hrabiego Potockiego. Niektóre z nich miały bowiem wyciśnięty herb Pilawa.

– Wsiadamy do forda. – Wskoczył za kierownicę i uruchomił samochód, który stał obok. Wyjechał z tunelu. Johan zatrzasnął drzwi jeżdżące na rolkach, a wejście zabezpieczył gałęziami oraz kamieniami tak, aby przypadkowa osoba nie mogła odnaleźć wejścia do skarbcza.

Ruszyli. Przejechali kilka kilometrów. Tym razem księżyc wyszedł zza chmur i pomagał im znaleźć drogę w lesie. Kierowali się na Breslau.

– Stań tam, muszę się odlać – odezwał się Edek. Wyszedł z forda i krzyknął: – Chodź no, Johan, spójrz, jakie чудо!

Na jego dłoni leżał złoty dukat gdański z głową Zygmunta I.

Ślązak podszedł do niego i w tym momencie dostał w bok cios nożem. Niedługie, ale cienkie ostrze błyskawicznie przebiło kurtkę i sweter. Edek jeszcze je przekręcił, następnie nacisnął spust niewielkiego rewolweru, który połączony był z ostrzem, ale miał też uchwyt w kształcie kastetu. W tym samym momencie usłyszał jęk Johana i ciche klaśnięcie, kula niewielkiego kalibru przebiła mu płuco. Mężczyzna zachłysnął się i upadł. Charczał, łapczywie próbował łapać powietrze. Edek podszedł bliżej i przystawił mu do oka nóż z rewolweru Apache. Po raz drugi pociągnął za język spustowy. A potem już spokojnie złożył ostrze, a francuski pistolecik schował do kieszeni kurtki. Solidnym kopniakiem zepchnął ciało kierowcy z drogi w ciemną przepaść. Usłyszał tylko łamane w oddali suche gałęzie.

Dopiero wtedy jego zmysły, otumanione uderzeniem adrenaliny, wyłapały warczenie, które się zbliżało. Obejrzał się. W ciemność skierował światło latarki. Kilkadziesiąt metrów od niego na drodze stała wataha dzwiczających psów. Błyskawicznie wyrwał zza paska parabelkę i strzelił przed siebie. Huk odbił się echem od górskich ścian. Edek usłyszał cichy skowyt i gardłowe ujadanie. Doskoczył do forda, odpalił go i ruszył przed siebie.

Część I

PORWANIE

ROZDZIAŁ 1

wiosna 2022 r.

Irak/ Iran

Powoli robiło się ciemno. Zakurzony jeep pamiętający jeszcze poprzedni wiek, wypożyczony w Sulejmaniji, mozolnie piał się szutrową ścieżką pod górę. Kierowca i jednocześnie przewodnik Mohammad Wadi co chwilę przecierał rękami ogorzałą twarz pokrytą wszechobecnym kurzem. Palił papierosa i słuchał puszczonej na cały regulator muzyki ludowej.

Dr Michał Kosiński, polski geolog, który zbierał materiał do pracy naukowej na temat budowy gór kurdystańskich, miał już dość. Głowa mu pękała, do tego powietrze stawało się coraz bardziej rozrzedzone. Skręcili w ścieżkę wiodącą na północ na wysokości Bandżwin, przejechali przez Halalawę i ruszyli wzdłuż granicy Iraku z Iranem. Byli daleko od ludzkich osiedli, dlatego naukowiec zarządził postój. Wadi zjechał z drogi, stanął pod niewielką półką skalną. Kierowca sprawnie wyskoczył z samochodu, wyjął z bagażnika namiot, karimatę i śpiwór, krzeselka i stolik turystyczny, a następnie kanister z wodą i niewielką kuchenkę gazową.

– Wiesz, poszukam gałęzi, można tu rozpalić ognisko – powiedział doktor, ruszając na poszukiwanie chrustu. – Będzie nam raźniej w nocy.

Te góry zbudowane były głównie z łupków krystalicznych i metamorficznych oraz z marmurów i piaskowców. Poprzecinane były głębokimi dolinami, i porośnięte na zachodzie lasami dębowymi i makią, natomiast na wschodzie suchą roślinnością stepową. Geologa przyciągało ich podobieństwo do europejskich Alp, dlatego akurat te pofałdowania go

fascynowały. Liczył na to, że prowadzone właśnie badania pozwolą mu na napisanie pracy habilitacyjnej.

Kosiński wyjął umocowany na pasku niewielki młotek i odłupał kawałek skały znajdującej się pod półką. Schował go do skórzanej torby. Zebrał trochę gałęzi, suchych krzewów i wrócił do samochodu. Zrzucił chrust na jedno miejsce, obok położył kilka większych kamieni, aby wiatr nie rozdmuchał płomieni na suchą ściółkę. W tym czasie Wadi przygotowywał posiłek. Z plecaka wyjął tradycyjne arabskie placki wypiekane w piecu, otworzył też dwie puszki z fasolą i sosem pomidorowym, wrzucił je do rondelka i postawił na kuchence, a potem z samochodu wyciągnął opakowanie z ziołami i zaczął nimi doprawiać posiłek.

Po pół godzinie było już zupełnie ciemno. Obok jeepa paliło się ognisko. Tylko nad ich głowami setkami świateł skrzyło się niebo, od szczytów gór oddzielała je pomarańczowa poświata. Jedli w milczeniu.

– Te twoje przyprawy, Mohammad, mają ciekawy posmak, nadają zupełnie inny smak tej zwykłej fasoli – zagadnął Polak.

– To tajemnica mojej mamy, która je zbiera, suszy, mieli i łączy w odpowiednich proporcjach – odpowiedział precyzyjnie przewodnik.

Po kilkudziesięciu minutach naukowiec leżał w namiocie, a kierowca spał na rozłożonym siedzeniu w jeepie.

Kosiński nagle się obudził, usłyszał bowiem jakiś ruch przed namiotem. Początkowo myślał, że jego towarzysz wyszedł z pojazdu na stronę, jednak gdy usłyszał czyjś głos, sięgnął po latarkę. Wygramolił się ze spiwora, odsunął zamek i wyszedł na zewnątrz. Poczł chłód, ognisko jeszcze nie zgasło, żar pozwalał rozróżnić zarysy kształtów w promieniu metra. Podniósł wzrok i zamarł. Obok namiotu stali trzech zamaskowani mężczyźni. Twarze zasłaniały im arafatki, na głowach mieli zwykłe wełniane, jednakowe czarne czapki. W rękach trzymali karabinki Kalasznikowa. Jeden z nich podszedł do Kosińskiego i z całej siły uderzył go kolbą w głowę. Polak upadł, na moment stracił przytomność.

Nie wiedział, jak długo leżał. Ocknął się jednak już na pace jakiegoś samochodu, wciśnięty między dywany. Ręce miał skute kajdankami.

Wokół panowała ciemność, bo w luku bagażowym nie było okien, panował też niemiłosierny zaduch.

Kosiński stracił rachubę czasu, ale było już widno, gdy trzech mężczyzn wywlekli go z pojazdu, postawili na nogi i zaprowadzili do jaskini. Kazali usiąść na dywanie na tle flagi z arabskim napisem. Zdjęli mu kajdanki i podali kartkę.

– Przeczytaj. – Usłyszał tylko gardłowe słowa od strażnika ze skierowanym w jego głowę karabinem. Drugi ustawił na statywie kamerę i ją włączył. Naukowiec, oszołomiony, zmęczony i zagubiony, zrobił to, co mu kazali. Następnie ponownie wepchnęli go do auta, tym razem pozwolili mu usiąść na rozgrzanym od słońca siedzeniu. Jeden z nich podał mu butelkę wody. Towarzysza podróży nie było w pobliżu, Kosiński nie wiedział, co się z nim stało.

To było 4 kwietnia. W Iraku przebywał od miesiąca na stażu naukowym z Uniwersytetu Warszawskiego. Nie miał pojęcia, w czyich jest rękach, jaka bojówka go uwięziła. Wszystko wskazywało na to, że byli obserwowani od dawna.

Po wielu godzinach jazdy w piekielnym upale napastnicy przywieźli go do Teheranu, do więzienia Evin. Gdy się dowiedział od zamaskowanego kierowcy, dokąd jadą, uświadomił sobie, że to miejsce owiane jest czarną legendą. Słyszał, że w tym więzieniu jest biznesmen Siamak Namazi, mający obywatelstwo USA i oskarżany przez irańskie władze o szpiegostwo. To było główne więzienie polityczne, które działało jeszcze przed rewolucją islamską. W nim przetrzymywano dziennikarzy, aktywistów praw człowieka, przeciwników politycznych, intelektualistów. Organizacja Human Rights Watch oskarżyła władze więzienia o stosowanie tortur, a także przedłużające się przesłuchania i odmowę zapewnienia opieki medycznej dla osadzonych. W 2018 roku jednostka ta została objęta sankcjami USA za naruszenia praw człowieka. Oficjalnie chodziło o nawracanie ich na islam poprzez zmuszenie do studiowania świętych tekstów i pokutę za swoje czyny z przeszłości.

Mężczyzna uderzył go w szyję gumową pałką. Dr Michał Kosiński spadł z krzesła na podłogę. Leżał na niej chwilę i próbował łapać powietrze.

– My i tak wszystko wiemy, nigdy stąd nie wyjedziesz, ty agencie Izraela! – wykrzyczał, zbliżając twarz do głowy naukowca, ubrany w zielony mundur strażnik więzienny. – Śmierdzisz? – dodał łamanym angielskim.

Tak, śmierdział, ale już sam nie wyczuwał tego zapachu, uodpornił się, bo się do niego przyzwyczaił. Mieszanka odorów moczu, kału, wymiocin, którymi przesiąknięte były mury celi, nakładała się na smród obrzydliwego jedzenia – papki ryżu ze zbutwiałymi warzywami. Kosiński przełknął ślinę, wyczuł w ustach metaliczny smak krwi. Już nie pierwszy raz w ciągu tych dni, a może tygodni, stracił bowiem zupełnie rachubę czasu. Podniósł się, potarł dłonią o bolącą szyję, sięgnął po krzesło i posłusznie usiadł na nim. Obawiał się kolejnego ciosu.

W trakcie przesłuchania próbowano mu wmówić, że skały, które miał w samochodzie, pochodziły z poligonu, na którym irańska Gwardia Rewolucyjna ćwiczyła obsługę pocisków przeciwlotniczych. Ktoś powiedział, że został złapany na szpiegostwie i przekroczył granicę z Iranem. Nie wierzył w to, bo co jakiś czas w trakcie podróży po górach sprawdzał lokalizację w GPS-ie, aby przez przypadek nie popełnić jakiegoś błędu. Był przekonany, że został porwany i próbowano preparować przeciwko niemu jakieś absurdalne dowody.

Teraz na zniszczonym biurku w pokoju przesłuchań leżała tylko pałka i prymitywne urządzenie z kabelkami podłączonymi do gniazdka. Wiedział, że służy ono do rażenia prądem. W wyobraźni widział je w dzień i w nocy, chociaż jego oprawcy jeszcze nie podłączyli go do tej maszyny tortur.

Miał na sobie porwane ubranie drelichowe, zużyte przez innego więźnia, i dziurawe buty. Strażnik nakazał mu ruchem pałki, aby wstał. Podniósł się. Otworzył metalowe drzwi i poprowadził go do jego celi – izolatki o wymiarach metr na półtora metra. Szum w więzieniu nasilił się w dzień, z każdej strony dochodziły krzyki, pojedyncze głosy, a nawet

śpiewy. Nakładał się na uderzenia w drzwi, szczęk naczyń, i klekot wózków z garami.

Światło w ciemnym korytarzu na moment przygasło, to mogła być oznaka, że kogoś właśnie podłączono do prądu. Krzyk dobiegł z pokoju przesłuchań, który akurat minęli.

Jeżeli było piekło, to właśnie tak mogło wyglądać – Kosiński nie miał wątpliwości. Nie spał od jakichś dwóch tygodni, ból ucha, do którego pierwszego dnia strażnik włożył mu drut, rozrywał jego głowę na kawałki. Świadomość, że może być jeszcze gorzej, gdy podłączą go do prądu, zerwą paznokcie albo wbiją gwóźdź w kolano, towarzyszyła mu od początku. Widział w korytarzu tych, którzy przeszli takie zabiegi, gdy ich zmarnowane ciała – niczym truchła zwierząt, wartownicy ciągnęli po wyslizganej szarej posadzce.

Najgorszy był jednak brak nadziei. Geolog nie wiedział, czy ktoś o nim wie i stara się go wyciągnąć z tego piekielnego kotła. Z każdym dniem coraz bardziej tracił orientację w czasoprzestrzeni, ale też siły i nadzieję na uwolnienie. Do tego ta ciągła ciemność, która go otaczała w izolatce...

Chociaż miał trzydzieści pięć lat, już osiwiiał.

Wartownik otworzył drzwi betonowej klitki i więzień powoli wszedł do środka, a padające przez chwilę światło z korytarza pozwoliło mu zauważyć, że ktoś postawił wewnątrz miskę z wodą. Gdy trzask drzwi wybrzmiał, a kroki wartownika się oddaliły, wymacał ją dłonią. Podniósł do ust i łapczywie pił, resztkami wody przemył zbolące ucho.

ROZDZIAŁ 2

wiosna 2022 r.

Warszawa

To był dobry dzień, on zaś miał w perspektywie kilkudniowy urlop po ciężkim tygodniu. Zdjął z nadgarstka zegarek marki Frederique Constant i sięgnął dłonią do niewielkiego humidora – lodówki Klarstein El Presidente. Chwilę się zastanowił, a potem delikatnie dotknął palcami meksykańskiego cygara A. Turrent. Lubił jego lekko pikantny posmak, ale też zapach kawy i skóry. Zdjął krawat, a marynarkę rzucił na oparcie krzesła. Podszedł do barku i nalał sobie do kryształowej szklanki whisky Jamesa Bonda Talisker. Lubił tego bohatera i alkohol, który agent pił w kilku filmowych odcinkach.

Wreszcie usiadł w skórzanym fotelu przed biurkiem i otworzył laptop. Przejrzał harmonogram najbliższych audycji, które cyklicznie prowadził w telewizji państwowej oraz w radio. Przy dobrym układzie i nagraniu kilku odcinków „do puszki” spokojnie mógł sobie pozwolić na wypad z ukochanym Filippo, buldogiem francuskim, na Mazury.

Paweł Natan był dziennikarzem, który specjalizował się w tematyce śledczej, głównie służbach specjalnych, handlu bronią, polityce energetycznej. Przebił się do medialnego mainstreamu mediów kontrolowanych przez rząd dzięki artykułom o styku biznesu z komunistyczną bezpieką. Cykliczny program autorski *Natan na tropie* dawał mu poczucie stabilności, rozpoznawalność i możliwość łatwego dotarcia do ludzi władzy.

Duże pieniądze zdobył jednak na książkach, które nigdy się nie ukazały. Mając dostęp do funkcjonariuszy służb, a także materiałów przez wiele lat zastrzeżonych w Instytucie Pamięci Narodowej oraz w wojskowych archiwach, opisywał niewygodne korzenie twórców polskiego biznesu okresu transformacji ustrojowej z początku lat 90. XX wieku, którzy dzisiaj stali na czele największych firm. Następnie szedł z maszynopisem do bohatera i proponował układ: wycofanie książki z druku w zamian za sutą prowizję. Kilka razy w taki sposób dostał duży zastrzyk pieniędzy na konto w Szwajcarii. A ci, którzy się nie zgodzili na taki układ, mieli poważny problem, bo tego typu książki były drukowane w wielotysięcznym nakładzie i dobrze się sprzedawały. On sam zaś wyrastał na guru bezkompromisowego dziennikarstwa.

Kliknął na maila, który właśnie do niego dotarł. Dołączono do niego krótki filmik umieszczony na TikToku. Otworzył go. Obraz był lekko zamazany, niewyraźny, jakby wykonany niezbyt dobrej jakości kamerą w ciemnym pomieszczeniu. Przedstawiał wnętrze jakiejś jaskini, a w nim jakiegoś mężczyznę, który siedział w kącie na podłodze, na tle flagi z obcymi dla Pawła napisami. Kolejnemu ujęciu towarzyszyła krótka wypowiedź.

– Nazywam się Michał Kosiński, jestem geologiem z Polski – mówił mężczyzna po angielsku. A potem, na jeszcze innym ujęciu, ciągnął już w języku polskim: – Liczę na pomoc, bardzo proszę. – Zbliżenie twarzy pokazywało zmęczoną, zbolaną i zakrwawioną twarz Polaka.

Natan jeszcze raz obejrzał film, po czym zgrał go na pulpit laptopa. Ze stolika podniósł komórkę i w komunikatorze szyfrującym wyszukał swojego rozmówcę. Nacisnął na klawisz.

– Maciek, no cześć. Mam coś ciekawego, dostałem film z jakimś Polakiem. Chyba porwany. Podeślę do ciebie. Okej, na łączach. – Odłożył telefon.

Z wiceszefem MSWiA Maciejem Rakoczym znał się od wielu lat, to on głównie przekazywał mu informacje kompromitujące polityków opozycji. Wielu dziennikarzy się tego domyślało, ale nikt nie miał na to dowodów.

Rozebrał się, poszedł pod prysznic. Po kilku minutach, rozluźniony, wyszedł z łazienki w szlafroku. W tym momencie usłyszał dzwonek komórki. Miał mokre włosy, dlatego włączył tryb głośnomówiący.

– Co nie odbierasz telefonu! Co ty, w chuja mnie robisz?!

– Maciek, ale o co chodzi?

– Ty wysłałeś ten film jeszcze komuś?

– No, nie... – Głos Natana się załamał.

– To se, kurwa, włącz ten, no... telewizję ze wsi. Pokazują go w rękach tych ciapatych. I zaczynają zadawać dziwne pytania, a my ani be, ani me. Zaraz muszę u siebie zorganizować sztab kryzysowy, trzeba gasić ten pożar – rzucił Maciej Rakoczy, nim zakończył połączenie.

ROZDZIAŁ 3

wiosna 2022 r.

Teheran

Wiceminister spraw zagranicznych islamskiej republiki Iranu Arman Walizadeh uśmiechał się szeroko w trakcie powitania. Ambasador Polski Marcel Kotecki czuł się niepewnie, chociaż robił wrażenie, jakby nic się nie stało. Dzień wcześniej dostał szyfrówkę z warszawskiej centrali, aby spróbować wysondować, kto może stać za porwaniem polskiego geologa. A w chwilę potem otrzymał zaproszenie na spotkanie do MSZ w Teheranie. Był przekonany, że nie był to przypadek, lecz zupełnie przemyślane działanie, które miało spowodować, że będzie działał pod presją. Na spotkanie zabrał z sobą attaché wojskowego pułkownika Marka Furmana.

Teraz siedzieli przy długim, politurowanym stole w wielkiej białej sali. W jej rogu stała tylko flaga państwa islamskiego oraz niewielki stolik z butelkami z napojem i szklankami. Po drugiej stronie obok wiceministra siedział młody mężczyzna ubrany w brązowy mundur bez dystynkcji. Nie przedstawił się.

– Na wstępie chciałbym wyrazić nadzieję, że relacje polsko-irańskie będą tak dobre, jakie są teraz. Polska prowadzi własną politykę pomimo tego, że jest w sojuszu z naszymi przeciwnikami. I to doceniamy. Chcielibyśmy realizować wspólne projekty gospodarcze i kulturalne. Dochodzą nas informacje, że Polska chce wyprodukować film o generale Andersie, a zdjęcia nakręcić w naszym państwie. Popieramy ten projekt – zagaił Walizadeh. – Zaprosiliśmy państwa na spotkanie, jednak nie po to, aby rozmawiać o filmach, chociaż pewnie byłoby przyjemniej, chcemy pomóc, Ekscelencjo, panie ambasadorze. – Wskazał dłonią na polskiego

ambasadora i mężczyznę w mundurze. – Oto pan Husajn, tak to zostawmy – dodał. – Nasze służby ustaliły, że jego ludzie uprowadzili Polaka. Zdecydowaliśmy się pomóc w negocjacjach, aby potencjalny spór zażegnać, bowiem wszystko zdarzyło się w granicach naszego państwa – powiedział i wstał. – Zostawiam państwa na osobności, my tylko oferujemy miejsce, z nadzieją na dobre rozwiązanie w imię Boga – dorzucił, pożegnał się i wyszedł.

Husajn spojrział na Polaków i zaczął:

– Państwa człowiek znalazł się zbyt blisko granicy. Podejrzewamy go o szpiegostwo na rzecz Izraela...

– To absurd. Gdzie się teraz znajduje? Jaki jest stan jego zdrowia? – zapytał ambasador.

– Dobry. Jest dobrze traktowany, chronimy go w jednej z naszych kryjówek na terenie Iraku.

– Kto go przetrzymuje?

– Reprezentuję brygadę Iman al-Askari z Ligi Sprawiedliwych.

– Dlaczego uważacie, że geolog prowadził działalność szpiegowską.

– Obserwowaliśmy go od pewnego czasu, kilka razy nielegalnie przekroczył granicę, zbierał skały z poligonów, na których odbywały się ćwiczenia wojskowe, w tym organizowane przez Korpus Strażników Rewolucji. To wielkie szczęście, że został zatrzymany przez nas, a nie przez nich – dodał z naciskiem.

– Jakie są warunki jego uwolnienia, bo, jak rozumiem, taki jest cel tego spotkania...

– Otrzymacie je niebawem na piśmie. Nasz warunek jest nieskomplikowany, chcemy otrzymać pewne urządzenia, które mogą być wykorzystywane również jako broń.

– To będzie bardzo trudne, zważywszy, że Polska nie przekazuje jej organizacjom, które... – Ambasador chrząknął, aby zastanowić się, jak odpowiedzieć, aby nie użyć sformułowania „terrorystycznym”. – Nie są uznawane przez inne państwa, działają na granicy prawa.

– Działamy w imię interesów naszych szyickich braci i nic wam do tego.
– Husajn gwałtownie wstał. – Chcecie odzyskać swojego człowieka czy nie? Nasze wymagania nie są wygórowane. Broń daje gwarancję, że te negocjacje zostaną utrzymane w największej tajemnicy zarówno przez was, jak i przez nas. Wątpię, abyście byli skłonni się skompromitować na arenie międzynarodowej. Jeżeli przyjmiecie nasze warunki, jednocześnie zachowacie to w pełnej dyskrecji.

– To możemy traktować jako formę szantażu.

– Może pan sobie interpretować to, jak chce, ambasadorze. Ja mogę panu dać słowo, że w momencie gdy wywiążecie się z warunków, ten szpieg wróci do Polski. A jeśli nie, to cały świat zobaczy, jak kończą agenci Izraela. Wy niedługo macie wybory... Prawda? – Uśmiechnął się.

Ambasador Kotecki wytarł chusteczką czoło; pocił się, chociaż w pomieszczeniu pracowała klimatyzacja. Nie miał doświadczenia w prowadzeniu takich rozmów, na placówce był zaledwie od trzech miesięcy i jeszcze się w pełni nie zaaklimatyzował. Wcześniej był jednym z pięciu sekretarzy stanu w Kancelarii Prezesa Rady Ministrów, nie miał doświadczenia dyplomatycznego, bo wyszedł ze struktur partyjnych. Zastanawiał się, jak zakończyć tę sprawę. Nie miał na to pomysłu, liczył, że ostatecznie zdecyduje o tym centrala.

– Dobrze, przekażę państwa warunki do Warszawy.

– Proszę zanotować adres e-mailowy, z którego przyjdzie konkretne zapotrzebowanie, a także zostanie podana lokalizacja przekazania ładunku. – Husajn podniósł się, podszedł do stolika, który był usytuowany w rogu sali, i nalał sobie do szklanki wodę. – Zapraszam. To jest przygotowane przez gospodarzy. I zastrzegam, to są nasze ustalenia, proszę w to nie wplątywać rządu w Teheranie. To naprawdę ich dobra wola, że zgodzili się pełnić rolę mediatora i udostępnili nam neutralne miejsce spotkania – zauważył.

– To mi śmierdzi, wygląda na jakąś prowokację – syknął cicho po polsku pułkownik Furman, gdy stanął ze szklanką wody obok ambasadora.

W sąsiednim pokoju przebieg spotkania obserwowali na monitorze Arman Walizadeh i korpulentny, ponadpięćdziesięcioletni mężczyzna ze szpakowatą brodą, ubrany w zielony mundur Strażnika Rewolucji. Był skupiony, starał się wylapać każdy gest rozmówców, każdą zmianę tonu w głosie. Spotkanie trwało ponad pół godziny. Polacy opuścili gmach ministerstwa, a Esmail Ghani był już pewny, że rozmowy zakończyły się sukcesem.

– Zgodzą się na wszystko, bardzo im zależy na tym, abyśmy go uwolnili. Ich media zrobiły im już drugi Afganistan. Mamy ich w naszych kleszczach, drogo za niego zapłacą. – Uśmiechnął się do towarzyszącego mu wiceministra.

Generał Ghani stał na czele elitarniej jednostki wojskowej nazywanej siłami Ghods, która wchodziła w struktury Korpusu Strażników Rewolucji. Prowadziła ona działania wywiadowcze poza granicami Iranu i wspierała na całym świecie islamskie organizacje wspierające z kolei teherański rząd. Ghani dowodził tą formacją od śmierci Ghasema Solejmaniego, który zginął w amerykańskim ataku na lotnisku w Bagdadzie 3 stycznia 2020 roku. Rezydował w budynku byłej ambasady Stanów Zjednoczonych w Teheranie, przejętej przez Korpus Strażników Rewolucji Islamskiej jeszcze w trakcie rewolucji islamskiej, gdy w 1979 roku uwięziono w nim amerykański personel.

Gdy pomieszczenie opuścił Walizadeh, Ghani skierował się do oddalonego skrzydła budynku, gdzie w niewielkim, gustownie zaaranżowanym pokoju czekał na niego pięćdziesięcioletni mężczyzna, gładko ogolony, ubrany w koszulę z krótkimi rękawami i w granatowe spodnie.

– Przepraszam, że musiał pan czekać. – Generał uścisnął dłoń oczekującego.

– Nasza sprawa wymaga cierpliwości i ciszy – odpowiedział mu po angielsku z wyraźnym rosyjskim akcentem pułkownik Aleksander Kuzniecowa, rezydent SWR w Teheranie.

– Odnoszę wrażenie, że wszystko powinno się udać i nasze plany zostaną zrealizowane. Staną na głowie, aby się udało, bo boją się kompromitacji. A zresztą uruchomimy też naszych ludzi, aby kontrola nad tą operacją była pełna.

– Tak. Oto nasze priorytety. – Rosjanin podał generałowi kartkę. – Resztę tych polskich zabawek możecie sobie zabrać albo dać Brygadzie Iman al-Askari.

Ghani spojrzał na nią, i pokiwał głową.

– Być może taki sprzęt przyda się i naszym naukowcom, rozwijamy przecież technologie bezzałogowe... Ale czy nie moglibyście tych maszyn złapać na Ukrainie?

– I z tym mamy, niestety, problem, na razie to się nie udało. Jest też ryzyko, że będziemy mieli uszkodzoną... Na pierwszy rzut oka wydaje się, że operacja jest skomplikowana, ale, jak wspomniałem, my jesteśmy cierpliwi. Nikt poza nami nie wie, że dzisiaj być może wykuwają się podwaliny naszej długoletniej współpracy. Może za kilka miesięcy świat dowie się o naszym wspólnym przedsięwzięciu. – Pułkownik Kuzniecowa wspomniał budowę rosyjsko-irańskiej fabryki nowych bezzałogowych systemów latających, w zamyśle jeszcze skuteczniejszych niż te, które atakują dzisiaj Ukrainę.

W dwie godziny później otworzyły się drzwi celi polskiego geologa w teherańskim więzieniu.

– Idziemy – zakomunikował spokojnym głosem wartownik.

Michał Kosiński z trudem się podniósł i ruszył za funkcjonariuszem. Przez kilka minut kluczyli korytarzami, aż znaleźli się w sekcji 209 więzienia. Naukowiec trafił do kolejnej izolatki, o niebo lepszej niż ta, w której był dotychczas. W środku paliło się światło, było łóżko z kocem, umywalka i wiadro na odchody, na podłodze stała miska z warzywami i ryżem oraz osłodzona woda. Jedzenie nie śmierdziało, dało się nawet wyczuć delikatny zapach orientalnych przypraw. Geolog zaczął łapczywie jeść, nie zauważył, że drzwi się zatrzasnęły i wokół niego zapanowała absolutna cisza. Ta cela była wygłuszona.

W tym momencie obok oka wewnętrznej kamery zapaliła się czerwona dioda. Wnętrze pomieszczenia oglądał generał Ghani.

– Ma dobrze jeść, macie o niego dbać, hodować go, nie ma prawa mieć z nikim kontaktu. Ma być wyleczony. To mój osobisty więzień, dajcie mu też do poczytania nasze święte pisma, będzie miał teraz dużo wolnego czasu – powiedział do nadzorcy sekcji 209. – Nikt też nie ma prawa wiedzieć, kim jest ten więzień...

ROZDZIAŁ 4

wiosna 2022 r.

Iran

– Poruczniku, coś dla pana. – Szyfrant Marcin Falkowski wszedł do zaciemnionego pokoju Maląga, który przeglądał coś w swoim laptopie. Zajmowane przez niego pomieszczenie znajdowało się w szeregu piaskowych budynków zlokalizowanych w ogrodzonej wysokim murem bazie lotniczej Ain al-Asad w dystrykcie Hit na zachód od Bagdadu.

– Dziękuję. – Oficer przeczytał uważnie depeszę, położył ją na stoliku i zamyślił się na moment. Spojrzał na mapę, a potem wyznaczył trasę za pomocą Google Maps.

W chwilę potem wyszedł z budynku, przy którym stały potężne t-walle, przemierzył plac apelowy Camp Bronek i wszedł do budynku, w którym zakwaterowani byli żołnierze Jednostki Wojskowej Komandosów z Lublińca, prowadzący w ramach XII zmiany PKW Irak szkolenia bojowe dla irackich sił bezpieczeństwa. Wzrokiem odnalazł podporucznika Mariusza Klimasa i podszedł do niego.

– Potrzebuję twojej pomocy. Jest rozkaz z Dowództwa Operacyjnego, aby zrobić rekonesans w trudnym terenie, blisko granicy z Iranem. Być może w tym miejscu jest porwany Polak.

– A tak, coś o tym słyszałem, to jednak u nas?

– Cholera wie, nasi namierzili jego komórkę z GPS-em, pokazała drogę, którą się poruszał. Jest konkretna lokalizacja, gdzie pojawił się ostatni ślad w systemie.

– Trzeba sprawdzić?

– Tak, ale najgorsze, że robimy to na wariata, bez wsparcia, cały sprzęt zostawiamy, mamy tylko zobaczyć, czy w tamtej okolicy ktoś ciekawy się kręci. I robimy to bez powiadamiania sojuszników...

– Okej. Kiedy?

– Za dwie godziny, załatwię wszystko u starego. – Spojrzał na zegarek i ruszając do dowódcy zmiany, dodał jeszcze: – Zabezpiecz jakieś jedzenie, wodę i kanister z benzyną. Ja biorę na siebie załatwienie jakiegoś samochodu, co by nam nie stanął gdzieś po drodze.

– Wszystko jasne – odparł podporucznik.

– A... i ważne: nikomu o tym nie mów. Jedziemy na wycieczkę do Bagdadu. Rozumiesz?

– Tak. Jako turyści. Nie pierwszy raz... – Klimas się uśmiechnął.

Przejazd z bazy Ain al-Asad w okolice Chia Swrkh przy granicy z Iranem zajął im siedem godzin. Wybrali wariant północny drogi przez Al-Hadisę, Tikrit i Tuz Churmatu. Zmieniali się w trakcie jazdy land cruiserem, który wypożyczył porucznik. Auto było wysłużone, ale po remoncie, i dobrze się prowadziło.

W miasteczku Chia Swrkh byli nad ranem. Chwilę odpoczęli w przydrożnej restauracji, a potem zjechali z głównej szosy na północ, na szutrową drogę, która wiała się doliną przez góry Kurdystanu. Skręcili na zachód w kierunku rzeki Sirwan. Porucznik Małag zatrzymał samochód na skarpie, pod którą szeroko rozlewały się wody rzeki.

– Przed nami mniej więcej dwa, trzy kilometry. Zostawimy wóz tutaj. Musimy go trochę zamaskować – dodał i zaczął ściągać w pobliże pojazdu karłowate krzewy i gałęzie, które ścinał maczetą.

Jedyną bronią, jaką posiadali, były tylko dwie maczety i noże. W południe ruszyli pieszo na północny wschód. Małag co jakiś czas sprawdzał na komórce swoją pozycję i porównywał ją z trasą, którą zaznaczył GPS porwanego geologa. Po pół godzinie forsownego marszu z krótkimi przerwami, w trakcie których Klimas lustrował przez lornetkę okolicę, dotarli w pobliże miejsca, gdzie urywał się sygnał. Chyłkiem

podeszli na niewielki wzgórek i położyli się na wysuszonych, gorących skałach. Mniej więcej sto metrów przed sobą mieli to miejsce. Wąski wjazd na płaski teren osłonięty skałami był zamknięty wejściem do jamy. Przez godzinę obserwowali ten teren, ale nie wychwycili żadnego ruchu.

– Nie będziemy tak tu leżeć do usranej śmierci. – Klimas spojrzął na oficera wywiadu wojskowego. – Okej, ruszamy, ja zajdę z lewej, ty z prawej.

Ostrożnie zeszli ze wzgórza, kuląc się za załomami skalnymi i karłowatą roślinnością. Klimas był na dole pierwszy. Stanął i nasłuchiwał. Na migi dał znać, że wejdzie pierwszy do środka. W jednej ręce trzymał maczetę, a w drugiej latarkę taktyczną. Zniknął na chwilę w ciemnym środku jaskini.

– Czysto. – Małąg usłyszał jego spokojny głos.

Wszedł do środka. Pomieszczenie wydrążone w skale miało może pięć metrów długości i dwa, trzy metry wysokości. Na glebie zostały liczne ślady butów. Małąg omiótł jaskinię światłem, wyjął telefon i zaczął robić zdjęcia. Podeszedł do kupki śmieci zepchniętych w niewielki załom skalny, rozgarnął ją butem, coś błysnęło, sięgnął w to miejsce dłonią osłoniętą rękawiczką.

W tym momencie Klimas ostrzegł go cicho:

– Stój, nie ruszaj się. – Zrobił krok do przodu i rzucił nożem obok nogi Małąga. Ostrze czarnego glocka przebiło jasnożółty, dzielony ciemnymi plamami tułów żmii, jej ciało się wygięło w taki sposób, że zobaczył jej biały brzuch. Stanął nogą na jej głowie, która miała na skórze charakterystyczne wyrostki przypominające kilkumilimetrowe różki. Żmija rogata wiła się jeszcze chwilę wokół noża, ale Klimas sprawnym ruchem wyjął go z jej ciała i kopnął truchło w bok jaskini.

– Dzięki. – Porucznik Małąg się schylił i spośród śmieci wygrzebał telefon komórkowy. – Taką pamiątkę nam zostawili. Trzeba to zbadać. – Schował aparat do kieszeni koszuli. – Wracamy. Nic tu po nas, po drodze zatrzymamy się w Bagdadzie – zarządził.

ROZDZIAŁ 5

wiosna 2022 r.

Warszawa/ Siedlce

Pułkownik Filip Roguski uchylił okno wychodzące na aleję Niepodległości. Wraz ze świeżym powiewem do jego gabinetu, znajdującego się na trzecim piętrze budynku Służby Wywiadu Wojskowego, wcisnął się rytmiczny szum warszawskiej ulicy. Wiosna już nie była tak upalna, rano spadł deszcz, który oczyścił powietrze. Myślami oficer był już na urlopie, który zaplanował w Bieszczadach, tradycyjnie pod namiotem, i zakładał forsowne wyprawy po szlakach wzdłuż granicy z Ukrainą i Słowacją.

Pułkownik spojrzał na zakratowane okno, akurat gdy usiadł na nim sokół wędrowny, być może z tej rodziny, która gniazdowała na pobliskim Pałacu Kultury i Nauki. Uśmiechnął się lekko na ten widok i bardziej wyciągnął w fotelu, aby nie płosząc drapieżnika, dokładniej zobaczyć jego upierzenie.

Potem spojrzał na swój laptop i zaklął pod nosem. Od kilku minut próbował uruchomić specjalny program, wspomagany sztuczną inteligencją, który ustawiał na osi czasu spływające do wywiadu informacje. Narzędzie to miało ułatwić do nich dostęp oraz pomóc oficerom je porządkować i połączyć tematycznie, przy zalewie danych, które spływały do służby po rozpoczęciu przez Rosję pełnoskalowego konfliktu na Ukrainie. System się zawieszał albo jakby złośliwie nie wchodziło hasło do potwierdzenia certyfikatu bezpieczeństwa. Roguski ponownie zaklął pod nosem, podniósł słuchawkę i poprosił pracownika kancelarii tajnej o przygotowanie materiałów dotyczących doktora Michała Kosińskiego. Po pół godzinie otrzymał informację zwrotną, że może je

przełączyć. Ruszył do specjalnie wydzielonego pomieszczenia kancelarii, pokwitował wgląd w materiały niejawne, usiadł przy biurku i zaczął wertować teczkę z notatkami.

Informację o planowanym pobycie naukowym Kosińskiego w Iraku pozyskało źródło „Geopol”. Notatka ze spotkania z nim w suchy sposób relacjonowała termin i cel wyjazdu oraz sposób finansowania. Z rozpracowania Kosińskiego na uczelni wynikało, że mógł budzić zaufanie, nie przewijał się też w żadnych materiałach dotyczących kontaktów ze służbami, nie był notowany przez policję. Poza jakimś drobnym wykroczeniem drogowym miał czyste konto. „Typ samotnika, skupiony na pracy naukowej, przygotowywał pracę habilitacyjną na temat skał gór kurdystańskich”. W przeszłości był stypendystą kilku europejskich uczelni, m.in. w Berlinie, Kopenhadze i Madrycie. Uczestniczył też w konferencjach naukowych, m.in. z udziałem naukowców z Bliskiego Wschodu, w tym z Iraku i Iranu – tyle że tych, którzy wyemigrowali. To miała być jego pierwsza wizyta w Kurdystanie. Z dokumentów wynikało, że ma dobrą opinię.

Roguski zwrócił jednak uwagę na to, że nie tylko zna język arabski. Z notatki wyczytał, że geolog dziesięć lat temu skończył kurs survivalu SERE na poligonie w Lesznie i w nadleśnictwie Karczma Borowa, no i zdobył brązowy pas w judo. Z materiałów, które miał przed sobą, wynikało, że jest dobrym naukowcem z perspektywą dalszego rozwoju, ale też człowiekiem sprawnym, gotowym do podjęcia wyzwań.

Założył, że to właśnie zdecydowało, iż niejaki kapitan Andrzej Morawski – Roguski go nie znał – z placówki terenowej w Lublinie postanowił wytypować go do przeprowadzenia wstępnej rozmowy, która być może zakończyłaby się werbunkiem. Morawski należał do tak zwanych tajniaków, którzy nie operowali z centrali, ale z obiektu, który znajdował się poza terenem wojskowym. „Firma” funkcjonowała pod przykryciem spółki informatycznej, świadczącej także usługi z dziedziny rachunkowości, która jednakowoż wśród realizowanych zadań miała też usługi spedycyjne, nastawione na transport na wschód.

Według notatki służbowej Morawski spotkał się z Kosińskim na początku lutego 2022 roku w Costa Coffee przy Krakowskim Przedmieściu w Warszawie, w przerwie między zajęciami naukowca na Uniwersytecie Warszawskim, o godzinie 14.15. Rozmowa trwała tylko kwadrans. Z dokumentu wynikało, że miała ona charakter prewencyjny. Morawski ostrzegał przed zagrożeniami i szykanami, jakich mogą się spodziewać cudzoziemcy w Iraku, przed infiltracją służb środowiska naukowego, możliwymi prowokacjami na granicy.

„Nic szczególnego z tych dokumentów nie wynika” – podsumował Roguski.

Zwrócił jednak uwagę na fakt, że Kosiński zgodził się na spotkanie z oficerem wywiadu już po powrocie do kraju, w maju lub czerwcu. Zobowiązał się nawet, że sam się z nim skontaktuje. „To jest niespotykane” – pomyślał i ponownie przeczytał notatkę.

ROZDZIAŁ 6

wiosna 2022 r.

Warszawa

W piątek 29 kwietnia w południe w Warszawie zaczął padać deszcz, temperatura wynosiła piętnaście stopni Celsjusza. Z rządowego czarnego bmw, które zaparkowało w alei Szucha, wysiadł wiceminister spraw wewnętrznych Maciej Rakoczy, w chwilę potem pod gmach MSZ podjechała czarna škoda, z której wysiedli zastępca szefa Służby Wywiadu Wojskowego pułkownik Marek Krawczyk i szef pionu operacyjnego odpowiedzialny za Bliski Wschód, pułkownik Filip Roguski. Przy wejściu pokazali funkcjonariuszom Służby Ochrony Państwa legitymacje służbowe i niemal w tym samym momencie weszli do gmachu. Skierowali się do windy, a następnie do obszernego pomieszczenia przylegającego do Centrum Operacyjnego MSZ. W pomieszczeniu był już szef Agencji Wywiadu, pułkownik Andrzej Potejko. Panowie przywitali się, usiedli na skórzanych fotelach i zaczęli wyjmować z aktówek teczki z dokumentami. Po kilku minutach dołączył do nich wiceminister spraw zagranicznych Piotr Kowalski.

– Witam panów na posiedzeniu sztabu kryzysowego – zagaił. – Bez zbędnego wprowadzenia, chciałbym tylko przypomnieć o randze spotkania, sprawa jest trudna politycznie, a także dla nas niewygodna, bo niestety mamy na plecach media. I chyba wszyscy doskonale zdajemy sobie sprawę z tego, że strona przeciwna mocno nas zaszachowała, przesyłając film z uwięzionym do prasy. Proszę o przeczytanie notatki, którą otrzymaliśmy z Teheranu. – Wstał i rozdał zebranym karty z gryfem „ściśle tajne”. – To efekt spotkania naszego ambasadora i attaché wojskowego

z przedstawicielem MSZ Islamskiej Republiki Iranu, a w zasadzie członkiem jakiejś bojówki. Jak widzicie, przeciwnik twierdzi, że doktor Michał Kosiński prowadził działalność szpiegowską. Na początku chciałem się upewnić, czy to może być prawdą. Panowie, kto pierwszy? – Wskazał dłonią na szefów służb.

– Nie prowadziliśmy z nim żadnych rozmów, dialogu i tak dalej. Mogę powiedzieć tylko tyle – odezwał się szef Agencji Wywiadu pułkownik Potejko.

– A ja mogę powiedzieć niewiele – pułkownik Krawczyk wytarł chustką spocone czoło – bo rozumiem panowie okoliczności, ale przed wyjazdem została z nim przeprowadzona rozmowa, to było w sumie jedno spotkanie. Bardziej miała charakter prewencyjny, to były ostrzeżenia, aby był wyczulony na prowokacje, działania ze strony tamtejszych służb. Żeby zachował ostrożność w pobliżu granicy, bo jest to teren kontrolowany przez różne grupy. On nie realizował dla nas żadnych zadań.

– Mamy jasność – podsumował Kowalski. – Co myślicie o możliwości wysłania na miejsce naszych wojsk specjalnych, mamy przecież ten... no, GROM, i odbicia zakładnika?

Krawczyk cicho stęknął i skomentował pod nosem:

– Z kim ja pracuję? – Na głos zaś oznajmił: – Panie ministrze, wątpię, aby było to możliwe.

– Ale przecież niedawno wysłaliśmy ich do Afganistanu. Sprawdzili się, nie było żadnych ofiar.

– To prawda, ale były tam obecne wojska innych krajów, między innymi nasi sojusznicy z NATO, na lotnisku ruchem kierowali Amerykanie i Brytyjczycy, a talibowie dopiero wchodzili do miasta, w Kabulu zaś panował chaos. Takie warunki nie są możliwe na pograniczu Iraku z Iranem, chociażby z tego powodu, że nie wiemy, gdzie go ukryli. Mamy „czesać” teren razem z irackim wojskiem? To byłoby obarczone poważnym ryzykiem poniesienia klęski i śmierci zakładnika – zakończył dyplomatycznie wiceszef Służby Wywiadu Wojskowego.

– Zgadza się z pułkownikiem – stwierdził Potejko.

– Co za bojówka go porwała?

– Organizacja irackich szyitów, brygada Iman al-Askari z Ligi Sprawiedliwych, znana jako sieć Khazali – odparł pułkownik Filip Roguski z SWW. – Istnieje podejrzenie, że ta organizacja jest finansowana przez Al-Kuds, irański wywiad. I pewnie dlatego Iran zdecydował się mediować w tej sprawie, chociaż osobiście wątpię, aby te brygady zrobiły coś bez wiedzy Teheranu.

– Co ustalił na miejscu nasz wywiad? – Maciej Rakoczy delikatnie uniósł się w fotelu.

– Rekonesans w okolicy, gdzie urwał się ślad, niewiele przyniósł. Trafiliśmy tam na telefon komórkowy geologa. Nie był uszkodzony, działał do momentu, gdy wyczerpała się bateria. Analiza urządzenia przeprowadzona przez naszych ekspertów też niewiele nam dała. Zdjęcia, które robił Kosiński, pokrywają się z grubsza z zapisem GPS. Znaleźliśmy też kontakt do...

– Czy on miał jakiegoś kierowcę albo przewodnika? – przerwał mu Rakoczy.

– Dobrze pan myśli. Tak, miał, i właśnie o tym chciałem powiedzieć. – Oficer spojrział w notatkę. – W telefonie był do niego numer pod nazwiskiem Wadi Mohammad. Problem polega na tym, że nie znaleźliśmy takiego człowieka wśród tych, którzy oferują usługi przewodnickie z samochodem w tamtym rejonie Iraku. Tym bardziej że Kosiński zrobił mu zdjęcie i mogliśmy porównać je z bazą miejscowej policji, z którą nawiązaliśmy kontakt. Może on po prostu podał Kosińskiemu inne nazwisko? W pobliżu nie znaleźliśmy też porzuconego samochodu. – Roguski urwał.

– To ciekawe. – Wiceminister poczerwieniał na twarzy.

– Bardzo, panowie, bo może wskazywać na to, że porwanie tego człowieka było zaplanowane. Cóż prostszego jak wywieźć człowieka w ustronne miejsce i oddać go w ręce ludzi, którzy chcą okupu... – dodał pułkownik Potejko.

– Ma pan na to dowody? – Rakoczy w charakterystyczny dla siebie sposób wysunął lekko dolną szczękę.

– Nie.

– Zatem to czysta spekulacja. Tak? – zapytał nerwowo wiceszef MSWiA.

– No to jakie są wasze propozycje? Bo ten kryzys musimy jakoś zakończyć, nie możemy sobie pozwolić, aby tlił się przez miesiące, bo wtedy media nas zagryzą. Panowie, w przyszłym roku są wybory! – Piotr Kowalski z MSZ stuknął dłonią o blat stołu i sięgnął po ciasteczka, które leżały na porcelanowej tacy.

W pomieszczeniu zaległa cisza, słychać było tylko ruch wskazówek zegarów pokazujących godzinę w różnych strefach czasowych. Maciej Rakoczy nalał do szklanki wody sodowej i powiedział z naciskiem:

– Panowie, pomysły! Za to wam płaci państwo. Znacie notatkę pułkownika Furmana, są w niej warunki, które stawia przeciwnik. – Rakoczy uniósł do twarzy kawałek kartki. – Chcą, abyśmy im dostarczyli broń, czyli wykupili zakładnika. Potrzebna jest tylko decyzja polityczna, zgoda premiera. Czy jesteście gotowi przygotować operację przerzutu broni?

– Tak – odezwał się pułkownik Krawczyk. – Ale jest to operacja obarczona poważnym ryzykiem, głównie z powodów politycznych...

– Jak to sobie wyobrażacie? Że złamiemy embargo? Przecież Amerykanie zaraz się o tym dowiedzą i podwójnie się skompromitujemy. Zresztą w jaki sposób ta broń ma do nich trafić? – Potejko nie ukrywał swojego sceptycyzmu.

– To jest wszystko do załatwienia. – Krawczyk nie odpuszczał. – Jesteśmy w stanie przerzucić ją bezpiecznie okrężną drogą, dokumenty mogą być odpowiednio spreparowane, możemy postawić warunek, że wszystko ma być zachowane w pełnej tajemnicy. Taka operacja jest trudna, ale można ją zrealizować, wykorzystując naszych zaufanych pośredników.

– Ty tak na poważnie? – Pułkownik Potejko ponownie zwrócił się do swojego przedmówcy.

– Panowie, spokój – przerwał im Rakoczy. – Pana propozycja, pułkowniku, jest ciekawa. Czy bylibyście w stanie opracować szkic operacji, powiedzmy pod kryptonimem „Exchange”? Pamiętajcie, ja pierwszy na to wpadłem... A na poważnie, co im możemy dać?

– Oni to dokładnie precyzują – włączył się pułkownik Roguski z SWW. – Drony obserwacyjne z Ożarowa, amunicję krążącą i granatniki automatyczne z Tarnowa. Te ostatnie mamy na zbyciu, leżą w magazynach i mogą być wykorzystywane zarówno przez wojsko, jak i policję, na przykład do rozpraszania tłumów. Teraz pchamy je na Ukrainę.

– Szacunek. Są panowie tak doskonale przygotowani. – Wiceszef MSWiA cmoknął w palce w taki sposób jak Włoch, gdy w restauracji smakuje mu jakaś potrawa, i jednocześnie ponownie wysunął lekko dolną szczękę.

– Wojsko zawsze jest w gotowości. – Roguski, gdyby stał, pewnie uderzyłby butem o but, jak w postawie na baczność. – Jestem pewien, że w ich interesie powinno być zachowanie wszystkiego w tajemnicy, bo inaczej nic nie zyskają – dodał.

– Nie wierzę w to, co słyszę. My w to nie wchodzimy. Możemy was tylko zapewnić, że będziemy wyczuleni na wszelkie sygnały, gdyby temat wypłynął do sojuszników, ale gdy już to się stanie, to będzie za późno. – Pułkownik Potejko delikatnie przeczesał dłonią krótkie włosy.

– To, panowie, mamy już jakąś konkluzję. Zatem – Rakoczy przełknął ślinę – po pierwsze SWW przygotowuje szkic operacji przerzutu broni, po drugie my, z panem ministrem Kowalskim, weźmiemy na siebie przekonanie premiera do tego przedsięwzięcia, po trzecie SWW bierze na siebie również organizację bezpiecznego transportu, po czwarte – ponownie spojrzął na swojego kolegę z rządu – musimy o wszystkim powiadomić szyfrówką ambasadora w Teheranie i zobowiązać go do przeprowadzenia wstępnej rozmowy na ten temat z drugą stroną, aby sprawa była procedowana z zachowaniem pełnej dyskrecji. Zresztą, panowie, chyba nie muszę przypominać, że też jesteście zobowiązani do zachowania w tej sprawie ścisłej tajemnicy.

– I jest jeszcze jeden temat: sojusznicy. Co w sytuacji, gdy się o tym dowiedzą Amerykanie? – Potejko naciskał.

– Proponuję takie rozwiązanie: powiadomimy formalnie NATO o przygotowywanym transporcie na Ukrainę, zrobimy tak, aby w papierach występowało właśnie to państwo jako końcowy odbiorca – odpowiedział po krótkiej chwili zastanowienia pułkownik Krawczyk. – Co o tym myślicie?

– To pomysł cholernie ryzykowny i nie gwarantuje, że temat nie wypłynie, chociażby z drugiej strony. Może po prostu nic nie robić? Może tego geologa zwyczajnie wypuszczą, gdy dojdą do wniosku, że nie osiągnęli celu? – Szef Agencji Wywiadu mnożył wątpliwości.

– Nie ma mowy, musimy pokazać naszą sprawczość. Czasy hamletyzowania skończyły się za poprzedniej władzy, teraz jest czas działania... – dodał zdecydowanie Rakoczy. – Porozmawiam z naszym ambasadorem przy NATO, aby uczestniczył w przekazaniu informacji na temat tego, w cudzysłowie, transportu do Ukrainy. To nam powinno zabezpieczyć tyły...

– Może warto, Maćku, jeszcze postawić sobie jakiś termin brzegowy, który byłby realny, na uwolnienie Kosińskiego. Czy byłoby to możliwe, w ciągu... powiedzmy, trzech, czterech miesięcy? Aby można było to dobrze dla nas wykorzystać medialnie. – Kowalski wstał.

– To możliwe, załóżmy, że jest to termin roboczy. – Pułkownik Krawczyk nie oponował.

– Zatem, panowie, dziękuję za spotkanie – powiedział Rakoczy. – I na koniec jedna uwaga: wszystko koordynuję jako pełnomocnik do spraw służb specjalnych, zatem wszystkie informacje na ten temat mają do mnie spływać. Wszelkie! Rozumiecie?

– Kończymy zatem posiedzenie zespołu kryzysowego. Dam znać panu pułkownikowi – wiceminister Kowalski spojrzął na wiceszefa wojskowej służby – czy mamy zielone światło premiera – oznajmił i podszedł jeszcze do Krawczyka oraz Roguskiego, aby uścisnąć ich dłonie.

Maciej Rakoczy po wyjściu z MSZ, gdy już siedział w swoim samochodzie, włączył telefon, który musiał schować w specjalnej szafce

przed wejściem na spotkanie. W komunikatorze Signal miał nieodebrane połączenie i SMS-a: „Witaj, czy masz dzisiaj ochotę na spotkanie w towarzystwie dobrej whisky? AC”. Po minucie zastanowienia wybrał ten numer:

– Cześć, Antoni, czy możesz do mnie wpaść? Oczywiście im szybciej, tym lepiej. Tak, do ministerstwa. Jest jedna kwestia, w której możesz pomóc.

Antoni Cydejko zjawił się w budynku przy Rakowieckiej mniej więcej po godzinie. Gdy wszedł do sekretariatu gabinetu Macieja Rakoczego, ten wydał dyspozycję swojej pracownicy, aby z nikim nie go łączyła i nie przerywała spotkania. Podwójne drzwi gabinetu zatrzęsnęły się za nim.

– Proszę, Antoni. – Rakoczy był lekko zdenerwowany. – Soki, woda. – Wskazał dłonią na stolik.

– Dziękuję. – Cydejko rozsiadł się wygodnie w fotelu. – Słucham cię, w czym mogę ci pomóc?

– I właśnie to u ciebie cenię: „w czym mogę pomóc” – powtórzył wiceminister ostatnie słowa gościa. – Chciałbym ci zaproponować udział w niezwykle delikatnej operacji. Chodzi o dostarczenie specjalnego ładunku w wybrane miejsce...

ROZDZIAŁ 7

wiosna 2022 r.

Pruszków

Odprawa celno-skarbowa w podwarszawskim Pruszkowie przebiegała sprawnie, skrzynie znajdowały się w kontenerze bez napisów, który został umieszczony na samochodzie ciężarowym. Urzędnik sprawdził dokumenty, z których wynikało, że ma do czynienia z ładunkiem specjalnym. Były wszystkie zgody ministerstw na wywóz broni. W skrzyniach znajdowały się granatniki rewolwerowe oraz kilka aparatów bezzałogowych wykorzystywanych do rozpoznania za linią frontu wroga, a także do namierzania obiektów przeznaczonych do zniszczenia przez artylerię. Z papierów wynikało, że wysyła je na Ukrainę prywatna spółka Agwa z siedzibą w Gdańsku.

W ogródku niedużej pizzerii po drugiej stronie ulicy siedzieli dwaj mężczyźni i nerwowo wychylali kolejną szklanekę z whisky w oczekiwaniu, aż ciężarówka Man z naczepą wyjedzie z agencji celnej.

Jednym z nich był właściciel niewielkiej firmy, która zajmowała się realizacją zadania specjalnego – to ona formalnie wysyłała transport broni. Antoni Cydejko miał ogorzałą twarz wskutek częstych wyjazdów na południe Europy, gdzie na Cyprze i w Albanii znajdowały się jego biura. Ubrany był w elegancką sportową błękitną marynarkę casual, pod którą włożył koszulkę firmy Polo, a także niebieskie spodnie tej samej marki i brązowe trzewiki. Na stoliku leżały: smartfon, gazeta „Rzeczpospolita” oraz okulary typu aviator z metalową oprawką. W tym względzie miał doskonały gust, bo jego nieżyjący od kilku lat ojciec był właścicielem doskonale prosperującej w czasach PRL sieci sklepów optycznych.

Cydejko miał dobre kontakty wśród polityków i służb. Na początku wieku – jako jeden z niewielu – przeszedł ze zlikwidowanej Wojskowej Służby Informacyjnej do utworzonej w tym samym momencie Służby Wywiadu Wojskowego. Można powiedzieć, że był jednym z twórców siły tej służby, z wojskowym stopniem podpułkownika. Nikt nie wiedział, jak to było możliwe, że trafił do niej po weryfikacji. To był jego największy sekret. Tym bardziej że bardzo szybko opuścił tę formację i założył spółkę, która doskonale się rozwijała, realizując rządowe zamówienia. To dlatego, że wykonywała zadania nietypowe, które wymagały balansowania na granicy prawa, znajomości i pracy w cieniu. Raz sprowadzała na specjalne zlecenie jednego z polityków lewicy wino ze strefy objętej embargiem, innym razem – a było to zlecenie sprzed dwóch lat, pośredniczyła w przekazaniu do Polski kilkudziesięciu respiratorów dla chorych na COVID-19, a także w transporcie maseczek chirurgicznych. W przeciwieństwie do innych firm nazwa Agwa nie pojawiła się w mediach w kontekście nieprawidłowości, bo niewielu wiedziało, czym się zajmuje. Oficjalnie była to bowiem spółka spedycyjna, a także organizująca dystrybucję boliwijskiego likieru z liści koki.

– Wszystko powinno być w porządku. – Cydejko zmrużył piwne oczy i spojrzał na pułkownika Filipa Roguskiego. Ten jednak ciągle nerwowo mieszał bursztynowy płyn w szklance.

– Dlaczego on się spóźnia? – zapytał oficer.

– Zjeżdża już z autostrady. Pędzi do nas, nie obawiaj się, to pewny i sprawdzony człowiek.

– Wierzę, ale cholera się spóźnia...

– Filip, *relax*, wszystko będzie dobrze.

W tym momencie wyrosła przed nimi kelnerka. Cydejko, nie patrząc na nią, rzucił:

– Jeszcze dwa razy to samo. – I dopiero wtedy spojrzał pytającym wzrokiem na partnera, który kiwnął głową. – Poproszę zatem – dodał. – Jak to się skończy? – zwrócił się do rozmówcy.

– Co?

– No przecież wojna na Ukrainie.

Roguski stuknął palcem o szklanke.

– Jeżeli Zachód będzie dostarczał broń Ukrainie, podsycił w narodzie wolę walki, szkolił żołnierzy, także tych działających poza linią frontu jako partyzanci... – Wypił łyk whisky. – ...wojna będzie trwała długo i Ukraińcy w końcu wyzwolą okupowane tereny. Tyle że odbędzie się to kosztem wielkich ofiar, zniszczenia infrastruktury, biedy. Bez zmiany władz na Kremlu ciężko będzie zakończyć tę wojnę trwałym pokojem. Bo co z tego, że za jakiś czas podpiszą rozejm, aby po chwili wytchnienia znowu rzucić się do gardła Zełenskigo.

Roguski, ubrany w bordowe spodnie i białą koszulę, na krótko wstrzymał oddech. On, podobnie jak Cydejko, bez specjalnych komplikacji w 2006 roku przeszedł z WSI do Służby Wywiadu Wojskowego, a teraz jako szef operacyjnej komórki zajmującej się Bliskim Wschodem nadzorował misję przerzutu broni.

Na parking przy pizzerii wjechała biała toyota firmy Uber. Wysiadł z niej około czterdziestoletni mężczyzna z ciemnymi, kręconymi włosami. Ubrany był na czarno i miał z sobą niewielki plecak. Na ten widok Cydejko i Roguski podnieśli się z krzeseł. Wyszli do niego i się przywitali.

– Przepraszam, ale samolot się spóźnił – próbował się usprawiedliwić przybysz.

– Nic, nic, najważniejsze, że już jesteś – odparł uśmiechnięty Antoni Cydejko. – Proszę, usiądź z nami, jesteś głodny, co zamówić? Pasta, pizza, mają tutaj pyszną zupę rybną, z kawałkami ośmiornicy i mulami – dodał.

– Przepraszę was na chwilę – powiedział gość i wszedł do restauracji, zamówił dla siebie zupę z grzankami oraz piwo, a wracając na taras, zaszedł do toalety, aby umyć ręce.

Gdy ponownie usiadł przy stoliku, Roguski lekko chwycił go za przedramię i rzucił:

– Zatem wszystko jest w porządku. Może pan jechać?

– Tak.

– To ja się pożegnam. Powodzenia. Koniecznie proszę o sygnał, gdy towar dotrze do odbiorcy – poprosił, wszedł do służbowej skóry i odjechał.

ROZDZIAŁ 8

wiosna 2022 r.

Bałkany

– Długo jeździsz?

Kierowca nie odpowiedział, tylko kiwnął głową. Przyzwyczajony był już do tego, że realizuje kursy z różnymi ludźmi, którzy pilnowali samochodu i znacznie cenniejszego od niego towaru. Wolał nie dopytywać. Zakładał, że im mniej wie o tym, co wiezie i z kim jedzie, tym jest bezpieczniejszy. Był świadomy, że firma spedycyjna sprzedająca boliwijskie likiery to tylko przykrywka dla innej działalności.

Tir, załadowany bronią i dronami, po odprawie w Pruszkowie wjechał na autostradę prowadzącą na południe Polski. Kierowca milczał przez większość drogi i uważnie nasłuchiwał komunikatów nadawanych przez CB radio. Jego pasażer i jednocześnie ochroniarz przysypiał na bocznym siedzeniu.

Gdy tylko zatrzymywali się na parkingach, Czarny wychodził po kawę i w tym czasie do kogoś dzwonił. Za każdym razem podawał miejsce, w którym znajdowała się ciężarówka.

Podróż była wyjątkowo monotonna. Tir wjechał do Czech, potem przejechał przez Austrię i zatrzymał się na nocleg w okolicach miejscowości Ptuj w Słowenii, w hotelu „Pod czapłą”. Zeszli do restauracji, z której dochodziły pulsujące dźwięki muzyki dyskotekowej. Zabawa trwała na całego. Ale bawiło się tylko kilku miejscowych młodzieńców. Na stole stały kieliszki z wódką i winem, a także przekąski: sery i suszona szynka, orzeszki i oliwki oraz faszerowana papryka. Pomiedzy nimi ze

zbolełą miną, powoli pociągając nogami, szedł młody, może dwudziestokilkuletni blondyn. Kierowca, gdy go ujrzał, głośno parsknął śmiechem. Czarny po raz pierwszy zauważył u niego naturalną reakcję. No bo chłopak ubrany był jak filmowy Borat, w zielony strój kąpielowy opinający mocno jądra i podtrzymywany przez naciągnięte na barki szelki. Jego wygląd był jeszcze bardziej absurdalny, bo zgięty wpół, jak staruszka, na ramieniu opierał potężny drewniany krzyż. Wyglądał jak karykatura Jezusa podążającego drogą krzyżową.

– Dajcie biednemu pięć euro. – Wystawił rękę, gdy weszli do restauracji. Szelmowsko się uśmiechnął. – Ostatnie chwile wolności! – krzyknął. – Napiję się za wasze zdrowie!

Czarny włożył mu do ręki banknot o nominale dziesięciu euro i dopiero wtedy uświadomił sobie, że to nadzwyczaj oryginalny wieczór kawalerski młodego Słoweńca.

Przez okno restauracji zauważył, że na parking wjechał policyjny radiowóz. Uśmiechnięty policjant, najpewniej kolega młodego, wszedł do środka, przywitał się i usiadł z biesiadnikami. On jedyny z całego towarzystwa popijał tylko sok pomarańczowy.

Kierowca i ochroniarz byli pewni, że miejsce jest bezpieczne i spokojnie mogą się posilić i odpocząć. Obydwaj zamówili obarę, czyli lokalną pikantną zupę gulaszową, w której więcej było warzyw niż mięsa. Jej zapach był jednak obłądny. Dopiero gdy zjedli, rozluźnili się, a napięcie rozpląnęło się w oparach otaczającej ich zabawy i absurdu. Wzięli po szklance słoweńskiego jasnego piwa Laško.

Następnego dnia wjechali na teren Chorwacji, minęli Zagrzeb i ruszyli autostradą na południe wzdłuż Adriatyku. Na wysokości Dubrownika Czarny odbył szybką serię rozmów telefonicznych. Kierowca wyczuł w jego głosie nerwowość, a może też niepewność tego, co niebawem miało się zdarzyć. Korki na drogach w Czarnogórze trochę pokrzyżowały ich plany. Wlekli się w sznurze samochodów, w których tysiące osób zmierzało do nadmorskich kurortów na ciepły późnowiosenny weekend. Dopiero tuż przed nocą przekroczyli granicę z Albanią.

Po północy znaleźli się u kresu podróży na terminalu kontenerowym portu w Durrës. Wokół był spory ruch ciężarówek, dźwigi portowe wyładowały z nich kontenery, które następnie ustawiały na placu przy nabrzeżu. Światła statków migwały w oddali, od strony morza wiała łagodna, przyjemna bryza.

Czarny wysiadł z szoferki, wysłał SMS-a i zapalił cygaretkę. Dym wciągał zachłannie, jakby liczył na to, że tytoń go uspokoi, przywróci równowagę po wielu godzinach rytmicznej jazdy i da pewność, która teraz była mu potrzebna.

Naraz zobaczył światła nadjeżdżającego samochodu osobowego. Pojazd jednak stanął i przez kilkanaście minut wyczekiwał w półcieniu światel portowych lamp. Okna miał uchylone, w środku było trzech mężczyzn, a przy ich twarzach żarzyły się ogniki papierosów. Czekali na coś, może na kogoś? Albo na jakiś ukryty znak? W pewnym momencie pojazd gwałtownie ruszył, z ciemności wyłoniło się granatowe renault na czarnych, albańskich numerach rejestracyjnych. Auto zatrzymało się obok polskiej ciężarówki. Kierowca został w środku tira, Czarny powoli wysiadł i podszedł bliżej. Miał na sobie czarną skórzaną kurtkę, a w niej w ukrytej kieszeni schowany był niewielki pistolet.

Drzwi renault się uchylły i z auta wysiadło dwóch szpakowatych mężczyzn w białych koszulach i obcisłych granatowych spodniach. Wyglądali tak, jakby ubierali się w tym samym sklepie. Jeden z nich miał jednak w ręku skórzaną teczkę na dokumenty. Za kierownicą został trzeci.

– Witaj, Marut, chciałem ci przekazać życzenia od naszych wspólnych przyjaciół.

– Dziękuję. Jaka pogoda w Warszawie? – odpowiedział po angielsku z twardym perskim akcentem.

– Ostatnio mieliśmy ochłodzenie, przez centrum przeszedł orkan Dariusz.

– W porządku. – Marut wyciągnął rękę do Czarnego.

Uścisnęli sobie dłonie. Uzgodnione hasło się zgadzało. Czarny w skupieniu obserwował swojego rozmówcę. Wiedział o nim niewiele, ale

tyle, ile powinien.

Tymczasem Marut był specjalnym wysłannikiem irańskiego generała Ghaniego. Podobnie jak pozostali dwaj jego towarzysze, był żołnierzem jednostki Ghods.

– Proszę przekazać, że niebawem opuszczamy ten mały diabelski kraj, robi się nazbyt duszno. Tutaj nas nie chcą ci sprzymierzeńcy diabła. Będziemy musieli ustalić, poprzez naszych przedstawicieli, nowe miejsce kontaktu i wymiany – dodał.

Czarny wiedział, że służby państw NATO, głównie CIA, coraz częściej wypuszczają do zaprzyjaźnionych mediów w USA informacje o tym, że Irańczycy są zdolni do dokonania ataku hakerskiego w Albanii. Nie wiadomo było jednak, co stanie się ich celem. Iran w ten sposób chciał ukarać Albanie za przyjęcie kilka lat wcześniej opozycyjnej organizacji Ludowych Mudzahedinów, którzy spiskowali przeciwko rządowi w Teheranie. Dlatego służby Iranu wzmocniły w Tiranie rezydenturę i starały się poszerzać wpływy w tym państwie.

Marut wyjął z kieszeni teczek plik kartek.

– Proszę spojrzeć. Zgodnie z umową, oryginalne ukraińskie dokumenty przewozowe. Transport zatem oficjalnie trafił do Konstancy, a stamtąd do Odessy. – Uśmiechnął się.

Czarny pobieżnie przejrzał dokumenty.

– Kontener jest oczywiście oplombowany. Wszystko się zgadza z tym, co jest w papierach – oświadczył.

– Dobrze... Jestem tego pewien, bo chyba nie narażalibyście życia tego, no, jak mu tam, Kosi... – Pers urwał, wyjął telefon i gdzieś zadzwonił. Po chwili ramię wielkiego portowego żurawia zdjęło z naczepy kontener i delikatnym ruchem przeniosło go na cypryjski statek handlowy Pafos.

– Proszę przekazać swoim przełożonym, że umowa zostanie dotrzymana, w momencie gdy drugi transport znajdzie się na naszej ziemi. Ale... chcielibyśmy utrzymać znajomość po zakończeniu tej operacji

i nadal korzystać z waszych możliwości. Potrzebujemy broni. Cena nie gra roli. – Marut wymownie spojrział na Polaka.

– Przekażę dalej. – Czarny podał mu rękę.

Następnego dnia statek Pafos wypłynął z Durrës na Cypr. Załoga składała się z wyselekcjonowanych przez irańskie służby marynarzy pochodzących z krajów arabskich. Na pełnym morzu przepakowali oni broń do nowych, nieoznakowanych skrzyń, tamte zaś wyrzucili za burtę. Z dokumentów przewozowych wynikało teraz, że transport broni pochodzi z Bangladeszu i ma trafić, przez Egipt, do jednej z firm w afrykańskim Burundi. Po dwóch dniach statek wypłynął z Cypru. W egipskiej Aleksandrii załoga statku przedstawiła jednak dokumenty deklarujące, że skrzynie załadowane są obrabiarkami, które mają zostać przewiezione do firmy produkującej klimatyzatory w Bahrajnie. Odprawa odbyła się gładko. Skrzyń z taką właśnie zawartością było bowiem na statku kilka i akurat one zostały pobieżnie skontrolowane przez celników. W Aleksandrii transport został jednak przeładowany na mniejszą jednostkę. Zarejestrowany w Hongkongu statek, który przepłynął przez Kanał Sueski, pierwotnie miał zawinąć do Abu Zabi, ale w pewnym momencie zmienił kurs pod pretekstem chorego członka załogi na pokładzie i wpłynął do portu na irańskiej wyspie Kisz. Tam skrzynie z bronią zostały wyładowane, a statek popłynął dalej.

Część II

ZBRODNIA

ROZDZIAŁ 9

późna wiosna 2022 r.

Granica Iran–Irak

Tarik, mający na twarzy popękane gogle, naciskał z całych sił na manetkę jawy, aż ręka go piekła. Motocykl wył i wyrzucał spod kół drobne kamyczki. W tumanach majowego kurzu wypadł pędem z za zakrętu drogi prowadzącej z irańskiego Balkeh w kierunku granicy irackiej. Siedzący z tyłu Zoran kurczowo trzymał przyjaciela za korpus i chował za nim głowę.

– Zbliżamy się. – Tarik próbował przekrzyczeć ryk zdezelowanej ciezety 350. Trudno powiedzieć, czy towarzysz podróży go słyszał i jak wiele widział. W pewnej chwili jednak puścił ciało kolegi, wyprostował się i z kabury wyjął pistolet Taurus. Jednym ruchem przeładował go i oparł bokiem o plecy Tarika. Ten zwolnił bieg, bo przed sobą miał punkt kontrolny, przy którym stało dwóch irańskich funkcjonariuszy granicznych w granatowych mundurach i beretach. Jeden z nich z daleka dał ręką znak, aby się zatrzymał.

Tarik podjechał do nich na wolnych obrotach. Wtedy z za jego pleców padły dwa strzały. Kierowca w tym samym momencie położył jowę na bok i zwinnie od niej odskoczył. Spod wypłowiałej, zakurzonej kurtki wyjął pistolet maszynowy Heckler&Koch MP7 i wystrzelił do drugiego strażnika. Obydwaj upadli bezwładnie na szutrową drogę.

Kurz powoli opadł, ale koło motocykla nadal kręciło się siłą bezwładu, jakby ciągle szukało powierzchni jezdni.

Tarik podszedł do toyoty irańskich strażników, otworzył boczne drzwi. Leżące na siedzeniu pasażera karabinki AK-74 i kamizelki kuloodporne przerzucił na tył pojazdu. Podszedł do bagażnika i otworzył go.

– Zoran, popatrz, jakie skarby. – Gwizdnął.

Przyjaciel przeszukiwał akurat kieszenie zabitych strażników, ale niespiesznie wyprostował się i podszedł.

– Allah nam wynagrodził. – Sięgnął ręką do kufra. Wyjął z niego potężny, malowany na zielono granatnik automatyczny, który dotychczas widział tylko na filmie *Psy wojny* w rękach Christophera Walkena. Poniżej celownika, na ramie naniesiony był numer oraz literki PL.

– To dowódca nas nagrodzi! Patrz, tutaj są pociski do tej rury. – Wskazał palcem skrzynkę, w której w szeregu ułożonych było sześć naboju 40 mm. Wziął broń do ręki i zaczął ją oglądać z każdej strony.

– Nowy, jeszcze nie używany.

– Zoran, zabieramy się stąd.

Przeciągnęli ciała strażników na pobocze. Ukryli je za karłowatymi krzakami. Tarik usiadł za kierownicą toyoty, a Zoran na przetartym siodełku jawy.

Ruszyli w kierunku irackiej granicy.

Po ponad godzinie zjechali w boczną drogę i po przejechaniu kolejnych kilku kilometrów pomiędzy wzgórzami wjechali w zamkniętą skałami kotlinę. Pobliskie jaskinie dawały schronienie uciekinierom z Iranu. Zaparkowali motocykl i samochód. Zoran zwinnie zeskoczył z dwusładu i skierował się do jaskini, przy której stał uzbrojony strażnik w ciemnozielonym uniformie.

Wszedł do środka i zameldował:

– Panie kapitanie, przejęliśmy samochód z bronią.

Starszy mężczyzna z bujnymi wąsami siedział przy prymitywnym stoliku i coś czytał. Obok leżała czarno-biała arafatka z czerwoną przepaską. O stół oparty był karabinek Kałasznikowa. Na ścianie wisiała flaga Partii Wolności Kurdystanu (PJAK) – czerwono-zielona, ze sporych

rozmiarów słońcem na środku. Obok zaś znajdował się wycięty z jakiejś gazety portret Abdullaha Öcalana, jednego z liderów Partii Pracujących Kurdystanu, który w 1999 roku został ujęty w Kenii przez turecki oddział specjalny i osadzony w więzieniu na wyspie İmralı. Turecki sąd skazał Öcalana na karę śmierci, ale w 2002 roku zmienił ją na dożywotnie więzienie. Jego zatrzymanie spowodowało protesty Kurdów na całym świecie.

Zoran i Tarik należeli do Sił Obronnych Wschodniego Kurdystanu, organizacji zbrojnej, która operowała na pograniczu iracko-irańskim, często przekraczając granicę i pełniąc funkcję ochronną wobec nielicznych mieszkańców tamtego rejonu, a także uciekinierów z kraju rewolucji islamskiej.

Nieopodal miejsca, gdzie zostawili pojazdy, znajdowało się potężne wysypisko śmieci, na którym bawiły się dzieciaki. Brodziły w plastikowych odpadach, lawirowały pomiędzy pojemnikami po jedzeniu, foliowymi torbami czy pustymi puszkami po napojach. W pobliżu płonęło ognisko, w którym lądowały odpady nadające się do spalania, a toksyczny dym snuł się po okolicy. Niedaleko od tego miejsca stały trzy namioty, w których uchodźcy chronili się przed upałem.

Komendant tymczasowego obozu Birzo Amin podniósł się bez słowa i ruszył ku wyjściu. Poszedł za nim strażnik z bronią. Podeszli do toyoty, Tarik otworzył bagażnik i pokazał zdobycz.

Dowódca klepnął go po ramieniu.

– Doskonała robota, ale czegoś takiego jeszcze nie widziałem – powiedział i sięgnął po granatnik. – Zabezpieczony? – spytał.

– Tak, a w tej drugiej skrzyni z amunicją jest też instrukcja obsługi.

– Doskonale. Na jaką odległość można z tego strzelać?

– To sprawdzimy, ale myślę, że nawet na kilkaset metrów.

Obóz robił przygnębiające wrażenie, wszędzie bawiły się brudne dzieci, powietrze było zapyłone nie tylko od toksycznych cząstek ze spalanych śmieci, ale też od wszechobecnego kurzu. Nieco inaczej to miejsce

wyglądało po zmierzchu. Gdy cień nocy maskował brud, powietrze stawało się bardziej rześkie, ludzie gromadzili się przy ogniskach, przygotowywali przy nich posiłki, bawili się, tańczyli razem i śpiewali.

Na chwilę zapominali o tym, co ich otaczało.

ROZDZIAŁ 10

wiosna 2022 r.

Düsseldorf

Kaja kręciła się w rytm kurdyjskiej muzyki, która płynęła z głośników. Ostre rytmy dafa – bębna obręczowego oraz tambura i tara – tradycyjnego perskiego instrumentu strunowego, podkreślały słowa piosenki śpiewanej przez piosenkarza, który w dość sentymentalny sposób opowiadał historię miłości do młodej mieszkanki górskiej wioski.

Dziewczynka miała na sobie zwiewną różową sukienkę. Kruczoczarne włosy spięła różową gumką, a na niej tkwiła jeszcze posrebrzana plastikowa korona.

– Wujku, popatrz, co dostałam od mamy. – Otworzyła małą rączkę, w której trzymała złoty naszyjnik z nawleczonymi monetami. Kaja z trudnością łapała oddech, ale jej duże ciemne oczy śmiały się radośnie. Ziyad Mosa podniósł biżuterię, spojrział pod światło i fachowo ocenił:

– Piękna jak modrak, który przede mną teraz stoi. – Uszczypnął ją w policzek. – To taki bardzo ładny ptak – dodał.

– Oj, wujciu – pisnęła dziewczynka, zabrała urodzinowy prezent i wróciła na parkiet.

Pomiędzy stołami biegało kilkoro dzieci. Dziewczynki ubrane były w długie kolorowe sukienki, a chłopcy w miniaturki tradycyjnych kurdyjskich uniformów, czyli bufiaste oliwkowe spodnie i kamizelki przepasane wzorzystym szalem. Niektórzy z nich mieli na głowie turbany zrobione z chust. W pomieszczeniu restauracji w centrum Düsseldorfu, w której odbywało się przyjęcie, było dość gorąco, dlatego kilku chłopców je

zdjęło. Stoły pełne były owoców, słodczy i napojów, jak na uroczystość rodzinną przystało. Na ścianie, obok kolorowych baloników, ktoś powiesił jeszcze ozdobne sztuczne kwiaty, a w reprezentacyjnym miejscu, nad stołem, przy którym siedziała mała jubilatka z rodzicami, narodową flagę czerwono-biało-zieloną, ze słońcem pośrodku.

Ziyad też był ubrany w tradycyjny, chociaż trochę bardziej wysłużony, strój. Siedział obok Amira, emisariusza, który właśnie przyjechał z irańskiego Kurdystanu. Ten ostatni wyglądał jak zwykły Europejczyk w niebieskich, lekko błyszczących spodniach i białej koszuli.

– Piękne te dzieci – wtrącił Amir. Na jego twarzy widoczny był jeszcze ślad po wybuchu granatu sprzed kilku lat, skórę na czole miał lekko zaczerwienioną. – Czy one poznają wolny Kurdystan?

– Tak, jeżeli je odpowiednio wychowamy, jeżeli w ich sercach będzie zaszczerpiona miłość do tych gór – odparł górnolotnie Ziyad Mosa, drobny sześćdziesięciolatek.

– Panowie, kawa, herbata? – Z boku podszedł Masud, kuzyn Ziyada, i uśmiechnął się, ukazując śnieżnobiałe zęby.

– Tak, poprosimy o herbatę, ale ty wiesz, jaką ja lubię, z kardamonem. Prawda? – Ziyad spojrział na swojego towarzysza.

– Ja też poproszę – rzucił po chwili namysłu Amir.

Głośna muzyka ludowa zagłuszała rozmowę.

– Czy jest tutaj jakieś spokojne miejsce? Chciałbym ci coś przekazać. – Amir przygryzł wargi. – Przepraszam, że na uroczystości rodzinnej, wybacz, proszę...

– Chodźmy do kuchni, tam jest takie niewielkie pomieszczenie. – Ziyad wstał.

Usiedli na drewnianych krzesłach przy stoliku zastawionym posrebrzanymi paterami, na których leżały kulki świeżo pieczonej kuby, tradycyjnej potrawy z ryżu, mięsa mielonego, groszku, rodzynek i curry, obok zaś stały miseczki z pachnącym, świeżo wykonanym sosem

jogurtowo-czosnkowym. Amir sięgnął po jeden placek, zamoczył go w sosie i ugryzł.

– Doskonała, jak u nas w górach. – Włożył palce do ust i je oblizał. Z sąsiedniej sali przebijała się, trochę stłumiona, dynamicznie wygrywana na instrumentach strunowych muzyka. – Wracając do rzeczy. Dowództwo naszego oddziału prosiło, abym przekazał ci zdjęcia i opis broni, którą znaleźliśmy przy granicy z Iranem, u reżymowych strażników. Wydaje nam się, że ta broń pochodzi z Polski, a ty tam kiedyś studiowałeś. Może się czegoś dowiesz? Prośba jest taka: zrób, co możesz, bo przecież Polska nie może eksportować broni do Iranu. To oczywiste. – Amir otworzył teczkę, którą miał ze sobą, i wyjął z niej szarą kopertę.

W tym momencie usłyszeli trzask drzwi. Do pomieszczenia wszedł Masud.

– Nie przeszkadzajcie sobie, ja tylko muszę zabrać kilka rzeczy – rzucił i zaczął się krzątać koło szafki z naczyniami. „Nie powinna się tym zająć obsługa?” – pomyślał Ziyad, ale zaraz skupił uwagę na przesyłce, którą miał z sobą Amir. Otworzył ją i wysypał na stół kilkanaście kolorowych zdjęć. Zaczął je przeglądać.

– Tak... Tu faktycznie są napisy w języku polskim, broń pochodzi z Tarnowa. To taka niewielka miejscowość na południu Polski, blisko Krakowa.

– Operacyjnie ustaliliśmy, już po przejęciu tego jednego granatnika rewolwerowego, bo taka jest jego fachowa nazwa, że strażnicy dostali większą partię tego uzbrojenia. Podobno był jeszcze inny sprzęt. Też z Polski. Ale co to było, niestety nie wiemy – odparł Amir i zapalił papierosa.

– Dziwi mnie to. – Ziyad podrapał się po brodzie. – Przecież Polacy zawsze nas wspierali. Co się stało? – Zamyślił się.

– W każdym razie spróbuj coś ustalić swoimi kanałami, ufamy ci. – Amir badawczo spojrział na Masuda, który ciągle coś przestawiał w szafie.

Wtedy do pomieszczenia weszła ubrana w białą koszulę i ciemną spódnicę kelnerka.

– O przepraszam, chciałam zabrać talerze. A pan tu jest? Ja to wezmę... – Uśmiechnęła się do Masuda.

– Już wychodzimy. – Ziyad się podniósł. Zaraz za drzwiami wpadł w niego z impetem ośmioletni Akram.

– Przepraszam – krzyknął i niezdarnie próbował się wyplątać z bufiastych spodni swojego dziadka.

– No już dobrze. – Ziyad lekko trzepnął go po głowie kopertą ze zdjęciami. – Co ja mam z tym zrobić? – zapytał sam siebie i położył ją na stoliku przy wieszakach na ubrania.

Wieczorem usiadł przy biurku i napisał list. Do koperty włożył też ksero jednego ze zdjęć, po czym ją zakleił i owinął folią. Poszedł do punktu handlowego, w którym przez całą dobę można było nadawać i odbierać przesyłki. W środku był tylko chłopak obsługujący to miejsce. Ziyad podał mu kopertę, na której był berliński adres lokalu kontaktowego. Miał nadzieję, że list szybko dotrze do centrali.

– A to – podał sprzedawcy drugą kopertę owiniętą folią bąbelkową i czarną taśmą – jak zwykle na przechowanie, na hasło.

Na ladzie położył pięćdziesiąt euro i wyszedł bez pożegnania.

Cztery dni później ściśle tajna notatka z informacją o przesyłce z Niemiec wraz ze skanem przesłanego zdjęcia została przekazana przez Agencję Wywiadu wiceministrowi spraw wewnętrznych. Rakoczy przeczytał ją uważnie i natychmiast zadzwonił do Antoniego Cydejki, który akurat był za granicą. Rozmawiali przez szyfrowany komunikator. Kilka minut zastanawiali się, co zrobić z przeciekiem, który mógł zagrażać powodzeniu operacji „Exchange”. Ustalili, że wywiad wywoła spotkanie ze swoim niemieckim współpracownikiem, w trakcie którego będzie musiał on odpowiedzieć na konkretne pytania.

– Nie możemy pozwolić, aby ta sprawa się rozlała – podsumował rozmowę Maciej Rakoczy. – Rozumiesz?

ROZDZIAŁ 11

lato 2022 r.

Amsterdam

Cydejko, gdy tylko ujrzał mężczyznę siedzącego przy stoliku w lokalu Hans en Grietje w Amsterdamie, uśmiechnął się szeroko, rozłożył ręce i podszedł do niego.

– Nic się nie zmieniłeś, jesteś jeszcze bardziej podobny do tego amerykańskiego aktora Paymana Maadiego – powiedział i kordialnie uściskał swojego rozmówcę.

– A ty, widzę, tryskasz energią. Lepiej ci bez munduru – odpowiedział mężczyzna w języku angielskim z twardym bliskowschodnim akcentem.

Usiedli przy oknie na piętrze, z widokiem na pobliski kanał, którym płynęła niewielka łódka. Znajdowali się blisko niezwykle popularnego w stolicy Holandii traktu, którym tysiące turystów zmierzało do Rijksmuseum. Nie musieli nawet wyłączać telefonów komórkowych, bo obydwaj wiedzieli, że w takim tłumie nikt nie jest w stanie ich namierzyć.

Do stolika podeszła kelnerka. Polak zamówił sznycel z jajkiem, frytki i sałatkę, a także jasne piwo, a jego gość naleśnik z bananem i sokiem pomarańczowym.

– Marut miał rację, mówiąc, że będę zaskoczony – stwierdził Cydejko. – Co, mój towarzyszu, porabiałeś od czasu wyjazdu z Teheranu?

– Cóż, byłem tu i tam, wiesz, jak to u nas. Tam, dokąd nas wezwą... – Uciekł od konkretnej odpowiedzi.

Poznali się na początku XXI wieku, gdy Cydejko był attaché wojskowym w Teheranie, na spotkaniu zorganizowanym dla dyplomatów przez

irańskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych. Od razu na siebie wpadli, a potem przez kilka miesięcy spotykali się – towarzysko, chociaż irański partner Cydejki starał się sondować jego opinie na różne tematy związane z bezpieczeństwem. No i w trakcie tych rozmów polski oficer miał możliwość napić się dobrego alkoholu, co było niespotykane u innych irańskich urzędników.

Gdy kelnerka postawiła przed nimi talerze z jedzeniem, Polak zagadnął:

– Wiem, że udało się wam nawiązać kontakt z człowiekiem z naszej ambasady w Niemczech.

– Owszem i jestem zaskoczony, że poszło tak gładko.

– Cóż, twoi przełożeni dostali jego dobre dossier, wiedzieli, jakie są jego słabe strony. Tym bardziej że teraz posypało mu się trochę życie prywatne.

– Fakt, znalazł się w kropce, jak to wy mówicie, a my wyciągnęliśmy do niego rękę, z możliwością pożyczki, której spłata jest odsunięta w czasie. A zresztą zadanie, które otrzymał, nie wymaga od niego wielkiego wysiłku. Ot, drobna przysługa.

– No i dostaliście sporo czasu, aby nad nim popracować.

– Zgadza się, chociaż, jak wspomniałem, odniosłem wrażenie, że nie był skłonny, aby robić problemy.

– Zatem wiesz, kiedy i gdzie powinno dojść do spotkania waszego zdrajcy z polskim łącznikiem. – Cydejko nie miał skrupułów, gdy to mówił.

– Tak. Teraz muszę to odpowiednio zaaranżować. W sumie mam jeszcze sporo czasu. Biorę to na siebie, nie chcę, aby coś poszło nie po naszej myśli. Zwłaszcza że działamy we wspólnym interesie.

– To prawda. Ale mam prośbę, abyś dokonał dzieła tym. – Cydejko położył na restauracyjnym stoliku niewielkie pudełko, które wyjął z torby. – A potem mi to cacko zwrócił.

Jego rozmówca delikatnie uchylił pokrywkę szkatułki i spojrzał do środka.

– Co to za maszyna? – Nie krył zaskoczenia.

– Wierz mi, skuteczna.

- Myślisz, że ja nie mam czym tego zrobić?
- Wierzę, że masz, ale chciałbym mieć dowód wykonania zadania i pewność, że będzie umierał długo.
- Co ty kombinujesz?
- Spokojnie, nic strasznego. Chcę tylko mieć wszystko pod kontrolą. – Cydejko sięgnął po wysoką, oszronioną szklanę z piwem.

ROZDZIAŁ 12

lato 2022 r.

Nadrenia Północna-Westfalia

Cień wspiął się na drzewo, potem zwinnie przeskoczył na murek ogrodzenia i schował się za słupem energetycznym. Na chwilę jakby zamarł, wykonał kilka ruchów i zgrabnie zeskoczył na trawnik. Wykorzystując ciemność, zbiegł z niewielkiej skarpy, wsiadł do samochodu zaparkowanego pod szyną kolejki Schwebbahn na wysokości przystanku Hammerstein.

Cień odciągnął z twarzy kominiarkę i sięgnął po torbę schowaną pod fotelem pasażera. Otworzył laptop, uruchomił go, blask ekranu wydobył z mroku profil delikatnej twarzy. Kilkoma uderzeniami o klawisze cień sprawdził, czy zainstalowana właśnie mikrokamera działa i rejestruje obraz z ogrodu i znajdującego się zaledwie kilkanaście metrów dalej piętrowego budynku. Zamknął pokrywę komputera i odłożył go na podłogę auta. Elektryczny bmw i3 cicho ruszył drogą z Wuppertalu na zachód.

Następnego dnia ta sama postać pojawiła się przy Roßstraße, w jednym z tymczasowych punktów testowania w kierunku koronawirusa, których dziesiątki było rozsianych po całym Düsseldorfie. Miała na sobie maseczkę ochronną i okulary przeciwsłoneczne. Weszła za kotarę, zamiast patyczka z wymazem włożyła do koperty pendrive i wychodząc, bez słowa oddała pakunek pielęgniarzowi, który natychmiast schował go do kieszeni białego fartucha.

5 sierpnia 2022 roku w Düsseldorfie było ciepło, słońce, ustawione nad niemal bezchmurnym niebem, przypiekało, ale wiejąca od Renu lekka

bryza pozwalała na zachowanie pewnego komfortu. Milusha Weber spojrzała w górę – pomiędzy budynkami przeleciały, skrzecząc, dwie zielone papugi. Uśmiechnęła się do siebie i na chwilę jakby zawiesiła. W myślach przywołała sen ostatniej nocy: widziała w nim dwie twarze – jej twarze, ale jakby czymś się różniące. Nie była w stanie wskazać czym.

Sięgnęła po filiżankę ulubionej kawy *red bourbon*, która miała lekki posmak suszonych wiśni i aromat czerwonego wina. Siedziała przy stoliku kawiarnianym przy Carlsplatz niedaleko miejskiego targowiska. Miała przed sobą notatnik i co jakiś czas coś w nim pisała. Ktoś obserwujący ją z boku mógłby odnieść wrażenie, że zachowuje się dziwacznie, gdyż kark wyginała tak, jakby nosem chciała dotknąć notatek. Innym mogła przypominać osobę autystyczną, która oznacza na kartce wszystko, co zaobserwowała, aby nic jej nie umknęło. W rzeczywistości na kartce łączyła postawione przez siebie kropki i kreski, i po chwili z tej wydawałoby się chaotycznej gmatwaniny wyłonił się portret czyjejś twarzy. Tylko ona знаła sekret tych pozornie bezładnych ruchów długopisu, bo w rysunku tym zawarła kod, znany wyłącznie jej, w który wpisana była notatka o miejscu spotkania, zaobserwowanych osobach, odebranej wiadomości. Treść zaszyfrowanej informacji ukrywała w literach alfabetu runicznego, pismo to poznała w czasie studiów w Danii.

Milusha ubrana była w ciemnoszarą, robiącą wrażenie lekko wypłowiałej na słońcu, koszulkę z logo Rammsteina, czarne rurki i ciężkie buty na obcasach, z przypiętym z boku znakiem tego zespołu. Cieniowane na fioletowo proste włosy obcięte miała na wysokości połowy szyi. Twarz miała idealnie gładką, jakby właśnie ogoloną, usta pociągnięte bezbarwnym błyszczkiem.

Wokół niej rozległy się syreny alarmowe. Jeden, drugi, trzeci, czwarty, piąty – wozy strażackie z rykiem wjechały pomiędzy kamienice na pobliską Mittelstrasse. Pojazdy stanęły wokół lodziarni La Romana i obleganej o tej porze dnia popularnej piekarni Hinkel. Stłoczeni ludzie się rozbiegli, a ubrani w jaskrawe kombinezony i białe hełmy strażacy wyskoczyli

z pojazdów i zaczęli się rozglądać. Szukali zarzewia ognia, a może innego powodu, dla którego wezwano ich w to miejsce.

Milusha czekała na ten moment. Na głowę nałożyła szmacianą czapkę, oczy skryła pod klasycznymi okularami przeciwsłonecznymi Julbo Vermont z czerwonymi szklami, zgarnęła ze stolika notatnik i schowała go do kieszeni spodni. Powoli, swobodnie się rozglądając, podeszła do oddalonego od niej o kilkanaście metrów stolika, sięgnęła pod blat i oderwała niewielkie urządzenie przypięte magnesem od spodu. Wcześniej w miejscu tym siedziało dwóch mężczyzn, którzy rozmawiali w języku rosyjskim.

Schowała pluskwę w dłoni i weszła w plataninę wypełnionych ludźmi alejek targowiska. Na moment zatrzymała się przy stoisku z holenderskimi serami i w odbiciu lustra za plecami sprzedawców sprawdziła, czy ktoś jej wypatruje. Po chwili zniknęła w tłumie kupujących. Gwałtownie skręciła do niewielkiego włoskiego barku i zamówiła pastę z truflami, zapłaciła piętnaście euro i na kilkanaście minut schowała się z talerzem w niewielkim pomieszczeniu. Makaron jak zwykle był pyszny.

Miała pewność, że ewentualna obserwacja nie ma szans w zderzeniu z tym miejscem. Wyjść z targowiska było kilkanaście, każde prowadziło na inną ulicę, o tej porze roku pełną turystów.

W godzinę później była już nad Renem, deptakiem wzdłuż rzeki przeszła dwa kilometry na północ, wielokrotnie się sprawdzając. Nic nie zauważyła.

Kamienne ściany nadbrzeżnych wałów przeciwpowodziowych stały się miejscem ukraińsko-rosyjskiej wojny na murale. Jeden z nich przedstawiał ukraińskich żołnierzy z bronią, którzy pędzlem malowali żółtą pacyfę. Obok ktoś namalował zielonym sprejem literę Z, symbol rosyjskiej agresji porównywany ze swastyką. Kilka metrów dalej ktoś nakleił szereg satyrycznych plakatów z wizerunkiem byłego kanclerza Niemiec Gerharda Schrödera z rękami umazanymi ropą naftową o barwie krwi oraz papieża Franciszka z rosyjską flagą. Po najechaniu Rosji na Ukrainę do Niemiec przez Polskę przyjechało kilkaset tysięcy uchodźców, głównie tych, którzy

mieli tu rodziny lub na tyle zasobne portfele, aby wynająć mieszkanie. Na ulicach można było zaobserwować wiele oznak solidarności z tym walczącym narodem, na kamienicach, w witrynach sklepów wywieszono błękitno-żółte flagi. Na cichą wojnę z nimi wyruszyły setki Rosjan, którzy od dawna mieszkali w Niemczech, czerpali garściami z dobrodziejstw życia w cywilizacji Zachodu i jednocześnie uwielbiali Putina wraz z jego wojną.

Przy Kennedydamm wsiadła do kolejki U-Bahn, i podjechała do Nordpark. Powoli przeszła przez ten park, a na skraju japońskiego ogrodu, w którym siedziała grupa hałaśliwie zachowującej się młodzieży subkultury gotyckiej, weszła pomiędzy drzewa. Pod jednym z krzewów, obok króliczej nory, wymacała szary kamień, delikatnie przekręciła go i otworzyła skrytkę. Do środka zrobionej z gipsu atrapy włożyła mikrouządzenie z nagraniem dokonany przy jednym ze stolików na targowisku. Niebawem powinien je przejąć rezydent wywiadu z konsulatu w Kolonii.

Zabezpieczyła kamień i delikatnie go położyła, zrobiła jeszcze zdjęcie, które natychmiast wysłała e-mailem do chmury. Fotografiię w swoim telefonie skasowała. Wracając wzdłuż rzeki, po której majestatycznie płynęły z Holandii barki z węglem i samochodami, zatrzymała się w plenerowej miejskiej strefie relaksu. W budce kupiła kieliszek białego reńskiego wina, usiadła na drewnianym leżaku, odwróciła twarz do słońca. Założyła słuchawki na uszy i z komórki puściła barokowe kantaty weneckiego kompozytora Antonia Vivaldiego. Przymknęła oczy, na kilka minut odpłynęła w świat dźwięków.

Już trzy lata zajmowała się czymś, czego nie była w stanie sama jednoznacznie określić. Polski wywiad zwerbował ją, gdy skończyła studia na uniwersytecie w duńskim Aalborgu i miała perspektywę znalezienia zatrudnienia w niemieckiej firmie energetycznej w Bonn. Zdecydowało to, że nie była jeszcze pewna, co chce w przyszłości robić, szukała czegoś, co nie zamknie jej w ramach codziennej rutyny. Jej naturalną zaletą było to, że znała polski, bo matka była z pochodzenia Polką, i niemiecki, język ojca,

doskonale posługiwała się również angielskim i dodatkowo duńskim. Była ciekawa świata, nie bała się wyzwań, atutem był też analityczny umysł. Czy coś ją łączyło z Polską? Tylko opowieść o dziadkach z antyniemieckiego i antysowieckiego ruchu oporu. Z kolei rysy twarzy mogły ją kojarzyć z pochodzeniem azjatyckim, jej ojciec miał matkę Koreankę. To sprawiało, że prezentowała unikalny typ urody.

Przeszła krótkie szkolenie zorganizowane dla niej w Holandii w dawnej fermie, zlikwidowanej przez państwo w ramach ograniczania emisji metanu do powietrza. Gospodarstwo znajdowało się niedaleko Bredy na szlaku wyzwolonym przez „czarne diabły”, czyli pancerniaków polskiego generała Stanisława Maczka. W trakcie szkolenia w piwnicy odnalazła pustą skrzynkę amunicyjną z angielskimi napisami i włożonym za szkło orzełkiem z koroną, którą widocznie zostawili gospodarze. Zajęcia trwały dwa tygodnie, wykonywała w terenie zadania z gubienia obserwacji, ale też na miejscu nauczyła się między innymi sposobu łączności, kamuflażu oraz szyfrowania. To właśnie wtedy odkryła niezwykle prosty, ale zrozumiały tylko dla siebie sposób ukrywania krótkich informacji w kreskach rysunku.

Stała się tajnym współpracownikiem wywiadu, a oficer prowadzący, jakby domyślając się, jaką dodatkowo ma tajemnicę, nadał jej kryptonim Farinelli. Tak jak nazwisko osiemnastowiecznego włoskiego śpiewaka operowego, kastrata, uwielbianego w całej Europie, przez co też obecnego na wielu królewskich dworach. To pozwalało mu szpiegować dla Stuartów, ale o tym wiedzieli tylko wtajemniczeni.

Milusha realizowała zadania, które otrzymywała od rezydenta. Jej rola polegała w zasadzie na przenoszeniu przesyłek – materiałów – z punktu A do punktu B, zostawianiu w określonych miejscach znaków dla innych agentów, instalowaniu urządzeń podsłuchowych lub mikrokamer w miejscach spotkań osób, które stawały się obiektem zainteresowania polskiego wywiadu. Prowadzący ją oficer szybko odkrył jej ponadprzeciętne zdolności do ukrywania tożsamości, zmiany sposobu bycia, a przede wszystkim wyglądu zewnętrznego. Był zdziwiony jej

umiejętnością zacierania różnic płci. Niekiedy nie był pewny, czy obcuje z kobietą czy z mężczyzną.

– Jesteś jak ten obrotowy w piłce ręcznej, który dezorganizuje i dezorientuje obrońców drużyny przeciwnej – powiedział jej kiedyś.

– Tyle że ja nie rzucam bramek, to robi ktoś inny, ja tylko stwarzam mu okazję, odsuwam zagrożenie, oczyszczam pole – odparła z uśmiechem.

Milusha bawiła się tym, co robiła, bo wymykało się to mechanizmowi codziennego działania. Za każdym razem starała się tak dobrać wygląd, aby ktoś, kto choćby przez przypadek spotkał ją wcześniej, nie był tego świadomy albo co najmniej był tego niepewny.

Wieczorem wróciła do swojego mieszkania na parterze kamienicy przy Wörthstrasse. Wyszła na wewnętrzny taras, otworzyła drzwi po prawej stronie, które z zewnątrz wyglądały jak komórka na narzędzia ogrodnicze. Zamknęła się od środka i poprzez szafę wnękową i ukryte w podłodze drzwi zeszła do niewielkiego pomieszczenia. To był zamaskowany schron przeciwlotniczy, zbudowany jeszcze w czasach zimnej wojny. Pomieszczenie było suche, wysokie, chronione żelbetonem, miało prysznic i umywalkę, a w prawym górnym rogu znajdowało się urządzenie wentylacyjne, które przy każdym zapaleniu światła tłoczyło do wnętrza świeże powietrze. W biurku schowała notatnik i wyłączony telefon.

Na chwilę uruchomiła drugi aparat, który leżał w schowku. Weszła na stronę popularnego w Niemczech portalu pośrednictwa pracy, w ogłoszenia o poszukiwaniu inżynierów budownictwa. Sprawdziła, czy pojawiło się w nim zgłoszenie o zapotrzebowaniu na pracowników do odnawiania secesyjnej kamienicy w Aachen. Odnalazła je, a w czacie pod ogłoszeniem znalazła dwukropek i kreskę. To oznaczało, że materiał został przejęty, a następnego zadania mogła się spodziewać za dwa dni.

Milusha usiadła przed lustrem, zmyła lakier z paznokci, starła szmatką pomadkę z ust. Odczekała chwilę i ciemną kredką poprawiła sobie łuki brwi. Mimowolnie przejechała dłonią po brodzie, wyczuła jej lekką chropowatość.

Przebrała się w luźne sportowe ubranie. Rękawice bokserskie wrzuciła do szmacianej torby.

Kolejne dwie godziny, jak co drugi dzień, miała spędzić na zajęciach z kickboxingu.

ROZDZIAŁ 13

lato 2022 r.

Kolonia

Mariusz Zielonka, szyfrant z konsulatu Rzeczypospolitej w Kolonii delikatnie zapukał w metalowe drzwi pokoju, który znajdował się na najwyższym piętrze, z dala od wścibskich oczu innych pracowników. Na wzmocnionej futrynie umieszczony był cyfrowy czytnik, ale przy drzwiach był też dodatkowo zestaw do plombowania z szarą plasteliną w środku.

– Zapraszam. – Usłyszał przytłumiony głos.

Za biurkiem w surowym pomieszczeniu bez okien siedział pięćdziesięciolatek.

– Czołem, co dzisiaj, chorąży?

– Szefie, szyfrówka z centrali. Proszę pokwitować odbiór – powiedział Zielonka i położył na biurku teczkę. Kamil Zawadzki, rezydent wywiadu w Niemczech, postawił na jednej z podanych kartek tak zwanego ptaszka.

– Odmeldowuję się, panie majorze.

– Czołem, a jeszcze... – zaczął, a Zielonka, który już stał przodem do drzwi, gwałtownie się odwrócił, jego twarz zaś ściągnął grymas niepokoju.

– Co jesteś taki nerwowy? – zapytał Zawadzki. – Przecież widzę po tobie.

– A nie, nic, żona ma pewne problemy ze zdrowiem, właśnie udało mi się załatwić jej szybką ścieżkę do lekarza w naszym szpitalu przy Wołoskiej. Może potem uda się też szybko ją przerzucić do Centrum Onkologii na Ursynowie. Widzi pan, to dużo kosztuje i te leki...

– Kto?

– Co...? – Zielonka robił wrażenie rozkojarzonego.

– Kto załatwił?

– A taki znajomy z mojej poprzedniej firmy. Ciągle się łudzę, że z Julką będzie wszystko w porządku, to chyba nic poważnego... że z tego wyjdzie – Zielonka niezdarnie próbował się tłumaczyć.

– To dobrze. Wiem, że jesteś obciążony pracą, no ale tak wybrałeś. Ty wcześniej byłeś w WSI, ten znajomy to stamtąd?

– No... tak, panie majorze, razem pracowaliśmy w centrali przy alei Niepodległości.

– Okej... To do zobaczenia. – Wstał i podał rękę szyfrantowi.

Na twarzy Zielonki pojawiło się zaskoczenie, bo nie codziennie ktoś go w taki sposób traktował. Inni w konsulacie nie chcieli mieć z nim nic do czynienia albo nie zauważali jego obecności. Zapytani o to, kim jest, pewnie odpowiedzieliby, że jakimś pracownikiem od prostych zadań biurowych.

Gdy wyszedł z pokoju, Zawadzki usiadł na obrotowym krześle, założył ręce za głowę i wyciągnął się do tyłu.

– Znajomy z WSI, tia... Zawsze układy, układziki, interesy, interesiki. Plecaki. Nic normalnie nie można załatwić, tylko trzeba kogoś znać – mruknął sam do siebie pod nosem.

Był świadomy, że ludzie, z którymi się stykał, kuszeni byli z każdej strony, a on musiał umieć rozpoznać, na ile zagraża to jego służbie. To było nowe zjawisko. Od pewnego czasu wszystkie rządowe agencje i służby znalazły się pod „agresywną” – jak ją nazywał w duchu, kontrolą partii rządzącej. To powodowało, że interes państwa powoli się zacierał, wypierany przez interes partyjny. Kto był bliżej władzy, miał lepszą pozycję, lepsze stanowisko, lepsze zarobki i objęty był parasolem ochronnym, swoistą bezkarnością. Zawadzki był państwowcem i doskonale zdawał sobie sprawę, jakie mogą być konsekwencje upolitycznienia służb. Niektórzy jego koledzy zastanawiali się wręcz, gdzie jest wróg. Czy to ciągle brutalnie działająca Rosja, czy może nie mniej

bezwzględny funkcjonariusz, który realizuje niejasne cele w imię interesów partykularnych jakiejś partyjnej frakcji. I zupełnie nie zna się na swojej robocie operacyjnej. „Takich to nieraz lepiej trzymać z daleka, żeby czegoś nie spierdolili” – pomyślał oficer wywiadu.

Sięgnął po dokumenty zostawione przez chorążego. Powoli zaczął je przeglądać. Jeden z nich wzbudził jego szczególne zainteresowanie. To było polecenie z centrali, aby wywołać spotkanie z kontaktem operacyjnym „Cher”, z którym miał się spotkać ktoś z centrali i zadać mu konkretne pytania. Co ciekawe, spotkanie to miało zostać zaaranżowane przez wskazanego przez centralę pośrednika. Zawadzki otworzył stojącą za nim szafę pancerną i schował w niej dokumenty, jednocześnie sięgnął po urządzenie do łączności ze swoim informatorem. Zalogował się w prostej grze w kulki, w którą na komórkach grały setki tysięcy ludzi na całym świecie, otworzył okienko czata, wpisał odpowiedni kod – zestaw cyfr i liter, a potem wysłał wiadomość.

Kurd Ziyad Mosa przygładził delikatnie czarne wąsy i sięgnął po kartę dań.

– Trochę to dziwne – zauważył, lustrując menu w greckiej restauracji Hügel obok stacji kolejowej Essen-Hügel, położonej zaledwie kilkaset metrów od okazałej willi rodziny Kruppów.

Tam zawsze się spotykali, gdy chcieli porozmawiać poza miejskim zgiełkiem i wzrokiem ciekawskich. Przy złączonych stołach obok nich siedziała grupa greckich weselników, dwaj kelnerzy krążyli wokół nich i co chwilę donosili tace z souvlakami, frytkami albo zimnymi napojami.

Byli na tarasie osłoniętym od słońca składanym plastikowym dachem. Za solidną barierką, w dole widoczna była tafla jeziora, przy którego brzegach unosiły się lekko na falach zacumowane jachty. Pogoda była doskonała, widok bajeczny. Milusha Weber usiadła tak, aby dyskretnie obserwować wejście.

– Dlatego nie chciałam wykorzystywać innego kanału, tylko normalnie porozmawiać. Dla mnie to też jest dziwaczna sytuacja. A może nie... – Zamyśliła się.

Rezydent przekazał jej zaszyfrowaną wiadomość, aby wywołała spotkanie z irańskim Kurdem o pseudonimie „Cher”. Do spotkania miało dojść na Frankenplatz, obok miejsca zabaw dzieci. To było zaledwie kilkaset metrów od jej mieszkania.

Milusha od pierwszego spotkania z Ziyadem uznała, że to jedna z niewielu osób, której w pełni ufa. Byłaby zdolna podzielić się z nim wszystkimi wątpliwościami, wierzyła w jego pełną szczerłość. Ziyad Mosa, na co dzień niemiecki lokalny przedsiębiorca, który kontrolował sieć orientalnych restauracji, w rzeczywistości należał do organizacji kurdyjskiej stanowiącej zaplecze dla zbrojnej grupy operującej na granicy iracko-irańskiej. Zbierał dla niej pieniądze, a gdy trzeba było, dokonywał niezbędnych zakupów, także broni.

Polski wywiad pozyskał go do współpracy dziesięć lat temu, gdy odkrył, że w latach 80. studiował nauki polityczne na Uniwersytecie Warszawskim, a jednocześnie aktywnie udzielał się w Związku Studentów Kurdyjskich w Polsce, aż z czasem stał się w tym środowisku jednym z liderów, a być może nawet dla niektórych młodych Kurdów autorytetem. W trakcie studiów w Warszawie utrzymywał też kontakty z organizacjami kurdyjskimi w Niemczech i w Szwecji.

Ziyad ponownie przeczesał palcami swoje gęste kruczoczarne włosy i zamyślił się; zgadywał, że to efekt listu, który wysłał na adres lokalu kontaktowego w Berlinie.

– Cóż, być może jest w tym jakiś sens, bo na coś wpadłem. Może ktoś chce poznać szczegóły, porozmawiać bez pośredników. – Zastanowił się.

Urwał, bo do stolika zbliżył się kelner. Kurd zamówił talerz grillowanej baraniny, a Milusha tradycyjną grecką sałatkę wiejską. Ona wzięła kieliszek białego wina, a on kufel piwa.

Uśmiechnięty kelner odszedł, a Milusha nadal milczała, nie chciała naciskać. Wiedziała, że i tak to on zdecyduje, ile jej powie.

– Bo wiesz, wychodzi, że to albo jakaś korupcja, albo ktoś chce nas oszukać, i strasznie długo czekałem na reakcję z ich strony... – dodał.

– Mówisz jak dyplomata, tak aby coś powiedzieć, ale nie wiadomo co... – Uśmiechnęła się.

– To ciebie nie dotyczy, ale moich ludzi już tak... Słyszałaś o granatnikach produkowanych w Tarnowie? – zapytał tajemniczo.

– Nie, nie mam o tym pojęcia. Z innej beczki... długo myślałam o tym, co ostatnio mi mówiłeś. Naprawdę nie przeszkadza ci, jaka jestem? – Na jej twarzy pojawiło się skupienie zmieszane z oczekiwaniem na odpowiedź.

Kelner postawił przy nich kieliszki i zamówione potrawy.

– Smacznego – życzył i tak jak dyskretnie się pojawił, odszedł.

– A dlaczego? Nas, Kurdów, też wielu uważa za niewartych, abyśmy mieli swoje miejsce na świecie. Niektórzy politycy chcieliby nas zetrzeć w proch, zabrać nam język, kulturę, tysiącletnią historię. Myślę sobie, że chyba jak Żydzi przyzwyczailiśmy się do tego, że nas przeganiano, bito, gazowano, a my i tak ciągle wracaliśmy, tyle że bardziej wzmocnieni, silniejsi. Bo wolność nigdy nam nie jest dawana na zawsze, za to wielokrotnie odbierana.

– Ale ze mną jest zupełnie coś innego. Ja jestem inna i nie wiem czemu. Tu czuję się swobodnie, wolna, ale w Polsce... chyba nie potrafiłabym żyć. – Podniosła kieliszek do ust.

– Tutaj masz swój dom. Nie przejmuj się, na mnie zawsze możesz liczyć. U nas niektórzy tak mówią: szukaj samego siebie, a znajdziesz Boga.

Milusha wyjęła z kieszeni ołówek i na serwetce naszkicowała twarz Ziyada.

– Podobny?

– Ładnie rysujesz. Kiedyś muszę cię poprosić, abyś narysowała portret mojej rodziny.

– Wiesz, gdzie mnie szukać, znasz mój adres.

– Po wszystkim wpadnę do ciebie na kawę. – Ziyad położył na stole banknoty o łącznej wartości siedemdziesięciu euro i wstał. Wychodząc, poklepał ją delikatnie po ramieniu i rzucił: – Będiesz sobą, będziesz szczęśliwa, trzymaj się.

Milusha została jeszcze w restauracji. Założyła słuchawki i włączyła muzykę, spojrzała na jezioro i zmrużyła oczy, dopiero teraz zauważyła, że niebo ma kolor różu wpadającego w pomarańcz. Do odjazdu pociągu miała jeszcze pół godziny.

Wysiadła na przystanku Derendorf, wspięła się po schodach na wiadukt, przeszła przez niego nad pociągami, które zmierzały do stacji głównej w Düsseldorfie, i skręciła w prawo w Rather Strasse.

Już było ciemno, ktoś szedł przed nią z psem. W jej głowie coś się kołatało, w myślach rozbierała na sekwencje to, co usłyszała od przyjaciela. Czuła, że naprawdę może na niego liczyć. Była rozkojarzona.

– Cześć, mogę o coś zapytać? – Ktoś ją zagadnął. Przy ciemnym busie stał mężczyzna w brązowej skórzanej kurtce, z kartką papieru w dłoni. Zbliżył się do niej i dokończył: – Jak dojechać, o tu? – Wskazał coś palcem. Milusha spojrzała w to miejsce, ale kartka była pusta. W tym momencie poczuła potężne uderzenie w tył głowy, a po chwili ułknięcie w ramię. Potem otuliła ją ciemność.

Otworzyła oczy, ale nie rozróżniała żadnych kształtów, jedną rękę miała przypiętą kajdankami do jakiejś rury. Gdy ją szarpała, ból się nasilał. Drugą dłonią wymacała, że leży na gąbkowym materacu. Ściany pomieszczenia były surowe, poprzecinane pręgami zaschniętego betonu. W ustach czuła potężną suchość. Na twarz miała założoną skórzaną osłonę, spiętą z tyłu paskiem, bez otworów na oczy, tylko na usta. Próbowwała wymacać zapięcie, manipulowała przy nim, ale nie dała rady ich otworzyć, bo wisiała na nim niewielka kłódka. Bezradnie opadła na materac. Musiała zebrać siły do walki. Wolną dłonią wymacała butelkę z wodą, wzięła ją do ust, aby odkręcić zębami, wylała ją jednak na siebie, bo zakrętka była już poluzowana. Resztę wody wlała w siebie jednym haustem.

W pomieszczeniu panowała absolutna cisza, z zewnątrz nie dochodziły żadne dźwięki. Milusha jeszcze raz szarpnęła ręką spiętą kajdankami, ale poczuła ostre cięcie, po jej przegubie popłynęła strużka krwi.

– Kurwa! – zawyła. – Tylko spokój.

Starła się zebrać myśli – co zaszło, dlaczego ją to spotkało? Co będzie dalej? Zdecydowała się cierpliwie czekać na rozwój wypadków i dopiero wtedy reagować. Tak jak ją uczono. Zasnęła. Nie wiedziała na jak długo. Obudziło ją szarpnięcie za rękę, ktoś odpiął kajdanki od rury i silnym ruchem postawił ją na nogi. Następnie zapiął nadgarstki od tyłu. Wziął Miluszę pod ramię i dokądś prowadził. Szli do góry po schodach, weszli na jakieś podwórko, wyczuła w ustach powiew świeżego powietrza. Ktoś kazał jej wsiąść do samochodu, upadła na podłogę. Ponownie poczuła ukłucie w ramię. Pojazd ruszył, a ona straciła przytomność.

Ocknęła się na ławce parku przy barokowym pałacu w Benrath.

Nie było kajdanek i skórzanego worka na twarzy. Rozmasowała nadgarstki. Była obolała. W kieszeni miała komórkę, klucze do mieszkania i portfel, wszystko było na miejscu.

Wstała, zakręciło jej się w głowie. Po chwili ruszyła jednak w kierunku przystanku tramwajowego.

ROZDZIAŁ 14

lato 2022 r.

Düsseldorf

Nie straciła czujności, czerwona lampka zapaliła się w momencie, gdy otwierała kluczem drzwi do mieszkania. Zawsze wystarczyło jedno przekręcenie, teraz aby je otworzyć, musiała w mechanizmie zamka wykonać dwa obroty kluczem. Ostrożnie weszła do mieszkania, rozejrzała się, ale na pierwszy rzut oka nic podejrzanego nie zauważyła. Tyle że w powietrzu wyczuła nutę obcego jej zapachu. Miała pewność, że ktoś u niej był.

„Nie teraz” – pomyślała, złapała z blatu kuchni sok pomidorowy i się napiła. Poczula ulgę, krew zaczęła szybciej krążyć, jej zmysły się wyostrzyły. Jednym ruchem zrzuciła buty, zdjęła spodnie i bluzę. W bieliźnie weszła pod prysznic, odkręciła kran z ciepłą wodą i usiadła w brodziku. Woda obmywała jej ciało i jednocześnie uspokajała.

Pomimo chwilowej ulgi czuła się jednak tak, jakby miała gorączkę, w uszach ciągle słyszała szum i rytmiczne pulsowanie. Spojrzała na ramię, delikatnie dotknęła miejsc, gdzie została ukłuta, poczuła lekki ból.

Zamknęła oczy i starała się przeanalizować to, co ją spotkało. Nie, nie miała pojęcia, dlaczego ktoś ją zaatakował. Przeszło jej przez myśl, że to mogła być jakaś próba, ale odrzuciła to założenie jako absurdalne. Albo ktoś wpadł na jej trop. „Powinnam się teraz bać?” – przeleciało jej przez głowę.

Po pół godzinie, gdy próbowała wstać, ciało na moment odmówiło jej posłuszeństwa. Nogi zdrętwiały, poczuła mrowienie w stopach.

Rozmasowała je. Zrzuciła mokre ubranie, wytarła się i przebrała w dres. W kuchni ponownie wlała w siebie czerwony sok, do którego dodała kieliszek wódki. Wzięła w dłoń mokry ręcznik i wyszła z nim na taras, aby powiesić go na sznurku.

Gdy przekroczyła próg oszklonych drzwi balkonowych, zamarła. Na fotelu, tyłem do niej ktoś siedział bez ruchu. Znad zagłówek wystawała tylko gęsta, ciemna czupryna. Cicho cofnęła się do mieszkania, wzięła z kuchennego blatu nóż. Schowała go za sobą i podeszła do intruza.

– Co ci jest? Hej, obudź się. – Szarpnęła za ramię Ziyada. Kurd powoli otworzył oczy, na jego twarzy malował się wysiłek i ból. Odniosła wrażenie, jakby nie wiedział, gdzie się znajduje. Może spał?

– Musisz mi pomóc – powiedział cicho.

Podeszła bliżej, chciała pomóc mu się podnieść.

– Sss... zostaw – oponował.

– Co z tobą?

– Boli w boku.

Milusha podeszła bliżej i z jego prawej strony pod żebrami na koszulce ujrzała zaschniętą brunatną plamę krwi.

– Kto ci to zrobił?

– Nie wiem – odparł tylko i ponownie przymknął oczy.

Wróciła do mieszkania, z apteczki wyjęła nożyczki, spirytus i bandaż.

– Uważaj, poczujesz zimno – ostrzegła. Przecięła materiał, odsunęła go na bok. – Wygląda paskudnie. Co to było?

– Nie mam pewności, nóż, a może też pocisk. Zostałem zaskoczony.

Obmyła ranę spirytusem, przetarła ją gazą, zauważyła, że skóra została przecięta ostrym narzędziem, ale obok był też niewielki, może dwumilimetrowy otwór. Krew już się nie lała.

– Musimy iść do szpitala – oznajmiła Milusha.

Ziyad podniósł rękę w proteście.

– Nie, nic mi nie jest. Na jakiś czas musisz mnie ukryć, może spróbują jeszcze raz.

– Ale co się stało?

– Poszedłem na to spotkanie, wiesz, o co chodzi. Czekałem, w pewnym momencie zostałem zupełnie zaskoczony, ktoś zadał mi cios, zaszedł mnie od tyłu, jak tam spojrzałem, to wyglądało jak nóż z pistoletem, taki mały, zabytkowy, podobny kiedyś widziałem w belgijskim antykwariacie. Przyszedłem do ciebie, długo czekałem.

– Bo... może to zabrzmie dziwnie, ktoś mnie zawinął, gdy wracałam po naszej rozmowie w Hügel. Trzymali mnie w jakiejś piwnicy, dobę, nie wiem dlaczego. Kurwa! Co się dzieje? Może ty wiesz?

– Nie. Jestem zmęczony, daj mi wody. – Głowa Kurda opadła na bok.

Milusha usiadła naprzeciwko przyjaciela z butelką wody w dłoni, czekała, aż się ocknie. Gdy otworzył oczy, pomogła mu się napić.

– Masz, to środki przeciwbólowe, może trochę pomogą. – Podała mu tabletkę.

– Wiesz, wyczułem od niego ciekawy zapach, jakby mięty pieprzowej – dodał niepytany. – I wydawało mi się, że to ktoś z naszych, ale może to są tylko zwidy – dopowiedział.

Otworzyła wnękę, a następnie ukrytą klapę w podłodze, wepchnęła do środka materac, wrzuciła koc i poduszki, zeszła na dół i uporządkowała je. Później pomogła Ziyadowi zejść na dół.

– Wentylacja będzie pracowała przez cały czas, ustawię temperaturę tak, aby było dobrze. Obok masz wejście do toalety, tam jest też kran. Przyniosę ci jeszcze radio, żebyś się nie nudził. Gdybyś chciał wyjść, daj sygnał na komórkę, tam jest zasięg i Wi-Fi.

Po chwili zniosła mu jeszcze dwie butelki z wodą, tabletki, kanapki z serem i pomidorami.

Zamknęła wejście do schronu, drzwi do komórki na narzędzia ogrodnicze zamaskowała. Postawiła przy nich złożone drewniane krzesło

z IKEA. Wytarła mopem ślady krwi z tarasu, pobrudzoną koszulkę Ziyada wyniosła do kubła na śmieci na sąsiedniej posesji.

Wróciła do mieszkania i ze skrytki pod szafką ze sztucami wyjęła schowaną w woreczku strunowym tabletkę mefedronu. „Nie czas na spanie”. Rozłupała ją na drobinki i z garści wsypała do ust. Popiła biały proszek wodą. Przymknęła oczy, nienaturalnie wygięła głowę do tyłu, potem na bok i położyła się na swoim łóżku. Patrzyła w sufit.

„To nie przypadek, i ja, i on” – pomyślała. Sięgnęła po telefon komórkowy, uruchomiła aplikację z podglądem na mikrokamery, które miała zainstalowane w mieszkaniu i na tarasie. Zauważyła, że aplikacja przekazała jej sygnały alarmowe, których jednak nie mogła odebrać, uwięziona w piwnicy. Zaczęła przeglądać zarejestrowany obraz.

O godzinie 00.15 ktoś otworzył drzwi jej mieszkania. Była pewna, że jej własnymi kluczami. Intruz miał na głowie kominiarkę, ale zaraz po wejściu do środka zsunął ją z twarzy. Pewnie chciał się uchronić przez kamerą, która wisiała przy wejściu do budynku, i tą ukrytą w oku domofonu.

Wyjął z kieszeni komórkę i dokładnie obfotografował mieszkanie. Mężczyzna powoli, metodycznie sprawdzał jej rzeczy osobiste, przeglądał książki, zaglądał do półek, szaf, oglądał buty, odkręcał kosmetyki. Odkładając je na miejsce, porównywał ze zdjęciem i sprawdzał, czy rzeczy, których dotykał, leżą w takiej pozycji, w jakiej je zastał. Widać było, że ma wprawę w przeprowadzaniu niejawnej rewizji.

– Służby. Tylko czyje? – zapytała sama siebie.

Nieznajomy nic nie znalazł, niczego z sobą nie zabrał, nie skupił się szczególnie na jakiegokolwiek rzeczy. Nie odkrył też podziemnej kryjówki w szafie, chociaż ją samą otworzył. Z nagrania wynikało, że spędził w mieszkaniu dokładnie czterdzieści siedem minut. Popęłnił błąd, bo nie zapamiętał, jak był zamknięty zamek w drzwiach wejściowych. Milusha na szybszym podglądzie ponownie przejrzała film i zatrzymała go na klatce, na której najwyraźniej widoczna była twarz intruza. Zrobiła zdjęcie.

Następny alert otrzymała o godzinie 11.15. Widziała, jak Ziyad, pociągając nogami, z widocznym trudem wszedł do bloku zaraz za listonoszem Deutsche Post DHL. Skierował się do piwnicy, przeszedł wzdłuż komórek i pralni, wyszedł na wewnętrzne podwórko budynku i wszedł na taras jej mieszkania. Długo stał oparty o szybę i pukał do drzwi. Potem usiadł na fotelu i zamarł. Chyba zasnął.

Milusha opłukała pod kranem twarz zimną wodą. „Tylko ona może mi pomóc” – pomyślała.

Zjadła banana. Przebrała się w dżinsy, włożyła koszulkę punkowej kapeli Sex Pistols i skórzaną kurteczkę do pasa – ramoneskę.

ROZDZIAŁ 15

lato 2022 r.

Düsseldorf

Położyła telefon obok odtwarzacza CD i włączyła płytę Sex Pistols. Urządzenie ustawiła tak, aby muzyka była zapętlona. Sięgnęła na szafkę i wzięła do ręki kask motocyklowy, na dłonie założyła czarne rękawice, zatrzasnęła drzwi mieszkania. Wyszła na ulicę, rozejrzała się, podeszła do zaparkowanego przy ścianie budynku swojego czarnego triumpfa bonneville T120.

Odpaliła motocykl i gwałtownie ruszyła, błyskawicznie rozwinęła sporą prędkość, wtedy spojrzała w lusterko, aby sprawdzić, kto za nią ruszył. Zauważyła, że z pobliskiego miejsca parkingowego wychylił się volkswagen passat. Skręciła w lewo, następnie w prawo, a potem wjechała na chodnik i ominęła odcinek ulicy zamknięty przez robotników. Staruszka z chirurgiczną maską na twarzy, obok której śmignęła, wyciągnęła w jej kierunku rękę z wystawionym środkowym palcem. „Sorki” – pomyślała tylko i wiedziała, że w tym momencie urwała się ewentualnej obserwacji.

Ruszyła w kierunku Renu, po trzech minutach zjechała z ulicy przy parku, a później asfaltową ścieżką w dół do portu, w którym zacumowanych było kilka wysłużonych barek. Część z nich pełniło rolę podrzędnych restauracji, niektóre były zamieszkane. Zaparkowała motocykl. Z kaskiem na głowie weszła po trapie na barkę z napisem „Nautica”. Stała przed solidnymi metalowymi drzwiami, jakie zwykle są na statkach. Kopnęła je butem.

Szczęk odsuwanych w środku sztab usłyszała dopiero po jakichś dwóch minutach.

– Co tak agresywnie, kochanie, bez zapowiedzi? – Przed drzwiami stała niska, długowłosa brunetka, ubrana tylko w szlafrok.

– Nie mogłam inaczej. – Milusha zbliżyła się i pocałowała ją w policzek.

– Wchodź. Drinka czy wino, a może odpalimy coś eko?

– Dawaj.

Mieszkanie było nietypowe. W wielkim pomieszczeniu, które w przeszłości przeznaczone było dla pasażerów, gdy statek pełnił funkcję promu, wszystkie okrągłe okna zostały zaspawane i zasłonięte metalowymi płytami. Dopływ świeżego powietrza zapewniała wyprowadzona na zewnątrz od strony rzeki rura wentylacyjna, przy której zainstalowany był klimatyzator. To on utrzymywał w pomieszczeniu odpowiednią temperaturę i wilgotność. Za szklaną ścianą znajdowała się bowiem serwerownia. Urządzenia umieszczone były na metalowym stelażu, a poszczególne elementy połączono żółtymi kablami. W pozostałej części znajdowały się zaś: aneks kuchenny, łazienka i salon z pokojem. Pomieszczenia wyłożone były specjalnymi matami antystatycznymi. W części mieszkalnej na podłodze leżały ciężkie perskie dywany. W kilku miejscach stały też gaśnice proszkowe, a z sufitu wisały zraszacze przeciwpożarowe.

Ina otworzyła niewielką klapkę ukrytą w bocznej ścianie. Sięgnęła ręką do środka i wyciągnęła woreczek z marihuaną. Podała Milushy pocięte kartki papieru. Ta usiadła na kanapie i z pewną pieczołowitością zaczęła robić skręta.

– Co się dzieje? No widzę po tobie, że coś jest nie tak.

– Ktoś chyba chce mnie w coś wkręcić. Miałam wejście do mieszkania, w zasadzie tajne przeszukanie, no wiesz, rewizję...

– Co? U ciebie?

– No właśnie. Tak, nie wiem, czego szukał, ale mam go na zdjęciu.

Milusha sięgnęła po zapaliki i przypaliła papierosa. Mocno się zaciągnęła, przymknęła oczy i podała go Inie.

– Czy możesz go namierzyć? Chcę wiedzieć, co to za skurwysyn.

– Przecież wiesz, że dla ciebie zrobię wszystko. – Ina pogładziła ją po nodze.

– Być może będę potrzebowała jeszcze twojej pomocy. Może zrobiłybyśmy wypad na moją wyspę, do domku na plaży?

– Nie ma problemu, ciągle pracuję zdalnie. Szefowie chyba już się nie boją pandemii, ale doszli do wniosku, że mogą zaoszczędzić na energii, wodzie i sraczu, takie tam... wiesz, jak to w korpo. Będzie romantycznie?

– Nie sądzę... Chyba nie tym razem. Ale w golfa możemy zagrać, jak zawsze.

Ina i Milusha poznały się na studiach w Danii i od tego czasu wspólnie podejmowały decyzje, dokąd jechać, aby być blisko siebie. Niemka pracowała w korporacji, która zajmowała się zieloną energią, zarządzała projektem budowy niewielkiej farmy wiatrowej na Morzu Bałtyckim, w pobliżu wyspy Rugia. Jednocześnie była specjalistką od cyberbezpieczeństwa, firma wykorzystywała jej umiejętności do wykradania dokumentów i danych od konkurencji, chociaż na licznych fakturach, które jej wystawiała, widniał tylko opis wskazujący na to, że zajmowała się „sprawdzaniem podatności sieci”.

Milusha zdusiła skręta w puszcze po coca-coli, zrzuciła z siebie ramoneskę, buty i spodnie. Poszła do łazienki i przemyła twarz, położyła się na łóżku i przykryła kocem z IKEA. Ina w chwilę potem wsunęła się obok niej, przytuliły się.

– Kiedy idziesz do lekarza?

– Ciągle o tym myślę. Nie teraz...

– Wiesz, ta klinika w Tajlandii, o której ci mówiłam, wysłałam ci linka.

– Może...

Następnego dnia w południe Weber podjechała motocyklem do Little Tokyo, w którym zjadła klasyczny ramen, a drugi bez mięsa zabrała ze sobą

w pudełku. Po drodze zahaczyła też o Copenhagen Café przy Ulmenstrasse i kupiła gorące pieczywo. Motocykl wprowadziła na podwórko kamienicy oddalonej od jej mieszkania o dwieście metrów, nie chciała, aby ktoś wiedział, że jest u siebie. Przeszła przez podwórka budynków sobie tylko znanymi przejściami. Weszła do mieszkania, rozebrała się i w chwilę później zeszła do schronu, w którym przebywał Ziyad.

– Jak się czujesz? – Spojrzała na niego.

– Lepiej. Już tak nie boli – odparł, ale ciągle na jego twarzy malował się ból. Kurd, na co dzień niski i szczupły, jakby jeszcze bardziej się skurczył w sobie i wychudł. Obok łóżka Milusha dostrzegła plamę krwi.

– Cholera, jednak chyba poproszę o pomoc lekarza – syknęła.

– Nie, ja sobie tylko wyjąłem ten kawałek żelastwa. – Wskazał głową na krzesło. Na talerzyku po kanapkach leżał pocisk. Milusha podniosła go do oczu.

– Jakieś siedem milimetrów, nietypowa broń.

– Tak, on cię doprowadzi do sprawcy – zauważył.

Milusha schowała pocisk do kieszeni.

– Przyniosłam ci jedzenie. Ramen z jajkiem. – Postawiła opakowanie z rosółem i pieczywo na stoliku obok łóżka. – Nakarmić cię?

– Co ja, dziecko jestem? – Ziyad kwaśno się uśmiechnął.

– Mam propozycję. Jak ci trochę przejdzie, wywiozę cię do mojego domku na wyspie – powiedziała. – Co ty na to?

– Może, ale teraz nie czas na to, jestem zbyt słaby. Zaniesiesz to pod ten adres. – Dał jej kawałek kartki, na którym było coś zapisane w języku kurdyjskim. – Niech się rodzina nie martwi – dodał. – Dobrze?

– Tak... Jak myślisz, kto to zrobił?

– Doskonale wiesz, że mam wielu przeciwników, a naszym jedynym przyjacielem są góry. U nas jest takie przysłowie: oczekuj najgorszego od swojego wroga, wówczas nie będziesz rozczarowany.

– Tyle że nie każdy twój wróg wiedział, gdzie będziesz tego dnia...

– Myślisz, że to była zdrada?

Milusha pogładziła ręką brodę. Usiadła w fotelu i zaczęła kreślić na kartce zarysy twarzy mężczyzny. Po chwili milczenia podała ją Kurdowi.

– Znasz go? Był u mnie, gdy siedziałam w takiej jednej śmierdzącej norze...

– Nie, nigdy go nie widziałem. Zresztą on nie wygląda jak nasz człowiek, jak ktoś ode mnie. Nie, no rysy ma europejskie – stwierdził, przyjrawszy się dokładniej.

– Lepiej się już czujesz?

– Ta zupa była mi potrzebna. Musisz mi zmienić opatrunek.

– Tak... już.

Z szuflady biurka w schronie wyjęła aparat telefoniczny, włączyła go, chwilę przeszukiwała strony. Zobaczyła, że rezydent wywołał z nią spotkanie, już następnego dnia. Schowała urządzenie i w milczeniu zmieniła przyjacielowi opatrunek.

– Trzymaj się, jutro wpadnę – rzuciła jakby sama do siebie i wyszła.

Po kilkunastu minutach pędziła swoim triumphem na południe miasta. Zatrzymała się przy dworcu głównym. Nie zdejmując kasku, weszła do lokalu z kebabem, który akurat świecił pustkami. Podała kartkę zaskoczonemu sprzedawcy, wąsaczowi.

– Nie martw się, on musi się ukryć na jakiś czas. Wróci – dodała zdawkowo od siebie i się obróciła.

„Ależ on jest do kogoś podobny, ale do kogo?” – zastanowiła się i natychmiast wyszła.

ROZDZIAŁ 16

lato 2022 r.

Düsseldorf/Solingen

Obudziło ją dudnienie za ścianą. Pracownik wspólnoty wystawiał przed drzwiami wejściowe kubły na śmieci. Robił to w taki sposób, aby wszyscy wiedzieli, że jest potrzebny, a jego praca jest ważna. Wzięła szybką kąpiel, zaparzyła sobie kawę i zrobiła pastę kanapkową z awokado i jajkiem. Łyknęła lek z grupy hormonów sterydowych, który lekarz przepisał jej kilka miesięcy wcześniej.

Zeszła do Ziyada, podała mu śniadanie, wodę i słabą rozpuszczalną kawę z cukrem. Zmieniła też opatrunek, a stary wyrzuciła do kosza. Zaniepokoiło ją, że na ranie pojawiła się ciemna cuchnąca ropa. Dlatego ostrożnie oczyściła ją gazą i zdezynfekowanym w spirytusie patyczkiem do uszu. Mężczyzna nie wyglądał zbyt dobrze, dostał gorączki. W drodze powrotnej miała kupić więcej opatrunków, środków przeciwbólowych i przeciwgorączkowych.

– Muszę teraz wyjść. – Uścisnęła jego miękką i wyjątkowo gorącą dłoń. – Jak wrócę, postaram się jakoś ci pomóc.

Milusha ubrała się jak zwykła turystka, która ma zamiar zwiedzać zabytki. Miała na sobie zielone spodnie do kolan i koszulę w kwiaty, na głowie zaś słomkowy kapelusz typu Fedora. Założyła też okulary przeciwsłoneczne z kryształkami ombre firmy Kemer. Zabrała ze sobą szary plecaczek.

Na dworcu kolejowym włożyła maseczkę ochronną i wsiadła do wagonu pociągu jadącego do Solingen. Nie musiała się martwić o bilet, bo na

początku miesiąca wykupiła przejazdówkę ważną na większości linii kolejowych, tramwajowych, metra – o wartości dziewięciu euro. W ten sposób państwo chciało namówić ludzi, aby oszczędzali, bo ceny benzyny z powodu wojny na Ukrainie były już wyśrubowane i dochodziły do dwóch euro za litr. Drugim celem było kształtowanie w społeczeństwie ekologicznych nawyków, czyli korzystania z transportu zbiorowego.

Solingen zawsze ją przytłaczało. Słynęło z produkowanych tam od setek lat znanych na całym świecie noży i bardziej przypominało miasto przemysłowe niż typowe sielskie, które licznie rozsiadły się wzdłuż Renu. Ciągnęła się za nim czarna legenda miejsca, w którym w 1993 roku neofaszyści podpalili dom dla azylantów, w płomieniach zginęło pięć dziewczynek i kobiet pochodzących z Turcji. Miasto to jednak otaczały wzgórza i gęste lasy, niegdyś dobre do organizacji polowań.

Mając ciągle na twarzy maseczkę chirurgiczną, weszła do autobusu podmiejskiego i ruszyła w kierunku Schloss Burg. Droga zajęła jej kilkanaście minut. Uwielbiała to miejsce, bo jakby w jednej chwili przeniosła się co najmniej w siedemnasty wiek. Na wielu domach ozdobionych kwiatami widniały tablice z piaskowca, informujące, że wzniesiono je właśnie czterysta lat temu. Znajdował się też na nich krótki opis historii tego miejsca. Ściany budynków wyłożone były zaś charakterystycznym dla tego regionu płaskim, lśniącym w słońcu szarością kamieniem i bardziej przypominały łuskę gadów niż zwykłą elewację.

Wysiadła przy rzece Wupper, przeszła przez nieduży, przystrojony czerwonymi pelargoniami most i skierowała się na parking, przy którym znajdowała się niewielka kolejka górską. Wielokrotnie sprawdzała się w czasie podróży do tego miejsca. Nie zauważyła, aby ktoś towarzyszył jej w pociągu, a potem na dworcu autobusowym i w samochodzie. Wykupiła bilet na kolejkę, przepuściła przed sobą rodzinę Ukraińców i jak wielu turystów wsiadła na krzeselko, które po chwili gwałtownie ruszyło i pomknęło w górę kilka metrów nad rzeką, a potem nad wzgórzem, ku zamkowi, który z tego miejsca nie był jeszcze widoczny, zakrywały go bowiem gęste korony drzew.

Spojrzała za siebie. Na pozostałych pomalowanych na zielono krzeselkach nie było nikogo. Jeżeli nawet ktoś ją obserwował, nie miał szans, aby szybko dostać się na górę, bo musiałby pokonać kilka kilometrów krętej drogi. Zgrabnie zeskoczyła z krzeselka na górnej stacji. Wyszła na placyk, z którego z jednej strony widać było okazałą bryłę zamku, patrząc zaś w dół, widziało się morze drzew.

Usiadła na prostej, drewnianej ławeczce przy food trucku.

– Wurst w bułce z musztardą i cola! – krzyknęła do młodego sprzedawcy.

Patrzyła na średniowieczne zamczysko, które pamiętało historię księstwa Bergu, mieszkających tam krzyżowców, ale też twórców potęgi miasta Düsseldorf. Stanowiło ono również tło dla miejsca zbrodni, intryg politycznych, podobnie jak rozpusty i zabaw, gdy pełniło rolę zamku myśliwskiego. Upadek tej rezydencji następował po wojnie trzydziestoletniej, aż do połowy XIX wieku, gdy popadła w zupełną ruinę. Pod koniec tamtego wieku właściciele zdecydowali się jednak odbudować schloss według szesnastowiecznych planów. Prace trwały do 1914 roku. Po dojściu do władzy nazistów miejsce to stało się narodowym centrum ludowych pieśni niemieckich, organizowano tam koncerty i kultywowano kulturę germańską. Stałymi gośćmi stali się notable w brązowych mundurach SA i czarnych SS.

Skończyła kanapkę, ruszyła ku zamkowi. Kupiła bilet od młodego blondyna w kasie, weszła na nasłoneczniony dziedziniec. Przy jednym z historycznych budynków ustawione były rusztowania, bowiem przeprowadzano renowację zabytku. Minęła pomnik grafa Adolfa von Berga, opartego o włócznię, a także stojące nieopodal drewniane dyby, przy których turyści robili sobie zdjęcia. Podeszła do wieży zamkowej i wspięła się po drewnianych schodach do murów, tamtędy weszła do środka. Objął ją przyjemny chłód średniowiecznego zamku, weszła na kręcone, wąskie kamienne schody i ruszyła do góry. Wyszła z nich na sali, w której stało kilka eksponatów przypominających rycerską historię tego miejsca, podeszła do drewnianej planszy i dotknęła czerwonego przycisku. W tym momencie na ścianie pojawił się multimedialny obraz

przedstawiający historię budowli obronnej, a ciepły, lekko modulowany głos lektora objaśniał dzieje tego miejsca. Usiadła na środku sali na ławce. W pomieszczeniu nikogo nie było. Zastygła, wsłuchując się w dźwięk wypełniający przestrzeń.

Na chwilę jakby odpłynęła, pomyślała o Ziyadzie.

Wzdrygnęła się, gdy uchyliły się boczne drzwi. Do zamkowego pomieszczenia wszedł około pięćdziesięcioletni mężczyzna i usiadł obok, ale tyłem do niej.

– Witaj. Jak się czujesz? – zapytał Kamil Zawadzki.

– W porządku – odpowiedziała tylko.

Zawadzki był rezydentem polskiego wywiadu w ambasadzie w Berlinie, ale głównie obsługiwał zachodnie Niemcy oraz południową Belgię i Holandię, dlatego często urzędował w konsulacie w Kolonii. Do służby wstąpił na początku lat 90. na fali przekonania o oczyszczeniu wywiadu z komunistycznych złogów. Miał za sobą pracę w podziemnej drukarni i NZS. Szybko jednak doszedł do wniosku, że właśnie ci funkcjonariusze z komunistycznym rodowodem mają najlepsze doświadczenie i wiedzę, i są lojalni wobec kraju, który diametralnie się zmieniał. Budowały się nowe sojusze, wywiad musiał nadal działać i dostarczać najbardziej wartościowych informacji w nowym otoczeniu geopolitycznym. Nie patrząc na to, że w zasadzie dominowali w nim byli „żołnierze” PRL-owskich służb, ukończył kurs w szkole wywiadu w Starych Kiejkutach, a potem służył w Hiszpanii, USA i Francji. Teraz pracował w Niemczech i krajach Beneluxu.

Oficer miał na sobie dżinsowe spodnie i jasną koszulę w paski, którą kupił w Uniqlo, a na nogach eleganckie brązowe buty. Na jego twarzy widać było zmęczenie, jakby ostatniej nocy nie przespał.

– Czy u ciebie wszystko w porządku? – zapytał jeszcze raz.

– Tak, a co? No wyduś z siebie, o co ci chodzi i po co mnie tutaj ściągnąłeś.

– Musimy poważnie porozmawiać.

- Czyli? Co znaczy poważnie?
- Chciałbym cię zabrać w miejsce, gdzie przeprowadzimy test...
- Jaki test? Na prawdomówność? Już go przechodziłam...
- Tak, jeszcze raz.
- Po co?
- Założmy, że to jeszcze jeden sprawdzian. Sprawdzian z zaufania.
- Nie wierzysz mi?
- To nie jest takie proste. Musimy mieć pewność.
- Dobra. – Milusha podniosła się, zniecierpliwiona.
- Na dole, na parkingu przy wyciągu stoi czarny bus, wsiądź do niego.
- Okej...

Zawadzki wstał i wyszedł na średniowieczną klatkę schodową. Milusha chwilę poczekała, schodkami weszła do góry, a potem innym równoległym zejściem na dół. Zamek opuściła bocznym wyjściem. Przeszła obok restauracji i niewielkiego kościoła, chwilę pokręciła się po cmentarzu, sprawdzając, czy ktoś ją obserwuje. Wyszła za bramę wjazdową do zamku, zeszła chodnikiem kilkadziesiąt metrów w dół i za zakrętem, naprzeciwko sklepu z pamiątkami, skręciła w lewo w las. Weszła na wąską ścieżkę, wiele lat temu pokrytą cienkim asfaltem, która prowadziła w dół zamkowego wzgórza. Przed setkami lat to tamtędy po płaskich kamieniach do zamku wjeżdżali rycerze na koniach.

Czarny ford transit z przyciemnianymi szybami stał w drugim rzędzie parkingu. Otworzyła drzwi i weszła do środka, okna od wewnątrz zasłonięte były specjalną folią, znalazła się jakby w puszce, jedynie przez przednie i boczne szyby obok kierowcy i pasażera widziała, co się działo na drodze.

Zawadzki siedział obok kierowcy, którego nie znała. Gdy bus ruszył, co jakiś czas tylko zerkał w przednie lusterko, jakby chciał się upewnić, czy ciągle siedzi z tyłu.

Jechali w kierunku Düsseldorfu. Gdy już minęli granicę miasta, zauważyła, że przez kilkadziesiąt minut krążyli po nim, dwa razy

przekroczyli Ren. Aż w pewnym momencie – Milusha nie wiedziała, w której części miasta – zatrzymali się. Rezydent podał jej kominiarkę z zaszytymi otworami na oczy.

– Wybacz, ale to w sumie byłoby lepiej dla nas wszystkich. Załóż to na głowę – poprosił łagodnie. Milusha niespiesznie zdjęła kapelusz oraz okulary i schowała je do plecaka, a potem włożyła czarną kominiarkę.

Oficer otworzył boczne drzwi i pomógł jej wysiąść z auta, a potem poprowadził ją gdzieś w dół. Zdjęła kominiarkę w pomieszczeniu, które wyglądało jak stara hala maszynowa w opuszczonej fabryce. Okna były zakratowane, ale też od zewnątrz zasłonięte drewnianymi okiennicami. Pomieszczenie było surowe, na środku zauważyła stolik z aparaturą i rozrzuconymi kabelkami oraz dwa krzesła.

– Usiądź, proszę, i rozluźnij się – powiedział Zawadzki i wyszedł.

Przez boczne drzwi wszedł do pomieszczenia około trzydziestoletni mężczyzna, w T-shircie Bayeru 04 Leverkusen, luźnych spodniach dresowych i adidasach. Wyglądał tak, jakby na chwilę zerwał się z treningu piłki nożnej.

– Spokojnie, proszę się nie denerwować. – Podszedł do Milushy i zaczął manipulować przy kabelkach podłączonych do wariografu. Przypiął je do jej ciała.

– Będę zadawał różne pytania, urządzenie zarejestruje twoją reakcję. Rozluźnij się, nie zastanawiaj się długo nad odpowiedzią – instruuwał. – Pierwsze pytania będą neutralne – dodał. – Zaczynamy? – zapytał, a gdy kiwnęła głową, rzucił: – Czy masz na nazwisko Weber?

– Tak.

– Czy przechodziłaś COVID?

– Nie.

– Czy mieszkasz w Düsseldorfie?

– Tak.

– Czy w tym roku odbędą się mistrzostwa świata w piłce nożnej?

– Tak.

– Czy znasz Ziyada Mosę?

– Tak.

– Czy przekazałaś mu informację o planowanym spotkaniu?

– Tak.

– Czy on przekazywał ci jakieś materiały?

– Nie.

– Czy Ziyad mógł zdradzić?

– Nie.

– Czy miałaś kontakt z innym wywiadem niż polski?

– Nie.

– Czy Robert Lewandowski przechodzi do Barcelony?

– Tak.

– Czy Rosja napadła na Ukrainę?

– Tak.

– Czy jesteś Rosjanką?

– Nie.

– Czy Ziyad opowiadał ci o polskiej broni?

– Nie.

– Czy masz rodzeństwo?

– Nie.

– Dobrze, na tym zakończymy. Wyniki pozna rezydent, trafią też do centrali. Jesteś wolna. – Psycholog podał jej butelkę wody.

Milusha wstała, w tym momencie do środka wszedł Zawadzki, tak jakby całą sesję oglądał z ukrycia. Milusha podeszła do wyjścia, oparła się o ścianę i schyliła, aby zawiązać sznurowadło. Wyprostowała się i naciągnęła czapkę na twarz.

Zawadzki wziął ją pod ramię i prowadził schodami do góry.

„Pięć stopni do góry, platforma, w lewo, dwanaście stopni do góry. Drzwi. Świeże powietrze” – zapamiętała, gdy Zawadzki wprowadzał ją do

busa, który zaraz ostro ruszył.

Dopiero po kilku minutach pozwolił jej zdjąć nakrycie głowy. Zostawili ją przy kolejowym dworcu głównym.

– Poczekaj chwilę. – Zawadzki wyszedł za nią, zostawiając w aucie zaskoczonego kierowcę. Podeszli na przystanek tramwajowy, na którym dwóch bezdomnych spierało się o miejsce na ławce, obydwaj wyglądali, jakby uciekli z cyrku, tyle że ich ubranie było brudne, wypłowiałe na słońcu i porwane.

Stanęli obok nich.

– No co jeszcze? – Milusha nie miała ochoty na dalszą rozmowę.

– Spokojnie, słuchaj. – Zawadzki ścisnął jej rękę. – Wiesz, o co w tym wszystkim chodzi?

– Nie mam zielonego pojęcia.

– To ci powiem. Ziyad nie dotarł na spotkanie. Wiesz coś o tym? Spotkanie miało być podobno bardzo ważne, bo przyjechał ktoś z Warszawy, aby z nim porozmawiać. Wiesz coś o tym? – ponowił pytanie.

– Nie – odparła, ale jej twarz stężała. Była przekonana, że Kurd jej nie okłamał.

– To dlaczego on nie dotarł pod ten pieprzony pomnik Jana Wilhelma przy Marktplatz? – Spojrzał na nią wymownie, i już miał się odwrócić, gdy tym razem Milusha złapała go gwałtownie za ramię.

– Gdzie? Co ty, kurwa, mówisz? Przecież miał być w zupełnie innym miejscu!

– Jak to? Przecież przekazałem ci kod miejsca spotkania przy ratuszu.

– Nie, gdzie indziej. – Milusha schowała twarz w dłoniach. – Zaraz, ale jak to było możliwe, pomyłka? Kamil, wysłałeś do mnie jeden kod, potem go odwołałeś i wyznaczyłeś zupełnie inne miejsce. Kurwa, co się dzieje? Ty mi teraz powiedz.

– Nie wiem, muszę to sprawdzić. Nie wysyłałem drugiego kodu, nie odwoływałem pierwszego. O co chodzi? Ktoś z nami pogrywa? – Wyjął z kieszeni camela i go zapalił. – Okej, już wiem, na czym stoję, muszę to

zgłosić do wewnętrznego. – Mocno zaciągnął się papierosem, rzucił go na chodnik, przydeptał i się odwrócił. – To na łączach. – Powoli odszedł.

W tym momencie do niedopałka podbiegł jeden z bezdomnych, usiadł po turecku na chodniku, powoli wziął złamanego papierosa w dwa palce i demonstracyjnie włożył go do ust.

Milusha Weber nie widziała, jak czarny bus ruszył, bo z maską chirurgiczną na twarzy siedziała już w tramwaju. Ściemniało się.

ROZDZIAŁ 17

lato 2022 r.

Düsseldorf

Ziyad gorączkował, miał czterdzieści stopni Celsjusza. Milusha odniosła wrażenie, że mówi od rzeczy, słowa kurdyjskie myliły mu się z niemieckim, wtrącał też zdania po polsku. Położyła mu na rozpalonej głowie ręcznik zmoczony w zimnej wodzie. Podała tylko wodę, bo nic nie chciał jeść. Drżał.

– To koniec, już cię nie słucham, załatwię lekarza albo skombinuję antybiotyki – oświadczyła, ale nie usłyszała odpowiedzi. Na jego twarzy pojawił się tylko lekki grymas, a ona poczuła się winna pogorszenia się jego stanu zdrowia. Mogła reagować szybciej. Ziyad miał oczy lekko przymknięte, skierowane w jeden punkt na suficie, jakby skoncentrowany był na pęknięciu tynku w schronie. – Słuchaj, wychodzę na godzinę, potem skołużę lek – powiedziała, otuliła go mocniej kocem i wyszła z pomieszczenia.

Ziyad nie zareagował, gdy drzwi piwnicy się zatrzasnęły. Nie słyszał w ogóle tego, co do niego mówiła. Pograżony był w głębokim śnie, w którym przeniósł się w góry Kurdystanu, siedział przy ognisku na skalistym wzgórzu i rozmawiał ze swoimi synami, wiatr owiewał jego twarz, a on tłumaczył im, co to jest wolność i dlaczego jest ważna. Przed jego oczami zaczęły pojawiać się przebliski z fragmentami chwil radości, spotkań, zabaw, przepływały twarze bliskich...

W tym czasie Milusha zostawiła motocykl w cieniu drzewa, światło nadrzecznej latarni na bulwarze przy Renie nie obejmowało tego miejsca.

Wiatr się wzmagał. Weszła na Nautikę. Ina, która otworzyła jej drzwi, ubrana była w lekki, sportowy strój. Niedawno wróciła na barcę z joggingu.

– Fatalnie wyglądasz. – Pocałowała Miluszę w policzek.

– A, nie ma co mówić. Kilka rzeczy się spierdoliło. Źle się czuję po tych lekach, wiesz, hormony... Wpadłam na chwilę...

– Proszę. – Ina podała jej dzin z tonikiem. Drugi naląa sobie.

– Dzięki, masz coś dla mnie?

– Poczekaj, tylko odpalę sprzęt. Chodź do mnie. – Ina włączyła laptop. Usiadła na kanapie i położyła go na kolanach. Chwilę wpisywała jakieś hasła, otwierała kolejne pliki. Przez ekran przelatywały ciągi kodu binarnego.

– Jest, spójrz...

Milusha zbliżyła twarz do ekranu.

– Ładnie pachniesz. – Ina wyczuła delikatny zapach mięty zmieszanej z pomarańczą i pocałowała Miluszę w szyję. Ta jednak nie zareagowała, lekko mrużąc oczy, patrzyła na film, który zmontowany został ze stopklatek i krótkich ujęć zarejestrowanych przez kamery monitoringu miejskiego z tak zwanego ringu. Ustawione były one w miejscach, w których jest największy ruch pieszych, między innymi przy przystankach kolejowych i autobusowych, w pasażach handlowych, obok najczęściej odwiedzanych zabytków i na bulwarach w centrum Düsseldorfu. System identyfikował twarze przechodniów i porównywał je z bazą poszukiwanych przez policję kryminalną. Ina dodatkowo dopięła go do bazy zarejestrowanych w Systemie Identyfikacji Schengen (SIS) i Systemie Informacyjnym Interpolu I-24/7. Milusha nie pytała, w jaki sposób włamała się do centrum monitoringu. To nie było teraz najważniejsze.

– Widzisz, miał samochód. Wsiadł do niego kilkaset metrów od ciebie, przy Frankenplatz, obok knajpki azjatyckiej... Przejechał przez miasto, wyjechał w kierunku Kolonii. Potem mi się urwał. A teraz patrz, skąd wychodzi...

Kamery zarejestrowały, jak mężczyzna opuszcza nowoczesny budynek przy MediaPark w Kolonii.

– O kurwa. – Milusha zakryła dłonią twarz. – To przecież polski konsulat...

– Tak, zobacz, mijają się z kimś w drzwiach. – Ina manipulowała delikatnie palcem na panelu sterującym laptopa.

– Ja pierdolę, ja go znam...

– Kogo?

– No tego, co się z nim mijają i wchodzi do konsulatu. – Milusha chwyciła gwałtownie dłoń Iny i ją ścisnęła. Nieznajomy przeszedł bowiem obok Kamila Zawadzkiego. Ten spojrział na niego. – Daj mi zbliżenie twarzy tego co wchodzi, no z tym kaszkietem na głowie – poprosiła.

Ina powiększyła obraz i zatrzymała ujęcie. Milusha miała pewność, że spotkanie było zupełnie przypadkowe, nie znali się, Zawadzki w żaden sposób nie zareagował na obecność nieznajomego. Milusha zobaczyła zimną obojętność w jego oczach.

– To wszystko?

– Kochana, nie doceniasz mnie. Ten passat, którym jeździł, został wypożyczony w niewielkiej firmie „Auto für jetzt”, a ich baza klientów jest bardzo słabo zabezpieczona, naprawdę bardzo... Zatem ten twój gość to niejaki Michał Czarnecki, który mieszka w Warszawie... Jego adres, numer dowodu osobistego i prawa jazdy zaraz ci wyślę na skrzynkę. No i ten Czarnecki notowany był przez Interpol do spraw związanych z handlem bronią.

– Dzięki, Ina. Muszę już uciekać, bardzo mi pomogłaś uporządkować kilka spraw.

Milusha była spięta i jednocześnie skupiona. Jednak wbrew temu, co powiedziała, po rozmowie z Iną więcej miała pytań niż odpowiedzi. Schodząc z barki po trapie, przyspieszyła kroku, wskoczyła na siodelko i odpaliła swojego triumpha.

Kask zostawiła na szafce przy wejściu, nerwowo zsunęła z dłoni rękawice, a potem kurtkę i rzuciła je na podłogę. Wskoczyła w butach na łóżko i spojrzała w sufit. Kilka razy przekroczyła prędkość, przejechała też na czerwonym świetle, adrenalina ciągle pulsowała w jej głowie. Wzięła lek, a następnie pokruszoną tabletkę mefedronu. Źrenice się jej rozszerzyły, poczuła się, jakby dostała kopa, jej umysł wyostrzył się na zewnętrzne bodźce. Poczuła się rozluźniona, na granicy euforii, nie czuła już zmęczenia i monotonnego łomotania w głowie.

„Po co jakiś Czarnecki z Polski wszedł mi na chatę? Czego szukał? Handlarz bronią, co ja mam do niego, żeby się mną zainteresował? Pomyłka? A może... a może kluczem jest Ziyad? No właśnie Ziyad!” Dopiero wtedy uświadomiła sobie, że miała dla niego kupić antybiotyki.

– Ja pierdołę. – Milusha poderwała się z łóżka, otworzyła drzwi do komórki na narzędzia i zbiegła po schodach do schronu. Zaskoczyła ją niemal absolutna cisza. Wyczułone na każdy szmer zmysły wyłapały tylko cichy szum klimatyzatora.

Spojrzała na Ziyada. Leżał nieruchomo, w kącikach ust miał zaschniętą czarną maź, jego klatka piersiowa ani drgnęła. Początkowo bała się go dotknąć. Przyłożyła lusterko do jego nosa, ale nie pojawiła się na nim para. Dopiero wtedy przełamała się i delikatnie dotknęła jego ręki, jeszcze była ciepła.

Usiadła w fotelu, naprzeciwko i zamarła.

– Dlaczego mi to zrobiłeś? Jakby za mało było kłopotów – powiedziała z nutą pretensji. – Dlaczego? Ziyad!?

Papierowym ręcznikiem wytarła mu usta. Podeszła do biurka i wyjęła z niego napoczętą butelkę bourbona, odkręciła zakrętkę i wlała w siebie alkohol. Przełknęła go i w tym samym momencie poderwała się i wbiegła do łazienki. Zwymiotowała do brodzika. Obmyła twarz zimną wodą. Spojrzała w lustro nad umywalką, zobaczyła w nim odbicie zmęczonej twarzy z podkrążonymi oczami. Z całej siły walnęła w lustro pięścią. Nie rozpadło się, ale pękło, wyglądało teraz jak nić pajęczyny. W kawałkach

szkła zobaczyła kilka ujęć swojej twarzy, mniej lub bardziej zniekształconych.

Wróciła do pomieszczenia, w którym leżał martwy Kurd. Spojrzała na jego dłoń i zauważyła w nim kawałek kartki. Delikatnie wyjęła ją i przeczytała. To był adres punktu odbioru paczek, dalej podane było hasło. Milusha maksymalnie obniżyła temperaturę w pomieszczeniu i wyszła.

Otworzyła szafkę i grubą kredką pomalowała na czarno obwódki wokół oczu. A potem na fioletowo powieki. Z małego opakowania wyjęła soczewki kontaktowe, nałożyła je na rogówki. Popatrzyła w rozbite lustro, ujrzała tęczę w kolorze głębokiego brązu wpadającego w czerń. Włożyła koszulkę z wizerunkiem Tilla Lindemanna z założonym na usta drucianym kagańcem.

Po kilkunastu minutach kluczenia motocyklem po mieście powoli zbliżyła się do punktu handlowego, w którym przez całą dobę można było odebrać przesyłkę. Nie zdejmowała kasku. Wzdrygnęła się tylko, gdy w pobliżu pojawił się pies, cicho zawarczał i dokądś pobiegł. Weszła do środka. Chłopak obsługujący to miejsce nie zadawał zbędnych pytań, podał jej niewielki pakunek owinięty czarną folią.

Po wyjściu rozcięła nożem opakowanie. W środku była jedynie szara koperta. Rozerwała ją. To były tylko zdjęcia przedstawiające jakąś broń i skrzynkę z karabinem na pociski dużego kalibru. Zbliżenia wskazywały na napisy w języku polskim. Na jednej z fotografii skrzynia leżała u stóp jakichś bojowników, zdjęcie zostało wykonane w górach.

Tekturowe opakowanie zostawiła w koszu na śmieci. Kopertę schowała pod skórzaną kurtkę, ruszyła do domu.

Gdy wróciła do siebie, powoli zeszła do schronu. Miała cichą nadzieję, że wszystko się odwróci, Kurd coś do niej powie albo chociaż zacznie oddychać. Ale nie, nic takiego się nie stało. Nie mogła liczyć na cud, tylko na samą siebie.

Zrzuciła całe ubranie, weszła pod prysznic, odkręciła lodowatą wodę. Po chwili leżała już w łóżku, zakopała się w pościeli, aby się ogrzać, ale i tak dreszcze kilka razy przecięły jej ciało nerwowym pulsem. Leżała

w ciemności, a myśli galopowały, próbowała je uporządkować. Musiała wiedzieć, co dalej!

„Nie, nie mogę się teraz poddać”.

Tego oczekiwałby od niej Ziyad. Była tego pewna.

ROZDZIAŁ 18

lato 2022 r.

Warszawa

Czarny wybrał numer na swoim telefonie.

– Podobno były problemy? – usłyszał.

– Nie sądzę, u tej małej nic nie znalazłem. Chyba nie ma o niczym pojęcia. Z Kurdem było tak, że w miejscu spotkania pojawił się ktoś trzeci, chyba go postrzelił, a potem on się zapadł pod ziemię – odpowiedział tajemniczo do swojego rozmówcy.

– Co to znaczy „zapadł się”?

– Zniknął, nie byłem w stanie za nim iść, bo kluczył, a ja byłem w samochodzie.

– To los nam sprzyja. Kto jeszcze wiedział o spotkaniu?

– Ja od was, ona, Kurd, gość? Nie mam pojęcia.

– Wiesz, kto strzelał? Bo wszystko chyba widziałeś?

– Tak, widziałem, ale nie znam go, z daleka wyglądał jak taki aktor Moadi. Pan to pewnie wie, o kogo chodzi. Zatem nie miałem okazji, aby wyciągnąć od tego Kurda nic, co by nas interesowało. Jaka jest jego wiedza na temat naszego transportu. Cóż, może faktycznie los nam sprzyja? No i byłem w konsulacie, zostawiłem kopertę dla tego gościa, co pan prosił...

– Doskonale. Niech wie, że jest pod kontrolą, że jesteśmy bardzo blisko. Nawet w jego miejscu pracy...

– Nie rozumiem pana sposobu myślenia... – odparł Czarny.

– Nie musisz. Myślę, że koledzy z Miłobędzkiej starają się teraz rozkminić, co się stało. A nie mówiłem, nie ma co się martwić... Powodzenia!

Czarny zakończył połączenie, ale był przekonany, że jego wyjazd do Niemiec nie miał w istocie polegać na tym, aby przycisnąć dziewczynę i Kurda, jak mu nakazał zleceniodawca. Podskórnie czuł, że miał być świadkiem ataku na Kurda.

ROZDZIAŁ 19

lato 2022 r.

Düsseldorf

– Zatem wchodzimy na inny level? – odezwała się Ina, gdy Milusha opowiedziała jej ze szczegółami, co zdarzyło się w ostatnich godzinach.

– Tak. Masz tu komórkę Ziyada, zrób z niej jakiś użytek, niech to będzie taki film, jakby nakręcił go Antonioni czy jakiś Tarantino lub inny Włoch. – Położyła aparat na stoliku.

Zrzuciła koszulkę i spodnie, następnie wskoczyła do łóżka. Po wielu godzinach napięcia tym razem usnęła. Śniło jej się, że rozmawia z Ziyadem, nagle ktoś im przerywa i strzela do nich. Obudziła się zrana potem. Na policzkach miała zacieki po rozmazanym tuszu do rzęs.

W tym momencie nad rzeką zaczęła się kanonada. Ktoś odpalał fajerwerki. Kolorowe pociski leciały nad Ren, rozpadały się na dziesiątki mniejszych ogni i z sykiem spadały do wody. Obraz na ciemnym niebie symetrycznie odbijał się w lekko pofalowanej tafli rzeki złamanej przez ciemny kontur sunącej cicho barki.

– Znowu jesteś wśród żywych. – Ina spojrzała na nią z uśmiechem. – Mam już to. Wyciągnęłam też adresy mailowe do jego znajomych. Patrz. – Odpaliła na laptopie krótki film.

Ziyad wyglądał tak, jakby siedział przy stole w trakcie jakiegoś posiłku i zapraszał na spotkanie za dwa dni na plac obok ruin zamku cesarza Barbarossy w Kaiserswerth nad Renem.

– To jest ten deepfake?

– W rzeczy samej, zgrabny filmik. Prawda?

– Wyślij to na ten adres. – Na kartce napisała e-maile, do centrali Agencji Wywiadu w Warszawie, do konsulatu Polski w Kolonii. – Dodaj też jego najbliższych znajomych, rodzinę. Niech wiedzą. Ciekawe, kto da się na to nabrać, kogo nam wskaże Ziyad po swojej śmierci.

ROZDZIAŁ 20

lato 2022 r.

Düsseldorf

Milusha stała na najwyższej platformie widokowej w ruinach zamku. Do oka przystawiła aparat fotograficzny z dużym zoomem, włączyła tryb nagrywania filmu i lustrowała otoczenie. Wyglądała jak turystka z któregoś z azjatyckich krajów, kruczoczarne krótkie włosy wystawały spod haftowanego kapelusza rybaka z wyszytym z boku kwiatem. Włożyła też prostą sukienkę z motywem rozrzuconych liści i sandały. Miała także różowy plecak z motywem anime i napisem w języku japońskim.

Wcześniej Ina założyła w dwóch punktach na drzewach w pobliżu miejsca fikcyjnego spotkania mikrokamery, wypuściła też dwa mikrodrony wielkości owadów, które również miały wbudowane systemy rejestrujące obraz. Sterowała tymi urządzeniami za pomocą laptopa z samochodu Milushy ustawionego kilka przecznic dalej, na parkingu przy sklepie REWE.

Ford transit, którego ukradły dzień wcześniej z Kolonii, został zaparkowany obok pomnika ofiar wojny światowej, niedaleko kościoła Świętego Switberta, apostoła Fryzów. Święty ten prowadził działalność misyjną w południowej Westfalii, na podarowanej mu przez Pepina z Heristalu wyspie na Renie założył klasztor benedyktyński.

Wciągnięcie do samochodu ciała Ziyada zajęło im kilkadziesiąt minut, mimo że ważył niewiele ponad 60 kilogramów. Jednak ciało pod wpływem niskiej temperatury stężało, stało się mało elastyczne. Największy problem miały z wniesieniem go do góry po wąskich schodach schronu. Potem

poszło im już sprawnie. Zwłoki ułożyły w pozycji pólężącej na lekko odchylnym do tyłu siedzeniu pasażera i spięły pasem bezpieczeństwa. Auto zostało dokładnie wyczyszczone detergentami, aby nie można było w nim znaleźć jakiegokolwiek śladu wskazującego na ich obecność. Wcześniej Ina zakłóciła obraz w okolicznych kamerach, aby przez przypadek nie zarejestrowały ich poczynań.

Ina położyła na fotelu kierowcy czarną folię i kierowała samochodem w gumowych rękawiczkach. Forda zostawiła na parkingu na godzinę przed planowaną akcją.

Od Renu wiał mocny wiatr, wyginający konary drzew. Stojąc na platformie widokowej, Milusha słyszała tylko szum liści. Zagłuszał on wszelkie dźwięki miasta, akurat w tym miejscu i o tej porze wyjątkowo sennego. Obok ruin zamku pojawiły się dwie matki z małymi dziećmi. Chłopcy, może pięcioletni, rozbiegli się po schodach prowadzących na mury. Kobiety przysiadły na kamieniach i obserwowały ich czujnie, a jednocześnie o czymś rozmawiały. Milusha, wykorzystując urządzenie optyczne, starała się odgadnąć, o czym mówią. Po kilku chwilach przyglądania się ruchom ich warg i towarzyszącym im gestom, doszła jednak do wniosku, że rozmowa dotyczy przygotowywania jakiejś potrawy.

Przeniosła aparat na okolice kościoła. Wśród drzew pojawiły się dwie młode osoby ubrane jak zakonnice. Rozmawiały o czymś, dyskretnie trzymały się cienia drzewa, niedaleko samochodu. Milusha rejestrowała cały obraz, w pewnym momencie zobaczyła coś, co wzbudziło jej zainteresowanie i skupiło jej uwagę, ale nie wiedziała, co takiego się zdarzyło, bo równie szybko to coś zniknęło. Wreszcie jedna z zakonnice weszła do kościoła, a druga do pobliskiej toalety, na którą przerobiony był stary budynek gospodarczy przylegający do świątyni.

Skierowała oko aparatu na forda i dopiero wtedy zauważyła, że stoi przed nim jakiś mężczyzna w średnim wieku, może po czterdziestce, wysoki. Obszedł auto z każdej strony, zrobił komórką zdjęcie tablicy rejestracyjnej, a następnie przez boczne okno zajrzał do środka. Po chwili skierował się do drzwi pasażera, nachylił się tak, że dłonią oparł się

o maskę. W tym momencie odskoczył od samochodu jak poparzony i szybkim krokiem odszedł. Pewnie zauważył postać siedzącą z lekko pochyloną na bok głową. Zatrzymał się, jakby był zdezorientowany, poszukał wzrokiem ławki i usiadł na niej. Z oddali obserwował samochód i jednocześnie coś manipulował przy telefonie. Milusha odniosła wrażenie, że wysłał SMS-a.

Jakieś trzy minuty po godzinie dwunastej w południe przy fordzie zatrzymał się radiowóz. Para policjantów ostrożnie obejrzała samochód z każdej strony, mężczyzna delikatnie otworzył drzwi, przy których znajdował się martwy Ziyad Mosa. Coś do niego mówił, potem zdjął czarną rękawiczkę i sprawdził mu puls na szyi. W chwilę potem przez radiodbiornik nadał komunikat. Funkcjonariusze odeszli na bok i wyjęli z bagażnika biało-czerwoną taśmę policyjną. W ciągu dziesięciu minut na miejsce przyjechały kolejne trzy radiowozy. Policjanci nie wchodzili do środka forda ani go nie otwierali; czekali na ekipę techników. Milusha zauważyła, że z chwilą pojawienia się radiowozu mężczyzna siedzący na ławce ulotnił się. „Mam nadzieję, że Ina będzie go pilotować” – pomyślała.

Spojrzała przez długi obiektyw aparatu na gromadzący się w pobliżu tłum i zrobiła serię zdjęć. W tym momencie zauważyła, że jest tam ktoś znajomy. Zawadzki stał w oddali, z zainteresowaniem obserwował scenę, która rozgrywała się wokół samochodu. Na głowie miał niebieski lniany kaszkiet i ciemne okulary. Rozejrzał się i wycofał w cień drzewa. Jeszcze trochę przypatrywał się pracy policjantów, potem odszedł.

Na wieży była przez kilka godzin, jakby nie chciała opuścić przyjaciela, i co jakiś czas rejestrowała obraz swoim aparatem. W tym czasie policjanci wyjęli zwłoki Kurda na zewnątrz. Otoczyli miejsce specjalnym namiotem i rozebrali ciało. Medyk sądowy ubrany szczelnie w biały kombinezon dokonał oględzin.

Zeszła z murów zamku dopiero wtedy, gdy na miejsce przyjechał samochód do przewozu zwłok. Zakładała, że niebawem przyjedzie też laweta, która odholuje forda.

Gdy wróciła na barcę, Ina akurat przyrządzała pastę z pesto, po kuchni roznosił się wyrazisty zapach bazylii i różnych egzotycznych przypraw. Radio Westdeutscher Rundfunk o godzinie 18.00 podawało lokalne informacje.

W Kaiserswerth policja znalazła skradziony samochód, w którym znajdowały się zwłoki mieszkańca Düsseldorfu. Policja nie wyklucza kryminalnego tła śmierci, ale nie podaje więcej szczegółów. Apeluje też do świadków o przekazywanie informacji na ten temat. Z ustaleń naszego reportera wynika, że zmarły był Kurdem, zaangażowanym w działalność organizacji wspierającej walkę tego narodu na Bliskim Wschodzie.

Ina otworzyła białe reńskie wino i napełniła kieliszki, potem na stole postawiła parujący makaron z pesto, z pokrojonymi na małe kawałki pomidorami. Milusha milczała. Była przybita. Ina spojrzała na nią i wzniosła toast:

– Za tego biednego człowieka, który zagrał swoją ostatnią rolę.

Milusha się obruszyła.

– On nie był biednym człowiekiem. Był człowiekiem wartościowym, nie zasłużył na to, co go spotkało, nie zasłużył na taką śmierć, nie zasłużył też na to, co z nim zrobiliśmy. – Głos jej się załamał, a z oczu popłynęły łzy. Odsunęła krzesło, odeszła od stołu, otworzyła drzwi i zeszła z barki.

Po kilku minutach jednak wróciła, położyła się na łóżku i cała zakopała w pościeli. Ina wiedziała, że musi przeczekać stan, w którym się znajduje. Spokojnie zjadła potrawę, a porcję Milushy zebrała do plastikowego pojemnika i odstawiła na bok. Na stoliku została tylko niedopita butelka wina.

Ina usiadła na kanapie i zaczęła przeglądać obraz zarejestrowany nad Renem. Starła się wyluskać najwartościowsze fragmenty, które pozwoliłyby odpowiedzieć na pytanie, kto mógł stać za śmiercią Ziyada.

Weber obudziła się po kilku godzinach. Wypiła kieliszek wina, przemyła twarz zimną wodą i usiadła na kanapie obok Iny, która ubrana była tylko w długi T-shirt i majtki.

– Spójrz. – Obróciła laptop w stronę Milushy. Obraz przedstawiał mężczyznę, który kręcił się koło forda. – Gdy przyjechała policja, odszedł w kierunku przystanku tramwajowego, wcześniej jednak zaszedł do piekarni, tej z plakatem, co wspiera Ukrainę. Odniosłam wrażenie, że nic tam nie zostawił, kupił strudel, zaraz potem go zjadł. Wydrukowałam jego zdjęcie. Rozmawiał z kimś przez telefon.

– Da się odtworzyć z kim i o czym?

– To już wyższa szkoła jazdy.

– Ina, nie dobijaj mnie. Wiem, co potrafisz i jakie masz kontakty!

Ta spojrzała na Miluszę i pocałowała ją w policzek.

– No przecież wiesz...

– Oblędnie znowu pachniesz.

– Ej, tu lepiej patrz. Moja osa zrobiła zdjęcie komórki, gdy siedział na ławce przed kościołem i wysyłał SMS-a. Spójrz... Nie będę ci odtwarzała całego filmu, jak klepał w klawisze, o tu masz tekst, który wysłał...

„Ten Kurd nie żyje. Nie widzę nic podejrzanego. Musimy porozmawiać, bo to wszystko jest bez sensu. Jutro wracam”.

– Nie ma, niestety, numeru, tylko nazwisko adresata albo jego ksywka „Cyda” – wtrąciła Ina. – Ale chyba widzisz, że pisał po polsku.

– To ciekawe. Polak?

– A teraz spójrz tutaj. – Ina wyciągnęła na pulpit zdjęcie samochodu, zaparkowanego jakieś pięćdziesiąt metrów od forda. W błękitnej toyocie auris siedziało dwóch mężczyzn z ciemnym zarostem. Rozmawiali, gwałtownie gestykułując.

– To chyba Kurdowie. Tak... – Milusha powiększyła twarz jednego z nich. Obraz był niewyraźny, bo fotografię wykonano przez szybę, w której odbił się blik słońca. – Tego widziałam w kebabie, to chyba ktoś z rodziny Ziyada.

– Pokaż mi wszystkie zdjęcia o tego tu. – Wskazała palcem na Zawadzkiego. Uważnie je obejrzała. Miała wrażenie, że nie zna osobiście mężczyzny, który kręcił się przy fordzie, ale był zaskoczony jego obecnością w tym miejscu, tak jakby wiedział, kim jest.

Milusha wzięła aparat i odnalazła na nim plik z zakonnicami. Obejrzała film w zwolnionym tempie. Na jednym z ujęć zarejestrowała spory powiew wiatru, który gwałtownie szarpnął czarny kornet zakonnicy. Potem wiatr podwiał jej habit tak, że odsłonił sandały, a także fragment łydki. Już wiedziała, na co zwróciła uwagę. Co wydało jej się niepasujące do otoczenia.

Na nodze zakonnicy znajdował się tatuaż przedstawiający runę Othala.

Milusha sięgnęła po kartkę, nienaturalnie się skuliła i szarym ołówkiem naszkicowała na niej twarz nieznajomego, głowę zakonnicy i fragment jej nogi z tatuażem, a z boku profil Kurda z toyoty.

ROZDZIAŁ 21

lato 2022 r.

Düsseldorf

Zakonnica zamiatała podłogę przy ołtarzu, zgodnie z dewizą Świętego Benedykta *ora et labora* („módl się i pracuj”). Powoli przesuwiała ławy i krzesła i starała się z każdego kąta wymieść pozostałości letniego brudu, przyniesionego przez rzesze turystów, bo przecież nie wiernych, skoro tych na nabożeństwach było bardzo mało. Spojrzała na krzyż z Jezusem w agonii i się przeżegnała. Siostra Maura była zamyślona, jakby w pełni zatopiona w sobie i oddana Bogu. Była przekonana o dobrym wyborze drogi życiowej, która pozwoli jej osiągnąć zbawienie po wielu latach grzechu. Miała też nadzieję, że pozwoli również zmyć grzech śmiertelny, którego była świadomym kreatorem.

Z zadumy wyrwało ją ciche zawołanie z zakrystii:

– Siostro!

Odwróciła się, odstawiła miotłę i skierowała kroki w to miejsce. Weszła do pomieszczenia. Przy lawaterzu, w którym księża obmywają dłonie przed mszą, stała siostra Rafaela.

– Boże, co ja zrobiłam... – jęknęła i upadła. Z nadgarstka ciekła jej strużka krwi, która teraz obficie kapiała na kamienną posadzkę.

– Czy wezwać karetkę? – Milusha, która dotychczas w ciszy siedziała w bocznej nawie i ni to obserwowała zakonnice, ni to się modliła za duszę zmarłego Ziyada, weszła do zakrystii. Przyszła do kościoła, bo szukała odpowiedzi na pytanie, kto mógł zabić. Czy mogła za tym stać zakonnica, która oznaczona była nazistowskimi symbolami?

– Nie, ale może podać apteczkę, leży o... w tamtej szafie. – Siostra Maura wskazała na stary gdański mebel. Gdy ją dostała i sprawnie otworzyła, wyjęła płyn do dezynfekcji, polała nim rękę zakonnicy, aż ta syknęła z bólu, następnie zaczęła bandażować ranę. Jej zachowanie wskazywało, że miała obycie z medycyną. W jej ruchach nie było ani jednego zbędnego gestu, twarz przypominała powłokę woskowej maski, była skupiona na tym, aby jak najszybciej pomóc siostrze Rafaeli.

– Co ci wpadło do głowy?

– Bo ja nie mogę się zgodzić z tym, co wczoraj od ciebie usłyszałam. Nie chcę być sama, nie możesz mnie opuścić, ja stąd nie wyjadę. Ja ciebie... Jesteś dla mnie jak siostra, a może nawet ktoś więcej...

– Cicho, głupia. Porozmawiamy później. W gabinecie zaszyję ci tę ranę. Mam nadzieję, że przeżyjesz. Nie dość masz cierpienia na co dzień? Lara – posłużyła się jej imieniem sprzed wstąpienia do zakonu. – Choroba zżera twoje ciało od środka, za dwa tygodnie masz chemię, nie wolno ci jeszcze bardziej się kaleczyć. Uwierz w Boga, ufaj Bogu – podkreśliła to z naciskiem.

Milusha, która w skupieniu obserwowała całą scenę, zwróciła uwagę na przedramię, które wysunęło się z szerokiego rękawa habitu. To był tatuaż, który został wykonany w miejscu, gdzie znajduje się tętnica promieniowa, wyglądał jak łańcuch, tyle że ogniwa stanowiły swastyki połączone bocznymi ramionami. Tatuaż pocięty był kilkoma głębokimi szramami, śladami po samookaleczeniu.

– Widzę, że łączy nas braterstwo krwi – odezwała się Milusha do siostry Maury. – *Arbeit, Familie, Vaterland.*

Zakonnica odwróciła się z zainteresowaniem i przypomniała sobie, że ktoś za nią stoi. Ze spokojem na pograniczu pogardy odparła:

– To dzisiaj nie jest mój świat, ja z tym zerwałam, wstępując do wspólnoty. Nie przekreślę swojej przeszłości i uczynków ani śladów, które we mnie pozostały, ale to – wskazała na krzyż – jest dzisiaj dla mnie jedyny wyznacznik przyszłości.

Wieczorem Milusha przejrzała strony internetowe NPD sprzed kilku lat, odnalazła też jej stronę na Facebooku. Przyszła siostra Maura przed wstąpieniem do zakonu benedyktynek, co stało się w 2015 roku, nazywała się Lena Bauer i była aktywistką partii. Nie kryła się ze swoimi poglądami. Na wielu zdjęciach została ujęta w trakcie demonstracji przeciwko zalewowi cudzoziemców, organizowanych przy granicy z Polską. Na kilku fotografiach, które sama wrzuciła na profil społecznościowy, wznosiła rękę w hitlerowskim pozdrowieniu. Na drugiej ręce miała wytatuowane runy SS i liczbę 88.

– Czy ona mogła zabić? – Milusha skruszyła tabletkę mefedronu i wysypała ją sobie do ust. Odpłynęła.

Siostra Maura weszła do gabinetu matki Stelli, przełożonej zakonu.

– Przepraszam, że bez zapowiedzi, ale muszę się czymś podzielić.

– Słucham cię, Mauro.

– Siostra mi zaufała, dlatego chciałam poprosić o przeniesienie w inne miejsce, może nawet do klasztoru klauzurowego. Siostra zna moją przeszłość. Oni mnie znaleźli, nie mogę zostać w tym mieście. Może razem z siostrą Rafaelą?

– Skąd wiesz, że ją przenosimy? – Uważnie spojrzała na swoją podwładną. – A zresztą nieważne, rozpatrzę twoją prośbę. Z Panem Bogiem.

ROZDZIAŁ 22

lato 2022 r.

Düsseldorf/ Aachen

Obudziła się z potężnym bólem głowy, czuła pulsowanie i szum w uszach. Napila się soku pomarańczowego, wzięła tabletkę z hormonami i natychmiast zwymiotowała.

Nie, nic nie wiedziała. Nie miała żadnej wskazówki, która pomogłaby jej rozwiązać zagadkę śmierci Ziyada. Ina jeszcze raz na jej prośbę sprawdziła plac, na którym miało dojść do jego spotkania, ale w pobliżu – jakby ktoś doskonale o tym wiedział – nie zainstalowano ani jednej kamery. Nie wiedziała więc, kto strzelał, jak wyglądał, czy był to ten sam człowiek, który włamał się do jej mieszkania.

Jakby bólu głowy nie wystarczało, Zawadzki wywołał z nią spotkanie w Aachen w kawiarni przy ruinach dawnych historycznych term rzymskich w samym centrum miasta.

Tym razem nie miała ochoty wymyślać jakiegoś specjalnego kamuflażu. Włożyła skórzane spodnie, czarny klasyczny T-shirt i kurtkę, wzięła kask i wsiadła na motocykl. Wcześniej zajechała do sklepu, kupiła jogurt i bułkę, zjadła je, siedząc pod drzewem. Trochę jej się poprawiło, szum w uszach jakby przycichł, a może po prostu się do niego przyzwyczaiła. Uderzenie adrenaliny po szybkiej jeździe motocyklem ostatecznie stłumiło wszystko.

Po niecałej godzinie drogi siedziała przy kawiarnianym stoliku obok rzymskiej kolumny w Aachen, pełnym o tej porze dnia turystów, i piła espresso. Zawadzkiego rozpoznała z daleka, na głowie miał tę samą błękitną czapkę, w której przyszedł pod kościół. Chwilę krążył,

sprawdzając się, po pobliskich ulicach i placu. Usiadł ciężko na metalowym krzeselku, zdjął kaszkiet i otarł spocone czoło chustką.

– Witaj. Jak się czujesz? – zagaił.

– Ja dobrze, a ty co masz mi tym razem do powiedzenia? – natarła.

– Nie bądź od razu taka elektryczna. Wiesz, że przychodzę z polecenia centrali i jestem ostatni, aby cię czymkolwiek nękać. Moje zdanie na twój temat się nie zmieniło, uważam cię za dobrego współpracownika, ale zmieniły się warunki...

– Czyli?

– Nasz wewnętrzny zbadał sprawę wywołania spotkania z Kurdem... – Zawadzki przerwał i poprosił młodą ciemnoskórą kelnerkę o zieloną herbatę i ciastko jabłkowe z cynamonem.

– I...

– Nie byli w stanie stwierdzić, czy i kiedy doszło do anulowania pierwotnego miejsca wywołania spotkania ani skąd się pojawiła ta druga lokalizacja. Ale... powiem ci tak, zupełnie na offie, w tym względzie niewiele się spodziewałem. Mamy słabych ludzi w tej komórce, pracują tam głównie spady z innych wydziałów, ludzie przed emeryturą, o której tylko marzą, żeby jak najszybciej się urwać. Tak czy inaczej poszli na łatwiznę i wskazali ciebie jako osobę, która błędnie powiadomiła Ziyada o spotkaniu.

– Zatem jestem podejrzana? – Milusha musnęła palcem brzeg filiżanki, a jej wzrok uciekł gdzieś w bok.

– Ja bym tego tak nie powiedział, chociaż oni tak myślą. – Zawadzki próbował łagodzić napiętą atmosferę.

– No dobra, ale co to dla mnie oznacza?

– Spokojnie, nie denerwuj się. No więc tak... – Nerwowo potarł dłonie. – Zawieszamy na jakiś czas współpracę, nie będziesz dostawała zadań. To oznacza też... że zostaną zawieszony przelewy, ale o ile się orientuję, masz jakieś oszczędności, a zresztą masz teraz też wolną rękę, aby znaleźć sobie

coś tymczasowego. Myślę, że z czasem sytuacja się wyjaśni i wrócimy do tego, co tak doskonale wspólnie robiliśmy – zakończył górnolotnie.

– To twój... wasz wybór? – poprawiła się. – Nie macie jaj, to jakieś pierdolenie. A nie pomyślałeś, że ktoś chciał mnie wyeliminować?

– Być może masz rację, ale ja nie mam na to dowodów, chociaż mam swoje podejrzenia. Być może mamy u siebie kreta. Ale dla moich przełożonych ważne były też wyniki badania na wariografie. Bo z niego wyszło, że wiesz coś więcej o Ziyadzie, niż nam powiedziałaś. Coś cię z nim łączyło, a może on przekazał ci coś jeszcze? No jak to było?

– Nie doszukuj się drugiego dna, jakiejś niestworzonej tajemnicy. Tak, miałam dobry kontakt z Ziyadem, taki zwykły, ludzki. Dobrze mi się z nim rozmawiało, akceptował mnie taką, jaka jestem. Zrozum, to dla mnie ważne. To też oznacza, że oskarżanie mnie, że stałam za jego śmiercią, jest perfidnym kłamstwem – wycedziła i spojrzała mu prosto w oczy. – I wiedz... Ty, a niech wiedzą też o tym twoi przełożeni, że znajdę tego skurwiela, który to zrobił. – Położyła na stoliku banknot o nominale dziesięciu euro. Już miała wstać, gdy Zawadzki chwycił ją za rękę.

– Nie rób scen, poczekaj. Nie skończyłem.

– Czego jeszcze? – warknęła przez zaciśnięte zęby.

– Nie wiem, czy byłeś w miejscu, gdzie znaleziono ciało Ziyada, ale pojawiła się tam dziwna persona. Niejaki Paweł Natan, dziennikarz „niepokorny” z Polski, który specjalizuje się w handlu bronią, ale w rzeczywistości to zwykły, opłacany potajemnie przez władzę cyngiel, który przeszedł szkolenie kontrwywiadowcze. Wiesz, dostaje informacje, jak coś się dzieje wokół opozycji, i je odpala, niby że to efekt jego śledztwa. Niestety takie gry się teraz uskutecznią u nas. Nie wiem, skąd wiedział o tym miejscu, ale wszystko wskazuje na to, że przyjechał specjalnie tylko po to. Nie wiem, niestety, jeszcze, na czyje zlecenie, ale jestem przekonany, że mamy do czynienia z przeciekami. Dlatego uważam, że mamy u siebie kreta.

– No kurwa, pięknie, to u was się takie rzeczy dzieją? Z kim ja współpracuję, a może oni też wiedzą wszystko o mnie? Ja pierdołę,

przeciekacie jak durszlak.

– Tak jak ci powiedziałem, sprawdzam! Robię wszystko, aby także ciebie chronić. Dlatego jak się dowiesz czegokolwiek w sprawie Ziyada, daj znać. Proszę! Zachowam to tylko dla siebie.

– Aha, czyli układ jest zdrowy? Tak? – ironizowała. – Niby oficjalnie nie współpracujemy, niby wywalacie mnie na zbity pysk i odcinacie od kasy, a niby nieoficjalnie dalej współpracujemy?

– Coś takiego. Ale wierz mi, taki układ jest tylko między nami, na krótko, do zakończenia tej sprawy. Zgadzasz się?

Zawadzki spojrzał na kelnerkę, inną niż ta, która przyjmowała zamówienie. Postawiła przed nim filiżankę z parującym wrzątkiem i saszetkę z herbatą oraz ciasto.

– Zapłacę kartą – oznajmił. Przyłożył plastik do przenośnego terminala, zabrał wydruk rachunku i schował go do portfela.

– Co? Musisz się z tego rozliczyć? – Wskazała palcem. Nie kryła ironii.

– Nie nabijaj się, są pewne reguły. I co? Zgadzasz się na taki układ?

– Zastanowię się... – Gwałtownie podniosła się z krzesła i bez pożegnania weszła w wąskie uliczki Aachen. Szła już na podziemny parking, na którym zostawiła motocykl, gdy w pół drogi zatrzymała się, spojrzała na witrynę sklepu z pamiątkami, weszła do środka i ustawiła się tak, aby zobaczyć, co się dzieje na ulicy. Miała ją całą przed sobą. Po pięciu minutach wyszła ze sklepiku i ruszyła w kierunku widocznej z daleka wieży katedry.

Postanowiła na spokojnie przemyśleć to, co usłyszała od rezydenta. Na średniowiecznym placu stała w niewielkiej kolejce osób oczekujących na wejście do kaplicy pałacowej Karola Wielkiego. Pandemia spowodowała, że wprowadzono limit zwiedzających, którzy mogą przebywać jednocześnie w jej pomieszczeniu; ruchem kierował ochroniarz.

Po pięciu minutach zanurzyła się w cieniu i ożywczym chłodzie świątyni, która pamiętała czasy Karolingów. Od X do XVI wieku to tam odbywały się ceremonie koronacyjne trzydziestu władców Świętego

Cesarstwa Rzymskiego. Kaplica zbudowana na planie ośmiokąta uznawana była za formę doskonałą, pomiędzy kołem – symbolizującym nieskończoność – i kwadratem, czyli ograniczoną formą Ziemi. Wielkość kaplicy była równa wymiarom biblijnego, niebiańskiego Jeruzalem.

Milusha usiadła w bocznej ławce pod półkolistymi marmurowymi arkadami i spojrzała na złotą okładzinę ścian oraz kwatery ze scenami cyklu pasyjnego.

W półmroku tysiącletniej historii tego miejsca, w sercu arcydzieła sztuki architektonicznej, szukała odpowiedzi na, wydawałoby się, proste pytania. Kto zdradził i kto zabił?

„Jeżeli Zawadzki nie kłamie, a zdaje mi się, że chyba nie, to w równym stopniu jak Ziyad teraz ja jestem na celowniku. Tylko dlaczego? Co takiego widziałam, czego byłam świadkiem? Ziyad mówił o jakiejś broni, ona jest na tych zdjęciach, które dla mnie zostawił. Może podejrzewał, że ma obok siebie zdrajcę? To raz. Moje porwanie, tak jak i przeszukanie domu, a potem badanie na wariografie, nie było jedynie zbiegiem okoliczności. Było doskonale zaplanowane. Ale skąd wiedzieli, że on mi coś powiedział? Może tylko przypuszczali, podejrzewali? Może nie mają pewności, co mi mówił, i nie chcą robić zamieszania z kolejnym trupem? Moim? To dwa. Kto zmienił miejsce spotkania i wystawił Ziyada na strzał? Tak, Zawadzki ma rację, zdrajca jest w środku organizacji! To trzy. Co łączy te wszystkie punkty? Czarnecki i ten... Natan. Ina musi mi go dać na talerzu!”

Spojrzała jeszcze, z nadzieją na jakąś podpowiedź albo znak, na wrzecionowatą mandorłę otaczającą postać Jezusa. Już chciała wstać z ławki, gdy coś przykuło jej uwagę. Postać w zielonej koszuli już dzisiaj widziała. Tak! Na placu przy kawiarni, a potem na ulicy, gdy na chwilę schowała się w butik z pamiątkami. Mężczyzna miał na sobie białe lniane spodnie. Na głowie czapkę baseballową z logo nowej wersji filmu *Top Gun* i miniaturą odrzutowca. Na szyi zauważyła fragment tatuażu. To była błyskawica.

„Zawadzki posłał kogoś za mną? Nie ufa mi? A może to zupełnie ktoś inny?”

Złamała zasadę bezpiecznego kontaktu, wyjęła komórkę, włączyła ją i wściekła wklepała na czacie gry w kulki pytanie otwartym tekstem: „Posłałeś za mną ogon?”.

Odpowiedź przyszła po kilku sekundach: „Nie. Uważaj na siebie”.

ROZDZIAŁ 23

jesień 2022 r.

Düsseldorf

Ina w wyszukiwarce Grams wbiła adres xyzo112358.nautica, następnie wybrała plik Neoo18 i wstukała tekst. Zamknęła darknet, odstawiła laptop i weszła do kuchni, aby przygotować posiłek – tym razem to miała być włoska carbonara, oparta na produktach kupionych we włoskim sklepie na targowisku przy Carlsplatz.

Już po kilku minutach otoczył ją zmieszany zapach boczku typu pancetta i czosnku. Na tarce starta ser pecorino. W sokowirówce wycisnęła jeszcze sok z miękkich pomidorów costoluto di Parma z regionu Emilia-Romania, dosypała do niego szczyptę soli i zmielonego czarnego pieprzu.

Minęło ponad pół godziny, gdy ponownie podeszła do laptopa i przejrzała otrzymaną korespondencję. Dopiero teraz miała wszystko, o co poprosiła ją ponad miesiąc temu Milusha. A nawet więcej. Polak ukrywający się pod nickiem Neoo18 w ciągu kilku tygodni działania wyjątkowo się sprawdził, zasługiwał na specjalną premię. I mógł na nią liczyć.

Milusha weszła na barkę o godzinie dwudziestej, gdy niebo nad Renem przybrało niecodzienny różowy kolor, wpadający w czerwień i pomarańcz. Nie była w humorze, oczy miała podkrążone, twarz spuchniętą od leków. Rzuciła kurtkę na oparcie krzesła i zdjęła ciężkie czarne buty.

– Zjedzmy – zaproponowała Ina i nie pytając o zdanie milczącej cały czas Milushy, nałożyła na talerze parujący makaron. Obok postawiła wysokie szklanki z czerwonym sokiem, do którego wlała trochę zmrożonej wódki.

Usiadły na wysokich stołkach przy pomalowanym na bordowo blacie wykonanym z drewna.

– Jestem ci bardzo wdzięczna za to, co dla mnie robisz, Ina. Naprawdę, bez ciebie chyba już bym oszalała – odezwała się wreszcie Milusha i sięgnęła po sok.

– To wygląda jak z jakiegoś filmu o Marsie, widziałaś to czerwone niebo? Co to za znak? Apokalipsy? – Ina lekko się uśmiechnęła.

– Pierdoły ci w głowie, chociaż faktycznie wygląda ładnie. Może to znak, że zmieni się pogoda?

– No i kiedy wybierasz się do tej Tajlandii na zabieg? Załatwiasz już coś czy nie?

– Myślę o tym. Coś tam już sprawdzam, ale teraz muszę uporządkować kilka spraw, mam nadzieję, że z twoją pomocą. – Spojrzała mętным wzrokiem na Inę. – Pyszna pasta, lepsza niż ta u Włochów na targowisku.

– Ba, bo tylko dla nas, robiona z miłością i szczyptą nadziei... – Ina się rozmarzyła.

– A tobie co? Goethego się naczytałaś?

– Nie. Daj. – Zgarnęła ze stołu puste talerze, i odstawiła je do zlewu. Dołała do szklanek soku i wódki, dosypała też trochę pieprzu i czerwonej papryki.

– Pyszny. – Milusha wypila jednym haustem. – Od razu inaczej się czuję.

– Bo ja wiem, czego ci potrzeba. – Ina dotknęła jej dłoni. – Wysłałam ci mailem informację o tym polskim dziennikarzu Natanie. Trochę zdjęć, kilka filmów z ich lokalnej telewizji, w której się wypowiadał. Generalnie nieciekawym z niego osobnikiem, dyspozycyjnym wobec ich władzy... Homofob obnoszący się ze swoim katolicyzmem, obrzydliwie bogaty jak na tamte warunki, tyle że jego dochody pochodzą z różnych źródeł. Oficjalnie ma etat w państwowym radio i telewizji, bo ma w nich cykliczne programy, na przykład *Natan na tropie*. Już sam tytuł świadczy o jego rozbuchanym ego. W każdym dostaje miesięcznie po piętnaście tysięcy złotych, na nasze to mniej więcej po trzy tysiące euro. Ale stać go na utrzymanie niemal

dwustumetrowego domu w dzielnicy Wilanów w Warszawie, ma też samochód Porsche. Nie ma kredytów, za wszystko płaci gotówką. Ma broń i potrafi się nią posługiwać, wysłałam ci filmik, na którym sobie strzela, w sumie nieźle mu wychodzi... Jego polskie konto zasilają jeszcze tantiemy z wydanych książek, rocznie to około trzydziestu tysięcy złotych, czyli sześć, siedem tysięcy euro. Dostaje też okazjonalnie pieniądze za konsultacje, analizy, które pisze na zlecenie rządowych instytucji. Rzuciłam na nie okiem, moim zdaniem to jakaś ściema, bo nie mają one żadnej wartości, głównie to przepisane z Internetu teksty, jakości mniej więcej na poziomie Wikipedii. Po prostu dostaje kasę, bo ktoś go lubi. Wpłaty są różne, od dwudziestu do trzydziestu tysięcy złotych, czyli kolejne kilka tysięcy euro.

Ina sięgnęła po szklanekę, upiła trochę soku, spojrzała na monitor laptopa.

– Ma też, i to jest najciekawsze, konto w Banque Cantonale du Valais w Sion w Szwajcarii, a na nim pięć milionów franków szwajcarskich. Wysłałam ci listę osób i kont, z których szły do niego przelewy. Generalnie to osoby fizyczne, które przepuszczały pieniądze przez konta na Kajmanach i Cyprze, polscy biznesmeni. Pełną listę masz w chmurze – dorzuciła i wstała.

Podeszła do kuchennej szafy i z wbudowanej w nią lodówki wyjęła butelkę zmrożonej wódki. Po drodze zabrała kieliszki i postawiła je na stoliku przy laptopie.

– To wymaga szczególnej oprawy i specjalnego trunku. – Ina się uśmiechnęła i włączyła pilotem cichą muzykę, jazzowe standardy Herbiego Hancocka.

Ponownie uruchomiła darknet, ściągnęła plik wideo na pulpit i go uruchomiła.

– Obejrzymy sobie teraz film, który nagrał mój znajomy z zaświatów, Neo018. Wiesz, ten Paweł Natan prowadzi działalność gospodarczą, a oni w tej Polsce mają tak, że podstawowe informacje na ten temat są jawne. Zatem mieliśmy jego adres domowy, numer telefonu, no i kolega włamał

się do jego aparatu i wyciągnął nazwę Wi-Fi, z którym najczęściej się łączy. Najczęściej... czyli w domu.

Ina była podekscytowana, a Milusha w skupieniu jej słuchała, nie chciała, aby cokolwiek zaburzyło jej opowieść.

– Zatem podjechał pod ten adres, włamał się do Wi-Fi, a następnie... opiszę to tak, abyś zrozumiała... uruchomił kamerki i głośnik w jego laptopie, telefonie oraz w telewizorze. Nie były specjalnie zabezpieczone, ot, jego imię i pierwsza litera nazwiska. No i Neo018 miał cholerne szczęście, bo już po kilku dniach nagrał moment, gdy tamten wrócił do domu z gościem. Rozmowa jest po polsku, powinnaś zrozumieć.

Ina kliknęła na monitorze trójkątny znak „play”, następnie naląła wódki do kieliszków.

Na monitorze otworzyły się trzy okienka. Każde z nich pokazywało inny fragment mieszkania, jedno biały sufit – to był obraz z telefonu, salon – z telewizora i krzesło biurka – z laptopa. Ina ustawiła maksymalną głośność. Głos połączył wszystkie obrazy w taki sposób, że pozwolił wyobrazić sobie, kto z kim rozmawia.

Nagranie rozpoczęło się w momencie, gdy starszy, elegancko ubrany mężczyzna wszedł do salonu i usiadł w skórzanym fotelu. Następnie sprawdził połączenia w telefonie, schował aparat do kieszeni marynarki.

– Czego sobie życzysz, Antoni? – Przytłumiony nieco głos dochodził z boku ekranu. Mężczyzna spojrział w tym kierunku.

– Tak, może być ta piętnastoletnia szkocka. – Głośnik wyłapał teraz brzęk szkła.

– Proszę. – Dłoń trzymała rżniętą kryształową szklankę z bursztynowym płynem, obok pojawiła się zielona butelka wody sodowej San Pellegrino i szklanka z zatkniętą na krawędzi kawałkiem cytryny.

– To była strata czasu, tak jak napisałem, on nie żył. Nie wiem, po co tam jechałem, przez to mam teraz zaległości w robocie... – Paweł Natan usiadł w fotelu oddalonym o jakieś dwa metry od swojego rozmówcy, kamera z monitora telewizora pokazywała tylko połowę jego ciała.

– Nie podobała ci się wycieczka do Niemiec, przeze mnie sponsorowana? No nie żartuj! Naprawdę to był dla ciebie tak wielki wysiłek? – Mężczyzna umoczył usta w whisky i nalał sobie do szklanki wodę mineralną. Nie krył wzburzenia. Nerwowo spojrzął na zegarek i pomasował nadgarstek.

– Może źle się wyraziłem, ale nie do końca widzę sens tej eskapady i więcej nie chciałbym brać udziału w takich przedsięwzięciach. – Natan pochylił się do rozmówcy, jego twarz była czerwona.

– Aha, czyli nie chcesz już ode mnie pieniędzy i dobrych nowin, którymi cię karmię od kilku lat? Tak? Powiedz to, kurwa, teraz...

– No niee...

– Czy ty wiesz, że nie masz żadnej możliwości ruchu beze mnie, bo w każdej chwili mogę cię utopić?! Nie zdajesz sobie z tego sprawy, kurwa... ty... przekupny chłystku. Tobie się wydaje, że ot tak, kiedy bądź możesz się z tego wypisać i ot tak bez konsekwencji sobie odejść?! Nie, kurwa! Na to ja mogę się zgodzić albo nie. Teraz jest to nie-moż-li-we – powoli przesyłabizował ostatnie słowo. – I nie chcę więcej słyszeć od ciebie tego stękania. Bo skończysz jak ten Bąk, co jednego dnia wyleciał z telewizji i radia, a potem ktoś mu jeszcze wyciągnął, że w komputerze ma pedofilię, więc trafił na trzy miesiące za kraty. Coś ci to mówi? Przemawia to do twojej wyobraźni, zasrańcu jeden?!

– Nie, przepraszam. Nie ma tematu.

– Dobrze, że to szybko zrozumiałeś. Przypomnę ci, że mam całą korespondencję i dokumenty o tym, jak wyciągasz od tych pożał się Boże biznesmenów, co zaczynali od handlu kradzionymi samochodami, kasę za to, że nie opublikujesz ich kwitów ze zbioru zastrzeżonego IPN i archiwum WBH. Ile na tym zarobiłeś? No, ile masz na koncie za granicą? Płacisz podatki? – Rozmówca docisnął jeszcze bardziej Natana. – A teraz posłuchaj, o co w tym wszystkim chodziło.

Mężczyzna łyknął wody ze szklanki i na chwilę się zawiesił, jakby zbierał myśli.

– Dostaliśmy informację, że ten gość to znany handlarz bronią z Bliskiego Wschodu. Gdy żył, mogłeś z nim pogadać, niby że robisz

wywiad dla polskiej prasy i wyciągnąć, co o nas wie. I taki był cel twojej wycieczki. Tak?

– No, jasne...

– Srasne, na to się pisałeś, i już. Tyle że on nie żyje i być może jego śmierć rozwiązała nam kilka spraw. Mam nadzieję, że wszystko zabrał ze sobą do nieba czy czegoś innego, dokąd wędrują po śmierci ich dusze.

– A teraz? Co dalej?

– Mam dla ciebie złe wieści. I powinienes mi podziękować, że chcę cię wyciągnąć z gówna.

– Zaraz, ale o co chodzi?

– Po pierwsze policja niemiecka, która wykonywała oględziny na miejscu, ma twój odcisk palca. Po chuj macałeś ten samochód? Po drugie mają zdjęcie z monitoringu, gdzieś z okolicy, jak się tam kręcisz, i już operacyjnie ciebie szukają.

– Ja pierdołę. – Natan odstawił szklanekę. Dłonią nerwowo przecesał włosy i ze świstem wypuścił powietrze. – I co teraz?

– Spokojnie, musisz sobie stworzyć legendę na ten dzień. Zatem jesteś uczciwym, niezależnym polskim dziennikarzem, który był umówiony na spotkanie z Ziyadem Mosą, Kurdem, bo piszesz reportaże o mniejszościach w Niemczech. I tego masz się trzymać. Tu trzymaj – sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyjął pendrive'a – materiały na jego temat, na podstawie których napiszesz artykuł. Ten artykuł napisz jutro, niech się ukazuje jak najszybciej. To będzie dobra podkładka dla ciebie i dla nas, aby cię bronić. A jakby coś złego się działo, uruchomimy twoich kolegów, zrobimy Niemiaszkom piekło, pod pretekstem, że ścigają polskiego dziennikarza, próbują cię zastraszyć, wmieszać w zabójstwo, i że dla nich nie ma znaczenia wolność słowa, i takie tam podobne farmazony. Coś się wymyśli. Zrobimy im też demonstrację pod ambasadą, zmobilizujemy kluby naszych gazet. Nie zostawimy cię, wierz mi. – Mężczyzna wypił do końca whisky i gwałtownie się podniósł. – A teraz bierz się do roboty. Okej?

– Tak, tak. Bardzo dziękuję, a skąd o tym wszystkim wiesz?

– Wiem! I tyle powinno ci wystarczyć. Mamy dobre kontakty. Wszędzie.

– Ostatnie słowo wypowiedział z naciskiem.

Natan odprowadził gościa do drzwi. Głos na monitorze laptopa Iny zaczął się rwać i zanikać, mikrofony nie wylapywały już rozmowy przy drzwiach wejściowych.

Ina wyłączyła komputer i naląła wódki do kieliszków.

– Co o tym myślisz?

– Nie mam jeszcze pewności, o co chodzi, ale powoli zaczyna mi się coś kleić. Z tego filmu wynika, że oni nie zabili Ziyada. Mam jeszcze do ciebie prośbę: wyciągnij mi wszystko na temat granatnika rewolwerowego, który jest produkowany na południu Polski.

– Oki, a może chcesz, abym mu dorzuciła do laptopa jakieś filmiki pedofilskie, a do telefonu spreparowaną korespondencję z Ziyadem? No i skojarzymy odcisk palca z tym dziennikarzyną, usługą gratis dla kryminalnej? – Ina uśmiechnęła się szelmowsko i zmrużyła oko. – Jak najbardziej jest to wykonalne. I jak?

– Dobrze, niech go trochę pomęczą służby. Ta szmata nie jest warta litości. – Milusha wzięła kartkę i ołówek, i zaczęła rysować twarz rozmówcy Natana, zajęło jej to kilka minut.

Ina nie wiedziała, jaką informację ukryła w kompozycji składającej się ze zbioru kresek.

– Kim jest ten człowiek? Możesz mi go dać? – Przesunęła kartkę na bok i spojrzała pytająco na Inę.

ROZDZIAŁ 24

wczesna jesień 2022 r.

Gdynia

Miejska plaża pełna była letników prężących ciała do słońca. Jego promienie prażyły niemiłosiernie pomimo wczesnej jesieni. Na niebie nie było widać ani jednej chmury, ale lekka bryza od Zatoki Gdańskiej dawała poczucie komfortu, szczególnie trzem mężczyznom, którzy siedzieli pod parasolem na tarasie nadmorskiej restauracji Minge. Przed nimi stały talerze po pysznej zupie rybnej, policzkach wołowych i wątróbce. Na blacie znajdowały się też szklanki z whisky z lodem.

– Proponuję wznieść wreszcie toast za nasz sukces. Drugi transport dotarł bezpiecznie do odbiorcy. A Kosiński za kilka dni powinien być w naszej ambasadzie. Podobno ta bojówka przeniosła go już do Teheranu. Silniki casy, która ma go zabrać, już się grzeją.

Pułkownik Filip Roguski uniósł szklankę. Do świętowania przyłączyli się Cydejko i Czarnecki pseudonim Czarny. Każdy z nich miał na sobie przewiewne lniane spodnie, sandały i lekką, jasną koszulę. Robili wrażenie doskonale bawiących się właścicieli luksusowych jachtów, którzy na chwilę wyskoczyli na ląd, aby zjeść dobry obiad. Na ich twarzach odbijał się nastrój wyluzowania, wypoczynku i rozbawienia.

– Doskonałe te policzki, prawda? Zawsze tu wpadam, gdy jestem nad morzem. A jakie śniadania? Palce lizać. – Cydejko również uniósł szklankę.

Wypili. Roguski wstał i na chwilę opuścił towarzystwo.

– Doskonała pogoda, żyć nie umierać. Prawda? Muszę tu częściej przychodzić – stwierdził Czarny, zdjął z nosa lustrzanki i ściszył głos. – Oni

są gotowi kontynuować przedsięwzięcie na zasadach komercyjnych. Stawiają tylko warunek, aby w miarę możliwości towar był pozbawiony znaków, skąd pochodzi. To pomogłoby tak im, jak i nam uniknąć w przyszłości kłopotów.

– Co to ma być? – zapytał Cydejko.

– Tak? O czym myślisz, Antoni?

– No, czego oni chcą, jaki sprzęt?

– Karabiny Tantal, AKMS, UKM-2000P, ale też groty, amunicję do nich, chcą poza tym jeszcze amunicję krążącą. Granatniki. Widzieliby też u siebie wyrzutnie Piorun, ale to chyba nie przejdzie...

– Zatem cokolwiek dzisiaj idzie na Ukrainę i co można wypchnąć bardziej na wschód pod legendą takich transportów. Muszę to sobie poukładać w głowie. – Cydejko szeroko się uśmiechnął, pokazując śnieżnobiałe zęby.

– Zastanawiam się, po co im te rzeczy, skoro oni sami produkują prawie wszystko?

– Może chodzi o to, aby użyć tego sprzętu do jakiejś prowokacji. A może chcą go wykorzystać w swoich pracach badawczo-rozwojowych. Nie wiem...

– Z tego się robi niebezpieczna robota, szefie. To już nie jest zlecenie na rzecz rządu, tylko zwykłe szpiegostwo, bez czyjegokolwiek parasola... To jest niebezpieczne. – Czarny sięgnął po szklankę z alkoholem.

– Boisz się? Ile razy już ryzykowaliśmy? No powiedz? Jakby to wszystko pozbierać do kupy, do końca życia mieszkanie za oknem w kratkę. – Mięśnie twarzy Cydejki nawet nie drgnęły. – A teraz cicho, wraca nasz pan żołnierz. Tak jak planowałeś, chcesz odejść ze służby na początku przyszłego roku? – zagał Cydejko do oficera.

– Tak, niebawem złożę raport do ministra. Formalnie przestanę być w służbie w lutym.

– Chętnie bym cię widział u siebie.

– To nie takie proste...

– A kto mówił, że ma być proste? Stworzę ci jakieś stanowisko w którejś z moich firm zarejestrowanych na Cyprze. Tym bardziej że mogą ci się przydać pieniądze na start na tej emeryturze. Niektórzy już się zdecydowali.

– Oczywiście, Antoni, za rok będą wybory. Może wiele się zmienić. A ja i tak mam już dość obcowania z tymi dyletantami.

– Popatrz na skubaną. – Czarnecki odwrócił głowę i wskazał wzrokiem na sąsiedni stolik. Wylądowała na nim sporych rozmiarów mewa srebrzysta. Żółtym, hakowatym dziobem zaczęła rozszarpywać kawałek mięsa niedojedzony przez gościa restauracji. Rozrywała go i od razu połykała. Nie przeszkadzało jej to, że w pobliżu są ludzie. Nawet gdy na odległość metra do stolika podeszła nastolatka i zaczęła nagrywać telefonem komórkowym tę osobliwą scenę.

– Popatrz, mamusiu, ona się nie boi – piszczała. Ptak odleciał, gdy przy stoliku pojawiła się kelnerka, która zauważyła jakieś zamieszanie na tarasie, spłoszyła mewę i zabrała talerze.

Roguski w tym momencie odsunął krzesło i wstał.

– Panowie, wybaczycie, złożę zamówienie na następną kolejkę. Tak? Mam waszą zgodę?

Czarnecki i Cydejko tylko kiwnęli głowami. Gdy pułkownik odszedł, szef firmy zagadnął:

– Jest tylko jeszcze jeden mały problem.

– Jaki?

– On znajduje się w Düsseldorfie.

– Kurwa. Znowu?

Czarnecki rozpiął różową koszulę i wystawił do słońca owłosiony tors.

– Ludzie Potejki ostro węszą w sprawie śmierci tego Kurda. Słyszałem, że jakiś czas temu miała miejsce pewna sytuacja, zupełnie dla mnie niezrozumiała. Ktoś powiadomił ludzi z centrali, że Kurd chce się spotkać, a w rzeczywistości on już nie żył. Powstało jakieś zamieszanie. Nie wiem, jaki był tego cel. Po kilku tygodniach ustaleń wreszcie mam IP komputera,

z którego został do nich wysłany film ze spreparowanym powiadomieniem o spotkaniu. A moi znajomi ustalili adres, spod którego on wyszedł. Czy jesteś w stanie wybadać, co ten ktoś o nas wie?

– Tak – odparł Czarny po chwili zastanowienia.

– Masz moje zielone światło. Nie chcę, aby nam ktoś komplikował dobrze rozwijający się biznes – dodał Cydejko i wzniosł szklanę z alkoholem. – Mogę na ciebie liczyć? – Spojrzał na Czarneckiego.

Zamilkł, bo zobaczył, że Roguski wraca z baru, lawirując między stolikami z tacą, na której stoją szklanki z kostkami lodu pływającymi w whisky.

– Bierzcie. – Postawił ją na stole. W tym momencie podeszła do nich kelnerka i zabrała puste talerze.

ROZDZIAŁ 25

jesień 2022 r.

Düsseldorf

W pomieszczeniu panował półmrok. Jedyne bulaje podświetlone były ciepłym beżem.

– Wiesz, odnoszę wrażenie, że ona jednak się buja. – Milusha leżała na brzuchu na grubym dywanie w salonie barki. Miała na sobie tylko majtki i cienką koszulkę, pod którą rysowały się niewielkie piersi.

– Tak, gdy obok przepływa jakiś statek, prom czy barka. Ale drgania są bardzo delikatne. Gdy zasypiam sama, miło się robi, pewnie tak czuły się dawno temu dzieci w kołyskach. – Ina sięgnęła do woreczka, z którego wyjęła kostkę z numerem i postawiła go na czarnej plastikowej tabliczce. Miała na sobie obcisłe zielone legginsy i lekką różową koszulkę.

Na podłodze leżała opróżniona już jedna butelka rieslinga, druga – otwarta, stała obok kieliszków. Ina i Milusha grały w rummikuba, strategiczną grę liczbową. Z głośników sączyły się delikatne dźwięki IX symfonii e-moll Antonína Dvořáka *Z Nowego Świata*.

Milusha dołożyła swoje mydelko do ciągu liczb i zaczęła się przeciągać na dywanie jak kot.

– Doskonale się czuję, jakby wracały do mnie siły – powiedziała i sięgnęła po kieliszek. – Ostatnio te tabletki hormonalne mi nie wchodzi.

– A ty kim chcesz być w przyszłości? I jak to się zaczęło? – Ina spojrzała na nią uważnie.

– W sensie?

– No wiesz, twojej tożsamości płciowej, jak to określają naukowcy. Nie musisz mówić, jeżeli uważasz, że to tylko twoja sprawa.

– Moja, a może też twoja, kochana. – Milusha podniosła się, pocałowała Inę w szyję i poszła do kuchni. Z blatu zdjęła talerz z kanapkami i postawiła go na podłodze. – Bierz, musisz mieć dużo siły przed nocą. Wiesz, jak miałam kilka lat, i to opowiadała mi babcia, nie lubiłam się bawić samochodzikami, tylko lalkami. Kilka razy przebrałam się – wspominała – w ciuszki koleżanki, w spódnicę. Rodzice nie ingerowali, pewnie założyli, że to jest taki wiek, że z czasem wszystko się unormuje, wyrosnę z tego, a ja będę zwykłym chłopakiem. Takie banalne, prawda?

– A potem?

– Doszła do tego świadomość mojej inności, tożsamość kulturowa. O ile w szkole jeszcze grałam rolę chłopaka, to potem to zarzuciłam. Na studiach już było inaczej, zresztą wiesz, i wtedy zmieniłam imię.

– A jakie miałas?

– Rodzice od pewnego czasu wołali na mnie Milusho. Nie chcieli na siłę określać mojej tożsamości. Z ich strony to było bardzo odważne, łamali konwenanse. Uznali, że jak dorosnę, sama zrobię, co będę chciała. I za to, za tę tolerancję, jestem im wdzięczna. Korekta biologiczna to tylko dodatek do tego, co już dawno zdarzyło się w mojej głowie. Mam nadzieję, że rozumiesz.

– Tak.

– A kim będę w przyszłości? Sama nie wiem, pewnie skończę z tym, co teraz robię, bo zaczyna to przypominać bagno i staje się coraz bardziej niebezpieczne. A ja chciałabym żyć spokojnie, może z tobą. – Delikatnie dotknęła dłoni Iny. – A ty jaką masz tajemnicę?

– Ja?

– No przecież każdy ma jakiś sekret...

– No cóż, ja jestem złodziejką.

– To, że kradniesz informacje, łamiesz zabezpieczenia, to wiem, ale żeby tak od razu złodziejką? – Milusha się uśmiechnęła. – Wydaje mi się, że to

jest twoja praca.

Milusha zauważyła delikatne drganie w kąciku ust Iny.

– Niekoniecznie, wiesz, ten mój znajomy z Polski wziął sobie działkę ze szwajcarskiego konta Natana. Pozwoliłam mu na to, a nawet jakoś pomogłam... A jak myślisz, skąd mam na to wszystko. – Omiotła wzrokiem wnętrze barki.

– A firma? Dla niej pracujesz, dla niej wykradasz tajemnice.

– Tak, tak. Każdy lubi stawiać zadania, ale nie zawsze daje narzędzia. Sama to sobie zbudowałam. Mam ochotę to wszystko rzucić i wyjechać, gdzieś na jakąś wyspę. – Jej spojrzenie błędziło, jakby szukała jakiegoś stałego punktu zaczepienia.

– Obiecuję ci, ale wcześniej musimy zamknąć to, co nie daje nam spokoju. Prawda? – Milusha sięgnęła po butelkę i dołała wina do kieliszków.

– Teraz twoja kolejka. Zapomniałaś?

– Poczekaj, zmienię płytę. Jutro się wyprowadzam, zostawiam to miejsce, w którym umarł Ziyad, mam na oku nowe, w Essen. Już tam byłam, trochę mniejsze, zapraszam na parapetówkę.

Podeszła do odtwarzacza i do jego szuflady włożyła płytę z koncertem *La Stravaganza* Vivaldiego.

– Kiedy wybierzemy się razem na zakupy?

– Może jutro? Męczy mnie tylko człowiek, z którym spotkał się ten Natan.

– Cydejko? Antoni Cydejko.

– Wiesz, kto to jest?

– Tak, nie było problemu, aby to ustalić. Oficjalnie to szef kilku firm, w tym w spedycyjnych, zajmuje się między innymi dystrybucją jakiegoś latynoskiego likieru. Siedzibę ma na Cyprze i w Tiranie. Ale w rzeczywistości zarabia na sprzedaży pistoletów i karabinów, ma koncesję na obrót bronią i materiałami wybuchowymi. A mnie zainteresowało coś innego. Wiesz, ten dziennikarz napisał tekst

o Ziyadzie. W sumie nie było w tym nic ciekawego. Może poza tym, że dowodził bojówką, która kupowała broń dla walczących Kurdów. Nie wiem, czy to prawda. Ty powinnaś wiedzieć więcej...

– To możliwe, chociaż nie mam tej pewności. Nie mam teraz jak tego sprawdzić. Nie wiem, co robił z zarobionymi pieniędzmi. Był kurdyjskim patriotą, to wiedziałam od pierwszego spotkania.

– Jak wiesz, mam wgląd w pulpit laptopa Natana. I zastanowiła mnie jedna rzecz. Otóż w artykule napisał, że Ziyad został zabity z nietypowej broni. Ale w materiałach, które dostał od tego starucha, była nawet kopia niemieckiego dokumentu z sekcji zwłok. On umarł na sepsę...

– O Boże, czyli przeze mnie. Trzeba było go ratować, a nie słuchać go i się z nim pieścić. – Milusha odwróciła się na plecy, zakryła twarz dłońmi.

– Daj spokój. Nie obarczaj winą siebie, tylko tego, który do niego strzelał... – Ina chwyciła ją za ramię. – Ale słuchaj dalej. Natan to nawet napisał, ale potem wysłał tekst do Cydejki, i on mu wykreślił z tego artykułu tylko ten fragment. Jakby chciał coś ukryć.

– Ta nietypowa broń, to co to było?

– Mały kaliber, strzał z bliskiej odległości i jednocześnie pchnięcie nożem. Zatem zabójca użył pistoletu z ostrzem. Kiedyś widziałam coś takiego w jakimś westernie. Muszę jeszcze przy tym temacie pogrzebać.

Ina sięgnęła po kanapkę z łososiem i cytryną, popiła ją kieliszkiem białego wina. W pomieszczeniu zaległa cisza, jeżeli nie liczyć delikatnego dźwięku skrzypiec, który wydobywał się z umieszczonych w kilku punktach głośników.

– Zapomniałaś o grze? Teraz twoja kolej. – Ciszę przerwała Ina.

– Już. – Milusha chwilę przyglądała się układowi cyfr rozłożonych na podłodze. Potem kilkoma ruchami poprzestawiała kostki, dokonała manipulacji w taki sposób, który pozwalał jej wyłożyć wszystkie elementy znajdujące się na tabliczce. Odłożyła ją delikatnie na dywan, na dowód, że już nie ma żadnych kostek. – Wygrałam.

– Następnym razem będę ja... – Ina sięgnęła po kieliszek. – Kończymy.

Zostawiły bałagan na podłodze i wskoczyły do łóżka.

ROZDZIAŁ 26

jesień 2022 r.

Borzęcin/Warszawa Zachód

Siedział w wannie i przez okno, a w zasadzie szklaną ścianę, widział trawę, szyszki i stokrotki na swojej ogrodzonej wysokim murem działce w lesie. Antoni Cydejko był rozluźniony. Na dębowej półeczce stała szklanka z whisky, obok w popielniczce leżało zapalone cygaro, a on sam przeglądał gazetę.

Działka, na której wzniesiono rezydencję w stylu neomodernizmu, znajdowała się w lesie na skraju Puszczy Kampinoskiej. Przez panoramiczne przeszklenie widać było drzewa i leśne krzewy, a w oddali, jakieś dwieście metrów od budynku, zarys muru wykonanego z czerwonej cegły klinkierowej.

Dojazd do jego domu znany był tylko wtajemniczonym. W pobliżu jednostki wojskowej w Borzęcinie trzeba było zjechać na nieutwardzoną leśną drogę zastawioną szlabanem. Po jego uchyleniu można było kontynuować jazdę, już po asfaltowej drodze, aż dojeżdżało się do solidnej metalowej bramy, na której szczycie znajdował się drut ostrzowy, tak zwana concertina. Na pobliskich drzewach zainstalowane były dwie kamery, a wokół muru także czujniki ruchu połączone z lampami.

Nikt obcy nie miał prawa tam się dostać niezauważony. Dlatego Cydejko czuł się bezpiecznie. W trakcie budowy domu w 2015 roku, realizowanej przez firmę, która pochodziła ze Słowacji, kazał też postawić niewielki schron podziemny z ukrytym wejściem oraz wzmocniony podziemny korytarz, który prowadził do lasu, już za mur. Z korytarza można było

wyjsc schodami przez klapę, która zamaskowana była pod ściółką i niewielkim krzakiem jałowca.

Od gazety oderwał go dźwięk gongu. Ktoś stał przed bramą wjazdową. Wyszedł z wanny, owinał się luźno w szlafrok i poszedł do niewielkiego pomieszczenia przy drzwiach, w którym na laptopie sprawdził obraz z kamery.

– Proszę wejść – wydał komendę i kliknął jeden z klawiszy, w tym momencie uchylły się skrzydła bramy. Przed dom wjechał żółty pojazd firmy kurierskiej DHL, zaparkował obok jego czarnego lexusa RX. Młody mężczyzna wysiadł, chwilę grzebał w luku bagażowym auta, aż wyciągnął niewielką paczkę.

– Proszę o parafkę – podał Cydejce terminal elektroniczny i pisak, po czym postawił paczkę na schodach, wrócił do samochodu i odjechał.

Cydejko śledził go, do momentu gdy minął bramę, która się za nim zatrzasnęła. Dopiero wtedy podniósł paczkę, która, jak stwierdził, została nadana w Niemczech, w Kolonii. Wszedł do domu i postawił ją na czarnej marmurowej płycie wyspy kuchennej. Nożem ostrożnie naciął i zerwał taśmę, którą była oklejona.

Delikatnie otworzył karton, wyjął z niego owinięty w folię bąbelkową przedmiot. Rozwinął opakowanie i położył na dłoni niewielki rewolwer Apache. Uwolnił ostrze, zauważył, że znajduje się na nim jeszcze kropla krwi. Siedemdziesięcioletek nałożył na nos okulary i z szafki wyjął pudełko z narzędziami do czyszczenia broni. Odkręcił śrubokrętem ostrze, a potem bębenek i kastet, który służył jednocześnie za rękojeść. Szczoteczką pieczołowicie oczyścił komorę nabożową, a szmatką ostrze i szkielet rewolweru, następnie naoliwił je i odłożył na tłustej szmacie.

Rewolwer ten związany był z historią jego rodziny od ponad stu pięćdziesięciu lat. Z rodzinnych przekazów wynikało, że dostał go w 1861 roku Konstanty Cydejko, gdy szedł do powstania na Podlasiu. Trafił do oddziału w transporcie broni zakupionej we Francji, nie wiadomo czy przez przypadek, czy ktoś celowo wrzucił go do skrzyni pełnej broni. W drewnianej paczce, którą otrzymali powstańcy, znajdowały się bowiem

sześciostrzałowe rewolwery systemu Colt-Navy 1851, wykonane przez belgijską firmę rusznikarską z Liège. Zostały one przekazane przez Aleksandra Guttry'ego, który przebywając wówczas w Belgii, był przewodniczącym Komisji Zakupu Broni.

Tego typu broń wykorzystywana była w tamtych czasach przez paryskich opryszków – apaszów, bo tak ich wtedy nazywano. Stąd wzięła się też potoczna nazwa takiego rewolweru.

Przed I wojną światową otrzymał go syn Konstantego Romuald Cydejko, który działał w Organizacji Bojowej PPS. Apache wykorzystany był w licznych ekspropriacjach w guberni radomskiej. Wtedy chyba najwięcej rosyjskiej krwi spłynęło po ostrzu tej broni. Po odzyskaniu przez Polskę niepodległości przez wiele lat rewolwer ten pełnił rolę eksponatu prezentowanego w orzechowym pudełku za szybą w szafie domu Cydejki na warszawskiej Woli. Na ścianie zawisł też tasak austriacki, którym Konstanty miażdżył czaszki Rosjan.

Jego syn Edward Cydejko zdołał wynieść tylko tę niewielką pamiątkę z budynku, który w czasie powstania warszawskiego obróciła w ruinę salwa z niemieckiego moździerza Carl-Gerat 040. Potem zdobywał on z nim tak zwane Ziemie Odzyskane na zachodzie Polski, a w 1964 roku został użyty w „napadzie stulecia”.

O tym wydarzeniu Antoni wiedział najwięcej, bo ojciec przed śmiercią z detalami przekazał mu wiedzę na temat napadu, który na zawsze został w cieniu spekulacji medialnych.

– To przecież ty i Adam Lipiński – wspominał grudzień 1964 roku, gdy jego ówczesna dziewczyna Joanna zobaczyła w „Ekspresie Wieczornym” rysopisy sprawców napadu stulecia. Wtedy kazał jej się przeprowadzić, bo w mieszkaniu mogło być „gorąco”.

Do skoku doszło przy „Domu pod Orłami” na ulicy Jasnej w Warszawie, gdzie mieścił się VIII Oddział Narodowego Banku Polskiego. Sprawców – oficjalnie – było dwóch. Strzały padły 22 grudnia 1964 roku, dokładnie o godzinie 18.35, gdy z oznakowanej warszawy wysiedli konwojenci i kasjerka. W trakcie napadu zastrzelony został strażnik Zdzisław S.,

a ranny drugi Stanisław P. Sprawcy z odebranych konwojentom workiem pieniędzy wycofali się ulicą Hibnera w stronę Sienkiewicza. Zbiegli prześwitem pomiędzy Filharmonią Narodową a budynkiem PKO do ulicy Moniuszki, a potem Marszałkowską. Część świadków twierdziła, że mogli wsiąść do samochodu marki Warszawa.

Skradziono utarg dzienny Centralnego Domu Towarowego w stolicy Polski o wysokości 1 336 500 zł.

– To było wtedy ponad siedemset ówczesnych miesięcznych pensji – opowiadał po latach Edward. Technicy milicji znaleźli osiem łusek. Zostały odstrzelone z pistoletu, którego wcześniej użyto w trakcie napadu na kasjerkę sklepu obuwniczego „Chelmek” w 1957 roku oraz w 1959 roku w trakcie zabójstwa milicjanta, któremu skradziono pistolet, a także w trakcie skoku na urząd pocztowy UPT-57 przy alei Wyzwolenia w Warszawie.

Sprawcy zaraz potem „rozpłynęli się”. Nikt nie wiedział, że była jeszcze trzecia osoba – kierowca warszawy.

– Nie mieliśmy broni, dlatego dostał ten mały rewolwer – tłumaczył mu kiedyś ojciec. – I on go użył. Gdy wsiedliśmy do wozu, jakiś przechodzień zauważył coś podejrzanego, otworzył drzwi od strony kierowcy. Ten, nie namyślając się, wystrzelił do niego i odjechał. Potem nigdy nie słyszałem o tym rannym, może nie zgłosił się na milicję, a może, co bardziej prawdopodobne, milicja nigdy tego faktu nie upubliczniła, aby mieć w zanadrzu jakiś element do odsiania tych ludzi, co mogli coś wiedzieć, od tych, którzy chcieli tworzyć legendę i liczyli na jakąś nagrodę – przypuszczał Edward.

Rysopisy obydwu uczestników napadu pod bankiem były bardzo dobre.

– Prowadziłem wtedy sklep z produktami zagranicznymi na Targowej, zaraz po skoku poszedłem na trzy miesiące do więzienia, bo nie płaciłem podatków. To było doskonałe alibi, zniknąłem milicji z oczu – mówił Edward. Przed skokiem handlował on samochodami – skup, sprzedaż, między innymi na Lubelskiej na Pradze. Adam był jego kolegą, pomocnikiem od samochodów, miał mieszkanie w bloku przy

Marszałkowskiej w pobliżu ówczesnej siedziby „Życia Warszawy”. Dzięki temu zaraz po skoku szybko mogli się ukryć. Edek zaś miał mieszkanie na Lotaryńskiej na Saskiej Kępie – tam mieszkała jego żona, ale częściej przebywał przy Jaracza, obok Teatru Ateneum, u swojej kochanki.

Edward Cydejko znalazł się w kręgu zainteresowania ówczesnej milicji. Jego bliskich odwiedzili po napadzie milicyjni tajniacy, ale zmylił ich błąd w rysopisie, z którego wynikało, że jeden ze sprawców, młody mężczyzna, był bardzo wysoki.

– Byłem wysoki, ale nie aż tak, aby się wyróżniać – tłumaczył przed laty synowi.

23 grudnia 1964 roku minister spraw wewnętrznych Mieczysław Moczar powołał dwie grupy operacyjno-dochodzeniowe. Jedną w Komendzie Miejskiej MO, drugą koordynacyjną w Komendzie Głównej MO. Zadaniem obu grup było wyjaśnienie spraw o kryptonimie P-57, czyli napadu na kasjerkę „Chełmka”, zabójstwa milicjanta Zygmunta K. i skoku na pocztę, oraz P-64, czyli kradzieży utargu Domu Towarowego.

Po wyjściu z więzienia Edwardowi Cydejce znacznie się poprawiło, jego samochodowy biznes rozkwitł, on sam jeździł amerykańskim pontiakiem, jak na tamte lata luksusowym samochodem. Zainwestował między innymi w zakład optyczny.

Pod koniec marca 1998 roku została uprowadzona ówczesna, druga już żona Edwarda, macocha Antoniego. Porywacze kontaktowali się z nim telefonicznie i zażądali za jej uwolnienie milion dolarów. Cydejko zawiadomił policję i jednocześnie utrzymywał kontakt z porywaczami. Przekazał im część okupu czyli 156 tysięcy dolarów.

– Gdy policja była bliska dotarcia do porywaczy, żona została nagle uwolniona bez wpłaty kolejnej raty okupu. Wyobraź sobie: policja ustaliła, że mogła być przetrzymywana w domu należącym do nas pod Warszawą, kontaktowała się z rodziną w USA i twierdziła, że wszystko jest u niej w porządku. Porywacze nagrywali rozmowy na magnetofon i odtwarzali nagranie przez telefon, dobrze znali moją sytuację, sugerowali, co konkretnie mogę spieniężyć – opowiadał synowi, który już wtedy był

w wojsku i służył za granicą. Z opinii biegłych wynikało, że kobieta nie miała obrażeń, które mogłyby wskazywać na stosowaną wobec niej przemoc.

– Zawsze podejrzewałem, że to było fikcyjne uprowadzenie, aby wyłudzić moje pieniądze – wielokrotnie powtarzał to synowi.

Edward Cydejko zmarł w 2013 roku i został pochowany na warszawskich Powązkach.

Antoni Cydejko spojrzął jeszcze raz na rewolwer. Wykonawca wyroku w Düsseldorfie dostał od niego tę broń tylko do zrealizowania konkretnego zadania. Zaraz potem musiała ona do niego wrócić. Poczł ulgę, gdy miał ją ponownie u siebie.

Cydejko nie traktował bowiem apache'a jak zwykłą rzecz, broń, ale jak nietypowy amulet – przedmiot magiczny, który ma moc ochrony przed nieszczęściem. Od lat męscy potomkowie z jego rodziny byli przekonani, że posiadanie tego rewolweru powodowało, iż żaden z ich rodu nie umarł śmiercią gwałtowną. Wierzył w to również Antoni. Podniósł apache'a pod światło, obejrzał kształty, które doskonale znał, szmatką osuszył go z tłustej mazi.

Był rozluźniony i czuł się pewnie. Był przekonany, że jest panem sytuacji.

Zszedł do piwnicy. Nacisnął ukryty guzik, który odsłonił za szafą wnękową wejście do podziemnego schronu, a dalej do tunelu korytarza. Automatycznie został on oświetlony, zaczęła też pracować wentylacja. Tunel ten wyglądał jak dziewiętnastowieczna galeria sztuki, gdy obrazy wieszano jeden nad drugim, aż do sufitu. Antoni zatrzymał się na chwilę i jak zawsze, gdy był w tym miejscu, spojrzął na dzieło *Luna i Endymion* Johanna Paula Adolfa Kiesslinga, obraz olejny, który przez wiele lat do wybuchu wojny wisiał w jednym z wrocławskich muzeów, potem przesunął wzrok na perełkę swojej kolekcji, piękną *Marię z Dzieciątkiem i aniołami* Sandra Botticellego z końca XV wieku. Przystanął i z bliska przyjrzał się desce, by sprawdzić, czy nie pojawiły się na niej jakieś pęknięcia.

Podszedł do ściany, na której wisiało *Zwiastowanie* Girolama da Santacroce z XVI wieku, malowane na desce lipowej, zdjął go i postawił na podłodze. Za nim ukryty był sejf z panelem elektronicznym. Włączył urządzenie i wbił po kolei cyfry 1321345589 – fragment ciągu Fibonacciego. Naciśnięcie klawisza enter spowodowało, że drzwi się uchyliły.

Cydejko otworzył je, wyjął ze środka pudełko wykonane z drzewa mango, które przed laty przywiózł z Afryki, i położył w nim rewolwer. Obok leżały dwie białe wizytówki z nazwiskami pisanymi alfabetem łacińskim oraz w języku farski: pułkownika Maruta i generała Ghaniego.

Spojrzał do środka i zwrócił uwagę na czerwoną teczkę z wydrukowanym dokumentem, który od kilku lat leżał w jego sejfie. Wyjął ją i nie zamykając drzwi, pobieżnie przejrzał. „Starzeję się, jestem sentymentalny” – pomyślał i po raz kolejny zaczął czytać swoją historię, która znalazła się w niejawnym, niepublikowanym aneksie do raportu z likwidacji Wojskowych Służb Informacyjnych. Ta część liczyła zaledwie trzy strony, ale, pozbawiona wielu informacji, pełna była luk. Nie przez przypadek.

Usiadł na schodach i myślami przeniósł się do lata 2006 roku. Pamiętał, co się wtedy zdarzyło, jakby to było dzień wcześniej. Dialogi, miejsca, twarze, gesty nie zatarły się w jego pamięci.

Lipiec 2006 r. był upalny. Wstał z ławki, spojrzał jeszcze na żołnierzy Żandarmerii Wojskowej, którzy przechadzali się po korytarzu budynku przy alei Niepodległości w Warszawie. Wyczuł od nich intensywny zapach potu, jaki pamiętał z lekcji wychowania fizycznego w szkole podstawowej. Poprawił mundur i nacisnął klamkę drzwi do sali konferencyjnej.

– Podpułkownik Antoni Cydejko melduje się na wezwanie komisji. – Trzasnął obcasami.

Za stołem, na którym rozłożone było zielone sukno i stały dwie paprotki, siedziało trzech mężczyzn. Szefem tego zespołu był znajdujący się w środku mniej więcej trzydziestolatek z przetłuszczonymi długimi włosami, niedogolonym wąsem i okularami jak denka słoika.

– Proszę usiąść. – Wskazał krzesło, podszedł do szafy pancерnej, otworzył ją i wyjął teczkę personalną oraz kilka innych, spiętych razem dokumentów. – Tak, panie podpułkowniku. Czy wiedział pan, że służył w organizacji, która działała przeciwko interesom narodu polskiego, na rzecz obcych wpływów? – natarł, powoli zmierzając na swoje miejsce.

Cydejkę zatkało, spojrział na swoje dłonie. Nie spodziewał się takiego tekstu ze strony cywila, członka komisji weryfikacyjnej Wojskowych Służb Informacyjnych.

– Nie, proszę pana, służyłem i służyć w wojsku, opierając się na obowiązującym w Polsce prawie, głównym celem, który mi przyświecał, było dbanie o wzmacnianie naszych Sił Zbrojnych i stanie na straży konstytucji – wyrecytował formułkę.

– A czy wie pan, że ta niby „prawilno” działająca służba ma na swoim koncie łamanie prawa, zdradę, i działanie w interesie obcego mocarstwa?

– Nic mi na ten temat nie wiadomo.

– To sprawdzimy. – Przewodniczący zespołu usiadł i sięgnął po dokumenty. Otworzył teczkę, zaczął ją wertować i jednocześnie coś mamrotał pod nosem. Tak jakby starał się czytać na głos. – Panie podpułkowniku Antoni... Z pana teczki personalnej wynika, że już w latach osiemdziesiątych zajmował się pan rozpracowywaniem polskiego podziemia. Co pan wtedy robił?

– Jako młody oficer po studiach we Wrocławiu zostałem przydzielony do WSW. Jak panowie wiecie, a pan jest chyba historykiem, jednym z zadań wówczas realizowanych było zwalczanie dywersji politycznej. Służba likwidowała też inicjatywy związane z próbami organizacji związków zawodowych w wojsku. To panowie pewnie też wiecie?

– A pan konkretnie co robił?

– Wykonywałem rozkazy przełożonych.

– Na czym polegała pana rola w operacji „Wist”?

– To jest ściśle tajne.

– Nie, proszę pana podpułkownika Antoniego... – zareagował z sarkazmem siedzący obok członek komisji, wąsacz wyglądający tak, jakby zaraz wybierał się na ryby, bo miał na sobie jasnoszarą kamizelkę z wieloma kieszeniami. – To było działanie zbrodnicze, które tłumilo inicjatywy uniezależnienia się polskich sił zbrojnych od Sowietów.

– Zatem? – nalegał przewodniczący.

– W osiemdziesiątym pierwszym roku na rozkaz przełożonych miałem zainicjować utworzenie komitetu niezależnego związku zawodowego w strukturach Pomorskiego Okręgu Wojskowego. Byłem młodym oficerem i przełożeni uznali, że się nadaję. Efekt nie był chyba zadowalający dla moich przełożonych. Zgłosiło się ledwie kilku pracowników cywilnych wojska i, o ile pamiętam, pięciu oficerów.

– Bądźmy precyzyjni. Sześciu... I co dalej?

– Po pierwszym spotkaniu, które miało wybrać władze nowego związku, wszyscy zostali zatrzymani przez żołnierzy WSW.

– Pan też... Tak? Jest pan szczery, nie jak niektórzy pana to-wa-rzy-sze. – Ostatnie słowo dobitnie przeskanował.

– Przecież widzę, że ma pan przed sobą cały materiał. Po co ta zabawa?

– I co się stało z tymi ludźmi?

– Jeśli dobrze pamiętam, pracownicy cywilni zostali przeniesieni na stanowiska służbowe, które uniemożliwiały dostęp do jakichkolwiek informacji istotnych dla bezpieczeństwa sił zbrojnych. Trafili chyba do pracy w jakichś magazynach w leśnych garnizonach. A wojskowi sami odeszli ze służby.

– A może zostali do tego zmuszeni po rozmowie dyscyplinującej? Jeden z nich, porucznik Majczyk, w kilka miesięcy później popełnił samobójstwo, a kapitan Radzki zapił się na śmierć.

– Podobno też ktoś uciekł na Zachód... – dorzucił ze spokojem Cydejko.

– Tak, porucznik Misiak, w pięć lat po zwolnieniu ze służby, uciekł przez zieloną granicę do Berlina Zachodniego.

– Nie znałem tych szczegółów. Moja rola skończyła się w momencie zatrzymania tych wszystkich osób.

– Miał pan satysfakcję?

– Trudno powiedzieć... być może z tego, że wzorowo wykonałem rozkaz, tak...

– Hmm. Dostał pan awans i nagrodę ministra obrony narodowej Floriana Siwickiego. Został pan jednak doceniony? Prawda?

– Przyznaję, na polecenie generała przyspieszono mi też przydział mieszkania na warszawskim Bemowie, dostałem także talon na zakup samochodu, dużego fiata.

– No, tych szczegółów tutaj nie mamy. Dzięki za szczerą. A potem – szef komisji spojrział w akta – był pan między innymi w ambasadzie w Bagdadzie, Teheranie, ale to już lata dziewięćdziesiąte. Koledzy z WSW pana cenili. Czy wykonywał pan w tych krajach zadania wywiadowcze?

– Nie odpowiem na to pytanie. Wykonywałem zadania wynikające ze służby w ataszacie.

W tym momencie jeden z członków komisji wstał z krzesła i ze szklanką w ręce podszedł do paprotki. Do doniczki wlał fusy herbaty.

– Co się pan tak dziwi? – odezwał się, niepytany. – To dobrze działa na rozwój tych roślin, znam się na tym, jestem botanikiem.

– No i co ja mam z panem zrobić? – zapytał szef zespołu weryfikacyjnego. – W przeciwieństwie do kolegów, pan przynajmniej z nami rozmawia. Za to powinna być nagroda, ale czy będzie? Dobrze. Dziękujemy. Proszę jeszcze chwilę poczekać, zaraz wydrukujemy protokół rozmowy, zapozna się pan z nim i jeżeli nie będzie miał uwag, podpisze.

Cydejko wstał z krzesła, dopiero teraz zdał sobie sprawę, że ma mokrą koszulę. Spocił się tak jak w czasie letniego pobytu w Iraku. Być może dlatego, że w pomieszczeniu nie działała klimatyzacja. Wyszedł z sali, ciężko usiadł na drewnianej ławce i zaczął intensywnie myśleć.

„Czy to już koniec mojej kariery w armii? Cholera. Szkoda tego wszystkiego. Potrzebny jest ruch wyprzedzający. Mam jeszcze asa

w rękawie! Ojciec mówił przecież – na czarną godzinę. Ona właśnie nastąpiła. Tak. To ten moment!”

Wstał i wszedł do łazienki, spojrział w lustro i zimną wodą z kranu obmył twarz, po czym przyczesał krótkie włosy. Gdy opuścił pomieszczenie, spojrział w bok, korytarzem szedł akurat starszy mężczyzna, zastępca szefa całej komisji weryfikacyjnej WSI Andrzej Burkacki. Cydejko wyprężył się, trzasnął obcasami i rzucił:

– Panie ministrze, czy mogę z panem krótko porozmawiać na osobności?

Sześćdziesięciolatek z fajką w dłoni zmierzył go wzrokiem od góry do dołu i odsunął się asekuracyjnie.

– A o czym, podpułkowniku?

– Na osobności, proszę...

– Dobrze, zapraszam do mojego gabinetu.

Ruszyli wzdłuż ściany pomalowanej na szaro, a potem schodami w górę. Na trzecim piętrze skręcili w lewo i weszli do sekretariatu, przez który przeszli do gabinetu. Wiceszef komisji zapalił fajkę, usiadł za biurkiem, pogładził brodę.

– Słucham.

– Zostałem właśnie przesłuchany przez komisję... Podpułkownik Antoni Cydejko.

– No i prawidłowo.

– Nie mam pewności, jaki jest cel tego przesłuchania.

– Chcemy stwierdzić, czy uczestniczył pan w łamaniu prawa. To oczywiste, piszą o tym nawet gazety.

– Rozumiem, a gdybym zgodził się z wami współpracować, zostanę potraktowany łagodniej?

– Mamy już grupę oficerów, którzy są w naszej komisji. Sprawdzają się, przeszli test prawdy.

– Nie o to chodzi. Mogę zaproponować informacje, albo wskazówki, w zamian za łagodniejszy wymiar kary, tak to nazwijmy.

– Czyli?

– Zostawicie mi to, co mam, stopień, mieszkanie. Zostawicie mnie w nowej służbie, do osiągnięcia uprawnień emerytalnych.

– W zamian za co?

– Za informacje i nietypowy prezent.

– Zaraz, zaraz, chyba się nie rozumiemy... Proponuje mi pan łapówkę? Za drzwiami są żandarmi, mam ich wezwać? – Burkacki się podniósł.

– Źle mnie pan zrozumiał. – Cydejko na poczekaniu zaczął wymyślać legendę. – Opowiem taką historię.

– Pan historyk?

– Nie, ale proszę posłuchać. Jedenastego czerwca osiemdziesiątego pierwszego roku generał Wojciech Barański, szef Głównego Zarządu Szkolenia Bojowego Wojska Polskiego, oraz generał Czesław Kiszczak powołali grupę operacyjną „Karkonosze”, której celem było odnalezienie tak zwanego złota Wrocławia, ukrytego przez Niemców w ostatnich tygodniach drugiej wojny światowej. Miało pochodzić ze skarbca Banku Trzeciej Rzeszy, wywiezionego z miasta w ogromnym transporcie i złożonego w jednej ze sztolni na terenie Karkonoszy.

– Tego wątku jeszcze nie znam...

– Cóż, wiedzieli tylko wtajemniczeni, ja do nich należę i jestem w służbie, a inni nie. Zatem na Dolny Śląsk wysłano grupę specjalistów. Na czele grupy „Karkonosze” stanął major Jerzy Liwski z Oddziału Trzeciego Zarządu Czwartego WSW. Mieli mu pomagać oficerowie z innych jednostek WSW i dziesięciu żołnierzy służby zasadniczej. Teren Wałbrzycha i Gór Sowich był wtedy pod ciągłą obserwacją i systematyczną penetracją ze strony wywiadu radzieckiego, nawet przy użyciu jednostek komandosów. Znane są nam wręcz próby zwerbowania przez wywiad radziecki informatorów SB.

– To ciekawe...

– Na początku osiemdziesiątego drugiego, czyli już po wprowadzeniu stanu wojennego, wytypowano jedenaście miejsc do sprawdzenia: Zamek Grodno, górę Chojnik, Państwowy Dom Pomocy Społecznej w Miłkowie, tak zwany domek myśliwski koło schroniska „Samotnia” w masywie Śnieżnika, hutę „Julia” koło Szklarskiej Poręby, góry Ślęzy, Wielisławki, Lubiąż, tunel w rejonie Staniszowa, Miedziankę oraz zamek w Karpnikach – wyliczał precyzyjnie Cydejko. – Chociaż grupa poszukiwawcza korzystała między innymi z pomocy radiestety, nie odnaleziono nic. Byłem tam. Przełom nastąpił z chwilą rozpoczęcia prac w klasztorze w Lubiążu.

Na twarzy Cydejki malowało się skupienie, gdy przytaczał daty i liczby związane ze sprawą, a było tego mnóstwo. 26 listopada 1982 r. przez przypadek operator koparki wyciągnął z ziemi w ogrodzie walcowaty pojemnik. Wewnątrz znajdowały się 1354 monety, w tym 1290 monet srebrnych o masie 5,82 kg oraz 64 złote o masie 0,227 kg. Resortowa komisja orzekła, że skarb składa się głównie z monet państw środkowoeuropejskich z lat 1590–1740.

– Tylko osiemdziesiąt dziewięć srebrnych monet – ciągnął Cydejko – trafiło do Muzeum Narodowego we Wrocławiu, pozostałe zostały sprzedane w kraju i za granicą przez naszą rezydenturę w Wiedniu. Część z zebranych w ten sposób środków przeznaczono na cele operacyjne WSW.

Brodacz wyjął fajkę z ust i postukał nią o blat biurka, aby usunąć resztki tytoniu.

– Jest pan bardzo precyzyjny.

– Takich rzeczy się nie zapomina. Ale to nie wszystko. Otóż podobne akcje były organizowane również we wcześniejszych latach. Trochę udało się zgromadzić: obrazy i monety. Ja wiem, gdzie ten skarb jest, bo miałem nad nim pieczę. Te artefakty były sukcesywnie spieniężane, poza Wiedniem, także w RFN i Szwajcarii, przez naszych ludzi, a otrzymane środki przeznaczane na fundusz operacyjny. Panie ministrze, ja oferuję dotarcie do tego drogiego prezentu. Nie interesuje mnie, co z nim zrobicie, być może stanie się zaczątkiem funduszu operacyjnego nowego wywiadu.

– To bardzo interesujące, co pan mówi, pułkowniku. – Burkacki spojrział na okno, powoli nabił fajkę tytoniem, zapalił go zapalką i zaciągnął się dymem.

– Ale nie tylko. Mógłbym wskazać kilka tropów do dalszego poszukiwania informacji. Co pan na to? Powiedzmy, że jest to pewnego rodzaju darowizna, gratisowy bonus.

Ani jeden mięsień nie drgnął na ascetycznej twarzy Andrzeja Burkackiego. Cydejko nie miał pewności, jak zareaguje, a przez cały czas grał *va banque*. – A gdyby chciał pan mnie ograć, to nigdy się pan nie dowie, gdzie ukryte są te dzieła sztuki. Tylko ja znam to miejsce, w papierach nie ma na ten temat żadnego śladu – dodał z naciskiem.

– Coś jeszcze.

– Tak?

– Mówił pan o poszukiwaniu dalszych informacji.

– Dobrze. Proszę odnaleźć dokumenty operacji „Ken”, która była przeprowadzona w Afganistanie, proszę dotrzeć do akt osobowych naszego współpracownika Adama Mireckiego i sprawdzić, na co wydawał pieniądze z funduszu operacyjnego i czy się z nich rozliczył.

Burkacki sięgnął po notatnik i zaczął coś do niego wpisywać.

– Proszę odnaleźć też akta operacji „Prusak Jeden” i informatora o pseudonimie „Tarkowski”. To znany publicysta, który realizował w mediach cele związane z publikowaniem materiałów korzystnych dla naszej służby – dorzucił nieco flegmatycznie Cydejko.

W gabinecie nastąpiła krępująca cisza.

– I co pan o tym myśli? – zwrócił się Cydejko do Burkackiego, który ciągle coś notował.

– Rozumie pan, że zanim zdecyduję się na dalszą rozmowę, muszę sprawdzić informacje przekazane przez pana, pułkowniku?

– Jasne, to oczywiste...

– Dajmy sobie trzy dni. Zatem zapraszam do siebie w czwartek w samo południe. Mam nadzieję, że będziemy kontynuowali dobrze zapowiadający

się dialog. – Burkacki wstał zza biurka i po raz pierwszy podał dłoń Cydejce.

W dwa tygodnie później na teren wojskowy znajdujący się w okolicach rezerwatu przyrody Łosiowe Błota na granicy warszawskiej dzielnicy Bemowo i gminy Stare Babice wjechał ciężarowy star w asyście zespołu bojowego Cornelia GROM, ale na czele kolumny jechała czarna škoda, w której siedzieli podpułkownik Cydejko, Andrzej Burkacki i jego asystent Maciej Rakoczy. Poruszali się nieoznakowaną ścieżką. Zostawili pojazdy i dalej ruszyli pieszo. Po przejściu około pięćdziesięciu metrów, w pobliżu nieużywanego elementu tak zwanego małpiego gaju, Cydejko odszukał w ściółce ukrytą klapę do schronu, uchylił ją i zapalił latarkę.

– Zapraszam, panie ministrze, ja pójde pierwszy – oznajmił i zszedł po stromych betonowych schodach kilkanaście metrów w dół, następnie otworzył kłódkę blokującą wejście za pancerne drzwi. Skrzypnęły, jakby dawno ich nikt nie oliwił, podpułkownik wymacał włącznik i zapalił światło. Znajdowali się w betonowym pomieszczeniu dawnego ukrycia wybudowanego dla studentów WAT, ale zamiast pryczy stały tam drewniane skrzynie, a obok leżały dwa niewielkie płócienne worki.

– Łoo... – Rakoczy jęknął z wrażenia. Cydejko spojrzał na niego z uwagą.

W pomieszczeniu utrzymywana była taka sama temperatura, czuć było lekki powiew świeżego, przefiltrowanego przez specjalny system wentylacyjny powietrza.

Oficer demonstracyjnie otworzył jedną ze skrzyń, uchylił wieko i kiwnął głową na Burkackiego. W tym momencie wyjął z niej teczkę.

– Tutaj rozliczony jest cały ten towar, jest pełna ewidencja obrazów i monet, te są w workach. Jest też informacja o brakowaniu, czyli w istocie o przekazaniu poszczególnych elementów do sprzedaży – referował spokojnie podpułkownik.

– No, jestem pod wrażeniem. – Członek komisji weryfikacyjnej WSI zajrzał z niedowierzaniem do wnętrza otwartej skrzyni i wyjął olejny obraz przedstawiający „Trofea myśliwskie, dzikie ptaki”. Spojrzał w róg obrazu

i zaczął odczytywać na głos: – Philipp von Purgau, jakiś Niemiec? Ile to jest warte?

– Setki tysięcy, może miliony euro. To musiałby oszacować biegły historyk sztuki, ale, panie ministrze, umawialiśmy się, że sprawa nie wyjdzie, zachowana zostanie pełna poufność w sprawie tego skarbu. Myślę, że to pozwoli łatwiej rozdysponować te dzieła sztuki – odparł Cydejko.

Przez kolejne dwie godziny żołnierze GROM-u wynosili skrzynie i worki z numizmatami do zaparkowanej nieopodal ciężarówki. Żołnierze zostali zobowiązani do zachowania ścisłej tajemnicy. Nie było innych, postronnych świadków.

Cydejko patrzył z boku na całą operację i gratulował sobie po cichu sukcesu. To prawda, był przywiązany do tego zbioru, często zaglądał do schronu, aby go obejrzyć. Ale teraz miał przed sobą otwartą nową drogę. Wiedział, że w ten sposób kupił sobie pozycję. Czy to była korupcja? Nikt w tym momencie tak nie myślał. Burkacki przejął magazyn w taki sposób, jakby już planował, na co przeznaczyć ten nieoczekiwany finansowy zastrzyk. Założył, że zbuduje na nim fundusz operacyjny nowej służby. Gest Cydejki traktował jako obywatelską postawę. Tymczasem on nie oddał wszystkiego. Część kolekcji ukrył dla siebie, nie miał zamiaru rezygnować z luksusu.

Oficer zwrócił uwagę na błysk w oku asystenta Burkackiego – Macieja Rakoczego. Oceniał, że nie ubiera się gustownie, miał na sobie znoszony granatowy, modny kilka lat temu garnitur i rozchodzone czarne buty. Cydejko, patrząc na niego, odnosił wrażenie, że chętnie zgarnąłby coś dla siebie, bo groszem nie śmierdział. Asystent nie mógł jednak niczego zabrać ze sobą, bo w pobliżu przez cały czas kręcili się żołnierze wojsk specjalnych.

– Jest pan pod wrażeniem...

– No. Niejedno muzeum mogłoby się pochwalić czymś takim. Ta WSI to niezłe wałki kręciła. – Powiódł wzrokiem za żołnierzem, który niósł worek wypełniony numizmatami. Jedna z monet wypadła na wilgotną leśną

ściółkę, współpracownik Burkackiego zrobił krok do przodu, schylił się i schował ją w dłoni. Dopiero wtedy uważnie się rozejrzał i napotkał wzrok Cydejki.

– Coś wypadło – zreflektował się. – Panowie, coś wypadło! – krzyknął jeszcze raz do żołnierzy i podbiegł do jednego z nich, a następnie wrzucił monetę do worka. – Ciężka, czy to może być złoto? Tyle złota... – powiedział, gdy ponownie stanął obok Cydejki.

– Może ma pan ochotę na kawę i dobrą whisky? – zagadnął go oficer. – Ja zapraszam...

– Dobrze, a kiedy?

– Proszę do mnie wpaść w sobotę, po siedemnastej. Oto mój adres, to na Bemowie, blisko WAT-u. – Podał mu wizytówkę.

– Będę. – Uścisnął mu dłoń.

Głęboki gong wyrwał go z otępienia. Cydejko wstał z kanapy i podszedł do drzwi wejściowych, otworzył je. Stał przed nim Rakoczy. Ubrany był w kremową koszulę z przydługim, sztywnym kołnierzem i jasne spodnie dżinsowe. W dłoni trzymał butelkę wódki wyborowej.

– Proszę, może się przyda. – Wyciągnął rękę.

– Nie było takiej potrzeby... – Cydejko wziął ją w lewą dłoń i uścisnął rękę gościa. Wódka była ciepła. – Zapraszam. – Uśmiechnął się.

Rakoczy schylił się, aby zrzucić z nóg jasne mokasyny.

– Proszę się nie kłopotać, nie zdejmować. Zapraszam do pokoju. – Wziął gościa pod ramię i wprowadził do salonu. Na ręcznie robionym dębowym stoliku stała srebrna patera, butelka bourbona i dwie szklanki, obok zaś pojemnik z lodem.

– Proszę siadać. – Cydejko wskazał na głęboki skórzany fotel. – Zaraz podam kawę.

Rakoczy, zanim usiadł, spojrzał z uwagą na stolik.

– Dawno nie piłem czegoś takiego. – Wskazał na butelkę alkoholu. – A to? Co to za чудо?

– Antyk, z produkcji Norblina.

– Pięknie wygląda, pewnie drogi?

– To pamiątka rodzinna, odziedziczona po ojcu.

Cydejko na chwilę zniknął w kuchni, Rakoczy zaś wstał i zaczął rozglądać się po pomieszczeniu, uchylił firankę i wyjrzał przez okno, następnie zaczął przeglądać tytuły książek stojących na regale sięgającym sufitu. Gdy oficer wrócił z dwiema filiżankami czarnej, parzonej kawy, zagadnął:

– O, widzę tutaj wydanie bezdebitowe *Archipelagu GUŁag* Sołżenicyna. To były czasy... Myślałem, że w wojsku tego nie czytano...

– A dlaczego nie?

– Obca ideologia... Trucizna...

– Nie. Mogliśmy czytać literaturę i bibułę, która została przechwycona. Trzeba było znać myśli naszych ówczesnych wrogów...

– To ciekawe. A wie pan, że ja kolportowałem takie książki? Byłem w konspirze. A nawet była jedna wsypa, ale na szczęście mnie nie chwycili.

– Zatem nie siedział pan na dołku?

– Nie, tylko że dwa razy milicja mnie legitymowała na demonstracji NŻS-u na Krakowskim Przedmieściu, no i raz, to było zabawne, zgarnęli mnie i kolegę tajniacy z SB. Pamiętam jak dzisiaj, że w klapach mieli takie małe odznaki z koniczynką. Podali milicjantom hasło: Legionowo. Miałem trochę cykora. – Pociągnął łyk kawy. – Bo pod kurtką trzymałem schowany plik ulotek KPN-u. No ale oni wzięli nas do gazika, co stał przy Traugutta, i ci milicjanci przewieźli nas tylko na dziedziniec Ministerstwa Finansów, przy Świętokrzyskiej, tam stały budy ZOMO i więźniarki. Kazali wysiąść, ale tam ruch był. Dużo zatrzymanych. Sprawdzili dokumenty i wypuścili, bo chyba już nie mieli miejsca. – Na twarzy Rakoczego pojawił się rumieniec z podniecenia.

– Może szklaneczkę – zaproponował Cydejko i nie czekając na odpowiedź, nalał do szkła bourbona i dorzucił po dwie kostki lodu. Podał naczynie rozmówcy i stuknął lekko o szklany kant. – Powiedział pan o wsypie. Co to było?

– Mieliśmy magazyn z książkami. Wie pan, trochę paryskiej „Kultury” z przemytu, inna literatura. To było w piwnicy u takiego Wojtka na Saskiej Kępie. Pewnego dnia, zimą jakoś tak, wbiła do jego domu bezpieka, przeszukali budynek i to wszystko znaleźli. To była dla nas strata, bo w zasadzie myśmy te książki sprzedawali. Część pieniędzy szła na działalność podziemną, a część do kieszeni. No i zrobili kocioł, na który wszedł mój Burkacki. Gdy się zorientował, grał zwykłego przechodnia, co się o drogę pytał. Nawet go nie wylegitymowali, poszedł sobie. Jakies ciule tam chyba wtedy były, żeby takiej grubej ryby nie zgarnąć, bo on wtedy był poszukiwany.

– To ciekawe. A wie pan... A może przejdziemy na ty? Mów mi Antoni...

– Maciej. – Rakoczy podniósł szklanę z alkoholem. – Za spotkanie.

– A wiesz, że myśmy takie drukarnie, magazyny zakładali, ludzie z Solidarności o tym oczywiście nie wiedzieli, organizowaliśmy też przemyt.

– Ciekawe rzeczy żeście wtedy robili. No, a mój minister Burkacki nawet broń magazynował. – Rakoczy starał się zaimponować żołnierzowi. – Na Wybrzeżu. Nawet została ona przestrelona przez rusznikarzy, a rysunki, schematy i części przyjechały do nas na statku ze Szwecji.

Cydejką doskonale znał tę sprawę, bo cały transport był monitorowany przez wywiad wojskowy. Chodziło o to, aby objąć kontrolą grupę gotową do podjęcia walki, mieć pod lupą ekstremę. Nie odezwał się, bo przemytnik części do pistoletu maszynowego był funkcjonariuszem służb działającym pod przykryciem.

– To bardzo ciekawe. Widzę, że cię te tematy interesują.

– Czytałem ostatnio dokumenty z archiwum Mitrochina. Ciekawe, jak ci Sowieci organizowali te różne operacje specjalne, dezinformacyjne.

– Faktycznie to ciekawa lektura.

– Wy w tych służbach to pewnie wiecie więcej niż przeciętny człowiek, znacie dużo tajemnic.

– Cóż, taka nasza rola. Można powiedzieć, że wywiad to najlepsza agencja informacyjna, ale nie wszystko można publikować. Pokazywać.

– Bardzo ciekawe, chciałbym poznać trochę tych tajemnic.

– Myślę, że komisja weryfikacyjna do wielu z nich dotrze.

– A jeżeli nie... – Rakoczy wyciągnął lekko dolną szczękę i uważnie spojrzał na podpułkownika. – Bo wiesz, ja kiedyś nawet próbowałem aplikować do UOP, ale to nie były dobre czasy, czerwoni wtedy rządili. No i był problem z tym, no, językiem... – urwał.

– Aha. To co chciałbyś wiedzieć?

– No, na przykład o Burkackim.

– Chcesz poznać prawdę? Trudną prawdę?

– Tak, dyskrecja gwarantowana.

– Dobrze, to powiem ci tak: wszyscy doskonale wiedzieli, że wtedy wszedł do domu tego waszego kolegi Wojtka, właśnie on. Nie byliśmy tacy głupi, aby go wypuścić. Tyle że on znajdował się pod ochroną resortu. A jak myślisz, dlaczego przez dwa lata tej niby konspiracji nikt go nie złapał i nie wsadził do więzienia? Jak to było możliwe, że mógł występować publicznie, chociażby w kościołach, i wydawać ten swój biuletyn narodowo-katolicki? Jak mu było, „Solidarni w prawdzie”. Tak.

Rakoczy pogładził dłonią twarz, ale się nie odezwał. Nad czymś intensywnie myślał.

– Chcesz mieć informacje ekstra, zapraszam do siebie częściej. Jeżeli będę mógł, pomogę, a teraz na pamiątkę naszego spotkania chciałbym ci dać drobny prezent.

Antoni Cydejko podszedł do biurka i z szuflady wyciągnął drewnianą kasetkę, po czym ją otworzył. W środku znajdowała się tak zwana Srebrna Piątka, czyli zestaw monet bulionowych: australijski Kangur, brytyjska Britannia, kanadyjski Liść Dębu, południowoafrykański Krugerrand i wiedeński Filharmonik.

Rakoczy nie wiedział, co powiedzieć, wcześniej nic podobnego nie widział.

– Nie krępuj się, to nieujęty w ewidencji pakiet. Możesz go zatrzymać na pamiątkę albo sprzedać. Nie, nie myśl, że to jest korupcja. Traktuj to tylko jako prezent, o którym nikt nie wie.

Rakoczy delikatnie ujął pudełko, spojrzął na nie pod światło, a jego dłonie zaczęły lekko drżeć.

– Nie obawiaj się, zapraszam na kawę za tydzień, będziemy mogli znowu ciekawie porozmawiać na interesujące cię tematy – powtórzył Antoni.

Gdy za Rakoczym zatrzasnęły się drzwi mieszkania, wiedział, że asystent Andrzeja Burkackiego złapał haczyk. Miał zamiar karmić go informacjami mniej lub bardziej wartościowymi, do momentu gdy w pełni uzależni go od siebie. „Niech sobie buduje pozycję” – pomyślał. Liczył, że za kilka lat zbierze owoce.

Cydejko ocknął się ze wspomnień. Tak, miał rację. Udało się to, co sobie założył. Ze zlikwidowanej w 2006 roku WSI powstały Służba Kontrwywiadu Wojskowego i Służba Wywiadu Wojskowego, a on bez problemu trafił do wywiadu dzięki skarbowi, który zdobyła WSW w latach 80. na Dolnym Śląsku oraz ryzykownemu ruchowi dołączenia do niego niewygodnego prywatnego bagażu, który mógłby skutkować zarzutami karnymi. Edward przecież nielegalnie zdobył ten majątek, kolekcję zabytków zgromadził w trakcie szabru na Dolnym Śląsku, a one pochodziły w istocie z niemieckich rabunków. Wprawdzie od lat 70. starał się sprzedawać niektóre obrazy za granicę, głównie do Niemiec, Wielkiej Brytanii i USA, ale nie miał z tego wielkiego zysku, a ryzyko wpadki było spore. Tym bardziej że kilka z nich wypłynęło i stało się celem postępowania restytucyjnego prowadzonego przez polskich urzędników, jak chociażby obraz Jana van Goyena *Holenderski brzeg rzeki*, który jego ojciec zabrał z niemieckiego magazynu w 1946 roku, a potem sprzedał w 1992 na aukcji w Sotheby's.

Ten ruch otworzył mu nie tylko furtkę do nowej służby, ale też zapewnił pewien parasol bezpieczeństwa, który roztoczyli nad nim politycy. Niektórzy mogliby pomyśleć, że to była forma wkupnego. A i tak przekazał

tylko te obiekty, które wydawały się mało chodliwe na rynku antykwarycznym, bo ciekawsze obiekty, które zachował w swojej rezydencji, nadal starał się dyskretnie sprzedawać w Wiedniu lub Szwajcarii. Robił to zupełnie legalnie jako przedsiębiorca, prowadzący działalność gospodarczą na całym świecie. W ten sposób upłynniał kolekcję monet, której właścicielem przed laty był ród Potockich.

Nie miał pojęcia, co stało się z jego kolekcją po przejęciu jej przez polityków związanych z komisją weryfikacyjną WSI. Czy obrazy zostały zawieszane na ścianach w budynkach resortu obrony narodowej, czy były po cichu sprzedawane za granicą? Nie słyszał bowiem, aby zostały przekazane do któregoś z muzeów. Z dokumentu, który formalnie ciągle był tajny, wynikało, że skarb liczył 131 obrazów, gdy on przekazał ich w rzeczywistości 151, monet wyszczególniono 1015, gdy on wiedział, że przekazana kolekcja numizmatów liczyła o dwadzieścia sztuk więcej.

Cydejko zamknął drzwi sejfów. Spojrzał na swoją prywatną galerię i zdjął ze ściany dzieło artysty z przełomu XVIII wieku Carla Rottmana zatytułowane *Akropol w Sykionie*, następnie – nie bez trudu, bo obraz miał szerokość metra – wycofał się z nim z podziemnego korytarza. To miał być prezent dla wyjątkowej osoby. Postawił go przy ścianie i gdy złapał zasięg w swojej komórce, wybrał numer telefonu Czarneckiego.

– Jesteś? Okej. Bądź ostrożny. Daj znać, co się dzieje – powiedział tylko, odłożył telefon na blat kuchni i wrócił do łazienki, aby się przebrać.

ROZDZIAŁ 27

jesień 2022 r.

Jantar

Czarna škoda zatrzymała się przed bramą wjazdową do pensjonatu Tulipanowy Gościniec w Jantarze na Pomorzu. Zawadzki wyszedł z pojazdu i wbił w klawiaturę podaną w SMS-ie kombinację cyfr, następnie wsiadł do auta. Brama powoli się otworzyła, a on ruszył. Znalazł się na terenie ogrodzonej z każdej strony posesji, otoczonej zadbanym ogrodem, pełnym krzewów i różnych kwiatów; wokół kęp lawendy krążyły dziesiątki motyli. Zawadzki nigdy wcześniej czegoś podobnego nie widział. Obok kręciły się drewniane wiatraczki w kształcie bocianów, rozstawione były leżaki i dwa hamaki zawieszzone na specjalnych stelażach. Nad obiektem górował słup, na którym umieszczono bocianie gniazdo, z niego zaś wystawały główki młodych ptaków.

W niewielkim basenie pluskało się kilkoro dzieci, a przy stoliku obok wejścia do kawiarni, rozluźniona po wypiciu prosecco, grupa przyjaciół grała w uno. Zawadzki wszedł na doskonale utrzymany trawnik i usiadł na drewnianym leżaku. Przymknął oczy i zwrócił twarz do słońca.

– Czołem – usłyszał z boku.

Odwrócił się. Zmierzał do niego, z dwiema filiżankami kawy, uśmiechnięty mężczyzna w wieku około pięćdziesięciu lat. Zawadzki z trudem się podniósł, gdy mężczyzna stawiał kawę na drewnianej skrzynce po owocach. Uściskali się jak starzy znajomi, poklepalili mocno po plecach.

– Dawno, Roman... Ile to wody w tym czasie upłynęło w Sanie? – odezwał się Zawadzki.

– No, musimy się wybrać na ryby, ale może w październiku, wtedy Bieszczady oddają swój urok jak nigdy indziej.

– Trzymam cię za słowo. Siadajmy.

– Co cię sprowadza?

Roman Jaworski w Agencji był cyberspecjalistą. Z Zawadzkiem znali się od wielu lat, poznali się jeszcze w połowie lat 90. podczas kursu organizowanego w Starych Kiejkutach. Mieszkali wtedy w jednym pokoju. Od tego czasu ich drogi zawodowe trochę się rozjechały, ale utrzymywali relacje towarzyskie. Ich rodziny się znały. Często, gdy tylko Zawadzki był w kraju, spotykali się na wspólnych grillach. Lubili też spędzać czas tylko w męskim towarzystwie w trakcie wypadów na Podkarpacie, aby powędrować po górach Beskidu Niskiego albo zaszyć się w lesie w namiocie i przez kilka dni wędkować nad Sanem. Głównie brały tam leszcze i płocie.

– Umówiłem się tutaj z tobą, aby nikt nam nie przeszkadzał... Rozumiesz? – odezwał się Zawadzki.

– To bezpieczne miejsce, z cudzoziemców jest tylko para Czechów, ale teraz ich tutaj nie ma.

– Słyszałeś, że miałem przeciek w swojej placówce?

– No, coś mi się obilo o uszy. – Jaworski wyszczerzył zęby. – A w zasadzie wykonywaliśmy w tej sprawie jakieś czynności, na zlecenie wewnętrznego.

– No i nic z tego nie wyszło. Ciągle nie wiem, kim jest kret. Kto mi sprzątnął sprzed nosa informatora, a do tego odnoszę wrażenie, że w centrali ktoś pode mną ryje dołek.

– Tia... Nie masz przy sobie przez przypadek telefonu?

– Zostawiłem w hotelu w Gdańsku, a samochód sprawdziłem, nie ma GPS-a.

– Dobra. To słuchaj... A może wino? Piwo? Mają tutaj doskonałe rzemieślnicze, z browaru Cieszyn.

– Poproszę, pójdę z tobą.

Weszli do kawiarni, z lodówki wyjęli dwie brązowe butelki lagera. Wrócili na swoje miejsce, ale leżaki przestawili w cień, pomiędzy młode drzewa brzozy, aby nikt im nie przeszkadzał.

Jaworski pociągnął spory łyk.

– Pyszne, zimne, przy tych upałach. Ale, ale... wracając do tematu. Z kontroli urządzenia, którym nadawałeś komunikat, wynika, że nikt się do niego nie włamał, nikt przy nim nie manipulował. Moja teza jest taka: ktoś ma dostęp do tego urządzenia, zna system łączności i kodowania wiadomości. Dlatego mógł odwołać wysłany przez ciebie komunikat i wysłać nowy. Musi doskonale znać miasto, skoro podał właściwe koordynaty spotkania.

– W zasadzie tego mogłem się domyślać. Teraz mam tylko pewność.

– Musisz szukać wokół najbliższego otoczenia. Może szyfranci? Ilu ich tam macie?

– Trochę się zmieniają, ale jakieś wyjście jest...

– Zrób im test...

– Dobry pomysł.

– Po drugie przy sprawie pracują, albo co najmniej się nią interesują, nasi zieloni.

– Wojsko? Dlaczego?

– Plotka jest taka, że realizowali oni operację specjalną związaną z przerzutem broni na Bliski Wschód i chyba im coś nie do końca wyszło. Wpadli w panikę, gdy ten twój informator na coś wszedł. Czy ty wiedziałeś, że on wysłał materiały, z pominięciem ciebie, bezpośrednio do kierownictwa centrali na Miłobędzkiej?

– Nie, ale mogłem się domyślać, bo pojawili się nagle ludzie z Warszawy, wypytywali o niego. Niewiele mogli się dowiedzieć, bo wiesz, dla mnie... współpracownik to święty człowiek. On też się naraża, jak i ja. A nawet bardziej. Wiem, że coś miał, bo przysłyły szczegółowe pytania, aby mu je

zadać w trakcie tego spotkania. Ktoś miał z nim rozmawiać, nie byłem w to wprowadzony do końca.

– Nie dziwi cię to?

– Jak nie? No przecież tak.

– No i jeszcze jedno. – Jaworski sięgnął po butelkę piwa. – Taka plotka korytarzowa. Podobno ktoś z naszych, z kierownictwa, był „w lesie” na kursie z ludźmi przysłanymi wtedy przez WSI. Oni nie mieli jeszcze wtedy swojego ośrodka.

– To ciekawe, powoli wszystko się układa. Czyli zieloni mogą mieć u nas kreta? Kurwa, to wszystko jest pojebane.

– Na twoim miejscu sprawdziłbym ludzi, którzy pracują z tobą, pod kątem tego, czy przeszli przez wojsko.

– Dobra rada. Zobaczymy, czy to przyniesie efekt.

– Okej, zatem za spotkanie. – Jaworski stuknął swoją butelkę o szkło Zawadzkiego. – Zapraszam cię teraz do Małego Holendra, to niedaleko, kilka kilometrów, kuchnia kaszubska. Polecam. Ja prowadzę.

ROZDZIAŁ 28

jesień 2022 r.

Düsseldorf

Po przylocie na lotnisko w Düsseldorfie wynajął samochód – nowego czarnego passata. Zaparkował w centrum miasta, a potem przeszedł się wzdłuż Renu, aby zobaczyć, jak w dzień wygląda miejsce, do którego miał się udać w nocy. Barki zacumowane były wprawdzie blisko siebie, ale wokół panował spokój.

Czarny odniósł wrażenie, że niektóre z nich nie są zamieszkałe, być może wykorzystywano je jako magazyny. Położył się na soczystej trawie pod drzewem w parku Golzheim, zmrużył oczy, bo przez poruszane przez wiatr liście przebijały się ostre promienie słońca.

Skupienie jeszcze bardziej wydobyło kanciastość jego podłużnej twarzy. Z lekko kręconych czarnych włosów wyjął kawałek patyczka. Zadanie w sumie było proste. Miał wyciągnąć od osoby, która wysłała film z „ożywionym” Ziyadem, kim jest i co wie. Miał ją tylko postraszyć.

W przeszłości wykonywał bardziej złożone, trudniejsze i niebezpieczniejsze misje. W latach 90. jako podoficer Zarządu Wywiadu Inspektoratu Wojskowych Służb Informacyjnych uczestniczył w misji wojskowej w Kosowie. W 1998 roku brał udział w zatrzymywaniu zbrodniarzy wojennych, którzy stali za zabójstwami bośniackich muzułmanów. Jego wygląd i doskonała znajomość języka serbsko-chorwackiego pozwalały mu wmieszać się w tłum miejscowych, aby znaleźć miejsce, gdzie się ukrywali, a w zasadzie spokojnie mieszkali, byli żołnierze serbscy. To było lawirowanie na krawędzi, dekonspiracja mogła

skończyć się jego śmiercią. Potem wykonywał inne zadania, które wymagały kreatywności. Tak było, gdy pilotował transport pistoletów, które miały trafić do estońskich grup przestępczych. Sprawa się wydała i skończyła kompromitacją dla służby, bo część z tej broni, na zasadach reeksportu, trafiła do polskich grup przestępczych, a te użyły jej nie tylko w porachunkach, ale zaczęły z niej strzelać do policjantów. Jego nazwisko pojawiło się w śledztwie, które w sprawie nielegalnego przemytu broni prowadziła prokuratura.

Przez krótki czas brał udział w typowaniu majątków Polaków, którzy bezpotomnie zmarli na zachodzie Europy. Ich domy były później przejmowane przez podstawionych ludzi, związanych z Inspektorem WSI. Raz nawet uczestniczył w przemyśle elektroniki z Niemiec, po to, aby trafiła ona do kontrolowanej przez służbę firmy. Jej środki zasilają fundusz operacyjny. Właśnie wtedy poznał Antoniego Cydejkę, który zaproponował mu, aby odszedł z wojska i podjął z nim współpracę w jego firmach, które robiły to samo, tyle że bez zbędnej konieczności codziennego pisania notatek do przełożonych oficerów.

Raz tylko zabił. To było zimą w 1998 roku w niewielkiej wsi na pograniczu Kosowa i Czarnogóry, w pobliżu miasteczka Radac. Ochrona poszukiwanego Bośniaka chyba domyśliła się, kim jest. Dwóch ludzi z długą bronią, w baranicach i kozuchach, wyciągnęło go z lokalnej knajpy i poprowadziło za wieś. Był przekonany, że na odludziu dostanie kulkę w plecy. Gdy minęli linię domów, błyskawicznie wyjął ukryty za paskiem nóż i zadał cios w plecy temu, który szedł przed nim, po czym odwrócił go i nacisnął na wiszący na jego szyi spust odbezpieczonego karabinka. Zabił drugiego. Strzały spowodowały, że z pobliskich domów zaczęli wychodzić miejscowi, też uzbrojeni. Jakimś cudem udało mu się jednak uciec. Maszerował przez góry dwa dni, aż dostał się do Czarnogóry. Stamtąd został przerzucony do kraju.

Chrzest bojowy przeszedł jednak w kwietniu 1995 roku w czasie misji UNCRO, czyli Sił Pokojowych ONZ w Chorwacji. Pełnił wtedy służbę w miejscowości Vojnovac około osiemdziesięciu kilometrów na południe

od Zagrzebia. Jako młody żołnierz był świadkiem śmierci swojego kolegi i przełożonego kaprała Piotra Moszyńskiego. Kaprał wracał wraz z pijanym kolegą z innego posterunku, biegli do miejsca zbiórki, aby się nie spóźnić, a w tym czasie jego znajomy nożem próbował otworzyć puszkę z piwem. Zrobił to tak niefortunnie, że przeciął Moszyńskiemu tętnicę udową. Wszystko widział Czarny, który za nimi biegł.

Dowódca posterunku wraz ze sprawcą wypadku nieudolnie próbowali tuszować sprawę i twierdzili, że posterunek zaatakowali Chorwaci, ci od razu odpowiedzieli, że ataku nie organizowali i mogli to być krajińscy Serbowie. Prawda wyszła dzięki jego zeznaniom, bo był świadkiem śmierci Moszyńskiego. Wtedy po raz pierwszy jako dojrzały mężczyzna uświadomił sobie, jak życie może być kruche, a okoliczności śmierci człowieka banalne. A także, że wojsko nie dba o bliskich ofiary, bo zgubiło na lotnisku trumnę ze zwłokami żołnierza. Jego pogrzeb odbył się dzień później, niż planowano.

Czarny przymknął oczy i na chwilę zasnął. W półśnie jeszcze raz powtórzył, co tego dnia musi zrobić. Plan miał w głowie.

Ocknął się, gdy zobaczył nad sobą pysk psa. W pierwszej chwili się przestraszył, ale wystarczyło, że odgarnął ręką włosy, a zwierzak pobiegł za swoim panem, który uprawiał jogging.

Wtedy podniósł się, rozprostował ciało i ruszył w kierunku centrum miasta. Spojrzał na zegarek, miał jeszcze godzinę, dlatego usiadł w knajpce przy Fischerstrasse i zamówił sznycel z sałatką ziemniaczaną oraz lokalne łagodne świeże ciemne piwo Uerige Alt.

Zapłacił dwadzieścia euro i poszedł w kierunku stacji metra Nordstrasse. Wsiadł w kolejkę podziemną i przejechał ledwo dwa przystanki do Kennedydamm. Sprawdzał się, nikt za nim nie szedł, na peronie było zupełnie pusto.

Na pobliskiej Rolandstrasse otworzył będącym w jego posiadaniu kluczem kłódkę plastikowej przenośnej toalety firmy Dixi. W środku leżała niewielka paczka. Otworzył ją. W ręku miał szwajcarski pistolet SIG-Sauer P228. Sprawnie wyjął magazynek i sprawdził, czy znajdują się w nim

pociski. Magazynek był pełny, w sumie 20 kul. Włożył go z powrotem, zabezpieczył broń i schował ją z tyłu za paskiem spodni. Puste pudełko zabrał ze sobą. Wyrzucił je kilkaset metrów dalej do śmietnika. Nie wiedział, kto zostawił mu broń, wiedział tylko, że w tym przypadku użyta została ścieżka bezosobowego przekazania broni wykorzystywana przez wojskowe służby za granicą Polski.

Dochodziła godzina 22. Od rzeki wiał lekki wiatr. Na barce Nautica panował spokój. Czarny ustawił się w cieniu drzewa, na uklepanej ziemi ze śladami opon motocykla. Był niezauważalny dla tych, którzy ćwiczyli bieganie albo śmigali po asfalcie wzdłuż Renu na rolkach. Widział, że ruch w pobliżu trapu uruchamia lampę, która oświetlała wejście. To zaś było solidne, na pierwszy rzut oka wzmocnione metalowymi płytami. Trap pod wpływem ruchu wody wydawał z siebie jakby rytmiczne stękanie. Nasiliło się ono, gdy obok przepłynęła barka z węglem, a na wodzie został tylko kilwater.

Czarny zapalił papierosa, schował go w dłoni, aby nikt nie zauważył żarzącego się ognika. „Jest?” – błyskawicznie odrzucił go pod siebie. Przy trapie przystanąła może trzydziestoletnia brunetka, ubrana w białe buty marki Puma, sportowe legginsy i elastyczną sportową koszulkę. Na ręce miała przypięty telefon z aktywną aplikacją do mierzenia tętna. Przystanąła przy trapie, rozglądnęła się, stanęła na wprost do wejścia, oparła się rękami o poręcz trapu i zaczęła intensywnie wymachiwać, na przemian, nogami na boki. W pewnym momencie schyliła się obok betonowego polera w kształcie litery H, na którym umieszczone zostało ucho metalowej liny cumowniczej, i dotknęła ukrytego przycisku. W drzwiach coś zgrzytnęło, mechanizm zwolnił zamek. Weszła na trap. Czarny na to czekał. Wskoczył z cienia, jednym susem, niczym zwinny kot, skoczył, wepchnął dziewczynę w uchylone drzwi, te pod wpływem gwałtownego uderzenia otworzyły się szerzej. Zaskoczona kobieta wpadła do środka, uderzyła twarzą o kant krzesła i na krótko straciła przytomność. W tym czasie Czarny podniósł się, zatrzasnął drzwi, stanął w lekkim rozkroku nad jej głową. Powoli wyjął pistolet i wymierzył w jej korpus.

– Wstawaj, no już! – krzyknął.

Do Iny początkowo jego słowa nie docierały, nadal czuła się oszołomiona. Dotknęła dłonią głowy, z nosa leciała jej krew. Poczula jej metaliczny smak w ustach. Rozmazała ją, ślad wyglądał, jakby bezwładnie pociągnęła czerwoną pomadką po policzku.

Czarny zgarnął z kuchennego blatu papierowy ręcznik i niedbale rzucił go na jej głowę.

– Wytrzymaj się, zatamuj sobie krwotok. No, ogarnij się! – Podniósł głos.

W pomieszczeniu panował półmrok. Po otworzeniu się drzwi wejściowych automatycznie zaświeciły się tylko niewielkie lampki LED przy kuchence gazowej, pod którą stała butla. Ina wstała i usiadła na hokerze.

– Czego chcesz? – Spojrzała na niego pytająco, ale w jej oczach pojawił się też strach. Czarny to wychwytał.

– Wysłałaś film z takim Kurdem, co już nie żył. Pamiętasz?

Ina milczała, otarła papierem nos.

– Nie słyszysz!?! – Czarny przystawił jej pistolet do czoła. Ina zamknęła oczy.

– Ale o co ci chodzi? Ja nic nie wiem.

– Doskonale wiesz, wysłałaś film. Tak? Kto ci to kazał zrobić? Co wiesz o tym Kurdzie? – Cofnął pistolet, odbezpieczył go, przeładował i ponownie przystawił do jej skroni. – Bo skończysz jak on. Słyszysz? – Kopnął Inę w kolano, a ona cicho stęknęła.

Zagryzła zęby. Nogą z całej siły odepchnęła się od podłogi, krzesło się odwróciło, w tym samym momencie wygięła głowę do tyłu, i z całej siły uderzyła dłonią w uzbrojoną rękę Czarnego. Ten mimowolnie nacisnął na spust. Pocisk z impetem wyleciał z lufy i uderzył o wąż, którym butla z gazem łączyła się z kuchenką. Czarny ujrzał jeszcze krótki błysk iskry, a potem nastąpił wybuch. Kuchnię gwałtownie ogarnął niebieski płomień. Po kilku sekundach przeniósł się na dywany, temperatura natychmiast wygięła stelaż szklanej ściany, która rozprysła się na drobne kawałki.

Ogień pełzał w kierunku szaf z serwerami. Uruchomił się system zraszający, ale woda, która z niego spływała, pod wpływem wysokiej temperatury od razu zamieniała się w parę.

Czarny doskoczył do drzwi wejściowych, chwycił za klamkę i ją wyrwał. Otwarcie drzwi spowodowało, że podmuch powietrza jeszcze bardziej wzniecił płomień. Ogień był już wszędzie, wchłaniał drewniane wyposażenie mieszkania i podłogę barki, błyskawicznie zamieniał w spalający się i kapiący płyn wszystkie plastikowe elementy. Mężczyzna wybiegł na zewnątrz, zrzucił z siebie nadpaloną koszulkę i zatopił się w ciemności miejskiego parku.

Po kilkunastu metrach biegu stanął i się odwrócił. Miał przed sobą wysoką na kilka metrów pochodnię. Drewniana barka płonęła już cała. W pewnym momencie usłyszał metaliczny szczęk rozrywanego szkieletu. Dziób jednostki, bardziej obciążony, przełamał się i powoli zanurzał w nurt rzeki. Rufa podniosła się i gwałtownie opadła. Zmrużył oczy, bo nastąpił kolejny wybuch. Odniósł wrażenie, że na tle pomarańczowej łuny majaczy jakaś postać. Popęłnił błąd, po raz pierwszy nie docenił przeciwnika. Dotarło do niego, że to, co zrobił, było niewybaczalne. Zawrócił.

Milusha liczyła na to, że po męczącym dniu przeprowadzki, pakowania i przenoszenia paczek wreszcie zrelaksuje się na barce Iny. Pędziła motocyklem przez miasto, jak zwykle zbyt szybko, łamiąc przepisy drogowe, i myślała tylko o tym, co dobrego przygotowała tym razem jej partnerka. W schowku miała butelkę hiszpańskiego czerwonego wina.

Na chwilę zwolniła, gdy nad Renem ujrzała feerię błyskających świateł. W pierwszej chwili pomyślała, że ktoś znowu urządził pokaz laserów. Po chwili ponownie nacisnęła manetkę triumpha. Zbliżając się, widziała już tylko charakterystyczne niebieskie błyski lamp wozów straży pożarnej i policji. Wiedziała, że coś się pali, ciągle jednak nie miała pewności, czy to Nautica.

Zatrzymała się kilkadziesiąt metrów od barki, położyła motocykl na ziemi, podbiegła bliżej. Od Nautiki oddzielała ją biało-czerwona taśma

policyjna. Miała przed sobą powyginany od wybuchu, dymiący i częściowo zatopiony poczerniały wrak. W powietrzu czuć było toksyczny zapach spalonej chemii. Po rumowisku ostrożnie stąpali strażacy w swoich odblaskowych kombinezonach i dogaszali miejsca, gdzie tlił się jeszcze płomień.

– Proszę odejść. – Jakiś policjant wydał jej polecenie, ale ona tego nie słyszała. W głowie miała szum i jedno pytanie: „Gdzie jest Ina?”. Zdjęła kask, rzuciła nim o ziemię, odeszła na bok, oparła się plecami o drzewo, zsunęła na dół i zakryła twarz rękami. Nie była w stanie na to patrzeć. Wstała, zaczęła nerwowo chodzić w pobliżu. Zachowywała się jak porzucony pies, który próbuje znaleźć właściwą drogę do domu. Kręciła się w kółko, nagle przystawała, aż usiadła na krawężniku. Obok stanęło kilku dziennikarzy. Podszedł do nich młody policjant.

– Już możemy nagrywać? – zwrócił się spokojnie do nich.

– Chwilę, panie rzeczniku. Dobrze już... proszę – usłyszała i zaczął mówić.

– O godzinie dwudziestej drugiej trzydzieści straż pożarna otrzymała zgłoszenie od biegacza o pożarze na barce. Na miejsce przybyły trzy wozy strażackie i policja. Ogień był bardzo rozwinięty, obejmował całą jednostkę. Doszło do kilku eksplozji. Na razie trudno mi powiedzieć, co było tego przyczyną. Ze wstępnych informacji wynika, że barka służyła za mieszkanie. Na razie nie mamy kontaktu z osobą, która ją zamieszkiwała. Po ugaszeniu pożaru barka zostanie przeszukana. Najpewniej także rzeka obok tego miejsca, bo jak widzicie, częściowo osiadła ona na dnie. Nurkowie jednak będą mogli rozpocząć prace dopiero rano, gdy będzie widno. Zresztą teraz niektóre elementy metalowe barki ciągle mają wysoką temperaturę, one muszą ostygnąć, dopiero wtedy będą możliwe oględziny.

– Przyczyna? – odezwała się blondynka ze słuchawkami na uszach, trzymająca przed sobą mikrofon bezprzewodowy, na który nałożona była czarna gąbka i trójkątna nasadka z logo radia WDR 2.

– Za wcześnie, to stwierdzi biegły technik po bardzo szczegółowych oględzinach. One odbędą się dopiero jutro, w dzień. – Policjant spojrział na

zegarek. – A w zasadzie dzisiaj... Dziękuję, tyle mam do powiedzenia – zakończył, odwrócił się i odszedł powoli w kierunku barki.

Milusha z wściekłością uderzyła pięścią o beton i wstała. Czuła bolesne pulsowanie dłoni, w głowie miała pustkę.

ROZDZIAŁ 29

jesień 2022 r.

Teheran/Wrocław

Ryk silnika lotniczego zagłuszał pozostałe dźwięki, świdrował w uszach, powodował drgania każdej komórki ciała. W nozdrza wbijał się zaś mdły zapach oleju silnikowego, zmieszanego z paliwem lotniczym. Doktor Michał Kosiński siedział na fotelu przyczepionym prowizorycznymi pasami do bocznej ściany wojskowego samolotu CASA C-295M. Był roztrzęsiony, pocił się każdym porem ciała, chociaż w luku bagażowym było zimno.

Z niepokojem obserwował, jak technik pokładowy w szarym lotniczym kombinezonie z biało-czerwoną naszywką na ramieniu i z czarnymi słuchawkami na uszach przez cały czas krąży pomiędzy okrągłymi bocznymi okienkami samolotu. Sprawdzał, czy wirniki silnika pracują. Istniało bowiem ryzyko, że mogą się zatrzymać. Kontrolował też, czy z silnika nie wyciekają jakieś płyny techniczne.

Lecieli już dwie godziny nad pustynią, w kierunku wojskowej bazy wojsk amerykańskich Ahmad al-Dżabir w Kuwejcie, tam mieli zatankować samolot, chwilę odpocząć, może też coś zjeść i ruszyć w dalszą drogę, tym razem do Ankary w Turcji. Stamtąd został im tylko kilkugodzinny skok na lotnisko wojskowe we Wrocławiu.

Kosiński był spocony i brudny. Cuchnął. Nie kąpał się od wielu dni. Był głodny, bo strażnicy wyciągnęli go z celi o trzeciej w nocy, pozwolili zabrać niemal pusty plecak, w którym miał tylko kilka ubrań, resztę rzeczy osobistych i notatki zabrali oficerowie służb w trakcie przeszukania.

Wsadzili go do furgonetki, którą dojechali na lotnisko w Teheranie. Czekał w niej godzinę, zanim załatwione zostały wszystkie papierowe formalności związane z jego powrotem do kraju. Skutego przeprowadzili pod rampę załadunkową samolotu, dopiero wtedy zdjęli mu kajdanki i pozwolili wejść na pokład. Przywitał go pilot major Andrzej Wyrozembski. Technik zabezpieczył rampę parcianymi pasami, aby się nie otworzyła w trakcie lotu. Gdy usiadł na fotelu i zapiął pasy, maszyna ruszyła. Pilot wręczył mu jeszcze, bez słowa, butelkę polskiej wody mineralnej.

Po kilkunastu godzinach lotu z przerwami w Kuwejcie i Turcji samolot podszedł do lądowania na płycie lotniska we Wrocławiu-Strachowicach. Zapadł już zmrok, Kosiński przez boczne okienka widział jedynie migające światła innych samolotów. Był otępiały. Przez cały lot nikt z nim nie rozmawiał, o nic nie pytał.

W Kuwejcie dostał tylko dwie kanapki z kurczakiem, pomidorem i serem. Kolejny, tym razem ciepły, posiłek w plastikowym pojemniku otrzymał w trakcie tankowania w Turcji – był to ryż z rybą i sałatką coleslaw.

Geolog był wyczerpany, chociaż ryk silnika i ciągły intensywny zapach toksycznego dymu, który towarzyszył mu przez cały czas podróży, nie pozwalały na normalny sen, organizm domagał się wypoczynku. Kilka razy, nie wiedział na jak długo, zasnął, siedząc w fotelu.

Samolot wylądował, rampa się uchyliła, ale dwa silniki nadal pracowały. Z ciemności wyszedł młody mężczyzna w mundurze. Przywitał się:

– Porucznik Małąg. – Wyciągnął rękę. – Mogę pomóc z plecakiem – dodał, uśmiechając się.

– Nie, on jest prawie pusty – odparł zmęczonym głosem Kosiński.

– Zapraszam za mną – powiedział oficer i ruszył sprężystym krokiem przez płytę lotniska do zaparkowanego w pobliżu ciemnego opla. Przystanęli obok samochodu, oficer otworzył bagażnik, w którym wylądował plecak naukowca.

– Proszę na siedzeniu położyć jakiś worek albo coś takiego... – odezwał się Kosiński.

Oficer nie krył zaskoczenia.

– Po co?

– Wie pan, nie chcę, aby zabrudziło się siedzenie.

Porucznik spojrział na niego badawczo, zastanowił się i z tylnego kufra wyjął plandekę. Rozłożył ją na czarnym skórzanym siedzeniu.

– Już możemy jechać, zapraszam do środka. Czeka nas godzina jazdy samochodem – stwierdził oficer Służby Wywiadu Wojskowego, który niedawno wrócił z misji w Iraku.

– Nie jedziemy do mojego domu?

– Na razie nie, ale na miejscu otrzyma pan wyczerpujące informacje.

Ruszyli na północny zachód w kierunku Bolesławca.

Oficer włączył popularne komercyjne radio. Prowadzący wiadomości relacjonował newsa, krążącego od rana w kilku mediach, o tym, że minister kultury poprzez sieć instytucji, które niedawno stworzył, przekazywał wielomilionowe środki publiczne, naruszając obowiązujące procedury prawne, do firm prowadzonych przez jego politycznych stronników i ich rodzin.

„Mamy do czynienia ze złamaniem wszelkich reguł państwa prawa i z nepotyzmem w czystej postaci. Ta sprawa powinna być zbadana przez niezależną prokuraturę” – skomentował w radio aferę jeden z polityków opozycji.

Tymczasem Kosiński zasnął. Obudził się, gdy wolno jechali przez wieś Golnice. Już świtało. Zza drzew wychynęły ostre promienie słońca, a czyste niebo dawało nadzieję na ładną pogodę.

Opel skręcił w boczną drogę, przejechał przez las, rzekę Bóbr i bramę pilnowaną przez żołnierza. Wjechał na teren dawnego artyleryjskiego poligonu sowieckiego, który nie był wykorzystywany od wielu lat, choć wojsko nie pozbyło się tej działki. Zatrzymał się przed niewielkim szarym parterowym budynkiem, ze sporym tarasem, na którym stał metalowy grill. Porucznik wysiadł, pomógł Kosińskiemu wygramolić się z pojazdu, zabrał jego plecak i bez słowa zaprowadził geologa do budynku. Przeszli

korytarzem, oficer otworzył kluczem jedno z pomieszczeń. To był pokój sypialny i łazienka. Postawił na ziemi plecak.

– Panie doktorze, proszę się teraz odświeżyć, nowe ubranie ma pan w szafie, przygotowała je pana żona. Proszę się zrelaksować, wyspać, a wieczorem porozmawiamy. Teren jest ogrodzony, nikt panu nie będzie przeszkadzał, może się pan czuć bezpiecznie. W pokoju jest telefon, gdyby pan czegoś potrzebował, wystarczy podnieść słuchawkę, odbierze dyżurny.
– Oficer był wyjątkowo uprzejmy.

Małąg delikatnie zamknął drzwi i wyszedł. Kosiński usłyszał dźwięk odjeżdżającego samochodu. W tym momencie drzwi się uchylły i do środka wkroczył żołnierz. Niósł jedzenie na tacy. Postawił ją na stoliku pamiętającym lata 80. XX wieku.

– Proszę – powiedział tylko szeregowy, stuknął obcasami, odwrócił się i wyszedł. Na tacy był talerz z ciepłą jajecznicą, posypaną szczypiorkiem, pokrojone pomidory, plastry szynki konserwowej, musztarda, dżem i ketchup, cukier i sól w papierowych saszetkach, trzy kromki chleba i masło w małym opakowaniu. Obok stała pusta szklanka, kawa znajdowała się w termosie.

Kosiński rzucił się na jedzenie, jakby się obawiał, że zaraz ktoś je zabierze. Jadł łapczywie. Po raz pierwszy od miesiący wyczuł w ustach znajomy smak. Pochłoniął całą jajecznicę i natychmiast pobiegł do łazienki, zgiał się wpół i zwymiotował do muszli klozetowej. Obmył twarz zimną wodą. Zrzucił z siebie całe ubranie, wyniósł je przed dom, na taras, i tam zostawił. Odzież ciągle przesiąknięta była oparami lotniczymi.

Wszedł pod prysznic i usiadł w brodziku. Twarz ukrył w dłoniach, jego ciałem wstrząsnęły spazmy, po policzkach spływały łzy, które od razu zmywała ciepła woda spod prysznicza.

Małąg i pułkownik Roguski obserwowali obraz przez wewnętrzny monitoring. Widzieli, jak Kosiński zachowuje się w kilkanaście godzin po uwolnieniu. Godzinę spędził pod prysznicem, potem zasłonił okna, włączył światło i zamiast ułożyć się w łóżku, usiadł w kucki przy ścianie w swoim pokoju i tak przez kilka godzin tkwił w zupełnym bezruchu. Co jakiś czas

wstawał, podchodził do termosu z kawą, otwierał go tylko po to, aby powąchać zapach napoju, ale go nie pił, jakby bał się gwałtownej reakcji organizmu. Łapczywie pił za to wodę, wlał w siebie już trzy duże butelki, wysypał na dłoń sól i co jakiś czas ją zlizywał. Potem wsypał do ust całą saszetkę cukru, i długo go gryzł.

Nie ulegało wątpliwości, że jest w fatalnej kondycji. Nie tylko był wyczerpany, ale ciągle reagował tak, jakby znajdował się w więzieniu, tyle że miał dostęp do dóbr tam nieosiągalnych – jedzenia i picia.

– Źle to wygląda. Jak pan myśli, poruczniku?

– Tak, panie pułkowniku. Potrzebuje kilku, może kilkunastu dni, zanim będzie zachowywał się tak jak przed osadzeniem.

– Co oni z nim robili?

– Odcieśli go od ludzi, pełna izolacja, katowali światłem, może puszczali jakieś dźwięki. Jutro zbada go lekarz i odbędzie rozmowę z psychologiem. Z zewnątrz nie wygląda, aby został pobity.

– Niech to będzie też otolaryngolog.

– Tak jest!

– Wejdę do niego. Pan, poruczniku, niech tutaj zostanie.

Filip Roguski odsunął fotel, podniósł się sprzed monitora, wyszedł z pomieszczenia. Po chwili wmaszerował do pokoju, w którym przebywał uwolniony. Gdy drzwi się uchyliły, Kosiński gwałtownie wstał – jakby ktoś wydał mu polecenie. Stał wyprostowany i w milczeniu czekał na reakcję żołnierza.

Pułkownik podszedł do niego i podał mu rękę.

– Witam, doktorze. Jest pan wolny. Może się pan czuć bezpiecznie, gwarantuję to żołnierskim słowem.

– Tak, a... a kiedy będę mógł stąd wyjść?

– Może pan wychodzić z budynku w każdej chwili. Wokół są lasy, jest rzeka. Teren jest ogrodzony, może pan odpoczywać.

– A moja żona, dzieci?

– Czują się dobrze, u nich wszystko jest w porządku. Musi pan tutaj zostać przez kilka dni, powiedzmy, aby dojść do siebie. Na takiej kwarantannie. Jutro zbada pana lekarz, będzie starał się pomóc. Jeszcze raz powtarzam: proszę być spokojny o swoją przyszłość. Nikt panu już nie zrobi krzywdy.

Chociaż przez cały czas Kosiński uciekał wzrokiem na bok i nie mógł się skoncentrować, te słowa go uspokoiły. Niewidzialne napięcie powoli z niego uchodziło. Zmienił postawę, już nie stał na baczność, ale – jak by to powiedział żołnierz, w pozycji na „spocznij”.

– Proszę mi powiedzieć, czy pan wie, co spowodowało, że został wypuszczony.

– Nie – odpowiedział naukowiec po chwili zastanowienia. – Ale...

– Ale?

– Jakiś czas temu, trudno mi dokładnie określić czas, bo nie wiedziałem, jak upływał, coś się w ich zachowaniu zmieniło. Dostawałem lepsze jedzenie, więcej wody. Odniosłem wrażenie, że przestali koncentrować uwagę na mojej osobie – mówił zupełnie składnie, jakby powoli jego umysł wracał z innego wymiaru.

– Rozumiem. Nic poza tym?

– Tak, ale...

– Proszę mówić.

– Ale... – Zamyślił się. – Wydawało mi się, że byłem jednak ciągle obserwowany. Musi pan zrozumieć, ja przez ten czas w zasadzie nie miałem z nikim kontaktu, no tylko z takim, no... – Odchrząknął. – Klawiszem. Ale tam byłem przez cały czas obserwowany, bo w kamerze bez przerwy paliło się czerwone światelko. Takie jak teraz u mnie w tym pokoju i łazience...

– Poproszę, aby je wyłączono – obiecał pułkownik. – Proszę zatem odpoczywać, niebawem wróci pan do bliskich, a potem na uczelnię.

– Myśli pan?

– Jestem tego pewien, tylko chciałbym pana prosić o trzymanie się zasady, aby nie opowiadać o tym, co pan przeszedł. Szczególnie... mediom. Nikt nie potrzebuje taniej sensacji. Prawda? A pan potrzebuje teraz spokoju. Rozumie pan?

– Tak, tak. – Kosiński pogładził czoło dłonią. A potem coraz mocniej zaczął pocierać nią o skroń. Jakby zapomniał, co robi, wykonywał mechaniczne ruchy.

– Czy coś pana boli?

– Mnie? No chyba nie – odpowiedział, zaskoczony, Kosiński, a jego wzrok zaczął ponownie błędzić po ścianach pokoju, szukając jakiegoś stałego punktu. Roguski odniósł wrażenie, że w myślach znowu przeniósł się do miejsca, w którym przebywał przez ostatnie tygodnie.

– To było ukartowane.

– Tak? Co? – Roguski robił wrażenie zdziwionego.

– No, ktoś mnie wystawił. Tam, w tym Iraku.

– Co pan ma na myśli?

– Jechaliśmy na objazd, rekonesans. To ja kazałem im skręcić w to miejsce, na to kamienne wzgórze. – Kosiński chwilę zbierał myśli.

– I...

– Wtedy się zjawili ci ludzie z bronią. Przecież sam bym się nie wydał, nie skazał na koszmar. Oni przecież mnie bili... Tam nie było żadnego poligonu. Nie chodziło im o poligon, chodziło im tylko o mnie... – Geolog ponownie potarł intensywnie dłonią o prawą skroń.

– To ciekawe, co pan opowiada. Będziemy musieli to sprawdzić. Proszę się nie martwić i nie myśleć już o tym wszystkim. Zbadamy to, proszę pana. – Roguski ostatnie zdanie wyraźnie zaakcentował.

– Panie pułkowniku. – Małą w ciemności stał nad łóżkiem Roguskiego.

– Tak? – Oficer ocknął się i zapalił lampkę nocną. Na zegarku była godzina 3.15.

– Mieliśmy problem z geologiem.

– Co się stało?

– Próbował się powiesić...

– O ja pierdołę, i co... no mówże, człowieku! – Roguski poderwał się z łóżka i usiadł na jego krawędzi.

– Na szczęście dyżurny nie wyłączył tych kamer i wszystko widział. Wbiegł do jego mieszkania, gdy ten założył już sznur do bielizny, taki solidny, na hak przy lampie w swoim pokoju. Zabrał mu go.

– Wezwijcie natychmiast sanitarkę, niech go biorą na oddział psychiatryczny do szpitala we Wrocławiu. Dajcie mu jakąś eskortę. Niech jadą za nim chłopaki z żandarmerii.

– Tak jest, odmeldowuję się. – Małąg wyszedł z pokoju pułkownika.

– Słuchaj uważnie. Daję ci newsa. Jesteś pierwszy. Mam nadzieję, że się przebije od jutra rana do wszystkich mediów i nam przykryje to... no wiesz co, z tym ministrem kultury. Bo to jest nasz sukces. Słuchasz?

Do Pawła Natana w pierwszej chwili nic nie docierało. Był zaspany, bo obudził go telefon, który leżał na stoliku przy łóżku. Otrzeźwiał, gdy skojarzył, że na drugim końcu połączenia jest wiceminister Maciej Rakoczy, jak zwykle lekko zaspany, jakby dokądś szedł.

W kilka minut później na twitterowym profilu Pawła Natana, który miał kilkadziesiąt tysięcy obserwujących, został opublikowany post z tablicą:

Pilne!

Tylko u nas! Dzięki zabiegom dyplomatycznym polskiego rządu uwolniony został porwany w Iraku polski geolog. Jest w dobrej kondycji. Nasz rząd nigdy nie zostawia naszych obywateli bez pomocy! Jutro więcej informacji w Wiadomościach z Polski.

W kolejnym nocnym serwisie informacyjnym o godzinie piątej była to już pierwsza wiadomość. Media powoływały się na wpis na portalu społecznościowym Pawła Natana i przypominały sylwetkę uwięzionego,

a także film, który przed kilkoma miesiącami trafił do dziennikarzy. Tym razem twarz geologa była już zamazana.

ROZDZIAŁ 30

jesień 2022 r.

Bornholm

Milusha mrużyła oczy, światła samochodów jadących z naprzeciwka męczyły je, zasnuwały mgłą. Pomimo adrenaliny, która intensywnie krążyła w jej trzewiach w czasie szybkiej jazdy i dawała siłę, odnosiła wrażenie, jakby ktoś jej sypnął piaskiem w oczy.

Wyruszyła autostradą na północ, w kierunku Hamburga. Już o świcie za tym miastem w okolicach Hoisdorf zjechała do lasu, zaparkowała nad niewielkim jeziorem, położyła się na trawie i zdrzemnęła przez dwie godziny. Potem zjadła kupioną na stacji benzynowej kanapkę, popiła ją wodą.

Do niewielkiego schowka motocykla włożyła jedynie mały szmacyany plecak z dokumentami. Po przyjeździe znad Renu do nowego mieszkania w Essen wyłączyła w nim tylko gaz, prąd, w prowizorycznej skrytce schowała laptop, z telefonu dodatkowo wyjęła baterię. Nie chciała, aby ktoś ją śledził. Przed wyjściem pod drzwi wejściowe włożyła igłę, a w środku mieszkania zostawiła w kilku wybranych miejscach kawałki różnokolorowych nitek, aby po powrocie móc ocenić, czy ktoś je przesunął w trakcie ewentualnego włamania. Musiała zwracać uwagę na każdy szczegół.

Rozebrała się i zanurzyła w jeziorze Hoisdorfer Teiche. Kilka razy zanurkowała w rześkiej wodzie, dopiero wtedy ustał szum w uszach, który towarzyszył jej od momentu, gdy odeszła od płonącej barki. Na chwilę, pod wyjątkowo czystą wodą, przez której lustro przebijały promienie słońca,

znalazła się w stanie jakby oderwania od rzeczywistości, która ją pochłaniała i narzucała swój nieprzewidywalny rytm. Ale obraz płonącej barki na Renie ciągle miała przed oczami.

Ubrała się i ruszyła „jedynką” na Lubekę, a potem Rostock. Jechała już wolniej, była ostrożna, jej zmysły były wyostrzone na jakiekolwiek oznaki zagrożenia. Nie chciała skończyć jak Ina w płomieniach albo Ziyad, z którego życie odpływało przez kilka dni. Miała świadomość, że ona może być kolejna.

Musiała się ukryć, tam gdzie nikt jej nie znajdzie. Potrzebowała resetu.

Przejechała obwodnicą Rostocku i skierowała się na wyspę Rugia. Jednopasmówką przez most sunął akurat wężyk samochodów z turystami, którzy zamierzali spędzić wolne chwile na tej pięknej wyspie lub na łódce. Tym bardziej że pogoda dopisywała.

Wjechała do Sassnitz i w terminalu kasowym kupiła za gotówkę bilet na najbliższy prom, stanęła w kolejce motocyklistów. Po południu wjechała na statek, on zaś odbił od brzegu. Zostawiła maszynę na platformie parkingowej i weszła do kawiarni, zamówiła ciepłe białe kiełbaski, ciemny chleb, jogurt oraz czarną kawę.

Miała przed sobą cztery godziny rejsu, zwinęła się więc w kłębek na skórzanej kanapie przy drewnianej ławce, pod głowę podłożyła swoją skórzaną czarną kurtkę. Zasnęła – zapadła się w nicość. Jak rzadko kiedy, tym razem nie wkroczyła w świat marzeń sennych. Tak jakby świat realny i ten wytworzony przez ludzki umysł jednocześnie zniknęły w jakiejś kosmicznej ciemnej dziurze. A może właśnie tak wygląda śmierć? Obudziła się gwałtownie, gdy burta promu uderzyła lekko o nabrzeże. Podniosła się, wystraszona, i błyskawicznie ruszyła w dół na parking po wąskich metalowych schodach.

Po kilkunastu minutach wężyk samochodów i motocykli ruszył do portu w duńskim Rønne na wyspie Bornholm. Przejechała kilkaset metrów i wjechała na plac parkingowy miejscowego Lidla. Kupiła trochę jedzenia, bieliznę i schowała je do plecaka, który miała w motocyklowym schowku.

Ruszyła ostro wzdłuż lotniska, na którym w czasach zimnej wojny lądowały samoloty wojskowe z uciekinierami z krajów komunistycznych. Pamiętała te historie z opowiadań miejscowych Duńczyków, bo gdy taki samolot zbliżał się do wyspy, ogłaszano alarm, a obronę przeciwlotniczą stawiano w stan gotowości bojowej.

Wjechała na wąską drogę, która wytyczona została wzdłuż pól uprawnych i przez lasy. Mijała wielkie, malowniczo położone gospodarstwa rolne. Przy budynkach z czerwonej cegły pamiętających początek XX wieku wystawione były charakterystyczne drewniane budki, obok których gospodarze stawiali skrzynki z owocami i warzywami, słoiki z miodem i dżemami. Każdy mógł się zatrzymać i sam dokonać zakupu, a wyliczone pieniądze wrzucić do skarbonki lub zwykłego słoika. W podobny sposób można było nabyć wytwory manufaktury ceramicznej. Minęła kilku pensjonariuszy domów pomocy społecznej, którzy poruszali się poboczem na swoich elektrycznych wózkach. Biła od nich okrutna samotność. Musieli liczyć tylko na siebie i sprawność silników o małej mocy napędzanych akumulatorami. W zlikwidowanych gospodarstwach coraz częściej powstawały placówki, w których zajmowano się opieką nad starszymi osobami, opiekunkami głównie były Polki i Ukrainki. Bornholm powoli stawał się wyspą starców.

Drogę, którą jechała, przecinały ścieżki prowadzące przez las i wydmy na dzikie piaszczyste plaże. Miejsca niemal zupełnie puste, na których brzegach gniły wyrzucone przez morze wodorosty i wysuszona morska trawa. Nikt ich nie sprzątał, bo nie było takiej potrzeby.

Po kilkudziesięciu minutach i przejechaniu około dwudziestu kilometrów była u celu podróży. Za mostkiem nad rzeczką Øle Å wjechała w Strandvejen, potem asfalt prowadził przez las. Po chwili skręciła w znaną sobie ścieżkę, która przecinała gęstą zielen drzew i krzewów, i znalazła się na niewielkim placu wyłożonym kostką brukową.

Zaparkowała triumpha obok wejścia do niedużego domku, który kilka lat temu został odnowiony, ale powstał pod koniec XIX wieku. Wiele lat temu kupili go dla niej rodzice, przyjeżdżali tam razem na wakacje. Obok

budynku, pomalowanego na niebiesko i zamkniętego szklaną ścianą szczytową, znajdowała się niewielka komórka postawiona z cegieł dzielonych poczerniałymi balami drzewa, w której przechowywano grill, krzesła, drzewo do kominka oraz kije golfowe. Budynek znajdował się bowiem na skraju klubu golfowego Nexø. Zaledwie kilkanaście metrów od niego było wejście na małe pole z krótko przystrzyżoną soczystą trawą i dołkami oznaczonymi flagami. Dalej znajdował się hazard, czyli przeszkoda, którą stanowił niewielki staw. Pływały po nim bernikle kanadyjskie, ozdobne ptaki, które zadomowiły się w klubie. Z daleka słychać było ich charakterystyczne gęganie. Jeszcze dalej był zaś bunkier, czyli płat piasku.

Spośród bali drzewa Milusha wyjęła klucz, schowany tam przez Svenda Lunda, który pod jej nieobecność doglądał domu. Przyjaźniła się z nim od wielu lat. Był emerytowanym wojskowym, który w latach 80. i 90. XX wieku służył w kilku ataszatach przy duńskich ambasadach.

Otworzyła drzwi, zdjęła buty – tak robiła tylko wtedy, gdy znajdowała się na tej wyspie, weszła do kuchni, rozejrzała się, postawiła na blacie plecak. Otworzyła okna, aby przewietrzyć pomieszczenie, w którym czuć było wilgoć. Mieszkanie pomalowane na biało urządzono w surowym skandynawskim stylu, trzon wyposażenia stanowiły stylowe meble kupione w szwedzkiej IKEA. W oknach nie było zasłon, na parapetach stały świeczki zapachowe i ceramiczne figurki w kształcie niewielkich domków. Przez szyby widać było dzikość otaczającego lasu, który jakby się z każdym dniem zbliżał, stawał się bardziej rozłożysty, bujny. Jedynie przez kępę kilkunastu kruchych brzoź przebijała jasna, uporządkowana zieleń pobliskiego klubu golfowego. Pomędzy drzewami na tylnych skokach siedział wyprostowany szarak.

Włączyła wodę i prąd, zamknęła drzwi na klucz. Dopiero wtedy zrzuciła z siebie kurtkę, spodnie i resztę ubrań i weszła pod prysznic.

W pościeli spędziła dwa dni. Nie wychodziła z łóżka, pomimo że nie mogła zasnąć – męczyła ją bezsenność. Nagle po przekroczeniu progu domu jakby odcięło jej wszystkie siły, a chęć do życia odpłynęła. Siedziała

skamieniała godzinami, owinięta kołdrą, i patrzyła otępiała przed siebie. Nie była w stanie ruszyć ręką czy nogą, tak była wyczerpana. Ogarnęła ją beznadzieja i żal po stracie Iny. Była przekonana, że to ona wciągnęła ją w tę morderczą grę. Jej twarz przez cały czas miała przed oczami. Przypominała sobie jej gesty, spojrzenia, mimikę, ruchy ciała w łóżku, zapach i ciepło jej skóry oraz reakcję na jej dotyk.

W istocie jednak niewiele o niej wiedziała. Nie miała pewności, czy miała jakąś rodzinę, kogoś bliskiego, czy miała kogoś przed nią, gdy się jeszcze nie znały. Nie mogła sobie przypomnieć takich szczegółów. Czuła jakieś wewnętrzne rozedrganie. Bo to przecież było pięć lat szaleństwa, bezgranicznego zaufania, bezinteresownego wsparcia. Milusha była przekonana, że więź, która je łączyła, nie zostanie zerwana z momentem śmierci Iny, będzie jej towarzyszyła zawsze, z mniejszą lub większą intensywnością.

Z trudem wstała z łóżka, podeszła do kuchni, aby napić się wody z kranu, zajrzała do łazienki i stanęła przed lustrem. Szkło odbiło zmęczoną, miejscami szarawą twarz, naznaczoną delikatnymi bruzdami, rysy wyostrzyły się i lekko poczerniały. Pociągnęła po twarzy dłonią i wyczuła ostrze igieł małych włosów, na twarzy pojawił się delikatny zarost. Dopiero wtedy uświadomiła sobie, że zapomniała wziąć ze sobą tabletki hormonalne. Znowu stawała się Milusho, jak wtedy, gdy nie miała pewności, kim jest – fizycznie mężczyzną czy emocjonalnie i kulturowo kobietą.

Spojrzała jeszcze raz w lustro i z wściekłością uderzyła w nie pięścią. Tafla pękła, na dziesiątki kawałków, ale nie rozsypała się, pokazała za to wiele fragmentów jej twarzy, każdą inną, męską i kobiecą, dziecięcą i zniszczoną życiem. Nie czuła bólu ręki, ale kapała z niej krew. Odkręciła wodę i zmyła ją, ale ta ciągle płynęła z rany. Dopiero wtedy poczuła, że tkwi w niej kawałek szkła. Wyrwała go zębami i splunęła do umywalki, z brzękiem wpadł do zlewu. Sięgnęła po papierową chusteczkę i owinęła ranę.

Zacisnęła pięść. Nie, nie mogła tego tak zostawić, ten, kto to zrobił, kto skrzywdził Inę i Ziyada, musiał tak jak oni znaleźć się w kleszczach strachu, bólu i śmierci! Obmyła twarz zimną wodą, sięgnęła po nożyczki i zaczęła niezdarnie ciąć swoje włosy. Spadały kępkami na podłogę, a ona z każdym ruchem nabywała większej wprawy. Gdy zostały tylko krótkie, namydliła głowę, zacisnęła zęby i zaczęła ją golić maszynką z żyletką. Czuła pieczenie, ból. Widziała w lustrze, jak ostrze przecina skórę, spod której wypływa krew, ale nie przerywała. Gdy skończyła, włożyła głowę pod kran i odkręciła kurek z lodowatą wodą.

Tak, wiedziała już, kim teraz będzie!

Ze skórzanej kurtki wyjęła elementy telefonu, złożyła je i włączyła. Chciała tylko spojrzeć na zdjęcia Iny i Ziyada. Gdy wbiła hasło i PIN, natychmiast zaczęły przychodzić sygnały o nieodebranych połączeniach.

Spojrzała na pierwszy SMS.

„Muszę się z tobą pilnie spotkać. To ważne! KZ”

– Pierdol się – powiedziała na głos.

I zaczęła wklepywać wiadomość: „Nie teraz”.

Nacisnęła klawisz i wysłała ją.

Potem otworzyła e-maila i znalazła powiadomienia o informacjach wysłanych przez Inę do chmury. Otworzyła wiadomości i je przejrzała. Uśmiechnęła się do siebie. „Ina zostawiła dużo wartościowych śladów. Muszę to uporządkować”. Zwróciła uwagę na wiadomość, którą Ina przesłała do niej w dniu swojej śmierci, wieczorem.

Może to była ostatnia rzecz, którą zdołała napisać?

Był to wydruk z bazy polskiego Centralnego Laboratorium Kryminalistyki Komendy Głównej Policji, który został wysłany poprzez biuro łącznikowe Interpolu w Warszawie do biura kryminalnego policji w Düsseldorfie. Ze skanu dokumentu wynikało, że pocisk podobny do tego z broni użytej w zabójstwie Ziyada Mosa został użyty w czasie zabójstwa i w napadzie na konwój w dniu 22 grudnia 1964 roku w Warszawie. Informacja opatrzona była sygnaturą akt prokuratorskich, które

znajdowały się w archiwum, bo śledztwo w sprawie zbrodni sprzed ponad pół wieku dawno zostało umorzone z powodu niewykrycia sprawców.

W drugim załączniku Ina przesłała skan z polskiej gazety „Express Wieczorny” z informacją o napadzie i rysunkami przedstawiającymi portrety pamięciowe dwóch sprawców. Milusha przeczytała notatkę i długo wpatrywała się w rysunki niemych twarzy. Liczyła na to, że zapadną jej na zawsze w pamięć, jakby miała nadzieję, że któregoś z nich spotka kiedyś na ulicy. „To bez sensu. Ludzie się zmieniają. Tyle lat, nie ma szans” – uprzytomniła sobie.

Otworzyła jeszcze aplikację, która pozwalała śledzić telefon Iny. Zgodziła się, aby Milusha miała podgląd na jej lokalizację, by mieć pewność, że gdy do niej przyjedzie, zawsze będzie u siebie. Miała przed sobą linię pokazującą ostatnią trasę, którą Ina się poruszała. To była jej stała ścieżka do joggingu, która wiodła wzdłuż Renu przy parku. Tego dnia przebiegła prawie pięć kilometrów w czasie trzydziestu minut i siedemnastu sekund. Linia w aplikacji pokrywała się z tymi sprzed dnia, dwóch i kolejnych. Ina codziennie biegała tą samą trasą.

Milusha zbliżyła ekran komórki do oczu, jakby czemuś nie dowierzała. Zaczęła manipulować klawiszami, aby powiększyć obraz z zaznaczonej przez aplikację ścieżki. Spojrzała na zarejestrowany czas, to była godzina 22.50. Linia nie zatrzymała się na wysokości barki, ale szła dalej, przez park, następnie Rolandstrasse. Urwała się na wysokości sklepu motocyklowego, doskonale znanego Milushy.

– Może jednak żyje? Żyje! – wykrzyczała.

W tym momencie usłyszała jakiś szmer przy drzwiach wejściowych. Błyskawicznie wyłączyła telefon, wyjęła baterię. Podeszła do kuchni i sięgnęła do szuflady po japoński nóż do filetowania ryb. Trzymając go na wysokości piersi, stanęła obok lodówki, zaraz przy drzwiach. Na chwilę wstrzymała oddech. Wtedy w odbiciu szyby zauważyła znajomą twarz. Upuściła nóż na podłogę i podeszła do drzwi. Otworzyła je. Przed nią stał siedemdziesięcioletek.

– Uuu, coś z tobą niedobrze, Milushko. – Uśmiechnął się, po czym bez zaproszenia wszedł do środka, zdjął buty i ciężko usiadł na krześle przy kuchennym stole. – Przyszedłem zobaczyć, bo w nocy widziałem światło. Nie uprzedzałeś, że przyjedziesz?

– Witaj, Svend. – Podała mu rękę i schyliła się po nóż. – Kawa?

– Chętnie. Widzę, że fatalnie wyglądasz. Coś się stało?

– Nie, nic specjalnego. – Nie miała ochoty na rozmowę o swoich problemach. – Ale gdyby coś się podejrzanego tutaj działo, daj znać na policję. – Spojrzała na niego. Wsypała do zaparzacza kilka łyżek popularnej w Szwecji arabiki Gevalia i zalała je wrzątkiem. Naczynie na chwilę odstawiła na bok. W tym czasie z szafki wyjęła kubki.

– Widzę, że jednak jest coś na rzeczy. Co z twoją głową? Włosy? – Svend Lund nie odpuszczał.

– Daj spokój, nie chce mi się gadać. Ale mam prośbę...

– No, mów śmiało...

Milusha wstała, wlała czarny parujący płyn do szarych kubków z IKEA, postawiła je na stole i usiadła.

– Potrzebny mi pistolet.

– No i co jeszcze? Może porsche elektryczne? No i mam jednak rację: masz problem i nie wiesz, jak sobie z nim poradzić. Wiedz, że ta droga nie jest dobra.

– Dobra, zła, mniej dobra, a może jednak jedyna?

– Jak tak, nie pytam dalej. – Rozłożył ręce.

– Wiem, że masz takie możliwości, Svend.

– No dobrze. Tak, mam.

– Cena nie gra roli.

– Gra, przecież nie weźmiesz czegoś za tysiące dolarów, tylko coś praktycznego, taniego, z masowej produkcji. Broni kolekcjonerskiej u mnie dostatek. Dobra, co chcesz? Napisz na kartce.

Milusha podeszła do szafki i wyjęła notatnik, wyrwała z niego stronę i wpisała: „Glock 17 GEN 5 + magazynki X 3”. Położyła ją na stole. Svend podniósł kartkę i zbliżył ją do oczu.

– Okej, to będzie około dwóch tysięcy euro. Jutro powinno być. Ktoś ci to zostawi w opakowaniu na pizzę. Tam będzie podana dokładna cena. Pieniądze zostaw na stoliku, ja je odbiorę. – Spojrzał uważnie na Miluszę. – Oj, niedobrze. Żeby to się dla ciebie źle nie skończyło. – Pokręcił głową i upił łyk kawy. – Posłuchaj starego żołnierza, łatwo przejść na drugą stronę, ale wrócić z niej do normalnego świata bardzo trudno, a niekiedy jest to niemożliwe. Uważaj na siebie... A zresztą, co ja ci będę truł... – gderał jakby do siebie.

– Gdyby coś się ze mną stało, tam w szufladzie – wskazała ręką – są wszystkie dokumenty dotyczące tego domu. – Delikatnie pogładziła dłonią łysą głowę.

ROZDZIAŁ 31

jesień 2022 r.

Düsseldorf

Usłyszał szum i poruszenie wokoło. Ktoś dotknął jego ramienia.

– Proszę zapiąć pasy.

Sprawnym ruchem ściągnął z oczu czarną maskę do spania w samolocie. Stała przed nim uśmiechnięta stewardessa – Alicja, przynajmniej taki miała napis na firmowej plakietce. Odchrząknął, przetarł dłonią zaspane oczy, wyprostował się i pomasował kręgosłup, który poboлеwał go z powodu niewygodnej pozycji. Wyjął z klapy marynarki i założył okulary.

– Proszę zapiąć pasy. – Stewardessa ciągle przy nim stała, ale patrzyła przed siebie.

– Tak, tak już – odparł, poprawił się w fotelu i wykonał polecenie.

Alicja przeszła do kolejnych pasażerów, a on z zainteresowaniem spojrzał na jej kształtną sylwetkę. – Dawne czasy, staruszku – mruknął sam do siebie.

Szum w kabinie pasażerskiej narastał, aż przeszedł w świst i delikatne drgania. Kapitan embraera 195 poinformował o rozpoczęciu procedury lądowania.

– Na lotnisku w Düsseldorfie jest dobra pogoda, pełna widoczność, temperatura powietrza dwadzieścia pięć stopni Celsjusza – oznajmił, a następnie powtórzył ten komunikat w języku angielskim.

Po dwóch minutach samolot obniżył lot, leciał wzdłuż autostrady. Karol Rudziński spojrzał przez okrągłe okienko i zauważył, że samochody sunące po jezdni stopniowo zwiększają swój rozmiar. Przelecieli nad błękitną

wstęgą Renu, mostami, w chwilę potem koła maszyny uderzyły o betonową płytę lotniska. Dał się słyszeć charakterystyczny stukot, następnie świst, który świadczył o gwałtownym hamowaniu maszyny. Kapitan wyrównał prędkość na płycie i powoli zmierzał do terminala z korytarzem dla pasażerów. W kabinie rozległy się pojedyncze oklaski. Gdy maszyna się zatrzymała, Rudziński odpiął pas i wstał, podobnie jak większość pasażerów. Ze schowka bagażowego wyjął niewielką skórzaną torbę z rzeczami osobistymi, szary prochowiec i kremowy letni kapelusz typu panama ze wzorem w kotwice na niebieskim pasku.

Po wyjściu z terminala lotniska przeszedł na stację kolejową i wsiadł do pociągu S1, który akurat podjechał na peron, a zdążał na południe. Wsiadł ze składu zaledwie po kilku minutach, na stacji Zoo. Ruszył pieszo wzdłuż Toulouser Allee i po kolejnych kilku minutach zameldował się w hotelu H2, akurat skrojonym na jego emerycką kieszeń.

Odświeżył się, zostawił w pokoju marynarkę, płaszcz i torbę. Miał na sobie zwykle ciemne materiałowe spodnie z czarnymi szelkami, sandały bez skarpet, jasną koszulkę polo z kołnierzykiem, pod który założył niebieską muchę. Sięgnął po kapelusz, nałożył go na swoją łysinę i ruszył na miasto. Był ubrany trochę staroświecko, ale elegancko. Wyglądał jak przeciętny niemiecki emeryt, który postanowił zwiedzić historyczną starówkę Düsseldorfu.

Ponad godzinę spacerował po uroczych uliczkach miasta, aż zszedł na promenadę nad Renem i usiadł w restauracji Kasematten, zamówił szklankę piwa typu lager i pizzę z warzywami. Słońce prażyło, a obok przewalały się tłumy mieszkańców i turystów. Z każdej strony dochodziły głosy gości, którzy zatrzymali się, aby na chwilę spocząć przy drewnianej ławce. Niemiecki mieszał się z angielskim, flamandzkim i francuskim. Czy tak wyglądał wielojęzyczny Babilon? Ludzie przekrzykiwali się, śmiali albo po prostu czule szeptali coś do siebie. Kakofonię dźwięków wzmacniała basowa, transowa muzyka, która dobiegała z głośników zainstalowanych w rogach restauracji.

– Witaj, Karolu – usłyszał znad ramienia.

Kamil Zawadzki stanął naprzeciwko.

– Coś już zamówiłeś?

– Tak.

– Poczekaj chwilę, wezmę dla siebie Schlüssel.

Zawadzki poszedł do baru. Po chwili wrócił z niewielką szklanką lokalnego ciemnego, świeżego piwa. Pociągnął łyk i papierową chusteczką wytarł pianę z ust.

– Dziwisz się, że tak delikatnie? Cóż, to już nie te czasy, gdy można było wszystko i wszędzie. Lekarz... – Bezradnie rozłożył ręce. – Cholesterol, ciśnienie... Co u ciebie, Karolu?

– Ja, ja nie mam takich problemów. Wiesz, kupiłem sobie niewielką działkę na Mazurach, zasadziłem drzewka owocowe i krzewy, doglądam ich. Zostałem ogrodnikiem. Jaka to jest radość, gdy widzisz, że coś zasadzone przez ciebie, pielęgnowane przez miesiące, kwitnie, a potem daje owoce. Czuję się prawie, jakbym był stwórcą. – Rudziński się uśmiechnął. – No i sąsiadka całkiem, całkiem...

– Tia, mam nadzieję pójść twoją drogą...

– Odchodzisz?

– Tak, chyba w przyszłym roku.

– Zatem to jest twoja ostatnia, poważna sprawa?

– Można tak powiedzieć. U nas w centrali już chyba wpadli w tryb wyborczy, asekurują się na każdym kroku, nie są w stanie podjąć decyzji o działaniu. Szef jest na wylocie i trwają gierki, która ekipa wskoczy na jego miejsce...

– Dlaczego?

– Dla mnie to nie jest jasne, ale moim zdaniem dał ciała w sprawie Ukrainy. Źle ocenił sytuację. Utrzymał, że wojna nie wybuchnie. Wbrew temu, co mówili Amerykanie i wojsko. Zieloni na pół roku przed atakiem ostrzegali, że jest to możliwe. Oczywiście politycy w to nie wierzyli, a stanowisko Agencji dawało im pretekst, aby nie robić gwałtownych ruchów. Nic nie robić... No i skończyło się, czym się skończyło.

– Ciekawe. Ale chyba nie o tym mieliśmy mówić?

– Tak, ale też sprawa, która mnie męczy, jest dla nich niewygodna, bo może wywrócić jakiś układ. Dziękuję, że wydłużyłeś trasę biegową tej dziewczyny.

Rudziński prychnął.

– To było proste jak drut, wszystkie te aplikacje biegowe, liczenie kroków i tak dalej gromadzą dane i przesyłają je na zewnątrz do producentów urządzeń. Przy prostych narzędziach spokojnie można zobaczyć, gdzie byłeś i kiedy. Aż się dziwię, że nie miała jakichś specjalnych zabezpieczeń.

– Może to coś da? Może nie? Zobaczę.

– Po co ci to?

– Jedna taka chyba mi się urywa albo w coś się uwikłała, chcę ją mieć na smyczy. Muszę się z nią spotkać. Zakładam, że przyjdzie tam, gdzie linia się urywa.

– I?

– Widzisz, Karolu, mam problem. Mam przeciek, i to przeciek od kogoś, kto jest blisko mnie, cholernie blisko. Nasi z wewnętrznego podejrzewają tę pannę, ja w to nie wierzę. Muszę go mieć, zanim nasi coś spierdolą, chociaż, jak ci już mówiłem, nie palą się do tego, żeby zamknąć temat. Dla nich to gorący kartofel.

Zamilkł, bo do stolika podszedł kelner z pizzą i szklanką zimnego jasnego piwa.

– Zapłacę.

Kelner napisał na skrawku papieru sumę. Rudziński wyjął z portfela dwadzieścia euro i mu wręczył.

– I co? Liczysz na mnie.

– Tak, bo ani tu, ani w centrali na nikogo nie mogę liczyć, a tobie przynajmniej mogę wierzyć. Wiem, że mnie nie wystawisz i wszystko to, co zobaczysz, zachowasz dla siebie.

– A co mi zostało? Trochę adrenaliny na starość dobrze mi zrobi, da kopa, mózg się przewietrzy, jeszcze w tych ładnych okolicznościach

przyrody. – Rozejrzył się.

– Wywołam z nią fikcyjne spotkanie, w tym miejscu. – Zawadzki przesunął kartkę z lokalizacją podaną za pomocą cyfr określających długość i szerokość geograficzną oraz godziną. – Chciałbym, abys sprawdził, kto przyjdzie. Cały potrzebny sprzęt dostarczy ci mój człowiek do hotelu. Jej oczywiście nie będzie. Ja nie mogę się tam zjawić, bo mogą mnie znać. Rozumiesz? Tylko obserwuj, rejestruj, znasz się na tym doskonale, jak mało kto.

– Oj, bez przesady, za starą „betkę”, to się miało obciętą emeryturę. Mnie na szczęście zweryfikowali pozytywnie.

– I druga sprawa. Chciałbym mieć podgląd na jej lokalizator w komórce. Wiem, że dla ciebie to nie jest problem.

– To prawda, laptop zostawiłem w hotelu. Potrzebuję numeru jej telefonu.

– I, Karolu, pełna dyskrecja. Bo ktoś gra ostro, gotowy jest nawet zabić...

– Aż tak?

– Fatalnie to wygląda i jeżeli ona nie jest w to uwikłana, to przynajmniej może mnie doprowadzić do kreta. Trochę na to liczę.

– To ciekawie się ustawileś. Przynęta? Tak?

– Tak, ale pod moją dyskretną osłoną.

– Ciekawie kombinujesz. A jak coś nie wyjdzie? To...

– O wszystkim wiemy tylko ja i ty. I nikt więcej. – Zaakcentował ostatnie zdanie, dopił piwo, wstał i bez słowa wszedł w falę ludzi przelewającą się po nadreńskiej promenadzie.

W południe na Frankenplatz panowała senna atmosfera. W strefie zabaw dla dzieci przypominającej miasteczko linowe bawiło się kilkoro chłopaków pod opieką rodziców, a poza tym nie było nikogo.

Karol Rudziński siedział we włoskiej trattorii Bellissima Uno, przy kieliszku białego wina, na jego talerzyku leżała pachnąca bruschetta. O kant stolika oparł rozłożone specjalne wydanie tygodnika „Der Spiegel” poświęcone siedemdziesięciu pięciu wybitnym Niemcom, ale

w rzeczywistości leżał na nim najnowszy iPad Apple, na którym uruchomiona była aplikacja pokazująca obraz z mikrodrona wielkości małego owada. Rudziński wypuścił go kilkanaście minut przed planowanym spotkaniem i kontrolował jego ruchy, jednocześnie podglądając obraz z kamery. Założył też okulary z wbudowaną mikrokamerą i lustrował otoczenie placu.

Kluczowa dla niego była godzina 12.05. Wtedy w jednym z metalowych kontenerów do segregacji śmieci nastąpił wybuch niewielkiej petardy, dym poszedł z otworu, którym do środka wrzuca się butelki. Ruch na placu zabaw zamarł, z pobliskiej restauracji chińskiej wyszły dwie kelnerki, z krzesła poderwał się nawet barman w jego trattorii. Tylko Rudziński nie reagował, w skupieniu przeglądał monitor tableta.

Po piętnastu minutach zdjął okulary, przetarł szkła szmatką i wyłączył zainstalowaną w plastikowych ramkach kamerę o wysokiej rozdzielczości obrazu. Schował je do etui i wstawił do kieszeni na piersi, a założył drugie, zwykłe.

Miał wszystko jak na dłoni. Jego uwaga skupiła się na dwóch punktach. Na rogu Frankenstrasse, zaraz za chińską knajpką i Kanonierstrasse zauważył błękitną toyotę auris, w której ktoś siedział z komórką przy uchu i nerwowo obserwował okolicę. Rudziński założył, że rozmówca wąsacza powinien być w pobliżu. I znalazł go, a w zasadzie znalazło go jego elektroniczne urządzenie wielkości pszczoły. Na drugim piętrze kamienicy, nad zakładem fryzjerskim Hensel, ledwie kilkanaście metrów od miejsca, w którym się znajdował, było otwarte okno, a pomiędzy doniczek z bujnymi kwiatami wystawała na kilka centymetrów ciemna lufa karabinka wyborowego. Pszczoła bezszelestnie przeleciała półtora metra nad nim i zajrzała do środka mieszkania. Na przysuniętej do okna kanapie leżał młody mężczyzna ze słuchawkami na uszach i mikrofonem przy ustach, na oczach miał okulary ochronne, a na głowie czapkę z odwróconym do tyłu daszkiem. Rudziński rozpoznał typ broni. To był polski karabinek Alex-338.

A potem stało się to, co przewidywał. Zaraz po wybuchu niewielkiej petardy z opóźnionym zapłonem, którą wrzucił wraz z butelką do metalowej skrzyni, wążacz z toyoty nerwowo upuścił telefon i gwałtownie ruszył z miejsca. W tym samym momencie z okna bezszelestnie wycofała się lufa. Snajper sprawnie rozłożył karabinek i schował go do futerału przypominającego ten na gitarę akustyczną. Po dwóch minutach wyszedł z budynku i przemaszerował obok siedzącego w restauracji Rudzińskiego. Kamera z jego okularów zarejestrowała wygląd jego twarzy.

Mężczyzna dalej siedział przy kieliszku. Zaczął przeglądać oferty wynajmu pomieszczeń w najbliższej okolicy. I już po chwili wiedział, że na portalu Airbnb można było wynająć studio nad fryzjerem. Po złamaniu zabezpieczeń firmy dowiedział się, że lokator wprowadził się dzień wcześniej, znał też nazwisko, które podał w trakcie rejestracji i jego adres e-mail.

– No i widzisz, jaka jest sytuacja. Wysłałem ci na Signalu zdjęcia tego gostka z samochodu i snajpera. – Rudziński poprawił szelki przytrzymujące jego spodnie i kliknął w swojego iPada.

Następnego dnia w południe siedzieli, plecami do siebie, na ławce w Hofgarten w pobliżu fontanny Märchenbrunnen, która przedstawiała trójkę dzieci siedzących na skale. Teren był zapuszczony, ukryty między dziczącymi krzewami. Prowadziły w to miejsce trzy osłonięte zielenią ścieżki.

Zawadzki otworzył plik na swojej komórce i się zamyślił.

– Tak, ja chyba go już kiedyś widziałem – powiedział sam do siebie, patrząc na wążacza z toyoty, a następnie spojrzął w dal, jakby zbierał myśli.

Rudziński nie reagował.

– Sprawdziłem. Ten snajper wynajął mieszkanie na nazwisko Ziyad Mosa.

– O kurwa. – Zawadzki tylko jęknął.

– Że co, Kamil? No hamuj się, jesteś w moim towarzystwie.

– To nie jest wymyślone nazwisko, ten człowiek nie żyje.

– Aha, ale i tak masz problem. Nie wygląda to ciekawie. Chyba już wiesz, że ona nie może być kretem, bo kreta się nie odpala, tylko z nim pracuje – spokojnie analizował Karol Rudziński.

– Tak, a może to była tylko ustawka i chodziło o mnie?

– Nawet tak nie myśl, za długo pracowałem w tej firmie i nigdy z czymś takim się nie spotkałem. Przecież to wymaga środków, zostaje za dużo śladów. Ktoś jest wyjątkowo zdesperowany. Ciebie to mogą sprzątnąć w każdym innym miejscu, mają cię na widelcu.

– Racja – odparł Zawadzki. Jego dłoń lekko drżała, dlatego, aby to ukryć, chwycił kant drewnianej ławki.

– Wiesz coś więcej?

– Może? Może jest jakieś wyjście.

ROZDZIAŁ 32

jesień 2022 r.

Düsseldorf/ Kolonia

Milusha podjechała na motocyklu na Rolandstrasse. Miała na sobie czarny skórzany kombinezon i czarny kask. Uchyliła tylko szybę ochronną i z odległości kilkudziesięciu metrów obserwowała wejście. W tym miejscu kręciło się wielu motocyklistów, więc nie wzbudzała podejrzeń. Po godzinie zdecydowała się wejść do środka, bo w pomieszczeniu nie było klientów.

Nie zdejmowała kasku, z tyłu za paskiem na wszelki wypadek miała schowany pistolet, który kupiła na wyspie. W drodze powrotnej zatrzymała się w lesie, w okolicach Hamburga, żeby go przestrzelić. Celowała do pozostawionych przy jeziorze Lütjensee butelek piwa.

W środku sklepu stało kilka motocykli różnych marek oraz lekkie skutery. Na regałach leżały gadzety motocyklowe, części zamienne i kaski. Za ladą stał brodaty mężczyzna w koszulce z logo Harleya-Davidsona i przeglądał coś w telefonie. Wyglądał jak chodząca reklama przemysłu motocyklowego. Na rękach miał wytatuowane nazwy różnych marek dwuśladów.

Gdy ją dostrzegł, oderwał wzrok od telefonu i spojrzał uważnie.

Milusha ostrożnie podeszła i zapytała:

– Czy była tutaj dziewczyna, szczupła, około dwudziestu pięciu lat, krótkie ciemne włosy?

Sprzedawca odłożył telefon.

– Jak ma na imię?

– Ina...

– Chodź za mną. – Uchylił drzwi na zaplecze. – Nie bój się – powiedział tylko i pierwszy wszedł do niewielkiego pomieszczenia. Z szuflady ciężkiego biurka wyjął kartkę i dał ją Milushy. – Tu jest wszystko. Miejsce spotkania, każdego dnia o siedemnastej.

– Czy ona żyje?

– Nie odpowiem na to pytanie. A teraz do widzenia i proszę zapomnieć o tym miejscu. Zapraszam do wyjścia z tyłu budynku.

Poprowadził ją do korytarza. Razem minęli magazyn wypełniony pudłami z częściami motocyklowymi i wyszli na niewielkie wewnętrzne podwórko kamienicy, w której znajdował się sklep.

– Tam jest wyjście na sąsiednią ulicę. – Wskazał ruchem głowy przesmyk między budynkami i zamknął za sobą drzwi.

Spotkanie miało się odbyć w katedrze w Kolonii w nawie bocznej, w której wisiał krucyfiks Gerona. Kaplica Krzyża Świętego słynęła ze znajdującego się tam naturalnej wielkości drewnianej rzeźby Chrystusa ufundowanej przez arcybiskupa kolońskiego Gerona w X wieku. Połączony krzyż o długości prawie trzech metrów nałożony był na połączoną promienistą aureolę. Słynął on cudami wśród pielgrzymów.

Milusha przyjechała do Kolonii przed umówioną godziną. Na podziemnym parkingu zostawiła triumpfa. Chwilę pokręciła się po całej katedrze, aż zmęczona – z nadzieją na spotkanie, usiadła w drewnianej ławce kaplicy. Spojrzała na umęczoną, opuszczoną głowę Chrystusa, lekko pochylone, jakby omdlałe dłonie i miękko poruszoną sylwetkę.

Gdy na zegarze wybiła godzina siedemnasta, ktoś oparł dłoń na jej ramieniu. Odwróciła się gwałtownie.

– To ty? – Spojrzała z rozczerwaniem na Zawadzkiego.

– Nic nie mów, tylko słuchaj. – Rezydent usiadł w ławce za nią. – Popatrz na to zdjęcie. – Podał jej telefon, na którego wyświetlaczu widniał mężczyzna siedzący w samochodzie i rozmawiający przez komórkę. Fotografie wykonał Rudziński. – Znasz go?

– Nie.

– No dobrze, albo i niedobrze, bo być może on stoi za zabójstwem Ziyada. Przyjrzyj się jeszcze raz.

– Widzę. Nie znam go – odpowiedziała spokojnie.

– Uważaj na niego, jest niebezpieczny. Z naszych źródeł wynika, że Niemcy chcą przesłuchać w tej sprawie dziennikarza z Polski, niejakiego Natana, wniosek taki już dotarł do naszej ambasady. To ci coś mówi?

– Nie. Powiedz mi co z Iną, czy ona żyje?

– Przepraszam cię za tę manipulację, ale nie odbierałaś powiadomień o spotkaniu. Musiałem coś zrobić, żeby cię tu ściągnąć. Nie, nic nie wiem. Policja wciąż nie przeszukała rzeki w okolicach barki, podobno nie mają specjalistów. Nadal nie wyciągnęli z wody tego statku. Może zrobią to w przyszłym tygodniu, gdy ściągną odpowiedni dźwig. Grzebią się niesamowicie.

– Aha... Masz mi coś jeszcze do powiedzenia, bo nie mam ochoty z tobą gadać?

– Słuchaj. Moi z centrali naciskają na mnie, abym zupełnie zerwał z tobą współpracę, tak jakby mieli jakieś polecenie z góry. Ja ich próbuję przekonać...

– Zatem powodzenia... – Milusha spojrzała na twarz Chrystusa. – Dzięki Ci – wyszeptała do niego, wstała z ławki i wyszła z kaplicy. Wiedziała, kiedy spotkała mężczyznę ze zdjęcia.

Kaplicę zapełniła hałaśliwa grupa japońskich turystów.

ROZDZIAŁ 33

jesień 2022 r.

Essen/ Düsseldorf

Obudziła się zlaną potem, otworzyła okno, bo było jej duszno. Nad Essen unosiła się lekka mgiełka. Oświetlenie sklepu z rybami, który znajdował się naprzeciwko jej nowego mieszkania, było intensywne; zmrużyła oczy, lampa lekko syczała. Ulica przypominała przedmieście prowincjonalnego miasteczka, rzędy niemal identycznych dwupiętrowych bliźniaków ciągnęły się wzdłuż cichej w nocy i za dnia uliczki. Potencjalny obserwator miałby bardzo utrudnioną pracę, bo nie było zaułków, bram, podwórek, najwyżej mógłby usiąść w samochodzie i czekać. Tyle że miejsca były przypisane do lokatorów domów, jego obecność byłaby więc natychmiast zauważona.

Wyjrzała przez okno i w szybie zobaczyła swoje odbicie. Miała przed sobą zmęczoną twarz z ciemnym, nieregularnym zarostem, czarny meszek pojawił się też na niedbale ogolonej kilka dni wcześniej czaszce.

Zapaliła czerwoną lampkę. Zaparzyła sobie kawę i z szarym kubkiem z IKEA usiadła przy stole, obok którego stały nie rozpakowane jeszcze kartonowe pudła. Sięgnęła po ołówek i kartkę. Początkowo pojawiły się na niej nieregularne, ostre rysy twarzy, po chwili nabrały kształtów.

Pomiędzy kreskami ukryty był – tylko dla niej widoczny kod – a w zasadzie imię Masud, pisane alfabetem runicznym. Spojrzała na tę twarz. Już wiedziała, skąd go znała! Był podobny do irańskiego aktora Paymana Maadiego, czyli Nadera z obsypanego nagrodami filmu *Rozstanie*. Jako nastolatka kochała się w nim. Był dla niej wzorem męskiej,

bliskowschodniej urody. Masud, bo tak miał na imię, był też przyjacielem Ziyada. To do niego skierował ją z informacją do rodziny, aby się nie martwiła jego zniknięciem. „Boże. To było tak niedawno, a jakby minęły wieki” – pomyślała. To on też – dopiero teraz sobie to uprzytomniła – siedział z kimś w samochodzie przed kościołem, pod który wraz z Iną podrzuciły ciało Ziyada. Czy on mógł o tym wiedzieć? Znać to miejsce? Ina miała wysłać wtedy film z deepfejkem do rodziny Mosy, ale czy oni powiadomili o tym Masuda? Nie była w stanie teraz tego stwierdzić.

Na korkowej tablicy nad stolikiem wbiła szpilką rysunek Kurda. Obok przychepione były rysunki innych twarzy. Dopiero teraz uświadomiła sobie, że wśród nich był już też jego profil, obok znajdował się rysunek kawałka łydki zakonniczy z runicznym znakiem *othala*.

Otworzyła swoją szafę z różnymi ubraniami, które wykorzystywała w trakcie obserwacji. Wyjęła wypłowiałą czarną koszulkę ze *snaggletooth* – symbolem zespołu rockowego Motörhead, nożem zrobiła w niej kilka dziur, rzuciła ją na podłogę, wytarła o zabłoconą wycieraczkę. Następnie to samo zrobiła ze spodniami dżinsowymi, dodatkowo poplamiała je sosem z pomidorów i tłuszczem. Włożyła je, potem wyciągnęła z szafy wysłużone, brudne adidas, które służyły jej do biegania. Spryskała się perfumami o zapachu starej piwnicy, których fiołkę dostała kiedyś na targach kosmetyków. To była mieszanka trufli, grzybów i olejku paczuli, lekko skropiła się też spirytusem.

Śmierdziała. Miała być odrażająca.

Spod kuchennego blatu wyjęła przypiętą tam torebkę strunową i sięgnęła po tabletkę mefedronu. Rozgryzła ją, zacisnęła zęby i z grymasem na twarzy gwałtownie spojrzała na sufit, rozluźniła ramiona, jakby szykowała się do walki bokserskiej. Do skarpetki schowała skuna, a do kieszeni wrzuciła dwie przenośne mikrokamery i telefon. Zatrzasnęła za sobą drzwi i ruszyła na przystanek kolejowy. Jeszcze było ciemno.

– Ty, idź stąd!

Spojrzała na nieogoloną twarz bezdomnego, który postawił obok firmową torbę ze sklepu Aldi ze swoimi rzeczami.

– To moje miejsce. – Przesunął się bardziej, aż Milusha wyczuła od niego zmieszany zapach piwa i moczu.

Odsunęła się, nie chciała awantury.

Siedziała na brudnym murku przy Hauptbahnhof Düsseldorf. Strumień różnokolorowych ludzi parł do szklanego wejścia dworca, ale równomiernie opływał miejsce, gdzie stał policyjny radiowóz, przy którym dyskutowało o czymś pięciu mundurowych. Część pasażerów stała w kolejce do budki z pieczywem i ciastkami. Tłum falował i zmieniał swój kierunek w rytm nadjeżdżających i wyjeżdżających w różnych kierunkach pociągów.

Co i rusz zatrzymywały się z piskiem metalowych kół tramwaje i wysypywali się z nich kolejni ludzie, aby przez modernistyczny budynek wejść w tunel prowadzący wzdłuż sklepów i kawiarenek na perony.

Spojrzała na dominującą nad obiektem wieżę zegarową, była godzina dziewiąta rano. W oddali majaczył punkt jej obserwacji, niewielki lokal z kebabem, z wielką naklejką pity wypełnionej mięsnym farszem i numerem telefonu do składania zamówień. Ciągle był jednak zamknięty. Na przystanku tramwajowym pojawili się za to dwaj bezdomni, których już kiedyś widziała, wyglądali, jakby uciekli z cyrku, każdy z nich targał ze sobą kilka toreb wypełnionych jakimiś szpargałami. Milusha z nudów stawiała sobie pasjansa na komórce, a potem powtarzała odczytywane na telefonie polecenia i słówka w języku polskim w ramach darmowej lekcji.

Słońce zaczęło przygrzewać, dlatego zeskoczyła z murku i podeszła do kranu, z którego wypływała woda, i się napiła. Ogarniało ją zmęczenie, czuła się niepewnie, coś w niej pulsowało. Nie miała pewności, czy jej plan wypali.

Przed dwunastą lokal został otwarty, teraz obserwowała wchodzących do środka klientów, którzy opuszczali go z kanapką zrolowanej pity z mięsem, frytkami i warzywami. Zauważyła, że ruch jest tam niewielki, przynajmniej w okolicach południa. Zauważyła też, że co kilkadziesiąt minut z lokalu wychodzi może dwudziestoparolatek w firmowej czapce

i koszulce. Siadał na oknie i wypalał papierosa, patrząc w znużeniu przed siebie lub w ekran komórki.

W tym momencie dwaj policjanci oderwali się z cienia, z którego obserwowali okolicę, i podeszli do bezdomnych zalegających na przystanku tramwajowym. O czymś z nimi spokojnie rozmawiali, gdy tymczasem „cyrkowcy”, jak ich nazwała w duchu, ubrani w zbyt krótkie, pomazane brudem spodnie na szelkach i opinające ich kształty wełniane swetry, gwałtownie gestykulowali. Po chwili zgarnęli część swoich rzeczy i przenieśli się w cień dworcowego budynku. Kilka toreb zostawili, pewnie mieli nadzieję, że nikt ich nie ruszy. Usiedli na betonie. Jeden z nich, grubszy i wyższy, wyjął z plastikowej torby puszkę piwa i ją otworzył, oblewając się pianą, pociągnął łyk i podał swojemu kompanowi.

Milusha postanowiła działać. Wolnym krokiem przeszła na drugą stronę ulicy, usiadła na krawędzi okna wystawowego kebabiarni. Nad wejściem nie było żadnej kamery. Wyjęła ze skarpetki papierosa z marihuaną i czekała. Po pięciu minutach, co przewidywała, szklane drzwi się uchylily i z wnętrza wyszedł młody pracownik baru. Spojrzał na nią niepewnie. Po wyglądzie oceniła, że pochodzi z któregoś z krajów Bliskiego Wschodu; spod czapki wystawały przetłuszczone kręcone czarne włosy, na jednym oku zauważyła bielmo, nieprzejrzystą, jakby rozmytą rogówkę. Jego lewa dłoń nosiła ślady głębokiego poparzenia. „Czy taki ślad mógł zostawić wrzący olej?” – pomyślała. Czuć było od niego intensywny zapach smażonego mięsa i czosnku.

Kiwnęła do niego głową.

– Masz zapalniczkę? – zapytała.

Ten obracał w dłoni papierosa, ale dopiero teraz zauważył w jej palcach skręta. Podał jej zwykłą niebieską zapalarkę z plastiku.

Zapaliła marihuanę, zaciągnęła się głęboko i wypuściła dym z ust i nosa. Przez jej ciało przeszła fala rozluźnienia, poczuła się swobodniej, błyskawicznie zniknęło napięcie. Uśmiechnęła się do niego.

– Jak masz na imię? – zapytała i wysunęła w jego kierunku dłoń z zapalniczką.

- Naser. – Jego wzrok zaczął błądzić wokół papierosa Milushy.
- Chcesz bucha?
- Daj. – Chwycił raptownie skręta, odwrócił się do szklanej witryny, jakby się bał, że ktoś go zauważy, i wciągnął powietrze. Zaraz potem go oddał.
- Co tu robisz, Naser?
- Pracuję.
- No i co robisz?
- Kepsy, a co innego?
- Można z tego wyżyć? – Milusha pociągnęła ze skręta i podała go arabskiemu kucharzowi.
- Trudno powiedzieć, dotychczas było dobrze, a teraz nie wiadomo, jak będzie.
- No ale sezon w pełni, ludzie u was kupują...
- Niby tak, ale...
- Ale?
- Szef się zmienił.
- Poprzedni sprzedał lokal?
- Nie, umarł. Nie słyszałeś?
- Co miałem słyszeć?
- Pisali o tym nawet w gazetach, ktoś go zastrzelił i podrzucił zwłoki nad Renem.
- Nie czytam gazet. – Milusha jeszcze raz podała mu skręta.
- No i dlatego interes przejął jego kuzyn. Kawał skurwysyna z tego Masuda.
- Aha. Bo co?
- Dziwnie się zachowuje. Czuję, że sprzeda ten interes. Bo on chce szybkie pieniądze.
- Szkoda, bo robisz dobry kebab.

– Dobry, na ile szef pozwala. A on już zaczyna oszczędzać na produktach, zaraz jakość jedzenia spadnie. Już znalazł nowego dostawcę kebaba.

– Ale przecież znajdziesz pracę gdzieś indziej.

– Nie. Będę musiał wrócić do Iraku. Taki to jest popierdolony układ.

– Nie możesz się zerwać?

– To nie jest takie proste. Nie, bo moja rodzina byłaby w niebezpieczeństwie. Oni zapłacili za mój wyjazd, ja im wysyłam pieniądze, spłacam ten wyjazd. Nie mogę zostawić rodziców i braci...

– A to? – Wskazała wzrokiem na jego dłoń.

– To, żebym wiedział, do kogo należę.

– Masud?

– Tak. Masz dostęp do towaru? – Naser z pytaniem w oczach spojrział na Miluszę.

– A co chcesz?

– Heroinę.

– No, może?

– Poczekaj... – Mężczyzna wszedł do środka, po chwili wrócił i włożył w rękę Miluszy zmięte banknoty o nominale stu euro.

– Daj spokój, jak będę miał towar, to ci przywiozę. – Milusha oddała pieniądze.

– Oki, ale dzisiaj. Co?

– Dobra.

– Muszę wracać do roboty. – Zatrzasnął za sobą szklane drzwi.

Dla niej to nie był kłopot, a w ten sposób mogła zbudować sobie zaufanie lub wręcz uzależnić od siebie pracownika baru. Milusha wsiadła zatem do tramwaju i skierowała się do centrum miasta. Z przesiadkami wysiadła przy Heinrich-Heine-Allee i ruszyła do zagłębia klubowego znajdującego się w niewielkiej odległości od miejskiego ratusza. Weszła w bramę budynku przy Bolkerstrasse, zaszła od zaplecza i kopnęła w szare

metalowe drzwi oblepione nalepkami. Nic się nie działo, więc wymierzyła w nie cios butem jeszcze raz, z całej siły. Dopiero wtedy usłyszała z wewnątrz jakiś szmer. Drzwi się uchylily na długość kilkunastocentymetrowego łańcucha. Z wnętrza patrzyła na nią zarośnięta twarz z zaczerwienionymi, łzawiącymi oczami.

– A, to ty! Kurwa, jak ty wyglądasz? Coś pomóc? Wchodź. – Brodaty olbrzym, ważący co najmniej sto pięćdziesiąt kilogramów, zdjął łańcuch i uchylił metalowe wrota.

Milusha weszła do ciemnego korytarza. W oddali pulsowały na przemian niebieskie, żółte i czerwone światła. Dochodziło też stłumione rytmiczne dudnienie z próby zespołu, który miał wystąpić wieczorem w klubie.

– Wpadnij, będzie ciekawie. Gra U96.

– A, *Das Boot*?

– No, tak, ale teraz grają z płyty *Transhuman*.

– Nie teraz. Potrzebuję towaru. Heroina. Zwrócę kasę, zresztą znasz mnie.

– Tak, poczekaj.

Ochroniarz zniknął w ciemności. Po chwili wrócił i wręczył jej torebkę strunową, w której znajdowało się zawiniątko w sreberku.

Po pół godzinie Milusha z powrotem była przy kebabiarni. Naser, gdy wyszedł na przerwę, nie krył zdziwienia, że tak szybko obróciła. Dyskretnie dała mu zawiniątko i usiadła na parapecie. Po kilkunastu minutach chłopak ponownie wyszedł z lokalu, ruchy miał lekko spowolnione, źrenice zwężone, dał jej pieniądze, wzrok wbił w betonową szczelinę w płycie chodnikowej i na moment zamarł.

Gdy wrócił do środka, Milusha przeszła na drugą stronę ulicy i podeszła do bezdomnych „cyrkowców”. Rzuciła przy nich na ziemię dziesięć euro.

– I co, co... od nas chcesz? – Młodszy z nich, z zauważalnym tikiem twarzy, zacinając się, wstał i podeszedł do niej.

– I co? No, co? – powtarzał w kółko.

– Tam, spójrz – wskazała ręką kebabiarnię – jest dla was jedzenie.

– Co? Co? Jedzenie, ale dzisiaj miała być pizza. Helmut, wstawaj, idziemy jeść. – Przez cały czas wykonywał gwałtowne, nieskoordynowane ruchy. Pocierał nos na przemian z policzkiem. – Helmut, idziemy! – krzyknął i wziął z chodnika banknot.

Milushy już przy nich nie było.

„Cyrkowcy” ze swoimi tobołkami weszli do baru. Naser spojrzął na nich, krzyknął coś niezrozumiałego po arabsku, a z zaplecza wyszedł drugi kucharz.

– Idźcie stąd, brudasy! – ryknął po niemiecku.

– Jedzenie! Jedzenie! Dla nas. – Grubszy postawił torby przy wejściu.

– Wychodzić, i to już, śmierdziele! – krzyknął ponownie Arab i zaczął ich wypychać z lokalu.

– Jedzenie! No, co? – Bezdomni się opierali. Drugi kucharz chwycił jednego z nich za ramię i wypchnął go na ulicę, następnie zaczął za nim wyrzucać torby; te po zderzeniu z chodnikiem pękły. Po niewielkim placyku rozsypały się puste puszki, butelki i brudne szmaty. Drugi bezdomny, widząc, co się dzieje, sam wyszedł z baru. – To nasze! To moje, nie dotykaj! To nasze! – krzyczał.

Na placu przed kebabiarnią zrobiło się zamieszanie. Większy „cyrkowiec” uczeplił się arabskiego kucharza i go powalił. Charczał, pluł, ugryzł go w nadgarstek. Drugi wyciągnął z torby niewielki nożyk.

– Idź, idź stąd. Zostaw, to nasze. Nie wolno, to nasze!

Na ten moment czekała Milusha. Nikt nie zwracał na nią uwagi, gdy wchodziła do środka. Błyskawicznie wskoczyła na blat oddzielający kuchnię od części, w której przy kilku stolikach można było spożywać zamówione potrawy. Nad okapem przykleiła mikrokamerę. Zeskoczyła zwinnie, rozejrzała się i wcisnęła drugą w szczelinę pomiędzy dwiema orientальnymi makatkami, które zdobiły ścianę baru. Ruszyła do wnętrza lokalu, przeszła zagraconym korytarzem, uchyliła drzwi na zaplecze i skierowała się do tylnego wyjścia.

Ostrożnie wychynęła kilkadziesiąt metrów dalej. Awantura powoli wygasła, przy bezdomnych i arabskich kucharzach stał patrol policji – policjantka spokojnie próbowała im coś tłumaczyć, ale jej partner na wszelki wypadek trzymał pałkę w dłoni. Milusha przeszła na drugą stronę ulicy i zniknęła w budynku stacji. Usiadła na peronie, wyjęła komórkę i sprawdziła, czy kamerki działają. Obraz był zamazany, co chwilę zrywało połączenie, była jednak świadoma, że znajduje się zbyt daleko od lokalu. Jedna z kamer obejmowała miejsce, gdzie klienci zamawiali potrawy, z góry widać było też lekko łysiejącą głowę współpracownika Nasera. Druga rejestrowała obraz części konsumpcyjnej baru. Przy stoliku siedział policjant i coś notował.

Wieczorem podjechała na motocyklu w pobliże kebabiarni, zaparkowała na podwórku, niedaleko tylnego wyjścia. Skupiona, obserwowała obraz na komórce. W pomieszczeniu oprócz dwóch kucharzy przygotowujących potrawy był też Masud, siedział przy jednym ze stolików, pił herbatę i palił papierosa. Co jakiś czas odbierał telefon z zamówieniami, informował, ile czasu zajmie przygotowanie potraw, a także że dzisiaj nie ma dostawcy, który może je zawieźć do klienta. Czuł się pewnie, co rusz rzucał jakieś uwagi do kucharzy, poganiał ich. Milusha zauważyła, że Naser nie wychodzi na papierosa tak często jak w południe.

Odnalazła w swojej komórce numer telefonu do baru, przez który można było złożyć zamówienie. Chwilę ważyła aparat w dłoni, zastanawiała się, jaki wykonać kolejny ruch. Aż wpisała tekst wiadomości: „Wiem, kto zabił Ziyada” – i nacisnęła klawisz wyślij. Otworzyła okno z kamerkami i powiększyła obraz z urządzenia umieszczonego między makatkami. Widziała, że SMS przyszedł na telefon firmowy. Dopiero po kilku minutach Masud spojrzął na ekran, otworzył wiadomość i zamarł, następnie gwałtownie wstał, krzesło się przewróciło. Kucharze spojrzeli na niego. Ruszył do tylnego wyjścia.

Milusha widziała, że drzwi lokalu się otworzyły, nad wejściem włączyło się światło lampki. Masud nerwowo pogładził wąsy, zapalił papierosa, zaciągał się nim i po raz kolejny przeczytał wiadomość. W pewnym

momencie podniósł swój telefon do ucha i coś powiedział do aparatu, następnie się rozłączył.

Z oddali, ukryta w nocnym cieniu, patrzyła, co robi. Po kilkudziesięciu minutach wytoczyła motocykl z zaułka i stanęła na wysokości przystanku tramwajowego. Oparła się o triumpha i z odległości kilkunastu metrów obserwowała wejście. Nie zdejmowała kasku.

O godzinie 22.15 przy lokalu zatrzymała się biała toyota aygo. Niski biały mężczyzna wszedł do środka, rozejrzał się i usiadł przy stoliku Masuda. Ten poczęstował go papierosem, wstał i przyniósł szklanekę z herbatą, wrócił na zaplecze i podkręcił muzykę, która przez cały czas sączyła się z niewielkiego głośnika. Wnętrze wypełniły arabskie rytmy. Usiedli, nachylili się do siebie i coś szeptali. Milusha nie słyszała, o czym mówią, zagłuszała ich rytmiczna ludowa muzyka.

Ustawiła triumpha na nóżkach i wykorzystując nocny cień, ostrożnie podeszła do samochodu, którym przyjechał gość Masuda. Stanęła za nim, rozejrzała się, zrobiła zdjęcie smartfonem, samochód był zarejestrowany w Kolonii.

Schyliła się. Po omacku wymacała dłonią kamień i rozbiła nim osłonę tylnego lewego czerwonego światła. Wróciła do swojego motocykla. Nikt nie zauważył, co zrobiła.

O godzinie 22.35 mężczyzna wyszedł z lokalu, wsiadł do toyoty i powoli wytoczył się z miejsca postojowego na jezdnię. Milusha po odczekaniu kilkunastu sekund ruszyła za nim. Toyota skierowała się na drogę, która prowadziła do Kolonii, ruch na niej był znaczny. Kierowca wolno prowadził pojazd, Milusha trzymała się kilka samochodów za nim.

W pewnym momencie na skrzyżowaniu światła się zmieniły, ale toyota zdążyła je pokonać. Zatrzymała motocykl, bo obok stanął policyjny radiowóz. Nie chciała prowokować żadnej podejrzanej sytuacji. Po zmianie światel ruszyła powoli, ale gdy zauważyła, że radiowóz skręcił w prawo, przyspieszyła i z dużą prędkością zaczęła wymijać jadące przed nią auta.

Przed wjazdem do Kolonii ujrzała jedną lampkę świecącą bardziej intensywnie, na biało. To było rozbite przez nią tylne światło samochodu,

nietłumione przez czerwoną plastikową osłonę. Miała pewność, że to toyota, której poszukiwała. Zwolniła. Jechała tak, aby zachować bezpieczny dystans za ściganym pojazdem, ale i tak w pewnym momencie straciła go z oczu.

ROZDZIAŁ 34

jesień 2022 r.

Warszawa/ Siedlce

Pułkownik Filip Roguski uchylił okno wychodzące na aleję Niepodległości. Jesień już nie była tak upalna, rano spadł deszcz, który oczyścił powietrze. Spojrzał na zakratowane okno i wyprostował się w fotelu.

Miał przed sobą laptop. Uruchomił program wspomagany sztuczną inteligencją, który podpięty był do wewnętrznej sieci, bez połączenia z Internetem.

Postanowił na nowo przejrzeć materiały, które służby zebrały na temat doktora Kosińskiego. Miał wyrzuty sumienia, że skoncentrował się na przetrzymaniu broni za jego uwolnienie, chociaż wszystko w zasadzie zrobiła firma Antoniego Cydejki, a on – przyznał to teraz, pełnił tylko rolę figuranta. Z pola widzenia uciekł mu zupełnie porwany, zapomniał o nim, niespecjalnie przejmował się jego losem, do czasu gdy go zobaczył i przez kilka dni z nim przebywał. Jego próba samobójcza to był krzyk rozpacz. Roguski nigdy wcześniej nie miał do czynienia z człowiekiem w takim stanie.

Metodycznie przeglądał skany dokumentów zgromadzonych na temat geologa. Zwrócił uwagę na to, że nie tylko znał on język arabski. Z notatki wynikało, że dziesięć lat temu skończył kurs survivalu SERE na poligonie w Lesznie i w nadleśnictwie Karczma Borowa, no i miał brązowy pas w judo. Zauważył to już kilka miesięcy temu. Założył, że to właśnie zdecydowało, iż kapitan Andrzej Morawski z placówki terenowej w Lublinie zdecydował się wytypować go do przeprowadzenia wstępnej

rozmowy, która być może zakończyłaby się werbunkiem. Kosiński zgodził się na spotkanie z oficerem wywiadu już po powrocie do kraju, w maju lub czerwcu. Zobowiązał się nawet, że sam się z nim skontaktuje.

Potem przejrzał informacje o jego uprowadzeniu. Znał je doskonale, bo część z nich sam zatwierdzał. Nie udało się odnaleźć kierowcy, który go woził po pograniczu Iraku z Iranem. Przejrzał po raz kolejny protokół jego przesłuchania już po powrocie do Polski. Miał on ledwie dwie strony. W takiej samej wersji ten materiał trafił do prokuratora z Prokuratury Okręgowej w Warszawie, który prowadził śledztwo w sprawie pozbawienia wolności obywatela Rzeczypospolitej.

Filip Roguski wnioskował, że w zasadzie Kosiński nie przekazał istotnych informacji, a jego odpowiedzi były krótkie, pozbawione szczegółów. Z protokołu wynikało, że zaraz po porwaniu został przerzucony przez granicę i osadzony w więzieniu w Teheranie. Pułkownik nie dowiedział się, z kim miał tam kontakt ani też kto go więził, jak wyglądali albo mieli na imię jego oprawcy. Dokładny był tylko opis celi i jedzenia, które dostawał. Przyznał, że przez cały czas puszczały mu ludową muzykę, a do czytania dostawał tylko literaturę religijną. Nic poza tym nie pamiętał, nie wiedział, nie widział. Roguskiego zaskoczyła porażająca wręcz ogólność informacji otrzymanych w trakcie przesłuchania przez wojskowego prokuratora. „A przecież skończył kilkudniowy kurs przetrwania SERE. Powinien zapamiętać istotne szczegóły, nawet jeśli w trakcie uwięzienia się załamał. No bo jak inaczej wytłumaczyć jego próbę samobójczą?” – wnioskował.

Pułkownik ponownie przejrzał zgromadzone materiały. Wyłuskał z nich nazwisko oficera, który kilka miesięcy wcześniej prowadził rozmowę z Kosińskim. Zapamiętał je.

Wstał od biurka, zdjął mundur, zaparzył kawę i położył przed sobą papierosa. Miał taki nawyk, od momentu gdy niedawno zdecydował się rzucić palenie. Zawsze nosił przy sobie jednego papierosa w paczce lub cygaro. Gdy intensywnie myślał, przykładał go do nosa, a zapach tytoniu wprowadzał u niego wewnętrzny spokój, zaś myśli koncentrowały się nad

celem rozmyślań. Chciał mieć pewność, że wszystko rozumie i puzzle układają się w pewną całość. Tyle że tym razem takiej pewności nie miał.

„Jakby brakowało pewnych elementów albo ktoś włożył do pudełka klocki z innej układanki”.

Podniósł słuchawkę telefonu i wybrał numer do Kosińskiego. Wiedział, że wrócił on już do domu, bo jak ocenili lekarze, był już we względnie dobrej kondycji psychicznej i fizycznej. Gdy ostatni raz z nim rozmawiał, geolog planował wyjazd nad morze. Wojsko zaproponowało mu pobyt w ośrodku znajdującym się w Juracie na Półwyspie Helskim.

– Tu Roguski. Witam, panie doktorze.

– Dzień dobry.

– Jak wypoczynek?

– Dobrze.

– Długo jeszcze?

– Chciałbym tu pobyc do końca października. Wie pan, szum morza uspokaja... – powiedział z lekką nutką niepewności.

– Nie chcę przeszkadzać, ale chciałbym zapytać, czy był pan na kursie przetrwania.

– Co pan ma na myśli? No, w jakimś sensie to... wie pan, było jak ekstremalny kurs przetrwania... – Jego głos się załamał.

– Źle mnie pan zrozumiał. Czy przed wyjazdem do Iraku kiedykolwiek zaliczył pan kurs SERE?

– Nie wiem, o czym pan mówi. Skąd taka myśl? Nie rozumiem tego pytania.

– Jasne, a jak tam u pana z judo?

– Judo? Myśli pan o tym japońskim stylu walki? O samoobronie?

– Tak.

– Lubilem oglądać na olimpiadzie. Kiedyś był taki mistrz... Nastula się nazywał? Chyba... – odpowiedział niepewnie.

– Rozumiem, ale sam pan nie ćwiczył?

– Nie, wolałem szachy. Ale do czego pan zmierza?

– No cóż, gdy wróci pan do Warszawy, musimy się koniecznie spotkać na kawie, zupełnie niezobowiązująco.

– Dobrze.

– Zatem powodzenia, życzę spokoju.

– Do widzenia, panie pułkowniku.

„Zatem Morawski spreparował dokumenty. Ale po co to zrobił? Czyżby chodziło o to, aby już po jego powrocie mieć argument, żeby utrzymywać z nim dalszy kontakt? Czy to ma sens?” – Roguski ścisnął w dwóch palcach papierosa, tytoń rozsypał się po stoliku. Nie zwrócił na to uwagi, ale do nosa przyłożył opuszki palców nasączonych jego zapachem. Pomogło.

Wyszedł do sekretariatu. Za biurkiem siedziała młoda, około trzydziestoletnia kobieta.

– Pani Aniu, poproszę o książkę z adresami naszych placówek terenowych.

Kobieta wstała, otworzyła kluczem metalową szafę i wyjęła książeczkę teleadresową z napisem „do użytku służbowego”. Roguski wziął ją i wrócił do siebie. Dopiero wtedy zwrócił uwagę na rozsypaną na biurku mieszankę tytoniową. Zgarnął ją kantem dłoni do kosza. Znalazł kontakt do szefa lubelskiej placówki, majora Krzysztofa Wolskiego. Pamiętał go z kilku odpraw w centrali firmy.

Chwycił za słuchawkę aparatu stacjonarnego i wybrał numer rozpoczynający się od 261 po wewnętrznej, wojskowej linii. Nikt nie odpowiadał. Odłożył słuchawkę, wstał i włączył radio, które stało obok paprotki na stoliku pamiętającym chyba jeszcze czasy PRL. Z głośnika popłynął jakiś standard jazzowy. Roguski nie mógł sobie przypomnieć nazwiska wykonawcy. Zagłębił się w wygodnym fotelu i na chwilę zamknął oczy.

Ponowił próbę po pół godzinie. Tym razem słuchawka została podniesiona od razu.

– Czołem, chciałem rozmawiać z majorem Wolskim.

– Jestem przy telefonie.

– Pułkownik Roguski.

– Melduję się.

– Spokojnie, majorze. Macie u siebie kapitana Andrzeja Morawskiego? Czy możecie go wysłać w delegacji do mnie do Warszawy, powiedzmy jutro?

Po drugiej stronie linii zapadła cisza.

– Majorze, słyszeliście?

– Tak, tak, panie pułkowniku. Tyle że jest problem.

– Jaki?

– Kapitan odszedł ze służby. W czerwcu.

– Powód?

– To była jego decyzja. Nie wypracował wprawdzie pełnej emerytury, bo służył w sumie dwadzieścia trzy lata, ale miał kłopoty finansowe. Wie pan, coraz droższe kredyty, inflacja, no i postanowił zdjąć mundur i z odprawy mieszkaniowej spłacić dług. Chyba miał też problemy prywatne, rozwiódł się w poprzednim roku.

– Od dawna sygnalizował chęć odejścia?

– Nie. Złożył wniosek o odejście ze służby trzy miesiące wcześniej. Jakoś tak nagle, w służbie nie było z nim problemów.

– Czy może mi pan podać jego adres domowy?

– Tak, proszę poczekać. – Wolski odłożył słuchawkę na biurko, po chwili trzasnęły drzwi. Po jakichś dwóch minutach major znowu się odezwał: – Może pan zanotować. Siedlce, Piaski Zamiejskie...

– Dziękuję. Proszę tę rozmowę zachować dla siebie.

– Tak jest, panie pułkowniku.

Następnego dnia tuż po porannej odprawie w centrali Roguski wsiadł do swojej służbowej czarnej škody superb i ruszył na wschód. Wybrał doskonale mu znaną drogę przez Mińsk Mazowiecki. W Siedlcach był kilka minut po godzinie jedenastej. Wjechał na peryferyjne osiedle znajdujące

się na północy miasta. Odniósł wrażenie, że kiedyś była to wieś, ale teraz powstawały tu zupełnie nowe domki jednorodzinne. Niewielki budynek kryty brązową blachą, pomalowany na biało, stał na skraju zielonej kępy drzew.

Roguski zatrzymał škodę przy wyjeździe z bramy garażowej. Podszedł do furtki, nacisnął klamkę, ale było zamknięte. Nacisnął dzwonek. Czekał, ale nikt nie odpowiedział. Na podwórku też nie było żadnego ruchu. Zaczął się rozglądać, ruszył wzdłuż drewnianego płotu i zajrzał do środka, zauważył, że za budynkiem na sporej działce znajduje się niewielki basen.

Wrócił do samochodu, usiadł w fotelu, gdy nagle ktoś zapukał od strony pasażera w boczną szybę. Patrzył na niego około pięćdziesięcioletni mężczyzna z kilkudniowym zarostem i niedbale przyczesanymi siwymi włosami, w żółtej koszuli z długim kołnierzykiem. Roguski wyszedł z pojazdu i spojrzał pytająco na intruza.

– Mogę wpuścić, chce pan obejrzeć? – odezwał się miejscowy.

– Tak? Szukam Andrzeja Morawskiego.

– A, Andrzejka. On to wszystko chce sprzedać. Wcześniej spłacił dom i się wyprowadził.

– Nie ma pan jego nowego adresu?

– Panie, nie zostawił! Puścił dom do agencji, a ja się z nimi umówiłem, że jak ktoś będzie się pytał, to wpuszczę. Tam z boku – wskazał palcem – jest napisane, jaki jest do nich numer telefonu, są z Siedlec.

– Co się mogło z nim stać?

– Panie, jak kobieta odchodzi, dzieci nie ma, dom staje się pusty. Po co mu takie wielkie pokoje? Męczył się przy nim z pięć lat, jak miał pieniądze, to była ekipa, innym razem, wie pan, metodą gospodarczą, z ukraińskim pomocnikiem. On podobno w wojsku był, ale kto go tam wie, ja go w mundurze nie widziałem. Chociaż tu kiedyś byli tacy dwaj, co się o niego wypytywali. Może to i byli żołnierze?

– Ale tam jest basen...

– No jest, i to jaki. Ho! – Miejscowy włożył do furtki klucz i uchylił drzwi.
– Zapraszam, pan wchodzi. – Puścił go przodem. Wjazd do garażu wyłożony był kostką, obok stała buda psa. – O, i pan patrzy, nawet psa się pozbył, a miał takiego ładnego, owczarka Ryśka. Szkolony był.

Przeszli wzdłuż ściany domu. Roguski zajrzał do środka przez okno, pomieszczenia były zupełnie puste, bez mebli. Znaleźli się z drugiej strony budynku, przy oszklonym wyjściu na drewniany taras. Obok niego stał wymurowany z cegieł solidny grill ze śladem paleniska.

– Pięknie tu, prawda.

Przed nimi rozciągała się łąka długa na jakieś trzydzieści metrów, przy siatce ogrodzenia rosły jakieś krzewy i ozdobne trawy, a po rogach drzewa. Na środku znajdował się niewielki basen – miał może siedem metrów długości, pięć szerokości. W niecce nie było wody.

– Andrzej pozwalał naszym dzieciakom się tu kąpać. – Miejscowy ciągnął swoją opowieść.

– Ktoś u niego ostatnio bywał?

– Cisza się zrobiła, jak wyprowadziła się jego Zosia. Wie pan, rozeszli się. Ale jak była ładna pogoda, przyjeżdżał do niego taki starszy pan, elegancki, luksusowym autem. Go chyba nazywają lexus czy jakoś tak, czarny, zawsze czysty. Siedzieli nad basenem, popijali sobie, ale nie żeby się upić, kulturalnie, no i se rozmawiali. Nic, tylko że to był jakiś biznesmen. A pan to właściwie czego chce? Pan znajomy Andrzejka?

– Można tak powiedzieć. No dobrze, dziękuję za wszystko. – Roguski wyciągnął rękę, pożegnał się i wyszedł z terenu posesji. Pięćdziesięciolatek jeszcze został.

ROZDZIAŁ 35

jesień 2022 r.

Warszawa

Skończył palić cygaro, wiatr rozwiewał mu włosy i jednocześnie uniósł popiół. Stał na balkonie tarasu na ostatnim piętrze dwudziestopiętrowego biurowca. Wrócił do swojego pokoju i usiadł w fotelu przed stolikiem.

Paweł Natan ponownie zaczął przewijać w swoim laptopie strony dilerów samochodowych. Przed krótką przerwą przejrzał najnowsze oferty BMW, a teraz oglądał Volvo. Starał się skonfigurować model pod siebie, pieniądze w zasadzie nie grały roli.

Siedział w wydzielonym pokoju redakcji dziennika „Wiadomości z Polski”, zlokalizowanej w biurowcu w pobliżu ronda ONZ, z piękną panoramą na wieżowce śródmieścia Warszawy, a dalej na Wisłę. Redakcja przeniosła się w to miejsce, bo od kilku lat dostawała milionowe przelewy na reklamy ze spółek skarbu państwa, a także zadania zlecone dotyczące kampanii społecznych firmowanych przez rząd. Ostatnio zasilona została kilkunastomilionowym zastrzykiem na kampanię promującą pozyskiwanie energii elektrycznej z wiatru. Niebawem – po naciskach Komisji Europejskiej – miały się zmienić przepisy, tak aby odmrozić możliwość budowania takich urządzeń w odległości co najmniej pięciuset metrów od najbliższych zabudowań. Ministerstwo Klimatu liczyło na to, że kampania trafi do elektoratu partii rządzącej, do której jeszcze kilka lat temu skierowana była kampania zupełnie odwrotna, jej celem miało być nastawienie negatywne do pozyskiwanej w ten sposób energii.

A jeszcze siedem lat temu redakcja „Wiadomości” mieściła się w wynajętym mieszkaniu na Dolnym Mokotowie. Redaktor naczelny Paweł Szymański od tego czasu awansował z nic nieznaczącego niszowego komentatora politycznego, bo w istocie nie miał nic do powiedzenia, jednej z politycznych frakcji, do publicysty niemal codziennie oceniającego działania rządu i opozycji w czołowych dziennikach telewizji państwowej oraz radia. Strumień pieniędzy pozwolił mu na rozwój spółki zarządzającej dziennikiem, tygodnikiem i miesięcznikiem, chociaż w zasadzie ich sprzedaż od wielu lat zamiast wzrastać, ciągle spadała. Czytelnicy, którzy się starzeli, rezygnowali z ich kupowania, bo oszczędzali.

Ale nie to było ważne.

Członkowie redakcji mieli świadomość, że dzięki obecnej władzy mają swoje pięć minut, które umożliwi im działanie nawet wtedy, gdy po wyborach dojdzie do zmian politycznych. Zatem żyli chwilą, opływając w luksusy, nie przejmując się w zasadzie niczym. Wiedzieli tylko jedno: że mają wspierać władzę, która daje pieniądze. A ta powoli wyciągała swoją rękę również do tych redakcji, które dotychczas uchodziły za neutralne albo „niezależne”. Ich ostrze stopniowo się stępiało, gdy wydawcy uzmysłowili sobie, że pieniądze od rządu lub państwowych spółek obsadzonych przez przedstawicieli obozu władzy nie śmierdzą. W ten sposób władza budowała sobie poparcie na najbliższe wybory. Tak w istocie kupowała i korumpowała media.

Natan teraz się nudził i już planował swoje przyszłe wydatki. Realizował bowiem zadanie specjalne. Fundusz finansowany przez potentata energetycznego zamówił w jego redakcji tekst, za który zgodził się słono zapłacić. Takich pieniędzy „jednym strzałem” Natan nigdy nie zarobił. Sto tysięcy dolarów dla niego i trzysta tysięcy dolarów dla redakcji za jeden tekst, który ukaże się za granicą, i to pod fałszywą flagą.

Szymańskiemu i Natanowi gotowca jak zwykle dostarczył Maciej Rakoczy, wiceminister spraw wewnętrznych. To akurat nie było nic nadzwyczajnego. W rządzie pełnił on rolę nieformalnego koordynatora, odpowiedzialnego za zasilanie zaprzyjaźnionych mediów przeciekami,

a w istocie materiałami zebranymi przez służby specjalne i prokuraturę w sprawach dotyczących opozycji. Nie tylko dawał im informacje kompromitujące oponentów politycznych, ale też inspirował do podejmowania określonych tematów – aby „spalić lub przykryć” te przygotowywane przez kilka jeszcze niezależnych od władzy mediów.

Natan siedział nad artykułem o finansowaniu przez władze dwóch arabskich krajów – Arabii Saudyjskiej i Zjednoczonych Emiratów Arabskich – trzech prominentnych opozycyjnych europosłów Europejskiej Partii Ludowej: Kowalskiego, Witkowskiego i Kozińskiego. Dostali oni spore pieniądze – po dwadzieścia tysięcy dolarów, za udział w konferencji naukowej. Organizator zapłacił im też za przelot i tygodniowy pobyt w pięciogwiazdkowym hotelu nad Zatoką Perską w Abu Zabi. Oficjalnie spotkanie miało służyć zbliżeniu obydwu państw, które podzieliła polityka międzynarodowa. Sęk w tym, że na konferencji tej pojawili się też przedstawiciele arabskich organizacji fundamentalistycznych, które zasłynęły ze zwalczania mniejszości seksualnych i dla których prawa człowieka nic nie znaczyły. Posuwali się do ataków na miejsca spotkań tych ludzi, wspomagali policję arabskich krajów w ich ściganiu. Mieli też na swoim koncie podpalenia lokali gejowskich w kilku krajach Europy Zachodniej.

Europosłowie znaleźli się więc, mniej lub bardziej świadomie, w towarzystwie ekstremistów. Po zakończeniu konferencji nie chwalili się zatem udziałem w niej, na niewygodne pytania, co robili przez tydzień, odpowiadali wymijająco, że byli na urlopie, a z rozmów nagranych przez CBA wynikało, że zastanawiali się nawet, czy aby nie wpisać do oświadczenia majątkowego za 2022 rok pieniędzy otrzymanych od Arabów. Słowem: zamierzali wymazać ten swój krótki epizod polityczny.

Obok laptopa Natana leżała teczka z materiałami kompromitującymi polityków opozycji, którą dostał dwa dni wcześniej od Rakoczego. Były w niej zdjęcia z konferencji, na której obecni byli bohaterowie przyszłej afery, na pendrivie zaś skany ich SMS-ów, nagrane rozmowy pomiędzy nimi, a nawet nakręcone telefonami komórkowymi filmy, z których

wynikało, że rozmawiali z przedstawicielami organizacji fundamentalistycznych.

To miała być bomba. Bomba odpalona w niewielkim belgijskim portalu internetowym News24-B-Bruxelles, który żył z relacjonowania prac Parlamentu Europejskiego i kojarzony był z lewicą.

– Chodzi o to, aby tekst ukazał się na Zachodzie, to pozwoli na przejęcie naszej narracji przez polityków z Brukseli. Przebije się w środowisku lewaków i nikt nie skojarzy go z nami. Potem, zakładam, tematem zajmą się nasze, także nam obce, portale. Będzie rezonował. Jestem pewien, że temat podchwycą też inne, nieprzychylnie nam gazety i ta ich wsiowa telewizja. Na tym nam najbardziej zależy, bo oni uwiarygodnią aferę. To będzie cios nokautujący opozycję! A temat będziemy podtrzymywali przez kolejne miesiące, dolewając paliwo dla mediów dla kolejnych odsłon afery. Materiałów mamy na tyle, że jesteśmy w stanie karmić nimi media bardzo długo. – Na policzkach Rakoczego pojawiły się czerwone plamy, jak zawsze, gdy był przekonany, że jego plan, uzgodniony z premierem Tomaszewskim, jest genialny i będzie miał przełomowe znaczenie dla rychłej kampanii wyborczej.

– A kto go tam umieści? – zapytał w trakcie kameralnego spotkania w redakcji z Rakoczym Szymański.

– O to się nie martw. W portalu tym niewielkie udziały ma węgierska firma paliwowa, a nasz flagowy potentat ma w niej większościowy pakiet.

– Genialne – przyznał Natan. – A kto się pod tym podpisze?

– Nie twój ból, ty dostaniesz kasę za napisanie, potem to przetłumaczymy. Mamy już człowieka, który da nazwisko. Kilkanaście lat temu odkrył aferę korupcyjną w Parlamencie Europejskim, wtedy poleciał ze stołka przewodniczący. No cóż, ten dziennikarzyna nie poradził sobie ze sławą i się stoczył, ale nazwisko ma dobre. Dla wielu będzie wiarygodnym źródłem – dodał Rakoczy.

– Ale to wszystko, rozumiecie, jest ścisła tajemnica. – Rakoczy chrząknął, wyciągnął lekko dolną szczękę do przodu, zrobił minę boksera i spojrzał na swoich rozmówców.

– Się rozumie, Maćku – odparł Szymański i zrobił młynek z palców, opierając ręce na brzuchu.

Natan jeszcze raz spojrzął na błękitne niebo nad stolicą Polski i się zamyślił. W ciągu tych dwóch dni zdołał już napisać niemal cały tekst. Teraz czekało go już tylko cyzelowanie niektórych sformułowań. W większym stopniu głowę zaprzętał mu w tej chwili problem koloru nowego samochodu, który zamierzał nabyć.

Wstał z fotela, otworzył przeszklone drzwi na korytarz redakcyjny i wyszedł do herbaciarni – niewielkiego pomieszczenia socjalnego, w którym stał automat na kawę. Podstawił kubek pod lejek i włączył maszynę do mielenia kawy, a następnie przycisnął ikonkę z rysunkiem cappuccino. Mieszanka kawowo-mleczna, w obłoku gorącej pary, z sykiem wypełniła kubek. Natan chwycił za naczynie i ruszył do swojego pokoju, ale wtedy usłyszał za sobą:

– Pablo, wpadnij do mojego gabinetu.

Odwrócił się. Redaktor naczelny stał kilka metrów od niego, a jego twarz wyraźnie odcinała się od bladej ściany. Miała intensywny purpurowy odcień.

– Mogę z kawą?

– Tak, zapraszam, redaktorze – odburknął szef.

Na ścianie w gabinecie Szymańskiego wisiały tabliczki z licznymi dyplomami, zdjęcia z politykami, jakieś rysunki, obrazy, które dostał od wiernych czytelników. Na regale stały puchary, a także rząd książek, głównie o tematyce historycznej i polityce, wiele wśród nich było biografii wielkich tego świata.

Naczelnny usiadł za biurkiem, na którym stało oprawione w solidne ramki jego zdjęcie wraz z żoną i gromadką dzieci, chociaż od lat wszyscy w redakcji wiedzieli, że na boku ma romans, a on też specjalnie się z tym nie krył.

– Usiądź... – Wskazał krzesło naprzeciwko.

Natan wyczuł w jego głosie jakąś niepewność, zdenerwowanie. No i ta twarz, która płonęła buraczaną czerwienią...

– Zadzwoił do mnie Romański, wiesz, nasz przyjaciel Janusz. Jego przekaz był krótki: masz kłopoty. Prokuratura z niemieckiego Düsseldorfu wysłała wniosek do naszej o pomoc prawną, w kwestii przesłuchania ciebie. Sprawa jest poważna, chodzi o zabójstwo. Masz coś do powiedzenia?

– No wieesz... – Natan zaczął się jąkać, nie zakładał, że dzień jego triumfu stanie się też dla niego dniem przeklętym.

– Sprawa jest poważna. Bo wiesz... ten nasz projekt? On nie może lec w gruzach, to byłaby katastrofa dla ciebie i dla mnie.

– Okej, słuchaj, kilka miesięcy temu byłem na wycieczce w tym mieście, a przy okazji zebrałem materiał o takim kurdyjskim handlarzu bronią. Pamiętasz? Pisałem o nim. Zupełnie przez przypadek znalazłem się też w miejscu, gdzie został znaleziony jego trup. Nagrały mnie kamery monitoringu, gdy tam byłem, no i to wszystko...

– Nie mówiłeś wtedy o tym, że byłeś w takim miejscu... Romański jednak twierdzi, że prokurator niemiecki ma jakieś dowody przeciwko tobie i to się może różnie zakończyć...

– Nie ma, kurwa, żadnych dowodów, chcą mnie wkręcić naziści! To prowokacja! – wybuchł nagle Natan, po czym wstał i podszedł do szklanej ściany z widokiem na Pałac Kultury. – Znasz mnie od lat? Tak. Powiedz?

– No, słucham...

– Wierzysz mi?

– No...

– Nie brałem udziału w żadnym morderstwie. Myślę, że sprawa się wyjaśni po przesłuchaniu... – Natan myślał już trzeźwo, zaczynał porządkować myśli, ale ręce lekko mu drżały, a na plecach jego koszuli pojawiła się plama potu, mimo że w gabinecie naczelnego pracowała klimatyzacja.

– Czy możesz poprosić Romańskiego, bo mnie byłoby głupio do niego dzwonić, aby wskazał do przesłuchania jakiegoś naszego prokuratora?

– Tak, to jest wykonalne. On też powiedział, że Niemcy przesłali listę pytań, które prokurator ma zadać w trakcie przesłuchania.

– Pytania też by się wcześniej przydały.

– Dobra, redaktorze. Tylko mi nie rozłóż naszego projektu, z tą świętą trójcą, bo cię tymi rękami... – Na twarzy Szymańskiego pojawił się wymuszony uśmiech.

– Dobra. Nie martw się, zaraz skończę ten temat.

– A teraz morda w kubek, o niczym nie wiesz, bo to, kurwa, tajemnica państwowa jest, tajemnica śledztwa.

– Nie pierdziel, stary, przecież wiem...

– To jak będę coś wiedział, dam znać. Zatem, Pablo, do roboty, wielka przyszłość przed nami, mamy szansę uratować nasz rząd...

– Dobra, szefie. – Natan odwrócił się i wyszedł.

Wrócił do swojego gabinetu, wszedł na taras widokowy i zapalił cygaro. Pociągnął tylko dwa razy, zgniótł je o marmurowy parapet, rzucił na znajdującą się poniżej ruchliwą ulicę i wrócił do siebie. Chwycił za telefon i zamówił taksówkę. Wylogował się i zamknął laptop.

*

– To będzie ostatni transport. – Cydejko siedział przy biurku w gabinecie swojej podwarszawskiej rezydencji. – Robi się niewyraźnie wokół naszego tematu – dodał.

Od kilku minut, wykorzystując szyfrowany komunikator internetowy, rozmawiał z Czarnym, który był w Albanii. Poinformował on swojego pracodawcę o bezpiecznym dostarczeniu dla Islamskiej Republiki Iranu kontenera z bronią, który następnie miał przejść przez sieć fikcyjnych firm zarejestrowanych w środkowej Afryce, aby ostatecznie trafić do Teheranu. Jak w przypadku poprzednich trzech transportów, w tym dwóch za uwolnienie Kosińskiego, wszystko odbyło się pod legendą dostarczenia

broni do ukraińskiego portu przez Rumunię, tak przynajmniej spreparowana została dokumentacja przewozowa. Przeładunek na statek zarejestrowany przez Urząd Morski Panamy został, jak wcześniej, dokonany w albańskim porcie Durrës. W rzeczywistości jednostka należała do National Iranian Oil Company.

To już nie była jednak wymiana za uwolnienie zakładnika, ale czysta transakcja, poparta żywą gotówką, która trafiała na szwajcarskie konto właściciela spółki. Tym razem do Iranu trafiły systemy maskujące, trały niekontaktowe MLM, czyli wykrywacze min morskich, niewielka partia przenośnych przeciwlotniczych zestawów rakietowych GROM oraz celowniki Rubin, a także kilka karabinków GROT. Cydejko był przekonany, że Persowie chcą je wykorzystać w celach naukowo-badawczych, chociaż nie miał też pewności, czy nie zostaną użyte do jakiejś prowokacji skierowanej przeciwko Polsce. Ale dla niego nie miało to żadnego znaczenia.

Rozmowę telefoniczną przerwał gong. Cydejko gwałtownie wstał i z telefonem przy uchu podszedł do dyżurki, w której znajdował się komputer wyświetlający obraz z kamer monitoringu. Aktywna była tylko ta umieszczona przed bramą wjazdową, pozostałe były uśpione, reagowały bowiem na ruch.

Spojrzał na monitor. Przed bramą wjazdową stał Natan, w tym samym momencie na niewielkim podjeździe manewrowała i próbowała zawrócić taksówka – czarne renault.

- Co on tu, kurwa, robi? – Cydejko zaklął pod nosem.
- Nie rozumiem, szefie. – W słuchawce odezwał się Czarny.
- To nie do ciebie. Wszystko w porządku. Muszę już kończyć.
- Okej, szefie. Gdy wrócę, zgłoszę się tam gdzie zawsze.
- Dobra, powodzenia.

Odłożył komórkę i nacisnął przycisk, urządzenie elektroniczne otworzyło furtkę przy bramie. Natan wszedł do środka. Powoli zmierzał do drzwi rezydencji. Po chwili jednak przystanął, z wewnętrznej kieszeni

marynarki wyjął cygaro i je zapalił. Można było odnieść wrażenie, że wykorzystał ten moment, aby zebrać myśli.

– Zapraszam, Paweł. – Cydejko otworzył drzwi i z wymuszonym uśmiechem wyszedł na zewnątrz. Przywitali się. – Co cię tak nagle sprowadza?

– Ach, zastanawiałem się, czy przyjeżdżać, ale...

– Rozumiem, że masz problem. Ja jestem od tego, aby pomóc ci go rozwiązać. – Starszy mężczyzna tryskał humorem. Rozmowa z Czarnym go rozluźniła, wiedział już, że transport bezpiecznie dotarł do adresata. A za kilka dni mógł się spodziewać przelewu na swoje zagraniczne konto. – Poczekaj. – Cydejko wszedł do budynku, w kuchni nalał do szklanek bourbona, dorzucił po dwie kostki lodu i kawałki limonki. Po chwili wrócił i zaprosił gościa na zaplecze budynku, od strony lasu. Na krótko ostrzyżonej soczystej trawie stały meble ogrodowe.

Podał Natanowi szklanekę, stuknął w nią swoją i usiadł.

– Co cię sprowadza?

– Stało się to, czego się bałem. Wyszła sprawa tego Düsseldorfu. Prokurator wysłał do naszych wniosek o udzielenie pomocy prawnej. Chcą mnie przesłuchać, jeszcze nie wiem kiedy, no ale niebawem...

– Martwisz się tym?

– No, a jak się nie martwić?

Cydejko po raz drugi stuknął o jego szkło, kostka lodu z sykiem pękła w bursztynowym płynie. Nad nim uniosła się ledwo dostrzegalna mgiełka.

– Wiesz przecież, co masz mówić. To już ustaliliśmy. Zbierałeś materiał, wycieczka, zabytki, przypadkowo znalazłeś się w tym miejscu, takie tam. Przecież nic na ciebie nie mają, poza tym odciskiem.

– No, właśnie, ten pierdolony odcisk. Po co ja się w to wszystko dałem wkręcić?

– A ty znowu swoje. Było i się nie odwróci. Ale nie martw się, pomogę ci. Dopij, no, raz raz... – popędził Natana. Wstał i z dwiema szklankami wrócił do domu. Niczym automat nalał do nich bourbona, dorzucił lód i kawałki

cytrusa. Następnie podszedł do biurka, poszperał chwilę w szufladzie i z wizytówką wrócił do ogrodu. – Trzymaj, tu masz kontakt do mecenasa Włodyki, on ci pomoże przygotować się do przesłuchania i będzie razem z tobą. Ja się z nim rozliczę, o pieniądze się nie martw.

– Dziękuję, ale jest jeszcze jeden problem... – Natan upił spory łyk alkoholu.

– Co znowu?

– Nie mam pojęcia, jak to się stało, ale to się rozeszło.

– Co? No mówże, co tym razem się ro-ze-szło. – Cydejko z irytacją przeskanował ostatnie słowo.

– Jak tu jechałem, zadzwonił do mnie szef z redakcji, bo dzwoniли do niego dziennikarze z kilku redakcji: radio, telewizja, jakaś gazeta, i wszystko, kurwa, nie nasze, w sensie narodowe, i pytali o to, dlaczego jestem zamieszany w zabójstwo. – Natan wypuścił powietrze i sięgnął po bourbona.

– A tego to żeśmy się nie spodziewali... – Cydejko stuknął palcem o kant szklanki.

– Tak, wyszło do dupy...

– A skąd oni o tym, kurwa, wiedzieli?

– Nie mam pojęcia. Jeden z nich sypnął tylko Szymańskiemu, że dostali e-mail z takim donosem i zdjęcie, jak sobie stoję przy tym samochodzie, z tym nieżywym Kurdem.

– To ciekawe. Jakież służby za tym stoją? Niemcy?

– Ja nie wiem, ja już nic nie wiem. Kurwa, po co mi to było?

– Uspokój się! – Cydejko wszedł do rezydencji i po chwili wrócił z kolejną butelką bourbona i wiaderkiem na lód. Nalał im do pełna.

– Pij i o niczym nie myśl. Wszystko się ułoży, ten mecenas ci pomoże, także napisać ewentualne oświadczenie, w stylu nie komentujemy, bo jest śledztwo czy jakoś tak... Kurwa, ale... kto z nami pogrywa?

– Bardziej ze mną.

– Kurwa, Paweł, jesteś chłop czy baba? Weź się w garść. Pij, kurwa, nie myśl o niczym. Może jakieś panienki? Jakaś rozrywka?

– Nie, ja zaraz wracam do domu, mam trochę roboty... Jutro.

– Pamiętaj, Włodyka ci pomoże, on już ma na swoim koncie kilka cudów w sądach. A poza tym, kto dzisiaj rządzi w prokuraturze? No, przecież twój, nasi ludzie. Dadzą ci zrobić krzywdę? No przecież nie... – Cydejko się nakręcił.

– A ja myślałem, że to kolejna twoja próba, że to ty.

– Co ty pierdolisz? Pijany jesteś?

Natan wstał z krzesła i sięgnął po telefon, zamówił taksówkę. Miała przyjechać za dziesięć minut.

– Wejdę na chwilę do toalety – powiedział przepaszająco i chwiejnym krokiem wszedł do rezydencji. W głowie mu szumiało od nadmiaru alkoholu, serce waliło, czuł się niepewnie. Spojrzał w lustro zawieszone na ścianie w przedpokoju, szyję i policzki miał purpurowe ze zdenerwowania. Przystanął i zastanowił się, gdzie jest toaleta. Wszedł do pomieszczenia na końcu korytarza, przy wejściu do sypialni.

W tym momencie usłyszał coś jakby cichy szloch, głos dochodził z otworu wentylacyjnego znajdującego się za kratką w łazience. Przemył twarz zimną wodą, znowu spojrział w lustro, obraz mu się rozjeżdżał, był niewyraźny. „Pablo, najebałeś się, kurwa” – pomyślał.

Wrócił do Cydejki. Ten spokojnie przeglądał wiadomości na telefonie komórkowym.

– Na razie nic nie ma. Pamiętaj jutro masz rendez-vous z mecenasem. Już mu wysłałem wiadomość, aby potraktował cię godnie.

– W łazience coś słyszałem, jakby ktoś płakał...

Rysy twarzy Cydejki się wyostrzyły. Natan był przekonany, że momentalnie spowaźniał. – To pewnie jakieś leśne zwierzę, ciągle mi coś tu wchodzi, ostatnio jeża złapałem – odparł. – O, takiego. – Rozłożył ręce.

– Ale to było tak, jakby człowiek...

– Ty, kurwa, chyba naprawdę jesteś pijany. No idź już, taksówka czeka.

ROZDZIAŁ 36

jesień 2022 r.

Kolonia/ Düsseldorf

Po kilku dniach obserwacji wreszcie postanowiła działać. Szarpnęła z całej siły klapy jego marynarki, podciągnęła je gwałtownie do góry, a potem ściągnęła w dół, czym unieruchomiła jego ręce. Następnie z całych sił wymierzyła mu cios nogą w krocze. Od razu uklęknął i bezwładnie osunął się na betonową płytę chodnikową.

Milusha, gdy straciła jego samochód z oczu, spędziła kilka kolejnych dni na nocnym poszukiwaniu białej toyoty aygo z rozbitym światłem. Aż wreszcie udało się, wyłapała ją w dzielnicy Kalk w Kolonii. Następnego dnia rano zaobserwowała, jak kierowca, który był w barze, wyruszył do polskiego konsulatu. Spędził w nim osiem godzin. Miała pewność, że w tym miejscu pracuje. Przez cały czas cierpliwie obserwowała jego ruchy, podskórnie czuła, że już niebawem będzie w stanie rozwikłać zagadkę śmierci Ziyada i Iny. To ją napędzało, nie czuła głodu, bólu ani nocnego, jesiennego chłodu.

Tego dnia postanowiła uderzyć. Zaczaiła się w bramie domu oddalonego o kilkadziesiąt metrów od jego mieszkania w bloku. Widziała, że na pobliskim parkingu zostawił swoją toyotę, a ostatni odcinek pokonywał pieszo. Zaatakowała w najmniej oczekiwanym momencie. Zaszła go od tyłu.

Z całych sił pociągnęła go do pozycji stojącej, chociaż ciągle się kulił po potężnym ciosie. Ciężko oddychał, stękał, chwilami nie mógł złapać tchu.

Milczał. Wepchnęła go na ścianę, wyjęła zza paska pistolet i przystawiła go do jego brody.

– Będzie wyglądało jak samobójstwo. Tak? – wysyczała.

– Zaraz, ale kim pan jest? Co pan robi, ja jestem polskim dyplomata.

– Tak? I co jeszcze? A może też zdrajcą?

Szyfrant Mariusz Zielonka spojrzał spode łba i jakby instynktownie sam starał się wcisnąć w ścianę. Milczał. Wtedy Milusha zadała mu kolejny cios. Tym razem to jej kolano wylądowało na jego kroczu.

– O nie... – Zielonka ponownie osunął się na płyty chodnikowe, przez chwilę kasłał, pluł i próbował złapać powietrze. Zwijał się z bólu. Po długiej dla niego minucie, a może dwóch, wystękał: – Chcesz mnie zabić? Co ci zrobiłem?

– Porozmawiamy. Wstawaj.

Zielonka uniósł się niezdarnie, ale był w stanie tylko usiąść na zgiętych nogach oparty plecami o ścianę. Uwolnił ręce z węzła marynarki i trzymał się za podbrzusze.

– Kto zabił Inę?

– Nie wiem, o kim mówisz.

– Oki, noga czy ręka, tym razem jeszcze masz wybór, zatem lewa, czy prawa? – spytała i przystawiła pistolet do lewego ramienia Zielonki.

– Ale ja naprawdę nie wiem, o kim mówisz. To jakaś pomyłka. – Zaczął szlochać jak kilkuletni chłopak, który spadł z roweru i otarł sobie kolano. Z nosa i ust kapiała mu ślina. Zamknął oczy.

– Zatem przejdziemy na kolejny poziom. Kto zabił Ziyada?

– Nie ja.

– Czyli tym razem wiesz, o kogo chodzi?

– Tak.

– Jak nie ty, to kto?

– Jego kuzyn, Masud.

– O co poszło?

– Miał dowody na to, że Polska wysłała broń do Iranu. Podobno to miała być jakaś transakcja, wymiana za zakładnika. Ziyad poinformował o tym polskie służby. Za dużo wiedział. W zasadzie to wystawili go nasi, a Masud tylko odwalił czarną robotę.

– Aha, a kto za tym stał?

– Nie wiem, ale mogę się dowiedzieć.

– Tak? A możesz się dowiedzieć, kto zabił Inę? Ona mieszkała na barce na Renie.

– Mogę spróbować, ale w zamian...

– W zamian za twój spokój, bo chyba na nic więcej nie liczysz?

Milusha gwałtownym ruchem przycisnęła go z całej siły do ściany i zakryła mu usta ręką. Obok przejechał bus z reklamami firmy sprzątającej.

– Nie. Muszę coś mieć dla nich, do wymiany... – odpowiedział Zielonka, gdy zwolniła dłoń.

– Co?

– Zrozum ja jestem tylko narzędziem, małą śrubką w tej grze. Oni chcą odzyskać dokumenty, które miał Ziyad. Potrzebuje ich polski wywiad. Chyba nie chcą, aby sprawa broni rozeszła się po świecie, żeby dotarła do Amerykanów.

– Tak myślisz?

– Tak. Muszą coś dostać, coś mieć. – Zielonka odzyskał energię, poczuł się pewniej, ale jego dłonie przez cały czas drżały.

– Dobrze.

– W takim razie spotkajmy się za cztery dni w południe na Frankenplatz w Düsseldorfie. Tam go chyba załatwili? Nie mylę się?

– Dobrze.

Milusha schowała broń pod ramoneskę i spokojnym krokiem odeszła. Zielonka jeszcze przez kilka minut siedział w bramie, aż zdołał się podnieść. Zaraz potem sięgnął po telefon.

Milusha wsiadła na motocykl i omijając miejsce spotkania z szyfrantem, przejechała w pobliże jego domu. Stała w cieniu drzewa, przy niewielkim ogrodzonym drewnianym płotkiem klombie, na którym rosły różne kwiaty. Już wcześniej wybrała ten punkt obserwacji.

Po dziesięciu minutach, lekko utykając, pojawił się Zielonka. Wszedł do klatki schodowej, a potem do mieszkania. W oknie na drugim piętrze zapaliło się światło, następnie uchylił firankę, otworzył okno i stanął w nim, nerwowo paląc papierosa. Milusha czekała. Postanowiła, że będzie obserwowała jego mieszkanie, do czasu gdy zgasi światło. Po mniej więcej pół godzinie tak się stało. Odczekała jeszcze pięć minut i postanowiła po cichu wypchnąć na ulicę motocykl, gdy otworzyły się drzwi bloku i pojawiła się w nich postać Zielonki. Milusha zamarła. Weszła głębiej w cień i patrzyła. Gdy zniknął, ruszyła, włożywszy na głowę kask. Założyła, że pojedzie do Düsseldorfu. Wyjechała na drogę szybkiego ruchu prowadzącą do tego miasta, przejechała pięć kilometrów i zatrzymała się na poboczu. Czekwała krótko. Po chwili śmignęła koło niej toyota z rozbitym tylnym światłem. Ruszyła ponownie. Trzymała się w pewnej odległości, aby jej nie zauważył, ale też aby tym razem jej nie uciekł.

Zielonka zaparkował pod wiadomą kebabiarnią. Lokal był już zamknięty, ale w środku majaczyła czyjaś sylwetka, nad wejściem migał zepsuty neon z napisem. Chorąży wszedł od strony zaplecza.

Milusha błyskawicznie wyszarpała z kieszeni komórkę, włączyła ją i ustawiła obraz z kamer, które zainstalowała w środku. Zielonka wraz z Masudem siedzieli już przy stoliku. Tym razem muzyka była wyłączona.

Podkręciła głoś i założyła słuchawki na uszy.

– To jest jakiś wariat. Kurwa... mógł mnie zabić – mówił podekscytowany Polak.

– Jak cię znalazł?

– Nie wiem, nie mam pojęcia. Gorzej, że wie, kto zabił Ziyada.

– Skąd?

– Nie wiem.

Masud wstał, zapalił papierosa i nalał z niewielkiego czajniczka mocną, ciemną herbatę do szklaneczek w kształcie tulipana. Obok postawił talerzyk ze słodyczami. Był skoncentrowany na tym, aby sobie poradzić z tym, co teraz na niego spadło.

– Ale nie wszystko jest stracone.

– Tak?

– Zawarłem z nim układ. Mam sprawdzić, co się stało z tą jego kochanką z barki, a on dostarczy dokumenty Ziyada.

– O! To byłaby duża rzecz i zamknęła nam temat, mam nadzieję, że na zawsze. Nasi byliby zadowoleni, może nawet byłaby jakaś premia ekstra.

– No właśnie, ale musisz wszystko zorganizować. Spotkanie za cztery dni, w piątek w południe, tam gdzie próbowałeś wyeliminować Ziyada. Znasz to miejsce doskonale.

– To dobre miejsce. – Masud pogładził brodę i lekko podkręcił wąsa. – On nie działa na zlecenie tego Zawadzkiego?

– Nie wiem, ale jestem bliski dekonspiracji. Musisz mi załatwić miękkie lądowanie, gdzieś za granicą. Tutaj moja misja się kończy.

– Dobrze, ale na początku musimy mieć te papiery.

Część III

ZAPŁATA

ROZDZIAŁ 37

jesień 2022 r.

Düsseldorf

Przeciągnęła się na łóżku i sięgnęła po sok pomidorowy z pieprzem i mieloną czerwoną papryką. Zagryzła kawałkiem zimnej pizzy. Zdjęła słuchawki z uszu. Wstała i poszła do toalety, aby obmyć twarz. Spojrzała w lustro. Na jej twarzy, poczerniałej od zarostu, przez który przebijały się pojedyncze srebrne włosy, malowało się zmęczenie, jednakże zmieszane z nadzieją na bliskie dotarcie do finału. Przygładziła włosy, które już odrastały.

Trzy dni wcześniej zapytała kobietę, która wychodziła z budynku naprzeciwko Hauptbahnhof, o lokal do wynajęcia.

– Jest taki, po dawnej kwiaciarni – odburknęła starsza Niemka spod medycznej maseczki, którą miała na twarzy. – Od dawna stoi pusty. – Wskazała palcem na róg budynku.

Ten lokal znajdował się jakieś sześćdziesiąt metrów od lokalu, w którym urzędował Masud. Tego samego dnia wieczorem za pomocą zestawu ślusarskiego Milusha włamała się do tego miejsca. Nie było to specjalnie trudne, bo przez jakiś czas, jeszcze jako nastolatka, chodziła do szkoły zawodowej, gdzie poznała podstawowe maszyny i narzędzia wykorzystywane przez osoby, które reperują zamki. Po wejściu do środka zaryglowała drzwi, opuściła zbutwiałe rolety, zapaliła latarkę i omiotła sztucznym światłem pomieszczenie. Było pusto, ale za ladą stały dwa stare krzesła oraz łóżko składane. Znajdował się tam też niewielki magazynek przypominający chłodnię – w przeszłości pewnie przechowywano w nim

kwiaty. Była także mała toaleta. Okazało się, że na zapleczu są drugie drzwi zamykane na zasuwę od środka. Zatem po ich odblokowaniu mogła nimi wchodzić i wychodzić, nie wzbudzając niczyjzego zainteresowania.

W kryjówce w byłej kwaciarni spędziła już kilkadziesiąt godzin. Podłączyła do prądu urządzenie, które wzmacniało sygnał z kamer umieszczonych w barze, a obraz przerzuciła na laptop, aby widzieć więcej szczegółów. Jadła, chodziła i spała w słuchawkach, ale nic ciekawego nie odnotowała. Zwróciła uwagę, że Naser wrócił do swojego stałego nawyku wychodzenia na papierosa co kilkanaście minut, ale też popalał marihuanę. Masud częściej był nieobecny w lokalu. Wyjeżdżał i po kilkunastu minutach wracał. Widziała, że jest na czymś skupiony. Towaru jednak nie przywoził do baru. Być może przygotowywał się do zabezpieczenia spotkania, na które namówił ją Zielonka.

Ruch rozpoczął się na dzień przed tym spotkaniem, późnym wieczorem, gdy lokal opuścili już dwaj kucharze, a został tylko Masud. Od strony zaplecza weszło dwóch mężczyzn. Jeden z nich miał czapkę baseballową na głowie, czarną koszulkę, skórzaną kurtkę z ćwiekami i dżinsowe spodnie. Gdy odłożył czapkę, okazało się, że blond włosy ma krótkie. Kamera pokazała, że lekko łysieje. Wyglądał na Europejczyka. Zupełnie inaczej niż jego towarzysz. Ten z kolei miał typowo bliskowschodnią urodę, czarną brodę i gęste włosy, ciemną karnację.

Masud na wstępie kazał im zostawić wyłączone telefony komórkowe w oddzielnym pomieszczeniu, przy tylnym wejściu do lokalu. Poprowadził ich do stolika, postawił na nim tradycyjną mocną herbatę w niewielkich szklankach i w kolorowej, malowanej ręcznie miseczce orzeszki pistacjowe. Włączył cichą muzykę. Rozmawiali w języku niemieckim, bo „biały” nie znał innego.

Milusha wykonała serię stop-klatek ich sylwetek i twarzy, zgrała je na laptopa i natychmiast wysłała do chmury.

– Jak się czujesz, Messer? – Masud zwrócił się do białego.

– Doskonale.

– Plan jest następujący: masz miejsce w tym samym lokalu. Wszystko jest załatwione, możesz się już wprowadzać. Klucz jest, jak poprzednim razem, w piwnicy. Nasz człowiek będzie miał na sobie mikrofon, zatem będziemy słyszeli całą rozmowę. Na Frankenplatz wejdzie od strony Füsilierstrasse, czyli od północnego wschodu, potem przejdzie obok azjatyckiej restauracji. Widzisz to?

– Tak.

– Matheus, pełna koncentracja! Tym razem nie możemy się dać podpuścić. Wszystko musi być wykonane profesjonalnie, aż do bólu. Tak wygląda nasz człowiek. Przyjrzyj się jeszcze raz, dla przypomnienia. – Z wewnętrznej kieszeni marynarki wyjął zdjęcie i cisnął je na stolik. Messer podniósł je i rzucił na nie okiem. Wstał, zdjął kurtkę i powiesił ją na oparciu krzesła. Milusha przybliżyła obraz. Na karku miał wytatuowaną błyskawicę, a na ramieniu szwabachą fragment biblijnego wersetu *Wer Wind sät, wird Sturm ernten*.

– I pamiętaj, ja wydam polecenie i określe miejsce na strzał. Jasne?

– Tak jest!

– Pamiętaj o szybkiej ewakuacji i kamuflażu.

– Nie musisz mi o tym przypominać.

– Dobra, to do jutra. Shafram zostań jeszcze chwilę.

Matheus Reina pseudonim Messer podniósł się, zgarnął ręką kurtkę z krzesła i wyszedł na zaplecze. Mężczyźni milczeli, dopóki nie zatrasnęły się za nim drzwi.

– Co o nim myślisz? – Masud zwrócił się do Shaframa Golamiego.

Milusha błyskawicznie wyszukała w komórce tłumacza z języka farskiego i go uruchomiła. Uważnie słuchała. Była maksymalnie skupiona, aby z kakofonii dźwięków dwóch języków wyłapać zrozumiałe dla siebie strzępki rozmowy.

– Ma doświadczenie. Sprawdzał się u nas. Wyszkolił wielu bojowników. – Golami sięgnął po garść orzeszków pistacjowych i odrzuciwszy skorupki, wsypał je do ust.

- Przyspieszamy operację.
- Tak, a dlaczego?
- Centrala Al-Kuds zdecydowała, że nie możemy czekać, bo istnieje zagrożenie dekonspiracją naszych planów.
- Dla mnie to nie jest problem. Wszystko jest przygotowane, materiały są zgromadzone.
- Zmieniły się jednak cele.
- O, czyli nie Izrael i Amerykanie? Czyli nie odwet za śmierć naszego generała Kasema Sulejmaniego?
- Tym razem nie. Polska i Ukraina.
- To zupełnie bez sensu. A co one dla nas znaczą? – Shafram głośno wydmuchał powietrze i nadał usta, a potem wypluł na stolik kawałek twardej skorupki orzeszka.
- Tak ci się tylko wydaje. To szersza operacja, nie tylko militarna, ale też informacyjna. Ma wyglądać tak, jakby uderzyli w nich Rosjanie. To nam pomoże odciągnąć polskie służby od zajmowania się nami. Przynajmniej taką nadzieję mają nasi szefowie. Pamiętasz przysłowie „Lampa kłamstwa nie daje światła”? Daje fałszywe światło, fałszywy obraz.
- Czyli kiedy przyjdzie ten czas?
- Sygnał otrzymam w przyszłym tygodniu. Centrala określi też miejsce i godzinę.
- Jesteś do tego przekonany?
- Ja nie mam nic do gadania. „Kto dokonał dzieła? Ten, co go przywiódł do końca...” – przypomniał perską maksymę. – Znasz to. Taka jest nasza rola, dokończyć dzieła. A potem wracamy do domu.
- Wreszcie moja Leila mnie zobaczy, na pewno tęskni, moja ukochana. Muszę coś kupić Zari.
- Ile ona ma lat?
- Dziesięć.

– W sklepie Lego widziałem zestaw z klockami w kształcie zwierząt. Wyglądały oryginalnie.

– Muszę tam wpaść i obejrzeć.

– A ty co będziesz robił po powrocie do Teheranu?

– Pewnie wrócę do policji. Tylko to umiem. Ale zaraz po powrocie do kraju odwiedzę moich rodziców w Kermanszah. Moja mama robi obłędne biryani z miętą. Musisz kiedyś do nas wpaść i spróbować.

– Rozmarzyłeś się. Kończymy, bo przede mną trudny dzień. Pamiętaj, jesteśmy w gotowości, sygnał przyjdzie niebawem. Będziemy mieli mało czasu, aby zrobić rekonesans w miejscu przeprowadzenia operacji. – Masud wstał od stołu, odstawił na blat kuchenny puste szklanki po herbacie. – Poczekaj jeszcze, zostawię moim ludziom informację, o której będę jutro. – Sięgnął po kartkę i coś na niej napisał. – Dobrze, chodź już.

Obydwaj wyszli przez zaplecze. Masud tylko zatrzaskał drzwi na automatyczny zamek.

Milusha miała wypieki na twarzy. Próbowwała uporządkować myśli, przemyśleć plan działania na następny dzień. Kusiło ją, aby skontaktować się z Zawadzkiem. Odrzuciła jednak ten pomysł. „Czy on jest mi do czegoś potrzebny?” Przeciągnęła się na łóżku. W tym momencie usłyszała jakiś ruch w sąsiednim pomieszczeniu. Powoli się podniosła i z latarką w ręce przesunęła się bezszelestnie wzdłuż ściany. Weszła po omacku do chłodni i włączyła latarkę. W rogu siedział tłusty szczur. Gdy ją zobaczył, uciekł do niewielkiego otworu przy jakiejś rurze.

Matheus nazywany przez znajomych Messerem, bo na plecach miał wytatuowany kordzik SS z dewizą *Meine Ehre heißt Treue* (moim honorem jest wierność), otworzył kluczem wejście do niewielkiego mieszkania nad salonem fryzjerskim przy Frankenplatz. Postawił w przedpokoju futerał. Wszedł do środka i dokładnie sprawdził każde pomieszczenie. Nie zauważył nic podejrzanego. Rozebrał się do spodenek, na podłodze położył ręcznik. Wyjął z pudła elementy karabinka, rozłożył je, a następnie dokładnie przetrął naoliwioną szmatką, którą miał w zestawie. Oczyszczył każdą część i złożył karabinek z powrotem, a następnie śrubokrętem

dopasował do jego łoża lunetę celowniczą. Przejrzał magazynek i delikatnie ułożył go obok, na ręczniku.

Położył się na plecach, nałożył słuchawki i włączył utwór *Werwolf* szwedzkiego zespołu Marduk. Przymknął oczy, uspokoił oddech i zaczął planować jutrzejszy dzień. Był pewien, że nic nie przerwie jego zadania, jak wtedy, gdy jako snajper służył w Afganistanie i eliminował talibów.

W 2000 roku wstąpił do Bundeswehry. W cztery lata później z powodzeniem przeszedł selekcję do jednostki specjalnej KSK. Po kilkumiesięcznym szkoleniu snajperskim wyjechał na misję do Afganistanu. Wraz z kilkunastoma kolegami został jednak stamtąd dyscyplinarnie odwołany do kraju, gdy media ujawniły, że na samochodach jednostki znalazły się namalowane emblematy palmy przypominające symbol Africa Corps, wprawdzie bez swastyki, ale z naniesionym żelaznym krzyżem.

Dziwiła go tak nerwowa reakcja Ministerstwa Obrony, bowiem dowódca nie ukrywał, że KSK nawiązuje do tradycji Waffen-SS, a konkretnie do bliskiego mu pułku specjalnego „Brandenburg”, który działał między innymi na Bliskim Wschodzie. Zresztą na tablicy z pamiątkami w jego macierzystej jednostce znalazły się insygnia różnych jednostek Wehrmachtu, także tej.

Wraz z innymi towarzyszami broni został przesłuchany przez funkcjonariuszy wojskowego kontrwywiadu MAD. W raporcie końcowym wskazano, że w jednostce tej rozwijał się kult niemieckich jednostek z II wojny światowej.

W 2017 roku na własną prośbę odszedł z tego powodu z wojska. Natychmiast został zwerbowany przez firmę ochroniarską Asgaard z Hamm w Nadrenii Północnej-Westfalii, która zatrudniała byłych policjantów i żołnierzy. Jako doświadczony podoficer został wysłany do biura w Bagdadzie, gdzie strzegł ambasad arabskich krajów. Właśnie wtedy nawiązał z nim kontakt wywiad irański, który interesował się systemem ochrony ambasady Arabii Saudyjskiej. Matheus uznał, że

pieniądze nie śmierdzą, a w tym wypadku nie można mówić o zdradzie, tylko o układzie czysto biznesowym.

Tradycja Waffen-SS była zawsze obecna w jego domu. Pamiętał opowieści dziadka Matiasa Reiny i jego zdjęcie w mundurze Błękitnej Dywizji, z wymalowanymi na niemieckim hełmie czerwono-żółto-czerwonymi hiszpańskimi barwami, oraz traktowaną jak rodzinna relikwia naszywkę z barwami narodowymi i żelaznym krzyżem nałożonym na pęk strzał. Bo dziadek miał hiszpańskie korzenie. Jako fanatyczny faszysta, mając dwadzieścia lat, wstąpił do Błękitnej Dywizji, która po wybuchu wojny z Rosją została wysłana na front wschodni i brała udział w oblężeniu Leningradu. Po jej wycofaniu do Hiszpanii w 1943 roku zdezerterował i zgłosił się do niemieckiej placówki werbunkowej na granicy francusko-hiszpańskiej. Następnie trafił do punktu zbiorczego koło Lourdes, do Sonderstab F. Ukończył specjalny kurs w SS-Junkerschule w Bad Tölz i trafił do koszar Stablack-Süd w Królewcu. We wrześniu 1944 roku jego jednostkę przerzucono do koszar Stockerau koło Wiednia, następnie w Alpach szkolili się do walki w górach, aż zostali wysłani do Słowenii, gdzie wraz z francuskimi i włoskimi oddziałami weszli w skład dywizji „Brandenburg”. Walczyli z jugosłowiańskimi partyzantami.

W grudniu 1944 roku po rozwiązaniu jednostki wstąpił do Waffen-SS, został skierowany do obrony północnych Węgier i południowej Słowacji przed bolszewicką nawałą. Po upadku Rzeszy mógł przedostać się do Hiszpanii, ale postanowił zamieszkać w Niemczech. Jako były żołnierz dostał obywatelstwo RFN i w Bonn założył rodzinę. W latach pięćdziesiątych działał jeszcze w organizacji Społeczność Wzajemnej Pomocy Byłych Żołnierzy Waffen-SS (HIAG), która skupiała pięćdziesiąt tysięcy byłych żołnierzy.

Matheus zawsze z uwagą słuchał opowieści o wojennych przygodach dziadka. Razem z nim uczestniczył też, do jego śmierci pod koniec lat 90. XX wieku, w uroczystościach weteranów kultywujących tradycję tej jednostki, gdy towarzysze broni gromadzili się nad grobami poległych przy płonących pochodniach i odśpiewywali nieoficjalny hymn SS *Treuelied*. Po

jego śmierci już sam jeździł na takie uroczystości do Narwy w Estonii i do Budapesztu.

Messer nastawił budzik, zgasił światło i otworzył szeroko okno.

ROZDZIAŁ 38

jesień 2022 r.

Düsseldorf/ Essen

Budzik zadzwonił o godzinie siódmej rano. Matheus Reina wstał z łóżka, obmył twarz wodą w łazience, następnie w korytarzu mieszkania wykonał dwadzieścia pompek. Dopiero potem wszedł pod prysznic. Był skoncentrowany na swoim zadaniu. Wyszedł z mieszkania i udał się do oddalonej o jakieś sto metrów duńskiej piekarni, kupił ciastko z cynamonem i podwójne espresso, a także wodę mineralną. Zapłacił gotówką, aby nie zostawiać śladu swojej obecności w tym miejscu. Przy stoliku kawiarnianym sięgnął po lokalną gazetę. Nic go nie zainteresowało. Pobieźnie tylko przeskanował tytuły i leady artykułów oraz kolorowe zdjęcia.

Z politowaniem spojrzał na młodych ludzi, którzy siedzieli przy sąsiednich stolikach z nosami w laptopach i wklepywali coś w klawiaturę. Widać było po nich, że są słabymi ludźmi, sensem ich życia była tylko praca w korporacji, a nie realizacja dalekosiężnych i niekiedy niebezpiecznych celów. Był przekonany, że nie mają żadnego wpływu na otaczającą ich rzeczywistość, wykonują proste zadania, realizują wymyślone przez ich korpomanagerów projekty, które i tak później lądowały na dnie jakiegoś serwera. Prawdziwe emocje, zdolność do wielkich czynów, walka o siłę Niemiec są im zupełnie obce – uważał.

Milusha w tym czasie siedziała już przy lustrze w swoim mieszkaniu w Essen i dostosowywała swój wygląd do zadania, które miała wykonać. Z kartonowego pudła wyjęła farby i tusze do twarzy, na podłodze rozłożyła

nietypowe ubranie, a w zasadzie instalację, którą postanowiła włożyć tego dnia.

Chciała być widzialna, a jednocześnie niezauważalna.

Raz tylko wykorzystywała tak oryginalny kamuflaż, gdy rok temu otrzymała zadanie obserwowania przed katedrą w Kolonii mężczyzny, który postanowił nawiązać kontakt z polskimi służbami. Sprawdzała go w wielu miejscach przez tydzień, a informacje na temat jego ruchów spłynęły do Zawadzkiego. Nie wiedziała, jakie wyciągnął z nich wnioski rezydent wywiadu.

Chorąży Zielonka o godzinie 7.45 wyszedł ze swojego mieszkania. Jak co dzień zatrzasnął jedynie drzwi na automatyczny zamek, ale nie przekręcił klucza, wsiadł do toyoty i pojechał do konsulatu. Miał na sobie zielony, lekki pulower nałożony na białą koszulę i niebieskie materiałowe spodnie. Mimo pozorów starannej stylizacji, na przeciętnym obserwatorze mógłby jednak zrobić wrażenie człowieka „wymiętoszonego”, bo twarz miał zmęczoną, jakby posypaną popiołem.

O 7.05 rano odebrał telefon z Polski, włączył kamerkę, aby widzieć twarz żony, z którą rozmawiał. Julia robiła przygnębiające wrażenie, oczy miała zmrużone, jakby zapadnięte, na twarzy rysował się ślad bólu, ale też nadziei, że może zamienić kilka zdań z kimś bliskim. Na głowie miała białą chustę, bo włosy wypadły jej podczas chemioterapii. Leżała na szpitalnym łóżku, podłączona do aparatury, która monitorowała jej czynności życiowe. Szyfrant ledwo rozumiał, co do niego mówiła. A ona chciała tylko na niego spojrzeć, zobaczyć, w co się ubiera, bo zawsze dbała o jego wygląd. Na koniec krótkiej rozmowy obiecał jej, że zadzwoni wieczorem, a w weekend, który miał wolny, przyleci samolotem do Warszawy, aby się z nią spotkać w szpitalu.

Przed ósmą rano wszedł przez szklane drzwi do nowoczesnego budynku konsulatu w MediaPark w Kolonii. Sucho przywitał się z ochroniarzem, zabrał od niego klucze i wszedł do strefy o ograniczonym dostępie, odhaczył w systemie swoją obecność, następnie w swoim pokoju bez okien pospiesznie przejrzał szyfrówki. Nie znalazł nic ciekawego czy pilnego, co

miałby natychmiast otrzymać Zawadzki. Jego zmiennik – szyfrant schodzący z nocnej zmiany, jak zwykle przekazał teczkę z dokumentami z warszawskiej centrali MSZ, do sekretariatu szefa placówki.

Mimo to Zielonka poszedł do Zawadzkiego. Zapukał do jego pokoju, po chwili zastanowienia nacisnął klamkę i wszedł.

– Panie majorze, chciałem się zwolnić na godzinę, może dwie, muszę coś załatwić, w zasadzie odebrać dywan z czyszczenia.

– Co? A dlaczego nie zrobisz tego po pracy? – odburknął Zawadzki i obojętnie spojrzął na podwładnego znad laptopa, w którym coś przeglądał.

– Akurat tak się złożyło. – Zielonka próbował się tłumaczyć.

– Dobrze, nie widzę przeszkód.

– Zniknę na chwilę, tak koło południa – dodał dla porządku szyfrant.

– Okej.

Zielonka odwrócił się na pięcie i wyszedł, a za drzwiami otarł chusteczką spocone czoło.

O godzinie 10.30 Masud opuścił swoje małe mieszkanie w bloku przy Münchener Strasse i wsiadł do błękitnej toyoty auris. W rękę trzymał tylko termos z kawą.

Plan działania miał w głowie. Był przygotowany na każdą ewentualność, przynajmniej tak mu się wydawało. Ufał „Messerowi”. Wiedział, że jest oddany sprawie i wykona każde jego polecenie.

Ruszył drogą, która wiodła w kierunku dworca głównego Deutsche Bahn, do swojego lokalu. Na miejscu był po pół godzinie. Zamknął się w pomieszczeniu gospodarczym i przygotował urządzenie, które miał na sobie założyć Zielonka – mały czarny mikrofon ukryty w guziku, który można było łatwo zamocować na ubraniu za pomocą rzepa. Ustawił obydwa urządzenia na jednej częstotliwości. Sprawdził w swojej słuchawce, czy dobrze słyszy. Z „Messerem” miał się kontaktować przez komórkę poprzez komunikator Messenger. Zostawił sprzęt w pomieszczeniu, które zamknął na klucz, i usiadł ze szklaneczką

w kształcie główki tulipana na swoim stałym miejscu w barze, przy stoliku dla gości. Klientów tego dnia było niewielu.

– Szefie, kończą się pomidory i ogórki do sałatki, przydałoby się też już zamówić nowy kebab. – Kucharz podszedł do niego.

– Dobra, zrobię to po południu. A teraz masz jeszcze wszystko?

– Tak, problem może być jutro.

Pracownik odszedł do swoich obowiązków, a on siedział wpatrzony w naczynie wypełnione aromatyczną indyjską herbatą. Zapalił papierosa i mocno się nim zaciągnął. Zdziwił się, bo ręka mimowolnie mu drżała. Popiół spadł na stół, dlatego zgarnął go kantem dłoni na posadzkę i przydeptał.

Zielonka wszedł do baru przez zaplecze o godzinie 11.15. Był spięty. Masud bez słowa poprowadził go do zamkniętego pokoiku, wpiął mu w sweter mikrofon i jeszcze raz sprawdził, czy wszystko działa.

– Liczę, że się sprawisz i dostaniemy to, na czym nam zależy. Masz dobrą legendę o tej dziewczynie z barki?

– Tak. Coś niecoś udało mi się dowiedzieć. Ale dla nas to zupełnie nie ma znaczenia. Pamiętaj, że musisz mnie stąd ewakuować. Jednego dnia muszę zniknąć. Może to wyglądać, jakby mnie porwali.

– Tak, tak. Nie martw się, już o tym rozmawiałem z centralą – skłamał Masud i omiół go wzrokiem. A co z twoją żoną?

– To jest już nieaktualne, nie ma dla niej żadnej szansy na przeżycie. Przerzuty do kości... jest już na morfinie. Ona umiera... może odejść w każdej chwili. Każdy kontakt z nią przez telefon to dla mnie ogromna trauma.

– Przykro mi.

– Nie o to chodzi. Dzisiaj uświadomiłem sobie, że niepotrzebnie podjąłem z wami grę i w zasadzie nic nie osiągnąłem. Pieniądze nie spowodowały, że Julka cudownie wyzdrowiała. – Westchnął i przygładził włosy.

Masud cierpliwie go słuchał, ale milczał.

– To w takim razie powodzenia. – Na pożegnanie uściskał mu dłoń. Poczł, że rka Zielonki jest miękka, a jej uścisk lekki, jakby nie był męski. Gdy Polak wyszedł z baru, otarł swoją prawą dłoń o spodnie i poszedł umyć ręce. W chwilę później siedział już w swojej toyocie.

Z samochodu zadzwonił do Reiny. Niemiec zgłosił się już po pierwszym sygnale dzwonka.

– W gotowości, obiekt już wyjechał – powiedział tylko Kurd i zakończył połączenie.

„Messer” postawił przy oknie, nieco na ukos w prawą stronę, dwa krzesła, jedno za drugim. Były one oddalone od siebie o mniej więcej metr. Na tym dalej od okna usiadł okrakiem, wziął do ręki polski karabinek snajperski z tłumikiem i położył lufę na oparciu drugiego krzesła. Chwilę patrzył przez lunetę, potem ponownie wyregulował obraz. Wiedział, że obiekt pojawi się pod kątem, dlatego przestawił na parapecie kwiaty w doniczkach tak, aby maskowały wylot lufy.

Wtedy zaczął błędzić lunetą po okolicznych drzewach. W okularze dojrzał siedzącą wysoko na drzewie i schowaną za bujnymi liśćmi papugę falistą, która uciekła komuś z domu. Wycelował w jej niewielką żółtą głowę, wstrzymał oddech i delikatnie nacisnął spust karabinka. Usłyszał tylko cichy trzask. W lunecie widział, jak mała główka ptaka pęka rozbita przez pocisk, a jego truchło leci w dół. Spojrzał jeszcze raz na lunetę i lekko ją podkreślił. Nikt niczego nie zauważył.

– *Gut* – powiedział sam do siebie. Spojrzał na zegarek, była 11.45.

Masud ustawił się samochodem tak, aby widzieć wylot ulicy, którą Zielonka miał iść w kierunku placu. Zlustrował teren. Na pobliskim placu zabaw znajdowało się kilka kobiet z wózkami, a dzieci wspinały się po linach małpiego gaju. Ich pisk słycać było w całej okolicy. Obok chińskiej restauracji w długim cieniu rzucanym przez fasadę kamienicy, zaraz za rogiem stała jakaś figura pomalowana na brązowożłoty kolor. Kurd wcześniej nie widział jej w tym miejscu. Zerknął na zegarek w telefonie, który leżał w przegródce pomiędzy fotelami.

Słońce stało nad miastem w zenicie.

W oddali ujrzał Zielonkę. Dopiero teraz dostrzegł, że jest ubrany w śmieszny, nieco staroświecki pulower. Widział, jak zaparkował swój samochód na jedynym wolnym miejscu, obok ładowarki do aut elektrycznych, około pięćdziesięciu metrów od wejścia na plac. Po chwili wyszedł z auta, zamknął je i ruszył w jego kierunku. Masud miał go jak na dłoni. Szedł spokojnie chodnikiem, ale rozglądał się naokoło. Przygaszonym wzrokiem szukał sylwetki osoby, z którą miał się spotkać.

Zielonka nie doszedł jeszcze do skrzyżowania, za którym był plac, gdy coś potężnym chwytem złapało go za gardło. Przestraszył się. Instynktownie odskoczył, ale ciągle czuł na szyi kleszcze uścisku dłoni w rękawicy roboczej. Spojrzał na intruza. Miał przed sobą postać przebraną w złotobrązowy kostium mężczyzny, z pomalowaną na taki sam kolor twarzą. Jedynie bystre oczy wskazywały, że pod warstwą farby i połami sztywnego materiału znajduje się człowiek.

– Gdzie jest Ina? – Usłyszał zapytanie.

– O matko, ale się przestraszyłem. – Sapnął i w tym momencie uścisk dłoni zelżał. – To ty? Co ci odbiło?

– Słucham.

Fantastyczna postać, jedna z tych, które nieraz można spotkać na rynkach miast, gdzie bez ruchu stoją godzinami, dopóki ktoś nie wrzuci do skrzyneczki pieniądza, natarła na niego.

– Wiem, że żyje. Podobno jest w Polsce. – Zielonka złapał powietrze, starał się uspokoić, ale jego głos lekko drżał.

– Gdzie? Konkretnie?

– Nie wiem. A teraz dokumenty.

– Myślisz, że zdradzę Ziyada? Nawet po śmierci? Ty naprawdę nie wiesz, co się stało? Kto to wszystko wyreżyserował?

„Strzał”. – Na monitorze komórki Messera pojawił się SMS od Masuda. Tyle że Reina nie widział całej sylwetki, jedynie kawałek obszernego, sztywnego płaszcza, reszta postaci znajdowała się za rogiem budynku. Zaryzykował jednak i nacisnął na spust. Pocisk przebił materiał i odbił się

od ukrytego solidnego żelaznego stelaża, który umożliwił zablokowanie sylwetki w pozycji siedzącej tylko na jednej zgiętej nodze. Milusha poczuła mocne uderzenie i upadła.

Zielonka stał nad nią i patrzył. Nie wiedział, co się stało.

„Teraz w zielonego”. – Kolejny SMS przyszedł na komórkę Reiny. Widział tylko połowę jego sylwetki, wstrzymał powietrze, delikatnie musnął spust i w tym momencie powiew wiatru poderwał roletę w oknie, która przysłoniła mu obraz. Ręka delikatnie drgnęła, pocisk uderzył w chodnik przy nodze Zielonki.

Ten jednak ciągle nie reagował. Chociaż zobaczył odprysk uderzenia, stał jak zahipnotyzowany.

– Kto to zrobił? – usłyszał jeszcze od ulicznego mima.

– Taki biznesmen...

Nie zdążył dokończyć, bo padł kolejny strzał. Tym razem kula przeszła jego prawy bok. Rozorała klatkę piersiową i serce szyfranta. Na chwilę zamarł, a potem runął na ziemię.

W tej samej chwili ktoś z całych sił pociągnął Miluszę za róg budynku. Spojrzała za siebie i zobaczyła czerwoną, spoconą twarz Zawadzkiego.

– Nic ci nie jest? – wysapał ciężko.

– Chyba nie, ale on... – Wskazała głową na leżącego Zielonkę.

Zawadzki podskoczył do niego i za nogi wyciągnął go za róg. Zielonka nie reagował, z jego ust wydobywało się stłumione charczenie, strużka krwi pojawiła się w kącikach ust. Patrzył na przełożonego i próbował coś powiedzieć, ale nie mógł już wydobyć z siebie ani słowa.

– Spadaj stąd, i to już. Ja to wszystko ogarnę.

Zawadzki pomógł jeszcze jej wstać. Milusha ruszyła chodnikiem wzdłuż drogi. Kuląła.

Oficer przyłożył do szyi Zielonki dwa palce. Sprawdził puls, chwycił za telefon i wybrał numer alarmowy:

– Ofiara strzelaniny przy Frankenplatz, osoba ranna, pomoc potrzebna natychmiast – powiedział i zakończył połączenie. Został na miejscu przy

umierającym chorążym.

Po pięciu minutach na placu i pobliskich ulicach zaroilo się od policyjnych radiowozów, jakiś czas później z Sankt Augustin pod Bonn przyjechała też wezwana w trybie alarmowym grupa szturmowa jednostki specjalnej niemieckiej policji GSG 9 z długą bronią. Stopniowo zaczęli przeczesywać wydzielone policyjną taśmą okolice placu. Zgon Zielonki stwierdził ratownik karetki, która też przyjechała w to miejsce.

Wokół zebrali się już okoliczni mieszkańcy i pracownicy chińskiej restauracji. Tylko kobiety z dziećmi błyskawicznie zniknęły z pobliskiego placu zabaw. Teraz na jego środku stał jedynie policyjny furgon z włączoną sygnalizacją świetlną na dachu.

– Kapitan Fuchs. Co się zdarzyło? – Oficer niemieckiej policji podszedł do Zawadzkiego.

– To polski dyplomata, został postrzelony. Strzały padły prawdopodobnie z tamtego kierunku. – Zawadzki spokojnie relacjonował przebieg zdarzenia i wskazał dłonią kamienicę, w której znajdował się fryzjer.

Oficer mu przerwał i przez radio wydał rozkaz:

– Obstawić dom z fryzjerem i włoską restauracją na parterze. Uwaga, tam być może jest jeszcze sprawca. Ostrożnie!

Spojrzał na Polaka i poprosił o dokumenty. Ten podał mu swój paszport dyplomatyczny.

– Nie wiem, jak wyglądał sprawca, ale być może strzelał z karabinka. Tu na chodniku jest ślad po jednym pocisku. – Zawadzki starał się być jak najbardziej przydatny, aby wzbudzić zaufanie Niemca. Wiedział, że wypłatanie się z tej sytuacji nie będzie łatwe i najpewniej w tym momencie dobiega końca jego misja w Niemczech.

Fuchs chwycił go mocno za ramię i poprowadził do radiowozu. Uchylił boczne drzwi busa i poprosił, aby usiadł na tylnym siedzeniu.

– Musimy sobie porozmawiać w komendzie – powiedział i zwrócił się do kierowcy: – Kurt, przypilnuj pana.

Wtedy w przeszukiwanym przez policjantów budynku nastąpiła głucha eksplozja i w mieszkaniu znajdującym się na piętrze wybuchł pożar. Dym zaczął się wydobywać przez uchylone okno.

– O jeden. Potrzebna straż pożarna. – Kapitan błyskawicznie nadał przez radio komunikat do oficera dyżurnego. – Wycofać wszystkich ludzi z budynku, ewakuować lokatorów – wydał kolejną komendę.

Gdy w okolicę Frankenplatz zaczęły się zjeżdżać pierwsze policyjne wozy, Reina sunął już spokojnie swoim mercedesem trasą prowadzącą do Bonn. Z naprzeciwka minęły go jadące na sygnale trzy pojazdy jednostki specjalnej policji. Zostawił im w mieszkaniu niespodziankę – niewielki materiał pirotechniczny inicjujący eksplozję po otwarciu drzwi wejściowych, a także pojemnik z benzyną, który po wybuchu powinien wzniecić pożar. Miał on utrudnić policji działania i zatrzeć ślady.

Teraz musiał się na kilka dni ukryć, zejść wszystkim z oczu.

Milusha po godzinie jazdy pociągiem z trudem dotarła do swojego mieszkania w Essen. Długo siłowała się ze stelażem, aby zdjąć ubiór mima. Była cała mokra z wysiłku. Wystrzelona kula wbiła się w żelazną szynę, która blokowała biodro. Miała dużo szczęścia, centymetr w bok, a zgruchotałaby jej kręgosłup. Wreszcie zrzuciła ubranie i rozmasowała miejsce, w które uderzył pocisk. Na szczęście nie uszkodził on nawet skóry, ale zostawił na ciele ślad taki jak po uderzeniu kulki z paintballa wystrzelonej z bliskiej odległości.

Zwinęła ubranie do czarnego worka i wcisnęła go w sporą torbę. Weszła pod prysznic, opłukała z twarzy farbę, doprowadziła się do porządku i szybko ubrała. Rozgryzła tabletkę mefedronu, liczyła, że uśmierzy ból i pobudzi ją do kolejnego wzmożonego wysiłku.

Wyciągnęła torbę z mieszkania i wsadziła ją do bagażnika samochodu. Wzięła ze sobą butelkę wybielacza. Po kilku minutach jazdy zaparkowała bmw w ustronnym leśnym miejscu, w pobliżu klubu golfowego w dzielnicy Kettwig. Przeciągnęła torbę nad rzekę Ruhrę, otworzyła ją i do środka wlała całą zawartość środka chemicznego. Chciała, aby uszkodził on wszystkie ślady biologiczne, które zostawiła na przebraniu. Następnie

wepchnęła do środka kilka ciężkich kamieni, zamknęła w taki sposób, aby przez otwory szybko mogła ona nabrać wody.

Tak obciążony pakunek wepchnęła z całych sił do rzeki. Poczekała kilkadziesiąt sekund, aż spod wody przestały się wydobywać bąbelki powietrza.

Późnym wieczorem po przesłuchaniu na policji Kamil Zawadzki wrócił do budynku konsulatu. Natychmiast poprosił o rozmowę z konsulem generalnym Markiem Stecką. Opisał mu przebieg zdarzenia i okoliczności zabójstwa Zielonki.

– Musimy powołać komisję i natychmiast otworzyć pokój oraz jego sejf – stwierdził major. – To jest ważne.

– Dobrze, niech będzie z nami jeszcze szef grupy ochronnej Andrzej Wittek. To moja propozycja – odpowiedział konsul.

– Doskonale, zaraz go poproszę.

Następnie otworzyli drzwi do pokoju szyfranta, wykorzystując dostępną na miejscu kartę identyfikacyjną. Potem bez większych trudności także drzwi do sejfu. Wszystkie czynności były dokumentowane, Wittek nagrywał film aparatem fotograficznym.

W szafie były ściśle tajne dokumenty i klucze do szyfrowania wiadomości oraz instrukcje. Znajdowały się tam też karty szyfrówek z kilku ostatnich dni, których Zielonka nie zdążył jeszcze zniszczyć. Zawadzki włożył wszystko do specjalnego jutowego worka przeznaczonego na pocztę dyplomatyczną.

– To chyba dla pana. – Konsul Stecko wyjął z szafy białą kopertę z zapisanym na niej nazwiskiem majora. Ten delikatnie ją otworzył nożykiem. W środku znajdowała się kartka pokryta odręcznym pismem. Zawadzki przeczytał ją i podał Stecce.

– Wydaje się, że wszystko już jest jasne. Ten list też musimy zabezpieczyć – stwierdził major, po czym wrzucił go do worka, który zamknął sznurkiem z plombą. – Jutro ta poczta powinna zostać wysłana do MSZ – dodał.

ROZDZIAŁ 39

jesień 2022 r.

Durrës

Cydejko zaparkował czarnego lexusa przy Rruga Xhamia nieopodal budynku starej szkoły. Wysiadł z samochodu i w jednej chwili przeniósł się z chłodnego komfortowego wnętrza pojazdu jakby w pobliże hutniczego pieca. Wilgotne, gorące powietrze spowodowało, że natychmiast na jego czole pojawiły się kropelki potu. Czuł się, jakby ponownie wrócił do Iraku lub Persji.

Wąską uliczką albańskiego Durrës chaotycznie przeciskały się dziesiątki skuterów z młodymi ludźmi, niektórzy chłopcy nie mieli na sobie koszulek, a odważne dziewczyny ubrane były tylko w kolorowe kostiumy plażowe. Harmider był nie do wytrzymania, z każdej strony dolatywały sygnały dźwiękowe kierujących motorowerami.

Ruszył chodnikiem w kierunku nadmorskiego bulwaru. W obydwu rękach trzymał solidne pudło, elegancko obite lekkim drewnem z orzecha włoskiego. Miał przed sobą widok na błękitne morze. Skręcił w Rruga Taulantia i wszedł do restauracji Pastarella. W drzwiach zatrzymał go rosły ochroniarz ubrany w czarny garnitur.

– Ja do generała. Jestem umówiony.

Ochroniarz powiedział coś w języku farsji do mikrofonu schowanego pod mankietem.

– Broń?

– Nie – odparł Cydejko.

– Proszę otworzyć pudełko – rzucił ochroniarz, a gdy Cydejko uchylił wieczko, spojrzął do wnętrza, które było wyściełane zielonym płótnem. – Jeszcze sprawdzę pana. Proszę rozłożyć ramiona. – Przesunął wykrywacz metali wzdłuż ciała Polaka. Urządzenie dało sygnał na wysokości jego bioder.

– To tylko klamra od paska. – Cydejko odchylił połę marynarki.

– W porządku, proszę wejść.

Wspiął się na piętro. Restauracja była pusta, cała została bowiem zarezerwowana dla wyjątkowego gościa. Minął szklane drzwi, za którymi stał na baczność kelner. Mężczyzna poprowadził go do stolika, przy którym znajdowały się skórzane krzesła. Na stole była pełna zastawa, a w pobliżu stała lodowa lada ze świeżymi rybami.

– Proszę usiąść. – Kelner uprzejmie odsunął jedno z krzesel.

Dopiero teraz Cydejko zauważył, że przy drzwiach wejściowych do pomieszczenia kuchennego oraz w rogach sali restauracyjnej rozstawieni zostali kolejni ochroniarze. A przed sobą miał panoramę bulwaru z widokiem na błękitne niebo i morze, a także monument albańskiego partyzanta, który dynamicznie zrywał się do ataku i w ręce uniesionej nad głową dzierżył karabin.

Kelner zaproponował białe wino i natychmiast przyniósł kieliszek.

W tym momencie otworzyły się drzwi sali restauracyjnej i sprężystym krokiem wszedł elegancko ubrany około pięćdziesięcioletni, korpulentny mężczyzna ze szpakowatą brodą. Cydejko uśmiechnął się szeroko, wstał, podszedł do niego, uścisnął jego miękką dłoń i pocałował go w obydwa policzki.

– Witam, panie pułkowniku – odpowiedział generał. Wtedy Cydejko położył na pozbawionym nakrycia stole drewniane pudło, które miał z sobą. Otworzył je z boku, następnie wyjął zawinięty w delikatną tkaninę ochronną malunek.

– Chciałbym przekazać panu, generale, drobny upominek na pamiątkę doskonałej współpracy. Oto obraz artysty z przełomu osiemnastego wieku,

Carla Rottmana *Akropol w Sykionie* – oznajmił i zaprezentował dzieło sztuki pochodzące z własnej kolekcji.

Generał Esmail Ghani podniósł je i przybliżył się do okna, aby lepiej obejrzeć kunszt artysty. W skupieniu oglądał uwiecznione detale. Ghani, szef elitarnej jednostki wojskowej nazywanej siłami Ghods, która wchodziła w struktury Korpusu Strażników Rewolucji, miał doskonały gust.

– Doskonały. Dziękuję bardzo za ten prezent. – Ghani nie krył zaskoczenia niespodzianką. – Zapraszam.

Siedzieli naprzeciwko siebie. Generał otrzymał herbatę. A potem złożył zamówienie – poprosił kelnera o tatar z mieszanych ryb wód Morza Śródziemnego, to miała być przystawka, a następnie o pastę z krewetkami, a na deser zamówił talerz owoców. Cydejko wziął sałatkę z grillowanej ośmiornicy, talerz owoców morza i ciasto z sezamem.

– Przepraszam za kłopot i za to, że nalegałem na spotkanie – zaczął Cydejko. – Po prostu chciałem osobiście podziękować za naszą doskonałą współpracę, która zakończyła się sukcesem.

– To prawda, wszystkie transporty bezpiecznie do nas dotarły. Sprzęt, który otrzymaliśmy, jest wysokiej jakości. Nie ukrywam, że posłuży też jako wzorcowy naszym naukowcom do prac rozwojowych. Osobiście mam nadzieję, że w tym dniu nie kończymy współpracy, ale będzie ona kontynuowana, z obopólną korzyścią – odpowiedział szef irańskiego wywiadu.

Dwaj kelnerzy podali przystawki i bez szmeru wycofali się na zaplecze.

– Możemy uznać, że operacja „Skała” przebiegła doskonale.

– Plan był genialny.

– No nie całkiem, pułkowniku, bo jednak pojawiły się trudności w Niemczech, ale... moi ludzie postarają się, aby na zawsze zamknąć ten temat.

– Wiem.

– Tak, a skąd?

– Doskonale pan wie, generale, że wzajemnie kontrolowaliśmy ruchy swoich współpracowników na poziomie operacyjnym. Czyż nie?

– To prawda. Nigdy nie dość kontroli i weryfikacji podejmowanych działań, a także osiągniętych efektów. Nie mogliśmy tego rzucić na żywioł. Stawka była zbyt wysoka – przyznał Ghani.

– Szkoda tylko tego geologa.

– No cóż, ktoś musiał pełnić w tej rozgrywce pewną rolę. – Generał uniósł do ust szklankę z wodą, i odstawił na bok talerzyk po mielonym mięsie z rozmaitych ryb. – Doskonale. – Otarł usta białą, płócienną serwetką.

– Pomysł był genialny w swej prostocie. Jeszcze przed wyjazdem do pana wyjątkowo gościnnego kraju – Cydejko usłużnie schylił głowę – został wytypowany na ofiarę, za której uwolnienie będzie trzeba wpłacić okup.

– Przyznam, że musimy zastosować taką metodę w innym regionie świata. Wspólnie stworzyliśmy ciekawy precedens.

– Cóż. – Polak odstawił na bok miseczkę po sałatce z grillowanych ośmiornic. Natychmiast brudne naczynia odebrali kelnerzy, dwaj kolejni postawili zaś na stole następne zamówione potrawy.

– Wygląda smakowicie. – Cydejko popatrzył na talerz, na którym królowały smażone dorodne krewetki i drobno pocięte odnóża ośmiornicy; były tam też kawałki rzodkiewki i plasterki cytryny. – Cóż – kontynuował rozpoczętą myśl – było to możliwe w kraju, w którym politycy myślą tylko o sobie, a nie o interesie publicznym. Mogę tak rzec. Bardziej im zależało na wizerunku niż na rzeczywistych, długofalowych konsekwencjach. Gdybyśmy odnieśli się do mitologii greckiej, nieświadomie otworzyli puszkę Pandory.

– A z niej wyszła też Apate, zdrada. – Oficer irańskiego wywiadu spojrział na Polaka. – No tak, wykorzystaliśmy ich słabość do poszukiwania świętego spokoju i strach przed mediami. Ta słabość zabije kiedyś tę waszą demokrację, z której jesteście tak dumni – dodał Ghani i przełknął krewetkę zawiniętą w delikatny włoski makaron w bazyliowym sosie. –

Niezbyt się pan zmienił, pułkowniku, od momentu gdy po raz pierwszy spotkaliśmy się na raucie w naszym MSZ-ecie. Ile to już lat minęło?

– Prawie dwadzieścia. Dziękuję za komplement, ale proszę nie przesadzać, panie generale. – Cydejko przepłukał usta wybornym białym szwajcarskim winem. Odstawił talerz, a kelner jak na komendę postawił na stoliku słodki deser.

– Panie pułkowniku, musimy utrzymywać tę nić porozumienia, bo nigdy nasze narody nie były sobie wrogie. Polska może stanowić dla nas okno na świat, na Europę... Na przeszkodzie stoją tylko Amerykanie i Izrael, ale jak obserwuję waszą politykę, to z Żydami wam teraz nie pod drodze. I bardzo dobrze...

– Nie chcę wchodzić w politykę, bo mnie interesuje tylko biznes. Dla mnie wasz kraj jest interesujący jako partner biznesowy. Tylko tyle. A więzi historyczne są doskonałe, sam pan o tym wie. Do dzisiaj Polacy są wdzięczni Persom za okazaną dobroć po ucieczce z bolszewickiego piekła w czasie wojny...

– Może kiedyś zmieni pan swoje stanowisko, także w kwestii polityki. Chciałbym panu podziękować za niezwykle ciekawe spotkanie, rozmowę i piękny prezent. Proszę być pewnym, że znajdzie swoje miejsce w reprezentacyjnym miejscu mojej rezydencji pod Teheranem. – Ghani wstał i podał rękę Polakowi.

Cydejko wyszedł z restauracji i ponownie otuliła go gorąca wilgoć. Tym razem jednak pojawiły się lekkie podmuchy bryzy. Ruszył przed siebie, w kierunku morza. Po kilku minutach znalazł się na wyłożonym kamieniem placu, który pełnił też funkcję punktu widokowego. Stały na nim trzy spizowe figury przedstawiające muzyków: Micka Jaggera, Johna Lennona i Boba Dylana. Obok zauważył też tylko buty na obcasie piosenkarki Tiny Turner, bo ktoś odciął piłą do metalu całą jej sylwetkę.

Uśmiechnął się pod nosem, po czym, rozluźniony, ruszył w kierunku ruin twierdzy z V wieku i górującej nad nimi weneckiej wieży.

ROZDZIAŁ 40

jesień 2022 r.

Warszawa/ Siedlce/ Borzęcin

Pułkownik Filip Roguski ponownie przejrzał teczkę osobową kapitana Andrzeja Morawskiego. Zainterесоваł go jeden punkt jego życiorysu. W 2003 roku jako młody oficer został skierowany do pracy w ambasadzie Polski w Iranie. Z te czki nie wynikało, jakie wykonywał tam zadania. Roguski jednak założył, że pod przykryciem mógł wykonywać zlecenia WSI.

Przeciągnął się w swoim obrotowym fotelu, wstał i podszedł do odbiornika radiowego, włączył ulubioną stację, która nadawała standardy jazzowe. Wyjął z kieszeni bluzy mundurowej żółtą paczkę cameli i uderzył nią o blat biurka, aż z opakowania wysunął się jeden papieros. Delikatnie podniósł go do nosa. Wciągnął aromatyczny zapach mieszanki tytoniowej.

– Tak, zaczyna się łączyć, na razie tylko mgliście, ale... – burknął pod nosem.

Sięgnął po swoją komórkę, przejrzał notatki i odnalazł numer telefonu do agencji pośredniczącej w handlu nieruchomościami. Wybrał ten numer.

Głos młodej kobiety odezwał się po trzech sygnałach.

– Agencja „Twój dom”, słucham.

– Dzień dobry, chciałbym się skontaktować z właścicielem domu wystawionego na sprzedaż w... Siedlcach przy ulicy Piaski Zamiejskie. Już go z zewnątrz oglądałem. Chciałbym spotkać się z właścicielem i dopytać o kilka szczegółów. To pilne, jestem wstępnie zainteresowany – skłamał.

– Tak, to doskonale, ale... muszę na początku skontaktować się z naszym klientem...

– Rozumiem.

– Jaki termin pan preferuje, bo wie pan... muszę o to zapytać.

– Dostosuję się do państwa możliwości. Oczywiście im szybciej, tym lepiej, interesuję się kupnem domu. Ta oferta nie jest jedyną, którą rozpatruję. – Roguski brnął dalej.

– Oczywiście. Proszę podać numer telefonu, oddzwonię jak najszybciej.

– Doskonale. – Podał kontakt do siebie i przerwał połączenie.

W godzinę później pracownica agencji zadzwoniła.

– Ja w sprawie posesji przy Piaskach Zamiejskich. Dzwonił pan dzisiaj.

– Tak, oczywiście, i co? Jest możliwość spotkania z właścicielem?

– Tak, ale pan Morawski zaproponował, abyście się spotkali na posesji. Czy dzisiaj o godzinie siedemnastej będzie to możliwe? Jeżeli nie, ustalimy nowy termin.

Pułkownik spojrział na tarczę zegarka, dochodziła czternasta.

– Tak, spotkamy się zatem o piątej.

– Dobrze, powiadomię pana Andrzeja – oznajmiła, po czym zakończyła rozmowę.

Roguski przebrał się w ubranie cywilne, poinformował szefa, że musi wyjechać na pilne spotkanie. Nie wdawał się w szczegóły, bo nie chciał nikogo, przynajmniej na tym etapie, wtajemniczać w sprawę, która od pewnego czasu go nurtowała. Wsiadł do służbowej škody i ruszył.

Jechało mu się źle, ruch na trasie był spory, na wschód wolno sunęło dużo ciężarówek. Szarżował na drodze, co spotkało się z reakcją patrolu policji. W miejscowości Mrozy został zatrzymany przez drogówkę, która dokonywała pomiaru szybkości pojazdów. Przekroczył dozwoloną prędkość o dwadzieścia kilometrów, pokazał legitymację służbową, czym zrobił na funkcjonariuszach wrażenie. Wyjaśnił, że wyjazd ma charakter służbowy, przyznał się do winy, ale też dodał, że ma bardzo mało czasu. Spojrzeli na niego z zainteresowaniem i jednocześnie politowaniem.

Pouczyli go i pozwolili mu jechać dalej. Upiekło mu się. Tym razem nie dostał mandatu.

Na miejsce dojechał kwadrans przed czasem. Morawskiego jeszcze nie było, dlatego pułkownik zaparkował samochód w bocznej uliczce, za domem. Nie chciał rzucać się w oczy i spłoszyć swojego rozmówcy, który mógł znać numery rejestracyjne służbowych pojazdów należących do SWW.

Pięć minut po godzinie siedemnastej przed dom podjechało zdezelowane białe audi. Morawski wysiadł z samochodu, rozejrzał się, otworzył furtkę i wszedł na posesję. Na ten moment czekał Roguski. Szybkim krokiem wszedł za nim. Morawskiego zastał z tyłu budynku, przy basenie.

– To pan dzwonił? – Były żołnierz wydawał się zaskoczony.

– Tak.

– Chce pan rozmawiać o domu? – spojrzał bacznie na Roguskiego.

– Nie.

– To po co ten cyrk? Ja pana znam, pułkowniku.

– No właśnie, a ja dopiero teraz dowiedziałem się o pana istnieniu.

– Czego pan chce? – Morawski nerwowo sięgnął do wewnętrznej kieszeni sztruksowej marynarki i wyjął paczkę papierosów. – Może pan zapali? – zaproponował i potarł kciukiem o kamień benzynowej zapalniczki, natychmiast pojawił się płomień i charakterystyczny zapach.

– Nie, dziękuję. Interesuje mnie sprawa Kosińskiego.

– To znaczy?

– Dlaczego w ogóle pan z nim rozmawiał? I dlaczego w notatce z rozmowy przeprowadzonej z nim pojawiły się informacje, które go nie dotyczyły?

– O czym pan myśli?

– Na przykład, że ukończył kurs SERE, że zna judo.

– Nie mogę się odnieść do tych informacji, są poufne. Pewnie pan wie, że po odejściu ze służby nadal obowiązują mnie odpowiednie klauzule niejawności.

– Tak, wiem, ale też zastanawiam się, dlaczego fałszował pan dokumentację, kapitanie.

– Tak nie będę z panem rozmawiał. Żegnam. – Morawski wypuścił papierosowy dym z ust i ruszył w kierunku furtki.

– Zaraz, spokojnie, ja zadaję pytania! Na razie tutaj, ale następnym razem możemy rozmawiać już oficjalnie w obecności prokuratora. – Roguski przytrzymał go za ramię.

– Proszę mnie nie dotykać! Nie jestem już pana podwładnym, nie muszę z panem rozmawiać i czegokolwiek wyjaśniać!

– Tak? Okej. To zobaczymy, co będzie dalej. Interesuje mnie też pana pobyt w Teheranie, w dwa tysiące trzecim roku, o ile sobie przypominam.

Morawski rzucił niedopalonego papierosa na kostkę chodnikową i przydeptał go. Milczał.

– Czy był pan tam razem z podpułkownikiem Antonim Cydejką?

– Nie pamiętam, z kim byłem, dużo ludzi wtedy pracowało w ambasadzie. Jeszcze więcej się przewinęło – odparł spokojnie.

– Ale niewielu mogło być wtedy pana bezpośrednim przełożonym w ataszacie. Prawda?

– Proszę odejść i przestać się interesować tym tematem. Radzę z życzliwości, żegnam pana. – Morawski odwrócił się, podszedł do furtki, otworzył ją i wyszedł na ulicę. Wsiadł do samochodu i odjechał.

Po przejechaniu kilkuset metrów sięgnął po telefon i wybrał numer.

Roguski w tym czasie wyjął z kieszeni chusteczkę, schylił się i trzymając ją w dłoni, podniósł przez nią z chodnika niedopałek. Pieczołowicie zawinął go w delikatną bibułę i schował do kieszeni. Starał się go nie dotykać palcami.

Postanowił wrócić do pracy i zdać samochód służbowy. Na chwilę wszedł do swojego gabinetu, w budynku nie było już prawie nikogo.

Korytarze były ciemne.

Chusteczkę z niedopałkiem włożył do woreczka strunowego i zamknął całość w szafie pancерnej. W zasadzie nie wiedział, dlaczego tak zrobił, założył, że musi zbierać jakieś dowody. Sam nie wiedział, czy takie rzeczy mogły się kiedyś przydać. Kluczył po omacku.

Wszedł do wewnętrznego systemu intranetowego i przejrzał bieżące materiały. Uwagę skupił na informacji z niemieckiego ataszatu o zabójstwie chorążego Mariusza Zielonki, polskiego szyfranta w Niemczech. Ze wstępnego opisu polskich służb wynikało, że mógł to być zamach, zorganizowany przez środowiska skrajnie nacjonalistyczne, być może przy współudziale służb rosyjskich. Nie był określony motyw zbrodni. Zielonka służył w przeszłości w jednostce wojskowej 3362, czyli w Wojskowych Służbach Informacyjnych.

„Coś za dużo tego teraz. Co się dzieje?” – zamyślił się, bezwiednie wyjął papierosa i zapalił go. Dwa razy pociągnął dym i dopiero wtedy uświadomił sobie, że złamał swoje postanowienie.

– Nożeż! – Zgasił nerwowo papierosa w doniczce. Uchylił okno w pokoju i wyrzucił resztę na ulicę.

Jeszcze raz spojrzął na wiadomość i zwrócił uwagę na wpis, że Zielonkę znalazł Polak Kamil Zawadzki. „Zawadzki, Zawadzki... przecież ja go znam, kurs w ośrodku w Janówku koło Warszawy. Byliśmy w jednym pokoju. No wreszcie ktoś normalny”.

Potem jeszcze odnalazł w wewnętrznej bazie źródło ukryte pod pseudonimem „Geopol”, które wskazało Kosińskiego jako osobę typowaną na współpracownika. Pod tym hasłem kryła się jednak teczka rozpracowania obiektowego prowadzonego przez WSI na początku XXI wieku wobec naukowców związanych z Wydziałem Geologii Uniwersytetu Warszawskiego. Osoby te mogły być wykorzystane w roli konsultantów w sprawach dotyczących ustalania miejsc, gdzie mogły się odbywać w innych krajach próby nowej broni lub nowych pocisków na ukrytych poligonach. Nazwiska osób rozpracowywanych nic mu nie mówiły, nie było wśród nich doktora Michała Kosińskiego.

Zwrócił jednak uwagę na coś innego. Teczke rozpracowania założył podpułkownik Cydejko.

Roguski wiedział już, jaki będzie następny jego krok.

Wyjął z kieszeni spodni telefon komórkowy i wybrał numer Antoniego Cydejki.

– Tak, pułkowniku? – Rozmówca natychmiast odebrał, gdy tylko wyświetliło mu się nazwisko dzwoniącego. Robił wrażenie zaskoczonego tym połączeniem.

– Czy moglibyśmy się spotkać?

– Co cię interesuje?

– To nie jest rozmowa na telefon – spokojnie wyjaśnił Roguski.

– Rozumiem, zapraszam zatem do siebie. Mieszkam pod Warszawą, zaledwie kilka kilometrów na zachód. Wyślę zaraz pinezkę z lokalizacją. Nikt nam nie przeszkodzi, chętnie napiję się z tobą dobrej whisky.

– Będę za godzinę.

– Zapraszam. – Cydejko zakończył rozmowę, a Roguski przez aplikację w telefonie zamówił taksówkę.

Biały ford podjechał pod bramę posesji w Borzęcinie kilka minut po godzinie dwudziestej. Na zewnątrz było już ciemno, ale przez drzewa przebijała się jeszcze pomarańczowo-różowa poświata zachodzącego słońca. Pułkownik spojrzał na solidne ogrodzenie i dostrzegł oko jednej z kamer. Zapalona czerwona dioda wskazywała, że jest obserwowany. Zaklął w myślach. Nie przewidział, że jego spotkanie może być rejestrowane. Nie mógł już jednak się wycofać i zaproponować inne miejsce na rozmowę.

Nacisnął klawisz przy domofonie, a zamek furtki się odblokował. Wszedł do środka i ruszył przez szeroki i długi podjazd do oświetlonego z każdej strony modernistycznego budynku.

Cydejko stał na schodach wejściowych, ubrany był w jasny sweter i doskonale dopasowane brązowe spodnie chinosy w kratę, na szyi miał jedwabną błękitną apaszkę. Uśmiechał się, tryskał humorem. Przywitali

się. Cydejko zaprosił gościa do doskonale oświetlonego ogrodu na zapleczu rezydencji, w którym znajdowało się palenisko z żywym ogniem. Usiedli obok siebie na fotelach. Na stoliku przygotowane stały dwie kryształowe szklanki, butelka szesnastoletniej whisky Aberfeldy, napoje oraz wiaderko z lodem.

– Szkocka. Single Malt. – Cydejko nalał alkohol.

– Dziękuję.

– Co cię sprowadza tak nagle? Zdecydowałeś się na moją propozycję pracy?

– Nie, nie o tym chciałem porozmawiać. Doskonała... – Pułkownik podniósł szkło i spojrzał przez złocisty napój na pomarańczowy płomień ogniska. Powąchał alkohol znajdujący się w szklance. Następnie przepłukał nim usta, lekko je uchylił i zrobił głęboki wdech, aby wydobyć wszystkie smaki.

– Miodowa, słodka nuta zapachowa, ale też cytrusów, przypraw korzennych, goździków. Czuję jeszcze wiśnię, orzechy laskowe z nutą wanilii... – Roguski zbierał myśli, opisując zalety doskonałego alkoholu. – Finisz długi, dość pikantny, z tonami czekoladowymi podsycany dymem torfowym. Palce lizać – dodał.

– To pewnie wiesz, że jej kolor nie jest przypadkowy. Ta whisky budowana jest nie tylko na krystalicznie czystej wodzie, ale też na złożach aluwialnego złota – dopowiedział ze znanstwem Cydejko.

– Możemy sobie pogratulować doskonale udanej operacji, której celem było uwolnienie Kosińskiego. Prawda? – Roguski wzniósł toast i uważnie spojrzał na reakcję gospodarza.

– Niewątpliwie tak.

– Jak się w tym wszystkim znalazłeś?

– Nie rozumiem pytania. – Cydejko odstawił na stół szklankę. – Wybacz, proszę. – Podniósł się i wszedł do domu. Powrócił po chwili z pudełkiem doskonałych kubańskich cygar Fonseca oraz kryształową popielnicą.

– Proponuję. – Wyciągnął do Roguskiego rękę z otwartym pudełkiem.

– Nie, dziękuję, właśnie próbuję rzucić palenie – odpowiedział mu z uśmiechem pułkownik. – Ale poproszę o jedno, chciałbym poznać jego zapach. – Sięgnął po cygaro, włożył je do ust, następnie tylko powąchał.

Cydejko spojrział na swojego rozmówcę, ale się nie odezwał. Delikatnie uchwycił palcami cygaro, obciął gilotynką końcówkę i zapalił je za pomocą zapalniczki żarowej. Zaciągnął się i natychmiast wypuścił dym, zmrużył oczy.

– Nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

– Propozycja współpracy wyszła od rządu, załatwiałem wcześniej partię respiratorów i transport maseczek chirurgicznych, w najtrudniejszym okresie początku pandemii.

– Mieli do ciebie zaufanie?

– Myślę, że tak. Sprawdziłem się w sytuacji kryzysowej...

– Zostałeś zapamiętany?

– Tak można powiedzieć.

– Kto konkretnie zapamiętał? Kto przyszedł z tą propozycją?

– To jakieś przesłuchanie? – Cydejko położył cygaro na dwóch krawędziach szklanki z whisky.

– Broń Boże, staram się zrozumieć pewien mechanizm.

– O ile sobie przypominam, w tej sprawie kontaktował się ze mną Maciek Rakoczy, ale chyba dlatego, że koordynował działania związane z uwolnieniem tego geologa.

– To prawda, on koordynował wszystko...

– No tak, przecież uczestniczyłeś w sztabach kryzysowych. Nieprawdaż?

– Tak, zostałem skierowany do ciebie i miałem osłaniać operację. Cholernie ryzykowną... Do dzisiaj zadaję sobie pytanie, jak to było możliwe, że się udało i o niczym nie dowiedzieli się Amerykanie.

– Załóżmy, że została zrealizowana w sposób profesjonalny.

– Założmy... – Filip Roguski ponownie podniósł do nosa kubańskie cygaro i wciągnął zapach tytoniu. – Co z tego miałeś?

– Nic specjalnego, towar pochodził od polskich producentów. Klasycznie, prowizję...

– To były dwa transporty. A może nie?

– Nie wiem, o czym mówisz ani po co mnie wypytujesz. Doskonale przecież wiesz, że taki warunek postawili przedstawiciele tej bojówki.

– Znałeś ich?

– Kogo?

– Persów.

– Skąd ten pomysł? Odnoszę wrażenie, że ta rozmowa zmierza w dziwnym kierunku. O co ci chodzi?

– Proszę, nie unoś się. Ja tylko pytam. Głośno pytam i zastanawiam się, dlaczego został wybrany doktor Kosiński.

– No, przecież... – Cydejko przerwał, aby dolać alkoholu do szklanek, następnie pociągnął solidny łyk whisky, a potem, aby urwać kolejne sekundy i zastanowić się nad odpowiedzią, zaciągnął się cygarem. – No, przecież to oni go oskarżyli o szpiegostwo, to oni zdecydowali.

– Przecież on był czysty. Jak łąza. Czy mogli wcześniej wiedzieć, że na jego wydziale była grupa ekspertów, która miała badać skały pochodzące z poligonów wojskowych?

Cydejko uciekł wzrokiem, patrzył na delikatną poświatę, która w oddali odcinała kontur pobliskiego, mrocznego lasu. Milczał. Po chwili odezwał się i nieco zmienionym tonem odparł:

– Ale przecież pan też w tym siedział. Ma pan dzisiaj wyrzuty sumienia, że udało się uwolnić człowieka i delikatnie złamać embargo na dostawy broni do Iranu. Pan też w tym uczestniczył... – powtórzył z naciskiem.

– Tak, wiem, wykonywałem polecenie, ale zastanawiam się też, na ile działania służb irańskich były uzasadnione, na ile wynikały z pewnego impulsu, a na ile zostały zaplanowane, także z naszej strony.

– To są nieuprawnione insynuacje, pułkowniku. Myślę, że temat naszej rozmowy się wyczerpał. Żegnam. – Cydejko odstawił szklankę i gwałtownie podniósł się z fotela.

– Dziękuję za rozmowę. Była pouczająca.

Roguski pożegnał się i ruszył w kierunku bramy wyjściowej. Cydejko w skupieniu patrzył na jego sylwetkę, która stopniowo zanurzała się w ciemność. Zacisnął pięści. Księżyc przesłoniły deszczowe chmury.

Gdy za pułkownikiem zatrzasnęła się furтка, wszedł do domu i z całej siły cisnął szklanką o marmurowy blat kuchennej wyspy. Kryształ rozpadł się na dziesiątki drobnych kawałków.

– Kurwa – zaklął. – Co on wie?

Wziął aparat telefoniczny i w komunikatorze Signal wybrał numer telefonu.

– Maciek?

– Tak.

– Możesz swobodnie rozmawiać?

– Tak. – Usłyszał w słuchawce lekkie sapanie.

– Słuchaj, był u mnie Roguski. Wiesz który?

– Tak, tak, z SWW. No i co u niego?

– Zadawał dziwne pytania, odniosłem wrażenie, że za dużo wie o naszym dealu.

– Teraz się, kurwa, obudził? Przecież on osłaniał operację. A w zasadzie nic nie robił i taka od początku była jego rola.

– Tak, ale teraz drażni temat. Powiedz mi, czy służby opukują nasz temat?

– O ile mi wiadomo, nie. Ale jeszcze sprawdzę. Odezwę się.

– No właśnie, bo trzeba będzie się zastanowić, jak z tego wyjść bez strat dla nas.

– Masz rację. Poważnie to wygląda, twoim zdaniem?

– Tak jak powiedziałem, on zadaje trafne pytania i wyciąga ciekawe wnioski. Jest niebezpieczny. Wiesz, co to może oznaczać dla nas? I dla

ciebie? Wybory w przyszłym roku.

– Pomyślę. Odezwę się. – W słuchawce pojawił się sygnał przerwanej rozmowy.

Cydejko sięgnął po niedopitą butelkę whisky i zszedł z nią do piwnicy. Otworzył wejście do ukrytego przejścia, światło automatycznie się zapaliło, a wentylacja zaczęła pracować, tak jakby był lekki przeciąg.

Spojrzał na bliki z balsamów olejnych lub innego werniksu na obrazach, które wisały w korytarzu. Z ukosa widział kwiaty w różnych kompozycjach, martwe natury złożone z owoców, patrzyły na niego zastygłe sportretowane twarze i martwe upolowane zwierzęta, oglądał nieco rozmazane sceny rodzajowe, historie antyczne, biblijne.

*

– Co wiemy na temat zdarzenia w Niemczech? – Roguski usiadł przy stole konferencyjnym w swoim gabinecie. Przez uchylone okno wpadało rześkie, po porannej burzy, powietrze. Na zegarku, który wyświetlał się na radioodbiorniku, była godzina dziesiąta rano. Naprzeciwko miał nieco zgarbionego majora Adama Krzymowskiego, analityka, który specjalizował się w tematyce niemieckiej.

– To wykracza poza nasze zadania, ale... – Krzymowski flegmatycznie spojrzał do notatek. – Strzelał snajper. Najpewniej miał wiedzę, że na miejscu pojawi się nasz człowiek, znaczy nasz w sensie Polak. Dwa albo trzy strzały, ostatni celny. *Exitus* – relacjonował.

– Czy wykonywał jakieś zadanie?

– Nie, przynajmniej nie dla nas, w sensie dla ambasady. Zwolnił się na chwilę z pracy – odpowiedział major.

– Świadkowie, motyw?

– Nie wiemy, dlaczego został zabity ani na czyje zlecenie. Ale świadkowie zapamiętali osobę z mieszkania, z którego oddano strzały, jako kogoś możliwie związanego z ruchem neofaszystowskim. Bo tak wyglądał. Jakieś tatuaże, runy i tak dalej. W wynajętym mieszkaniu,

z którego strzelał, zostawił ładunek wybuchowy, po eksplozji nastąpił pożar. Mieszkanie doszczętnie spłonęło.

– Czyli w zasadzie Niemcy nie mają nic.

– Można tak powiedzieć.

– Zawadzki. Kim jest?

– To nasz dyplomata pracujący od kilku lat w Niemczech. Na moje oko oficer Agencji Wywiadu, ale tego oficjalnie nie wiemy. Teraz ma poważne kłopoty. Wie pan, MSZ musi się z tego tłumaczyć.

– Rozumiem.

– Jest jeszcze jedna rzecz. To taka plotka korytarzowa, niepotwierdzona. Założmy, że jest to informacja zdobyta operacyjnie przez naszych ludzi w ambasadzie, ale nie zweryfikowana. Miał miejsce przerzut broni do Iranu. Naszej broni. Informacja taka trafiła do kogoś w Niemczech, właśnie do Düsseldorfu, no i podobno cywilny wywiad coś w tym zakresie robił.

– Jasne. Dziękuję, majorze, i proszę o zachowanie pełnej dyskrecji.

– Tak jest, panie pułkowniku. – Major Krzymowski wstał i się odmeldował.

Roguski chwilę siedział na obrotowym fotelu i patrzył w sufit. Wyjął z bocznej szuflady biurka zmiętego papierosa i przybliżył go do nozdrzy. Wciągnął powietrze. Następnie sięgnął po formularz urlopowy.

ROZDZIAŁ 41

jesień 2022 r.

Düsseldorf

Samolot LOT-u o godzinie siódmej rano osiągnął wysokość przelotową za Puszcą Kampinoską otaczającą od zachodu Warszawę gęstym lasem. Roguski sięgnął po miesięcznik pokładowy „Kaleidoscope” z okładką przedstawiającą panoramy trzech nadbałtyckich stolic – Wilna, Rygi, Tallina. Przejrzał znajdujące się w nim artykuły. Zawiesił oko na tekstach o Łotwie i często odwiedzanym przez niego Podkarpaciu, a także na artykule o atrakcjach kulinarnych Wiednia. Potem na komórce przez aplikację e-kiosk przejrzał kilka artykułów prasowych różnych gazet, zjadł lekki posiłek i w tym momencie kapitan już oznajmił, że załoga przygotowuje samolot do lądowania.

Lot do Düsseldorfu trwał niecałe półtorej godziny. Po chwili maszyna obniżyła pułap, a po kolejnych kilku minutach koła uderzyły o betonową płytę lądowiska. Pułkownik miał ze sobą tylko podręczny bagaż, dlatego po kilkunastu minutach był już przed terminalem i wszedł do tramwaju, który jechał do centrum miasta.

Matheus Reina i Shafram Golemi tego dnia spotkali się o godzinie jedenastej w kebabiarni. Nie było w niej pracowników, bo lokal tego dnia był zamknięty. Masud poinstruował ich, jak mają się poruszać i gdzie zostały wyznaczone przez centralę w Teheranie punkty złożenia przygotowanych przez niego materiałów. Przypomniiał, aby byli punktualni. Miały dotrzeć w wyznaczone miejsca przed dwunastą. Rozdał im też po pięć tysięcy euro w gotówce, paszporty na fałszywe nazwiska i bilety lotnicze na samoloty wylatujące tego dnia wieczorem w dwóch

różnych kierunkach. Reina miał lecieć z Düsseldorfu do Zagrzebia w Chorwacji, a Shafram z Kolonii do Stambułu.

Pozegnali się. Następnie każdy z nich inną trasą ruszył do miejsca, w którym ukryte były przygotowane paczki. Po piętnastu minutach kluczenia po centrum miasta każdy z nich, ale osobno wszedł do komórki piwnicy budynku przy Hohe Strasse. W kącie zamykanego na klucz pomieszczenia stała stara szafa, w niej znajdowały się identyczne torby firmowe popularnej sieci sklepów Aldi z niewielkimi pakunkami w środku.

Roguski przemierzał centrum miasta, posiłkując się mapą w telefonie komórkowym. O 11.30 umówił się ze swoim rozmówcą na spotkanie w Bistro im Maxhaus przy Citadellstrasse.

– To przy jakimś kościele, zaraz obok parafii Świętego Maksymiliana. To gdzieś tutaj, blisko – mamrotał do siebie i po raz kolejny przeglądał trasę, którą musiał jeszcze pokonać. Nie był nigdy w Düsseldorfie, a na przygotowanie się do tego wyjazdu miał zaledwie kilka godzin.

Wszedł na zupełnie wyciszoną ulicę. Nie jeździły tędy samochody. Ludzi też było niewiele, minął nastolatkę identyfikującą się z subkulturą emo. Spojrzał w witrynę sklepu z białymi krukami Heinrich Heine Antiquariat i w szybie zobaczył po drugiej stronie wejście do poszukiwanego przez niego bistro. Wszedł do środka, zanurzył się w surowy, wręcz ascetyczny wystrój, bo restauracja wykorzystywała pomieszczenia należące do kościoła, stoliki stały na wewnętrznym oszklonym dziedzińcu. Gościa jednak tam nie było, wyszedł zatem na zewnątrz i w drzwiach wejściowych akurat wpadł na Zawadzkiego.

– No czolem. Wreszcie! Góra nie przyszła do Mahometa, to Mahomet przyszedł do góry!

– Wzięłeś zatem kij i przyszedłeś. – Kamil Zawadzki się uśmiechnął i objął znajomego ramionami, a potem mocno poklepał go po plecach. Od razu było widać, że dawno ze sobą nie rozmawiali, ale łączyła ich jakaś zażyłość.

– To już ładne parę lat.

– Tak. Tu mamy cień. Pod szkłem będzie zaraz duszno, popatrz, jakie słońce. Chodź tutaj. – Major wskazał na jeden z dwóch stolików, które były wystawione przy samej ulicy, zaraz przy wejściu do bistro.

Usiedli.

– Doskonale się urządziłeś. Niemcy to świetne miejsce do pracy.

– Tylko pozornie, pewnie słyszałeś o zabójstwie naszego pracownika?

– Tak i właśnie ten temat sprowadza mnie do ciebie, oczywiście poza spotkaniem po latach. – Roguski szybko się zreflektował. – O, widzę, że mamy dobry widok na nasz Instytut Polski. – Wskazał głową na drugą stronę drogi, gdzie nad wejściem do budynku wisiała polska flaga.

– Tak, lubię to miejsce. Bywam tu nieraz. Proponuję zatem białe wino reńskie i tradycyjnego kurczaka z purée i modrą kapustą. Jedzenie sprawdzone, bardzo dobre, gotowane przez zakonnice, tradycyjnie jak na plebanii, domowe – wymienił jednym tchem Zawadzki.

– To weźmiemy dwa razy to samo. Zgoda? Wracając do tematu, jak myślisz, co mogło być przyczyną tego zabójstwa? Faktycznie jakiś atak nazistów?

– Nie, na pewno nie. Tutaj już mam pewność. Został sprzątnięty, bo zdradził. – Zawadzki spoważniał.

– Co ty mówisz?

– Tak, dla jasności: nas zdradził, a i tak nie ustrzegł się śmierci, prawdopodobnie z rąk tych, dla których pracował. Badają to już nasze służby, ABW.

– Czy to ma coś wspólnego z przerzutem broni do Iranu? Bo jak sobie popracowałem nad tym tematem, to mi wyszło, że pewna grupa znajomych stworzyła sytuację, aby uzasadnić przemyt broni do Teheranu, a potem coś im się jakby posypało. – Roguski nie wspomniał o swojej roli.

– Być może, ale ja nie byłem wprowadzony w szczegóły tej sprawy, chociaż odprysk miał miejsce i u nas. Kilka miesięcy temu został zabity człowiek, który był naszym informatorem, nieoficjalnie wpadł na trop tego

przemytu. Ktoś z centrali robił wszystko, aby utrudnić nam pracę i jednocześnie jak najbardziej zamulić temat – odparł major.

– Ktoś z centrali, powiadasz? Może nawet Rakoczy.

– Ciekawe to, co mówisz, w sumie teoretycznie jest to możliwe, bo w zasadzie jest koordynatorem służb specjalnych. Dużo może i ma wgląd w wiele materiałów. Ciekawe, czy także operacyjnych? Czy on może nami manipulować?

– Ale na to trzeba mieć dowody.

– No właśnie. Masz? Bo ja nie. Zresztą chyba wyobrażasz sobie, jakie mam teraz piekło. Pyta niemiecka policja, dla nich jestem prawie jak podejrzany. Pyta MSZ, dla nich jestem trochę mniej, ale jednak też pewnie podejrzany. Jedynie moja centrala podchodzi ze spokojem do tego tematu, na razie mi ufają. Co będzie dalej?

– Powiedz mi: czy mówi ci coś nazwisko Cydejko? Antoni Cydejko?

Kamil Zawadzki spojrzał na znajomego z uwagą.

– Coś kelnerka długo się nie pojawia. Zaraz po nią pójde. A to nazwisko od niedawna faktycznie coś mi mówi. Przewija się w tle...

– Warto mu się przyjrzeć.

W tym momencie ktoś zadzwonił na komórkę Roguskiego. Wyjął telefon z kieszeni i niezdarnie próbował wyłączyć aparat.

– Cholera, co jest? Klawisze się blokują. – Zaczął przy niej manipulować.

Właśnie wtedy Zawadzki podniósł się z krzesła i już miał wejść do bistro, gdy kątem oka zauważył nietypową sytuację, która w jednej chwili skupiła jego uwagę.

Matheus Reina spokojnie podszedł pod budynek Instytutu Polskiego przy Citadellstrasse numer 7. Po drugiej stronie ulicy przy stoliku siedziało dwóch pięćdziesięciolatek, którzy rozmawiali w języku polskim. Delikatnie wsunął firmówkę sieci sklepowej pomiędzy nogi potykacza, czyli stojaka reklamowego w kształcie odwróconej litery V, na którym umieszczony był plakat Wytwórni Filmów Dokumentalnych i Fabularnych

zachęcający do oglądania polskiej klasyki filmowej na platformie streamingowej.

Ruszył wzdłuż ulicy, gdy jeden z mężczyzn wstał, wszedł na środek wąskiej drogi i krzyknął po niemiecku:

– Hej, ty! Wracaj tu! Coś zostawiłeś!

Reina obejrzał się instynktownie, zauważył, że intruz zmierza do drzwi Instytutu Polskiego. Przyspieszył, a zaraz potem zaczął biec.

Roguskiemu udało się wreszcie odblokować telefon, skierował komórkę w stronę uciekającego i nacisnął ikonkę aparatu fotograficznego. Zawadzki zauważył, że człowiek – wyglądający jak skin – coś zostawił, i już miał podejść bliżej, gdy nastąpił głuchy wybuch. Eksplozja poderwała do góry ciężki drewniany potykacz, i rozerwała go na strzępy. Pojawił się niewielki błysk płomienia i dym.

Wybuch osmalił ścianę kamienicy, wyrwał kilkudziesięciocentymetrowy kawałek tynku, wyrwał z drogi i rozbił kilka kostek brukowych. W pobliskich oknach pękły szyby, kawałki szkła zasypały ulicę, raniąc Zawadzkiego. Jeden z kamieni z impetem uderzył go w głowę. Oficer upadł i na moment stracił przytomność. Roguskiego od latających w powietrzu odłamków osłonił blat stolika, który się przewrócił i za którym on zdążył się ukryć. Nic mu się nie stało, ale w stół wbiło się kilka sporych rozmiarów odłamków szyb.

Z bistro natychmiast wybiegli pracownicy obsługi i kucharze. Drzwi Instytutu Polskiego uchylily się i wybiegła z nich grupa młodzieży. Ich opiekun kazał im natychmiast opuścić to miejsce.

Zawadzki ocknął się po kilku minutach. Nad jego twarzą pochylał się strażak ubrany w hełm przeciwpożarowy. Obok leżała deska ortopedyczna, a ratownik próbował mu założyć na szyję kołnierz usztywniający kręgosłup. Coś do niego mówił, ale Zawadzki nic nie słyszał, fala uderzeniowa musiała uszkodzić mu bębenki. Bezwiednie dotknął lewego ucha i podniósł dłoń, całą miał ją we krwi. Dopiero wtedy, jakby zza jakiejś waty, zaczęła dochodzić do niego kakofonia dźwięków nadjeżdżających kolejnych wozów strażackich i policyjnych.

Dwaj ratownicy podnieśli go ostrożnie i przenieśli na pomarańczową deskę.

– Jedziemy do Marien Hospital. – Delikatnie wsadzili go do wnętrza ambulansu. Po chwili samochód ruszył na sygnale.

W tym momencie Roguski opisywał spokojnie policjantowi, jak wyglądał sprawca:

– Mężczyzna biały, dobrze zbudowany, średniego wzrostu, blond włosy, liczne tatuaże, na karku błyskawica, ubrany w skórzaną kurtkę. Biegł tak, jakby był sportowcem – dodał i wyjął z kieszeni telefon komórkowy. – A tu zdjęcie, jak wyglądał z pewnej odległości. Mogę je natychmiast przesłać dalej.

Policjant podał adres e-mail, przerwał i podał komunikat do wszystkich patroli z rysopisem sprawcy. Wtedy dwa wozy strażackie z rykiem syren odjechały z wąskiej uliczki. Roguski usłyszał tylko w policyjnej radiostacji, że w tym samym czasie bomba wybuchła także przed wejściem do konsulatu generalnego Ukrainy przy Immermannstrasse koło Małego Tokio.

– Z biurowca, w którym znajduje się konsulat, wypadło wiele szyb, uszkodzone zostały też drzwi wejściowe i kilka samochodów. Nikt nie został ranny – relacjonował obecny na miejscu zdarzenia policjant.

Matheus Reina wysiadł z czarnego mercedesa CLS na parkingu przy lotnisku. Była osiemnasta. Lot miał za dwie godziny, ale wcześniej musiał przejść przez kontrolę bezpieczeństwa. Przed wejściem do terminalu stał policyjny radiowóz, był jednak pusty. Mundurowych zobaczył przez szybę, stali tyłem do wejścia. Wypuścił powietrze, na ramię założył niewielką skórzaną torbę, bardziej przypominała ona osłonę na laptopa niż torbę podróżną. Wziął ją, aby nie wzbudzać zainteresowania służb.

Wszedł za automatyczne drzwi i dostrzegł, że policjanci przeglądają coś na monitorze telefonu komórkowego, który jeden z nich trzymał w dłoni. Ruszył do bramek. Wtedy kątem oka zauważył stojących po prawej stronie za filarem dwóch funkcjonariuszy jednostki specjalnej GSG 9, w pełnym oporządzeniu, z długą bronią i hełmami na głowach.

Nie zawahał się ani chwili, spokojnym krokiem zmierzał przed siebie. Przepisnął się przez rozkrzyczaną grupę włoskich turystów.

Do bramek miał tylko kilka metrów, gdy usłyszał za sobą komendę:

– Stój! Policja! Zatrzymaj się!

Ludzie znajdujący się w pobliżu natychmiast odeszli na bok. Widział, że patrzą na niego, ale on nie reagował, szedł dalej. Wtedy jednym ruchem zerwał z ramienia torbę, cisnął ją z całej siły w kierunku policjantów i krzyknął:

– Uwaga! Bomba!

Z każdej strony rozległ się krzyk pasażerów, przechodzący w histeryczny pisk. Część osób usiadła lub położyła się płackiem na podłodze.

Reina błyskawicznie odwrócił się i ruszył biegiem w kierunku rozsuwanych drzwi. W tym momencie padły strzały. Jeden pocisk utkwiał mu w ramieniu i roztrzaskał bark, drugi uderzył w plecy i przebił płuco, trzeci trafił w nogę.

Messer zwałił się na marmurową posadzkę, uderzył o nią głową i w takiej pozycji zastygł. Jego ciało otoczyli policjanci.

– Już po wszystkim. To on – powiedział oficer jednostki GSG 9. – Zamykamy terminal, ewakuować pasażerów – wydał polecenie.

ROZDZIAŁ 42

jesień 2022 r.

Düsseldorf

Włożyła uniwersalny klucz do zamka, chwilę przy nim majstrowała, aż drzwi się uchyliły. Weszła do środka, zapaliła światło. Znalazła się w pomieszczeniu magazynowym szpitala, gdzie przechowywano ubrania, które wróciły z pralni. Z szafy wyjęła niebieską koszulę z krótkimi rękawami oraz spodnie. Chwilę wcześniej w jednym z korytarzy szpitalnych zderzyła się z młodym lekarzem z brodą, delikatnie odpięła mu i zabrała identyfikator.

Przebrała się i wyszła na szpitalny korytarz. Torbę ze swoimi rzeczami schowała. Wyglądała jak młody lekarz albo student szóstego roku medycyny. Włosy z powrotem miała długie, kruczoczarne, ale na twarzy rosła jej tym razem wymuskana broda, bo dzień wcześniej przycięła ją u barbera.

Wiedziała, że powinien leżeć na neurochirurgii. Zlokalizowała to miejsce na tablicy informacyjnej. Przeszła śnieżnobiałym, sterylnie czystym korytarzem na oddział. Przy pustym punkcie pielęgniarstka sprawdziła w karcie informacyjnej, w których pokojach są pacjenci.

Kamil Zawadzki był pod trójką. Delikatnie uchyliła drzwi i weszła do środka. Polak leżał na plecach, w rękę miał wpięty wenflon do podawania leków lub pobierania krwi. Na głowie, częściowo ogolonej z włosów, założoną miał elastyczną siatkę utrzymującą opatrunek pooperacyjny. Obok łóżka na stoliku stała aparatura monitorująca jego czynności

życiowe. Na twarzy i szyi miał plastry opatrunkowe, a rękę dodatkowo owiniętą bandażem.

Zawadzki spał, ciężko oddychając, po środkach przeciwbólowych. Milusha usiadła obok niego na krześle i tak przez pół godziny czuwała przy jego łóżku. Spojrzała na zdjęcia, które zdobiły ściany szpitalnej sali. Przedstawiały egzotyczne krajobrazy.

Ocknął się, gdy poprawiła mu kołdrę.

– Jak się czujesz?

Major powoli otworzył oczy.

– Przeżyję, tak mówią lekarze. Wiem, jak się nazywam, i wiem, kim jesteś. Więc jest jeszcze lepiej. – Uśmiechnął się kwaśno.

– Co to było?

– Po wybuchu odłamek kamienia przebił mi skórę i uderzył w czaszkę. Lekarze nazywają to krwiakiem śródczaszkowym.

– A ręka?

– To tylko takie zadrapania po kawałkach szyb, które mnie zasypały – bagatelizował.

– Jasne. Słyszałeś, że tego, co to zrobił, zabili na lotnisku?

– Mówił mi o tym policjant, zaraz... – zawahał się chwilę. – Kapitan Fuchs. Wiesz, że spotkałem go po raz drugi? To on przyjechał na miejsce, gdzie został zabity Zielonka.

– Ja chyba wiem, o co im chodziło.

– Tak?

– Spierdoliłam robotę. Wiedziałam, że planują zamach... – Schowała twarz w dłoniach.

– Skąd to wiedziałaś?

– Zielonka doprowadził mnie do ich dziupli. Takiej kebabiarni przy dworcu, w której się spotykali. Podrzuciłam im kamerę. Planowali coś... na jakiś obiekt polski i ukraiński. Spójrz. Wyjęła komórkę i włączyła fragment

nagranego filmu, ze sztucznie brzmiącym głosem internetowego tłumacza.

– Centrala Al-Kuds zdecydowała, że nie możemy czekać, bo istnieje zagrożenie dekonspiracją naszych planów.

– Dla mnie to nie jest problem. Wszystko jest przygotowane, materiały są zgromadzone.

– Zmieniły się jednak cele.

– O, czyli nie Izrael i Amerykanie? Czyli nie odwet za śmierć naszego generała Kasema Sulejmaniego?

– Tym razem nie. Polska i Ukraina.

Potem był niezrozumiały fragment.

– Tak ci się tylko wydaje. To szersza operacja, nie tylko militarna, ale też informacyjna. Ma wyglądać tak, jakby uderzyli w nich Rosjanie. To nam pomoże odciągnąć polskie służby od zajmowania się nami. Przynajmniej taką nadzieję mają nasi szefowie.

– Ten Al-Kuds, to co to takiego? – Wyłączyła film.

– Wywiad Iranu.

– Spójrz, oto ich twarze. – Milusha przewinęła stop-klatki z ich sylwetkami, które zgrała na laptop w trakcie obserwacji baru. – Jeden, ten biały, to Messer, to on został zabity na lotnisku. Drugi to Masud, irański Kurd, kuzyn Ziyada, a trzeci Shafram.

– Te zdjęcia powinna natychmiast dostać policja.

– Tak, przrzucę ci je zaraz na komórkę. Ja tego nie mogę zrobić. Jest jeszcze jeden problem. – Zawahała się. – Zielonka powiedział mi, jak go przycisnęłam, że Masud zabił Ziyada. Wiesz dlaczego?

– Domyślam się.

– Powiedział mi tak: „Miał dowody na to, że Polska wysłała broń do Iranu. Podobno to miała być jakaś transakcja, wymiana za zakładnika. Ziyad poinformował o tym polskie służby. Za dużo wiedział? W zasadzie to sprzątnęli go nasi, a Masud tylko odwalił czarną robotę”. Powiedz mi: o co w tym wszystkim chodzi?

– Sam się nad tym zastanawiam, ale widzę, że ktoś nami manipuluje i próbuje coś ugrać.

– Zielonka chciał ode mnie dokumenty Ziyada. Tak, mam je. – Milusha spojrzała na Zawadzkiego i zacisnęła pięści. – Podobno potrzebuje ich polski wywiad. Co ty na to?

– To jest kłamstwo. Ziyad wysłał je do centrali, a centrala próbowała skrócić temat.

– Czyli teraz rozumiesz, dlaczego nie chciałam z tobą rozmawiać? Nie wiem, gdzie jest prawda, nie wiem, kto jest zdrajcą. A ty?

– Zdrajcą był Zielonka. To na pewno.

– Masz na to dowody?

– Tak.

– Jak to było możliwe, że wyciągnąłeś mnie spod tego ostrzału na Frankenplatz? – przeskoczyła na inny temat.

– Nie wkurwiał się na mnie, gdy o tym usłyszysz. – Major rozmasował dłoń i poprawił opatrunek na głowie. – Znajomy zainfekował twoją komórkę aplikacją śledzącą. Wiedziałem, gdzie jesteś. W zasadzie obserwowałem cię online. Gdy zobaczyłem, że Zielonka dziwnie się zachowuje w ambasadzie, ruszyłem za nim, widziałem u siebie, że ty też tam jesteś. Ot, wszystko.

– Uratowałeś mnie...

– Ech...

– Mówiłeś, że Zielonka zdradził.

– Tak, po jego śmierci komisyjnie otworzyliśmy jego sejf. Była w nim spisana ręcznie taka, powiedzmy, ostatnia wola. Stwierdził, że kilka miesięcy temu pewien cudzoziemiec zaproponował mu współpracę za duże pieniądze. Były mu potrzebne na leczenie ciężko chorej żony. Chciał, aby po jego śmierci lub po wpadce jego emeryturę przeznaczyć na jej leczenie. A tymczasem ona właśnie zmarła, może gdy się dowiedziała, że jej mąż nie żyje?

– Mówisz, że zwerbował go cudzoziemiec, ale on działał z tymi z Al-Kuds?

– Tak, ale Zielonka chyba o tym nie wiedział. Zakładam, że został zwerbowany pod fałszywą flagą.

– Był taki głupi?

– Nie bardzo, przydał im się. To on zmienił lokalizację spotkania, na które miał przyjść Ziyad. On go wystawił. Był dla nich bardzo przydatny, wynosił im informacje, które były przeznaczone dla mnie. Pełnił ważną rolę w zacieraniu śladów o wycieku danych na temat przemytu broni. Ale też dobrze mu płacili. Już po jego śmierci prześwietliliśmy jego konto. W krótkim czasie dostał prawie dwadzieścia tysięcy dolarów. Ale i tak nic mu to nie pomogło. Pieniądze nie mogą leczyć.

– Dlatego zginął Ziyad?

– Tak. Przykro mi. Wiem, jak dużo dla ciebie znaczył.

– Kto stał za werbunkiem Zielonki? Znasz jego nazwisko?

Zawadzki zawahał się, sięgnął po szklankę z wodą i upił łyk.

– Boli mnie głowa... Domyślam się, ale chcę to zrobić po swojemu, po bożemu. Po wyjściu ze szpitala wrócę do Polski, już na stałe. Przekażę tę wiedzę naszym służbom.

– Wierzysz im? Jesteś tak naiwny?

– Pewne reguły obowiązują, nawet wtedy, gdy druga strona oszukuje.

– Nie! Reguły i owszem, ale nie takie! Śmierć za śmierć to jest prosta zasada, jasna jak słońce, bez ściemniania.

– Mogę ci obiecać jedną rzecz: zatnę wszystkie ślady na twój temat, wszystkie dokumenty, wyrejestruję cię z ewidencji operacyjnej. Przepraszam, że tak to się kończy.

– Nie, to się nie skończy. – Milusha zacisnęła zęby i spojrzała na Zawadzkiego. Odniosł wrażenie, że jej oczy pociemniały.

„To tylko zwidy. Moja głowa” – pomyślał.

– Jeżeli zrobili jeden krok, a potem drugi, to możesz się spodziewać i trzeciego, i czwartego. Żegnaj zatem. – Uścisnęła mu dłoń.

Gdy wyszła, Zawadzki wziął do zdrowej ręki telefon i spośród kontaktów wybrał ten do oficera niemieckiej policji.

– Kapitanie Fuchs, czy moglibyśmy porozmawiać? Pilnie. Mam do przekazania pewne informacje. Tak, jestem w szpitalu, nic się nie zmieniło – powiedział i się rozłączył.

Widziała jak pakują rzeczy, rozmontowują kuchnię, wynoszą meble, produkty i inne wyposażenie kebabiarni. Wynosili wszystko w pośpiechu. Było ich trzech – dwaj pracownicy baru i Masud. Jedna z jej kamer zarejestrowała, że wszystko ładują do zaparkowanego przy samym wejściu białego busa. Mignęła jej nawet jeszcze tablica rejestracyjna wozu. Zanotowała jej fragment. I dopiero wtedy wsiadła na swój motocykl i pędem ruszyła do Düsseldorfu.

Akurat gdy dojechała, w pobliżu dworca głównego w jednej chwili zaroilo się od policjantów. Odcięli dojsie do lokali znajdujących się naprzeciwko wejścia, zaraz za przystankami tramwajowymi. Bezdomni momentalnie zniknęli z tego miejsca. Funkcjonariusze jednostki specjalnej z Sankt Augustin jednocześnie z dwóch stron, od frontu i z tyłu, wypchnęli za pomocą specjalnych przenośnych taranów drzwi. Weszli do środka i z bronią gotową do strzału błyskawicznie przeszukali pomieszczenia.

– Czysto – powiedział przez radio dowodzący akcją major Willi Wittmann.

W tym momencie do lokalu wszedł kapitan Fuchs z düsseldorfskiej policji. W pomieszczeniach było pusto, kuchnia została zdemontowana, pozostały tylko stoliki i krzesła dla gości. Nawet naczynia wywieziono. Panował bałagan.

Funkcjonariusze w trakcie przeszukania znaleźli dwie małe kamerki. Jedną ukrytą między makatami, drugą na podłodze – najpewniej spadła podczas demontowania okapu kuchennego. Nadal rejestrowały i przekazywały obraz.

– Może uda się ustalić, do kogo szła transmisja. – Urządzenia leżały na zielonej rękawicy taktycznej na dłoni Wittmanna. – Spróbujemy.

Gdy Milusha zobaczyła, że ktoś patrzy na nią, a w zasadzie na oko kamerki, wyłączyła natychmiast telefon, rozebrała go na części, rzuciła na chodnik i dodatkowo rozdeptała ciężkim butem do jazdy motocyklem. Pokruszone elementy zgarnęła i wyniosła do śmietnika umieszczonego obok dworca kolejowego.

Nie zdążyła. Zjawiła się na miejscu, gdy policja przygotowywała się już do szturmów. Z cienia przy dworcu mogła tylko obserwować ich porażkę. Oni też się spóźnili.

W swoim mieszkaniu popiła winem rozgryzioną tabletkę mefedronu i, rozluźniona, położyła się w ubraniu na łóżku. Nie miała nawet siły zrzucić z siebie skórzanej kurtki i sztywnych motocyklowych spodni. Po chwili zsunęła się na podłogę i oparła o ścianę. Sięgnęła po laptop i powoli, w skupieniu zaczęła przeglądać informacje, które przed śmiercią wysyłała jej Ina. Jeszcze raz je czytała, oglądała zdjęcia, przeglądała fragmenty filmów nakręconych z ukrycia przez polskiego hackera w mieszkaniu polskiego biznesmena.

Po pięciu godzinach skupienia zupełnie opadła z sił. Położyła się na podłodze, spojrzała w sufit, przymknęła oczy, przed którymi ciągle wirowały zdjęcia, urywki filmów, a potem na skrawku kartki zapisała dwa nazwiska, a obok ich adresy.

Podniosła się, upiła trochę białego reńskiego wina, usiadła na krześle przy stoliku i naszkicowała twarz Zawadzkiego, wykrzywioną bólem, z opatrunkiem na głowie. Wstała i przyczepiła ją pinezką do korkowej tablicy obok innych rysunków.

Przebrała się w sportowy ubiór, sięgnęła po worek, w którym miała rękawice do walki. Zatrzaskała drzwi i poszła na trening kickboxingu.

Tego dnia, gdy pułkownik Filip Roguski wrócił do pracy, natychmiast został wezwany przez sekretarkę do swojego bezpośredniego przełożonego, pułkownika Marka Krawczyka, od niedawna pełniącego obowiązki szefa Służby Wywiadu Wojskowego. Jego poprzednik został

odwołany zaledwie dzień wcześniej. Minister obrony narodowej milczał na temat tej zmiany. Jedyne rzecznik koordynatora służb specjalnych poinformował, że przyczyną są sprawy osobiste. Jednocześnie do zaprzyjaźnionych dziennikarzy wypuścił plotkę, że chodziło o słabe wyniki pracy na kierunku rosyjskim i że potrzebny jest ktoś bardziej dynamiczny. Anonimowe trolle z Twittera, które zwykle uczestniczyły w nagonce na opozycję i co do których nikt nie miał wątpliwości, że czerpią wiedzę od kogoś z rządu, dorabiała mu gębę.

Roguski wszedł do gabinetu Krawczyka, gdy ten z kimś rozmawiał.

– Tak już jest, kończę zatem. Do widzenia, panie ministrz... – Szef wojskowego wywiadu urwał i odłożył słuchawkę. Nie wstając zza biurka, zapytał: – Domyślasz się, dlaczego cię wezwałem, pułkowniku?

– Nie. Słucham.

– Do czasu wyjaśnienia sprawy z Niemiec zostajesz pan zawieszony. To wygląda na jakąś samowolkę. Co to są... jakieś prywatne spotkania? Co pan chce tym załatwić? – powiedział i tylko machnął ręką na znak, aby podwładny opuścił jego gabinet. – Po pismo proszę się zgłosić samemu do działu kadr – dodał i chwycił znowu za słuchawkę.

Roguski nie miał szans nawet cokolwiek wyjaśnić, spodziewał się takiej reakcji.

ROZDZIAŁ 43

wczesna zima 2022 r.

Borzęcin

Paweł Natan podjechał swoim nowym volvo S90 excellence pod rezydencję Antoniego Cydejki pod Warszawą. Użył klaksonu, aby gospodarz uchylił mu bramę wjazdową. Nie chciało mu się wychodzić na mróz. Po chwili oczekiwania wjechał na posesję. Zaparkował obok lexusa, wyłączył muzykę, której słuchał podczas jazdy – hity zespołu Queen. Wysiadł, otulił się mocniej marynarką, bo powiał chłodny wiatr, i wszedł do doskonale oświetlonego budynku. Od zachodu nachodziły granatowe chmury, można było spodziewać się opadów śniegu.

Cień wśliznął się przez zamykające się wrota i natychmiast zniknął za rozłożystym krzakiem różanecznika odmiany America, który już dawno przekwitł, ale miał gęste i dość mocne skórzaste liście. Ten krzew doskonale chronił ukrywającego się przed czyimkolwiek okiem. Obok cienia na krótko pojawił się promień światła przy zegarku. Była godzina 21.37.

Natan po wejściu do środka zdjął marynarkę i powiesił ją na wieszaku. Cydejko, ubrany w żółtą koszulę polo i błękitne spodnie, wychylił się z kuchni i zaprosił gościa do siebie.

– Witaj, redaktorze. Doskonały wybór. Jak się sprawuje nowy nabytek? – zapytał.

– No cóż, dopiero się go uczę – przyznał z uśmiechem Natan.

– Proponuję dzisiaj rostbef z argentyńskiej wołowiny Angus. Właśnie dotarła do mnie drogą lotniczą przesyłka z mięsem. Gwarancja świeżości,

bo z młodego bydła wypasanego na Pampie – dodał ze znanstwem biznesmen. Kawałki mięsa smażyły się już na grillowej patelni, wokół rozchodził się doskonały zapach.

Natan wciągał nozdrzami aromaty i sięgnął po karafkę z wyciskanyim sokiem z granatów, która stała na blacie wyspy.

– Polecam. Z tureckich owoców – zachęcał Cydejko i jednocześnie sprawdzał temperaturę mięsa, które skwierczało na patelni.

– Rozumiesz, dzisiaj jestem samochodem. Nie chcę ryzykować, dlatego dzisiaj bezalkoholowo – wytłumaczył się dziennikarz.

– Grunt to odpowiedzialność, nie tylko za słowo... À propos, ten samochód to z honorarium za tekst o tych trzech, co zabawiali się w Emiratach?

Natan na krótko jakby się zapowietrzył.

– A skąd wiesz?

– Cóż, ja dużo rzeczy wiem.

– Nieraz się ciebie boję – przyznał Paweł Natan.

– Spokojnie, ty akurat nie masz powodu. – Cydejko za pomocą szczypców zdjął z patelni kawałki mięsa. – Popatrz, jaka marmurkowatość. Jak pamiętam, gustujesz w średnio wysmażonych. Tak jak ja, prawda?

– Tak.

Cydejko położył steki na białych talerzach, obok na serwetkach leżały już widelce i ostre japońskie noże kuchenne marki Kai Shun Premier, wykonane z trzydziestu dwóch warstw stali damasceńskiej. Z lodówki wyjął jeszcze białe miseczki z przygotowanymi wcześniej sałatkami cesar, a z piekarnika podgrzane purée z marchewki.

– Gotowe. Zapraszam.

Usiedli na wysokich stołkach przy marmurowej wyspie, na której stały też przygotowane przez gospodarza wyciskane soki, a także butelka bourbona i szklanki.

– Pozwolisz, że sobie naleję, ja już dzisiaj nigdzie nie mam zamiaru się ruszać, tym bardziej że zapowiadają śnieg.

- Mamy wreszcie zimę po upalnym lecie – odparł od niechcenia Natan.
- Smacznego. – Cydejko odkroił kawałek soczystego mięsa i włożył go do ust. – Mmm, bajka – pochwalił swoje zdolności kulinarne i popił bourbonem.
- To prawda, doskonały ten kawałek...
- Czy domyślasz się, dlaczego cię dzisiaj zaprosiłem?
- Nie, chociaż...
- Chociaż?
- W zasadzie to ja powinienem stawiać kolację. Chciałem ci z całego serca podziękować za pomoc...
- Wiem, wiem, mecenas Włodyka się sprawdził na medal.
- No bo to był majstersztyk, żeby od razu wydać oświadczenie, że to prowokacja niemieckich służb specjalnych, które po omacku szukają sprawcy jakiegoś zabójstwa. No i delikatnie zasugerować, że każdy tekst o moim udziale w tej zbrodni skończy się pozwem. Przestraszyli się!
- Trudno żeby nie, wiedzą, kim jest nasz mecenas. Przy okazji, a może po prostu o tym nie wiesz, został dokonany lekki szantażyk, ale to poszło od góry. Wszystkie media, w których były planowane reklamy spółek Skarbu Państwa, a szczególnie naszego flagowego koncernu, dostały ultimatum: albo reklama, albo ten niepewny temacik. I jak myślisz? Czy ktoś się wyłamał?
- Tym samym temat zgasł, zanim zaczął się palić. Dobrze rozumiem? Twoje zdrowie. – Natan podniósł szklanę z sokiem i stuknął o szkło Cydejki wypełnione bourbonem. – Byłem też rozczarowany postawą Niemców. Te pytania to w zasadzie były tak „miętkie”, że rozmowa z prokuratorem przeleciała mi praktycznie bezstresowo.
- No, ale znałeś je przecież. Prawda?
- Znowu mnie zmroziło, ty naprawdę prawie wszystko wiesz?
- Wiem to, co powinienem. Romański się sprawdził, zuch z niego.
- No, ale to miała być tajemnica.

– Była i jest. Niewielu o tym wie.

– No i w zasadzie zarzuty upadły... – Natan spojrział na byłego oficera.

Cydejko ponownie nalał sobie i podniósł szklanę do ust. Jego twarz promieniała po dobrym jedzeniu i alkoholu. Był w dobrym nastroju. Odstawił na bok puste talerze.

– A teraz mam dla ciebie niespodziankę.

– Już się boję. – Natan rozmasował dłonie.

– Chciałem ci przekazać premię, za to, że pomogłeś zażegnać kryzys.

– Co? Nie za bardzo wiem, o czym mówisz.

– Bo wiesz, ten atak na ciebie nie mógł być przypadkowy, mógł zaś skutkować dekonspiracją pewnych działań, które zostały podjęte jakiś czas temu.

– O Jezu, mówisz szyfrem czy co?

– Nie mogę cię wtajemniczyć w pewne informacje dla twojego bezpieczeństwa. A zresztą jakbym ci o tym powiedział, to natychmiast musiałbym cię sprzątnąć, zlikwidować, wyeliminować, dokonać dekapitacji... Wybierz sobie pojęcie, które ci pasuje. – Uśmiechnął się.

Natan zacisnął zęby, jego twarz stała się purpurowa, chociaż przecież nie pił alkoholu.

– No co ty?

– Nie bój się. Zatem nie pytaj więcej o tę sprawę. Bo i tak tego nie pojmiesz swoim umysłem – dodał z naciskiem i jednym haustem wypił kolejną, niemal pełną szklanę bourbona.

– Jasne.

– Doskonale, że się rozumiemy. I dlatego w ramach specjalnego bonusu przeleję na twoje szwajcarskie konto za to milczenie, pięćdziesiąt tysięcy euro. Może być?

– O, bardzo ci dziękuję! Nie spodziewałem się. Naprawdę...

– Dobra nowina. Prawda? – Cydejko podniósł kolejną szklanę ze złocistym płynem.

– Mogę? – Natan lekko trzęsącymi się palcami sięgnął po stojące na blacie kuchennym pudełko z cygarami.

– Kubańskie Fonseca, bierz. – Cydejko podał mu gilotynkę i zapalniczkę żarową.

W pomieszczeniu uniósł się aromatyczny dym.

– Nie trzęś się tak... – zwrócił uwagę dziennikarzowi biznesmen. – Tak jakbyś nigdy wcześniej nie dostał jakiegoś drogiego prezentu? Zachowujesz się jak uczeń przed pierwszą nocą z dopiero co poznaną kobietą. Wyluzuj.

– Chętnie bym sobie teraz chlapnął, ale nie, nie dam się złapać. Za dużo można stracić – powiedział do siebie Paweł Natan.

– Dobry chłopak – odparł Cydejko i poklepał go poufale po policzku. Widać było, że alkohol szybko krąży w jego krwi, męczyzna się rozluźnił, a wszelkie bariery prysły. Natan odniósł wrażenie, że jego rozmówca w jednej chwili stał się pijany.

– To ja już jadę. Dziękuję za wszystko. – Wciągnął dym z cygara i wstał.

– Co? Zostawiasz mnie już? Zostań jesh...szcze. – Cydejko zaczął się zacinać, a jego twarz nabrała kolorów. Paweł Natan nigdy nie widział go w takim stanie.

– Nie, ja muszę jeszcze dzisiaj coś załatwić – bąknął.

– Jak tak, to tak. Zaraz ci otworzę bramkę. – Podszedł do pomieszczenia obok wejścia do rezydencji i uruchomił mechanizm. Natan wyszedł z budynku, wyrzucił cygaro na kostkę brukową i wsiadł do samochodu.

Gdy odgłos silnika limuzyny zupełnie zanikł w lesie, Cydejko na chwilę usiadł na kanapie w salonie, rozpiął guziki pod szyją i przymknął oczy. Po chwili jednak gwałtownie się ocknął, wszedł do pomieszczenia, z którego monitorował okolice, i włączył system alarmowy. Jednocześnie w laptopie wyłączył tryb rejestrowania głosu za pomocą małego mikrofonu, który był zainstalowany w kuchni. Kilkoma ruchami skopiował plik z nagraniem rozmowy z Natanem na pendrive'a i ruszył do ukrytego pomieszczenia w schronie.

Nacisnął guzik, który spowodował, że miejsce to stało się otworem, zostało oświetlone i można w nim było wyczuć cyrkulację powietrza. Spojrzał na rząd dzieł sztuki wiszących w korytarzu. Tym razem jednak ich obraz lekko mu się zacierał, wirował.

Cydejko zdjął ze ściany jeden z malunków i wbił kod do ukrytego pod nim sejfu. Uchylił drzwi i włożył urządzenie ze zgraną przed chwilą rozmową do pudełka z napisem „Paweł Natan”. Obok wielu dokumentów znajdujących się w oznaczonych segregatorach, kilku plików gotówki spiętych banderolami i zdjęć, w rogu sejfu stały niewielkie tekturowe pudełka oznaczone nazwiskami, w których leżały pendrive’y różnych kształtów oraz karty pamięci z telefonów lub aparatów fotograficznych ze zdjęciami ludzi, z którymi miał kontakt. Gromadził te materiały na czarną godzinę, gdyby któryś z nich miał zamiar go zdradzić. Jeżeli tak by się stało, taka osoba poszłaby na dno razem z nim. Zbieranie haków na innych weszło mu w krew już na samym początku służby w WSI.

Mężczyzna wyjął pudełko, w którym miał ukryty rewolwer Apache, i włożył do komory naboju pocisk. A potem zdjął blokadę z drzwi i wszedł do wydzielonego pomieszczenia w schronie.

Na łóżku polowym leżała postać zawinięta w gruby koc. Nie ruszała się. Cydejko w nią wycelował.

– Pif, paf – powiedział tylko do siebie, zatoczył się, oparł o ścianę i opuścił rękę z bronią.

W tym momencie z górnej części budynku usłyszał piskliwy sygnał alarmowy, a także trzask zamykanych drzwi wejściowych. Dopiero teraz uświadomił sobie, że zapomniał je zabezpieczyć kluczem po wyjściu Natana.

Odwrócił się i powoli ruszył do wyjścia ze schronu. Przed sobą trzymał rewolwer zakończony ostrzem noża. Cicho, przynajmniej tak mu się wydawało, stąpał po schodach prowadzących do piwnicy.

Był już niemal na szczycie, gdy zachwiał się i uderzył dłonią z rewolwerem o kant ściany.

– No kurwa – zaklął. Zrobił kolejne kilka kroków do ukrytych drzwi. Wolną, lewą ręką z trudnością chwycił się ich futryny, wszedł do piwnicy i w tym momencie otrzymał potężny cios nogą w klatkę piersiową. Zachwiaił się i runął na schody wiodące do schronu. Zaczął koziolkować, ale po chwili rozpostarł ręce tak, że zablokował upadające ciało o dwie boczne ściany. Upuścił rewolwer, który ześlizgnął się po schodach. Próbował wstać, gdy zobaczył nad sobą ciemne oczy, ale twarz napastnika ukryta była pod kominiarką. Poderwał się do przodu, ale wtedy z całej siły został pchnięty. Znowu poleciał w dół po schodach, uderzył głową o krawędź jednego ze stopni, poczuł ból. Znów dostał kolejny cios. Tym razem w nogę, zsunął się dalej. Opadł na betonową posadzkę bunkra i rozejrzał się niepewnie. Obok leżał pistolet, który wypadł mu z ręki. Wymacał go, odbezpieczył kurek i wycelował w sylwetkę napastnika. Nie był w stanie oddać celnego strzału, bo nie włożył palców w obręczę kastetu. Pomimo to nacisnął spust. Apache wystrzelił, ale kula uderzyła tylko o ścianę. Wtedy postać w kominiarce złapała za jego dłoń, z całej siły ją wygięła, wyłamując nadgarstek i skierowała broń do jego ciała. Cydejko tracił siły. Jego organizm, osłabiony alkoholem, nie był w stanie reagować tak, jak nauczył się w trakcie służby w wojsku. Na moment zluzował uchwyt, to wystarczyło, aby ostrze noża przebiło z boku skórę szyi, a potem rozerwało tętnicę szyjną. Na wszystkie strony chlusnęła krew.

Antoni Cydejko upadł na beton schronu. Rozpaczliwie, z trudem, próbował jeszcze złapać powietrze. Chwycił dłonią za szyję i chciał tamować krew, ta jednak wypływała pomiędzy palcami na posadzkę. Jego ciało nienaturalnie wygięło się i zastygło, nieme otwarte oczy skierowane były w jakiś punkt na ramie obrazu, który nad nim wisiał. W jego twarz patrzył uśmiechnięty mityczny faun.

Milusha przekroczyła zwłoki ubrane w żółtą koszulkę, która zmieniała barwę na pomarańczową, i weszła w korytarz. Uważnie patrzyła na otaczające ją obrazy. Znalazła się w wąskim pomieszczeniu, które przypominało muzealną galerię. Nigdy nie była w tak mrocznym miejscu. Wyjęła z kieszeni swoje trzy rysunki przedstawiające zamysloną twarz

Cydejki, głowę Masuda rozmawiającego przez telefon oraz podobiznę Zielonki i wbiła je pinezką w olej na płótnie autorstwa Hansa Thomy przedstawiający wodospad, pod którym kąpią się dzieci. Wtedy usłyszała jakiś ruch. Weszła głębiej, drzwi po lewej stronie korytarza były uchylone. Ostrożnie je otworzyła i wkroczyła do środka.

Na łóżku, skulona, oparta o betonową ścianę siedziała przestraszona Ina. Jej oczy błędziły, nie rozpoznała w pierwszym momencie Milushy. Robiła wrażenie nieobecnej. Milusha zdjęła kominiarkę, podeszła do niej.

– Chodź, już koniec tego wszystkiego. – Chwyciła ją delikatnie za dłoń. – No szybko. Spojrzała na nią, i wtedy zauważyła na jej ręce i nodze ślady po rozległych oparzeniach. Skóra jeszcze nie w pełni się zregenerowała, miejscami się łuszczyła, była wciąż czerwona.

– Spokojnie, powoli. – Pomogła jej wstać. – Wiesz, kim jestem?

Ina jednak nie reagowała. Milusha spojrzała na jej zwężone źrenice.

– Co on ci dawał?

Nie usłyszała jednak odpowiedzi. Ina była otępiała. Milusha pociągnęła ją z całej siły do siebie, a Ina dopiero wtedy, gdy spojrzała z bliska na jej twarz, zareagowała.

– Milusha? To ty?

– Tak, no już chodź – powtórzyła.

Kucnęła i założyła jej na bose nogi leżące obok skarpetki. Pomogła jej wstać. Wyszły na korytarz. Ina z obojętnością przeszła nad ciałem Cydejki i ruszyła na schody. Była osłabiona, zakręciło jej się w głowie, ale Milusha asekurowała ją z tyłu. Nie pozwoliła, aby upadła. Weszły do piwnicy, Milusha wypatrzyła stojące w kącie sportowe buty. Założyła je na nogi Iny. Były za duże. Potem już w korytarzu mieszkania zdjęła z wieszaka męski płaszcz i otuliła nim szczelnie Inę.

Wyszły na zewnątrz. Ich twarze smagał silny wiatr. Od strony lasu dochodził szum targanych nim bezlistnych gałęzi drzew.

– Chodź, zaraz znajdziemy się w innym miejscu. – Milusha popędzała Inę. Przeszły drogą prowadzącą od rezydencji do furtki, którą otworzyła

klamką.

Spojrzała jeszcze za siebie. Nad wejściem do budynku migало czerwone światło alarmu. Nie było już jednak słychać sygnału dźwiękowego.

Milusha skręciła w las, zapaliła latarkę i odszukała strumieniem światła miejsce, w którym stał jej triumph. Wypchnęła motocykl na drogę i kazała usiąść Inie na siodełku jako pierwsza, ona usiadła z tyłu, bała się, że w czasie jazdy jej partnerka spadnie. Włożyła na głowę kominiarkę i kask. Chwyciła za kierownicę maszyny i powoli ruszyła.

W tym momencie zaczął padać śnieg, który powoli zacierał ślady jej obecności.

ROZDZIAŁ 44

zima 2022 r.

Borzęcin/Warszawa

Luba Wasilkowska przeczesła rude włosy i obojętnie spojrzała swoimi piwnymi oczami na furtkę, przed którą stała. Miała ze sobą czarną skajową torbę, ubrana była w podobną ciemną kurtkę ze sztucznym futerkiem i legginsy. Jej okrągła twarz nie zdradzała zdenerwowania. Już wcześniej zdarzało się, że nikt nie otwierał bramki na posesję rezydencji. Wyjęła zatem z kieszeni klucz i ją otworzyła. Zdziwiło ją tylko to, że furtka była zamknięta tylko na zatrzask, a nie na zamek. Weszła do środka. Ścieżka prowadząca do domu nie była odśnieżona, nie było też na niej żadnych śladów butów. Samochód pokryty białym puchem znajdował się na podjeździe. Gospodarz, u którego sprzątała dwa razy w tygodniu, niekiedy zamawiał taksówkę, ale wtedy przecież – pomyślała – jego luksusowy wóz stał w garażu. W tym czasie on podróżował.

Zaniepokoiło ją pulsujące czerwone światło w rogu budynku zaraz przy drzwiach wejściowych. Założyła, że alarm mógł się włączyć, gdy wrócił dopływ prądu po krótkiej przerwie. W nocy nad okolicą przeszła potężna burza śnieżna, powalone drzewo uszkodziło linię energetyczną. W powietrzu czuć było jeszcze ożywcze powietrze oraz zapach wilgotnej ściółki leśnej wymieszanej ze śniegiem, który powoli topniał.

Weszła do środka. Wyłączyła alarm. Gospodarz, gdy ją zatrudniał ponad dwa lata temu, pokazał, jak obsłużyć te urządzenia. W kuchni zastała bałagan i mnóstwo brudnych talerzy. Westchnęła tylko. Zrzuciła kurtkę i włożyła miękkie buty, przepasała się niebieskim fartuchem i wzięła do mycia tych naczyń, których nie można było włożyć do zmywarki. Umyła

garnki, poplamioną zastygłym tłuszczem patelnię grillową, zebrała pozostałe talerze i szklanki, przemyła je delikatnie letnią wodą i włożyła do maszyny myjącej. Włączyła ją i zaczęła ścierać ślady po obfitym posiłku zostawione na kuchennej wyspie. Niedopitą butelkę alkoholu schowała do szafki, wyrzuciła do kosza popiół z cygara, a inkrustowane pudełko odstawiła w miejsce, gdzie zawsze kładł je Cydejko.

Usiadła na chwilę w głębokim fotelu i sięgnęła po szklankę wody, wypila ją duszkiem. A potem zaczęła się rozglądać za odkurzaczem i mopem do mycia podłóg. Urządzenie elektryczne wyjęła z białej szafy znajdującej się obok wejścia do dyżurki. Zeszła do piwnicy, licząc, że tam znajdzie wiaderko i płaską szczotkę. Wypatrzyła mop w rogu, był przewrócony i pęknięty.

Podeszła do niego bliżej i wtedy zauważyła, że uchylone jest nieznane jej dotychczas wejście, poniżej były strome, wąskie schody.

– Halo, pan Antoni, a... Jest tam pan?! – zawołała. Nie usłyszała odpowiedzi i stanęła na podeście. Na dole paliło się światło. Ostrożnie, trzymając się ściany, zeszła po schodach.

O godzinie 10.27 dyżurny z Komendy Powiatowej Policji w Starych Babicach odebrał telefon. Jakaś kobieta łamaną polszczyzną prosiła, roztrzęsiona, aby ktoś przyjechał, bo jest *ubyty*. Podała adres i się rozłączyła. Policjant sprawdził lokalizację dzwoniącej. To nie był żart. Na miejsce wysłał radiowóz z ogniwa patrolowo-interwencyjnego, który akurat znajdował się w okolicach Ożarowa Mazowieckiego. Mundurowym dojazd na miejsce zajął ponad dwadzieścia minut, bo skręcili w złą drogę, nie w tę prowadzącą do ukrytej w lesie posesji.

Kobieta czekała na nich przed bramą. Po policzkach spływały jej łzy, które rozmazały ciemny tusz. Bez słowa otworzyła wjazd i poprowadziła ich do rezydencji, a następnie wprowadziła do piwnicy, dalej już nie wchodziła. To, co zobaczyła kilkadziesiąt minut wcześniej, już jej wystarczyło.

Usiadła w kucki pod ścianą i tępo patrzyła przed siebie. Po kilku minutach policjanci wyszli ze schronu, podali lakoniczny komunikat przez

nadajnik radiowy. Wezwali na miejsce całą ekipę dochodzeniową i technika kryminalistyki. Zakazali jej się ruszać do czasu wstępnego przesłuchania, wzięli od niej paszport i spisali dane.

Dochodziła czternasta, gdy Roguski usiadł przy długiej drewnianej ławie w strefie Food Town na terenie dawnych zakładów Norblina na warszawskiej Woli. Z nudów przeglądał wiadomości w swoim telefonie komórkowym.

Leżał przed nim pager, plastikowe mydło z urządzeniem sygnalizującym odbiór zamówienia. W barze z sushi zamówił zupę miso z łososiem, a w boksie greckim na gorąco – pitę gyros z sosem tzatziki. W pobliski barze ukraińskim kupił jeszcze butelkę kwasu chlebowego. Teraz czekał na jedzenie.

Od kilkunastu dni był zawieszony, tydzień spędził w Bieszczadach, wrócił do Warszawy i nie wiedział za bardzo, co z sobą zrobić. Nie miał żadnych informacji ze swojej firmy, w jakim kierunku zmierza postępowanie dyscyplinarne, ale w zasadzie już mu na tym nie zależało. Był gotowy na to, że do momentu przejścia na emeryturę nie wróci do służby.

Leżący przed nim plastikowy brzączyk zaczął wibrować. Roguski podniósł się, oddał go kucharzowi i odebrał miskę pachnącej zupy z kawałkami ryby, przyprawami i gęstymi wodorostami. Jadł powoli, miał mnóstwo wolnego czasu.

Od momentu zawieszenia często bywał w Norblinie, to nowe miejsce na mapie Warszawy – sklepy, bazarek, a przede wszystkim strefa kuchni z różnych krajów, przypominało mu egzotyczne kraje, które odwiedził w czasie swojej służby wojskowej.

Dojadł miso, wziął się za grecką kanapkę, gdy otrzymał wiadomość na WhatsAppie.

„C. nie żyje. Znaleziono go w jego domu. KZ”.

Roguski odłożył pitę na papierowy talerzyk i jeszcze raz przeczytał informację, którą dostał od Kamila Zawadzkiego. Ponownie sięgnął po kanapkę, zjadł ją łapczywie, chwilami się krztusząc, potem wlał w siebie

resztę delikatnego ciemnego estońskiego kwasu chlebowego. Wylał serwetką usta i wstał.

Szybkim krokiem wyszedł z Norblina i skierował się na stację metra Rondo ONZ. Wsiadł do kolejki, która zmierzała do miejsca, gdzie mieszkał.

Podinspektor Maciej Łuczak zdjął maseczkę z ust i lateksowe rękawiczki. Czoło miał spocone. Po nocnej burzy słońce ostro przypiekało, śnieg topniał. Wyszedł z budynku rezydencji Antoniego Cydejki i głęboko wciągnął powietrze. Jego nozdrza wyczuły orzeźwiający naturalny zapach lasu.

– Panie komendancie – zwrócił się do niego posterunkowy, który stał przed budynkiem. – Ten pan czeka przed bramą.

Łuczak ruszył powoli charakterystycznym, nieco kołyszącym się krokiem. Podszedł do furtki prowadzącej na posesję, uchylił ją. Przed bramą stał czarny volkswagen passat na wojskowych numerach rejestracyjnych. Tyłem do wjazdu stał oficer Wojska Polskiego w randze pułkownika. Gdy usłyszał brzęczyk przy furtce, odwrócił się i ukrył w dłoni papierosa, którego trzymał wcześniej przy nosie.

– Witam, panie majorze – zwrócił się do policjanta. – Pułkownik Roguski, Służba Wywiadu Wojskowego. – Schował papierosa do kieszeni i wyjął z niej książeczkę wojskową. Policjant ją otworzył, porównał zdjęcie z właścicielem i oddał mu ją.

– Podinspektor Maciej Łuczak, zastępca komendanta powiatowego do spraw kryminalnych – przedstawił się i wyciągnął rękę na powitanie. – Co pana sprowadza, pułkowniku, i dlaczego właśnie tutaj? – Spojrzał badawczo.

– Cóż, Antoni Cydejko realizował pewne misje, współpracował z nami, dlatego proszę zrozumieć moje... nasze zainteresowanie. – Uśmiechnął się. – Zresztą to były oficer służb wojskowych.

– Coś już o tym słyszeliśmy... – odparł policjant.

– Czy mogę wejść do środka?

– Tak, ale technik ciągle zabezpiecza ślady, więc proszę reagować na to, co on powie... W tym zakresie jest teraz gospodarzem sprawy. Prokurator dyżurny już został powiadomiony. Myślę, że dołączy do nas niebawem...

– Rozumiem. Jak wygląda sytuacja?

– Zwłoki znalazła ukraińska gosposia. Ciało leżało w piwnicy, wygląda, jakby to pomieszczenie pełniło rolę ukrycia, może schronu? Śmieć nastąpiła mniej więcej kilkanaście godzin wcześniej, chociaż dokładny czas zgonu może zafałszować to, że w pomieszczeniu pracowała wentylacja. Narzędzie zbrodni jest nietypowe, to jakaś historyczna broń, zginął od ciosu ostrym narzędziem, zadanego w szyję. – Mówił tak, aby nie podawać zbyt wielu szczegółów. – Mogę pana tam wprowadzić, ale przed wejściem proszę założyć specjalne ochraniacze na nogi, aby nie wnosić nic do środka – dodał policjant.

– Mówi pan: ukryte pomieszczenie?

– Tak.

– To bardzo ciekawe, byłem w tym domu, ale gospodarz nigdy o czymś takim nie wspominał.

– No widzi pan, to nietypowe miejsce, zresztą zaraz pan zobaczy...

Weszli do środka, w korytarzu funkcjonariusz podał Roguskiemu specjalne ochraniacze oraz gumowe rękawiczki. Poprosił także o założenie na usta maseczki ochronnej. Roguski zszedł po schodach, na samym dole stanął i głęboko wciągnął powietrze.

– Toż to jakieś prywatne muzeum – powiedział z podziwem.

– Tak faktycznie wygląda. Po pobieżnym obejrzeniu można założyć, że chyba niczego nie brakuje. Zatem motyw rabunkowy trzeba pewnie wykluczyć – stwierdził policjant. – Tu mamy ciekawe pomieszczenie. – Wskazał ręką na wejście do niewielkiej sali.

Znaleźli się w betonowym pokoju. W jego rogu było łóżko polowe, materac i zrzucony na podłogę koc.

– Kawałki plastikowych kajdanek sugerują, że ktoś mógł być tutaj przetrzymywany. Są też ślady krwi, resztki jedzenia. Jeżeli pan tu bywał, to

niewątpliwie będziemy musieli pana przesłuchać. Nie wiedział pan, pułkowniku, o takich zainteresowaniach właściciela?

– Nie. – Na twarzy Roguskiego malowało się autentyczne przerażenie. Dopiero teraz dotarło do niego, w co wdepnął. Żałował, że pod wpływem impulsu podjął samowolną decyzję, aby zobaczyć, co się stało z Cydejką. Zagrał *va banque*, ale teraz czuł, że wpadł w kolejne kłopoty.

– Sejf był otwarty. – Policjant wskazał na stojący na posadzce obraz i wnękę w ścianie z uchylonymi pancernymi drzwiami.

– Panie komendancie. – Usłyszeli dochodzące z góry wołanie policjanta. – Przyjechał prokurator. Proszę tutaj.

– Za chwilę wrócę. Proszę poczekać. – Oficer odwrócił się i wszedł na schody.

Technik pracował jeszcze w pomieszczeniu, w którym stało łóżko, pułkownik został sam w korytarzu. Roguski wyjął z kieszeni chusteczkę i delikatnie uchylił przez nią drzwi sejfu. Wydobył ze środka drewniane pudełko oznaczone swoim nazwiskiem, w którym znajdowały się pendrive'y różnych kształtów. Dwa z nich wyjął i schował do kieszeni. Ostrożnie przejrzał dokumenty, zdjęcia, wizytówki. Uruchomił telefon komórkowy i wykonał zdjęcia kartoników wizytowych z perskimi nazwiskami.

Schował chusteczkę do kieszeni i wszedł w głąb korytarza. Zaczął oglądać zgromadzoną w tym nietypowym ukryciu kolekcję.

– Panie pułkowniku, proszę pozwolić na górę. – Usłyszał odbity od ścian tubalny głos zastępcy komendanta policji.

Wszedł do piwnicy i ruszył za funkcjonariuszem. Przy wejściu do domu stał prokurator i wkładał na siebie kombinezon ochronny.

– Śnieżek, prokurator Mariusz Śnieżek z prokuratury w Pruszkowie. – Wyciągnął rękę, ale w taki sposób, jakby czekał, że ktoś mu coś poda. – Panie pułkowniku, ma nas pan za durniów. – Prokurator odwrócił się i wszedł do pomieszczenia dyżurki obok drzwi wejściowych, po czym wskazał na komputer, który pokazywał obraz z trzech kamer. – Proszę

spojrzeć. – Wycelował palec w jeden z monitorów. – Ten pokazuje obraz z korytarza z tą galerią obrazów. No proszę natychmiast oddać to, co pan zabrał z sejfu. Czy mamy pana przeszukać?

Roguski poczuł się, jakby dostał z liścia. Oblał go pot. Dał się podejść jak sztubak, marny amator, a nie oficer wywiadu. Zaklął w myślach, sięgnął do kieszeni i wyjął dwa małe przenośne urządzenia. Położył je na stoliku.

– Doskonale. – Śledczy cmoknął. – Proszę, podinspektorze, aby spisał pan dane pułkownika i wyprowadził go na zewnątrz posesji. Ochroniacze i maseczkę może pan pułkownik sobie zabrać – dorzucił sucho. – Dostanie pan powiadomienie o przesłuchaniu. Dzisiaj jeszcze nie wiem w jakim charakterze... – stwierdził na koniec, odwrócił się i wszedł do piwnicy.

– Zapraszam, pułkowniku. – Łuczak chwycił go za łokieć i lekko popchnął do wyjścia. – Proszę o dokument, najlepiej dowód – dodał.

Wieczorem tego dnia pod rezydencję przyjechały dwa nieoznakowane samochody, wyglądające z zewnątrz jak zwykłe dostawcze busy. W rzeczywistości w środku znajdowało się specjalistyczne laboratorium. Do budynku weszli funkcjonariusze Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego. O wsparcie poprosił ich prokurator Śniezek.

W dwie godziny później, gdy zrobiło się ciemno, na posesję wjechała też opancerzona ciężarówka firmy, która zajmowała się profesjonalnym transportem dzieł sztuki. Jej pracownicy przez kilka godzin zabezpieczali obrazy i ładowali je do specjalnych skrzyń. Załadunek ochraniali uzbrojeni w długą broń funkcjonariusze Biura Operacji Antyterrorystycznych Komendy Głównej Policji. Gdy samochód z dziełami sztuki wyjechał na leśną drogę, na chwilę pojawił się przy nim cień, który coś przykleił do podwozia pojazdu i w tym samym momencie znikł.

Czarnecki jeszcze stał przez chwilę ukryty między drzewami i obserwował okolicę przez cyfrową lornetkę noktowizyjną. W zielonej poświacie widział ruch wokół rezydencji Cydejki, a potem spokojnie odszedł w głąb lasu.

– Do końca nie rozumiem, na czym polega pana gra. Bo tak: o misji Antoniego Cydejki nie może pan mówić, bo ogranicza pana tajemnica

służbowa. – Prokurator Mariusz Śnieżek, przerwał spisywanie zeznania świadka na laptopie. – A obficie dzieli się pan informacjami na temat podejrzenia jego udziału w obcym wywiadzie. Nie rozumiem zatem... jednego. To wiedzieliście o jego kontaktach czy nie?

– Czy mogę wyjąć papierosa? – Roguski spojrzał na śledczego zmęczonym wzrokiem.

– Chyba pan przesadza? Tutaj nie ma palenia. Miejsce jest w specjalnej palarni – odburknął Śnieżek.

– Nie będę palił, rzucam papierosy. Wystarczy mi zapach tytoniu, pomaga w koncentracji... – Pułkownik sięgnął po paczkę cameli, wyjął jednego i zaczął go miętosić w palcach.

– To jak to z nim było?

– Dobrze... Powiem tak: w istocie nie sprawdzaliśmy go. Decyzja o tym, że ma być włączony do operacji, zapadła na szczeblu politycznym. Można by rzec, został nam narzucony.

– Przez kogo?

– MSWiA i MSZ. Więcej będzie wiedział wiceminister Rakoczy, on chyba w tym wszystkim grał pierwsze skrzypce.

– Czy oni mogli wiedzieć o podejrzeniu jego udziału w zabójstwie na terenie Niemiec?

– Nie wiem.

– Aha... – Prokurator odwrócił gwałtownie głowę, bo w tym momencie do pokoju weszła sekretarka i położyła na biurku przed nim kartkę. Śnieżek ją przeczytał. Jego wyraz twarzy wskazywał, że coś się stało.

– Proszę poczekać, muszę odebrać telefon. – Wstał i wyszedł, zamknął za sobą drzwi.

– Pani Basiu, proszę przynieść czystą teczkę na akta...

– Ale przecież są, szefie... – Kobieta nie kryła zdziwienia.

– Proszę... – Skinął głową. Sekretarka, nieco zmieszana, wyszła z pokoju, a on podniósł słuchawkę. – Dzień dobry, panie prokuratorze, z tej strony Mariusz Śnieżek...

Po kilku minutach wrócił do pomieszczenia, w którym siedział pułkownik Roguski. Usiadł w miękkim fotelu, jego twarz była czerwona, westchnął. Był zdenerwowany.

– Na tym kończymy przesłuchanie, sprawę przejmują pezety Prokuratury Krajowej. Ktoś pewnie za jakiś czas pana dosłucha. Proszę chwilę poczekać, zaraz wydrukuję treść przesłuchania, proszę się zapoznać i podpisać. – Śnieżek odsunął od siebie laptop, zdjął okulary i zaczął czytać protokół.

– Kawa, herbata, koniak? – Rakoczy podszedł do niewielkiej szafki, na której stał kwiatek w doniczce – zamiokulkas o eliptycznych, mięsistych liściach.

– Może być koniak – odparł Zdzisław Ziarnicki, prokurator krajowy.

Ciężkie beżowe zasłony były zaciągnięte, dlatego w gabinecie Rakoczego panował półmrok. Siedzieli przy stoliku, przy którym zwykle odbywały się spotkania podległych mu szefów biur i wydziałów, a także służb policji, straży granicznej i państwowej straży pożarnej. Za nimi stało solidne biurko, na którym była lampka, telefony stacjonarne, a także biała ramka ze zdjęciem uśmiechniętej brunetki – jego żony i córki. Obok godła wisiał zwykły drewniany krzyż, przy ścianie zaraz za jego plecami w specjalne stojaki włożone były drzewce z flagami narodowymi. Gabinet znajdował się na drugim piętrze budynku ministerstwa przy ulicy Rakowieckiej.

Rakoczy otworzył drzwiczki w meblu stylizowanym na biedermeierowski i wyjął butelkę francuskiego koniaku Hennessy oraz pękate kieliszki. Nalał do nich alkohol i jeden z nich podał Ziarnickiemu. Ten podgrzał go w dłoni, potem fachowym ruchem zakręcił płyn, następnie wlał sobie trochę do ust i przeplukał je delikatnie, wciągnął powietrze i wyczuł rozchodzący się delikatny aromat suszonych owoców.

– Zatem mamy problem? A raczej ty masz problem? – Ziarnicki odstawił koniakówkę na stół i spojrzał na wiszące na białej ścianie gabinetu zdjęcie Rakoczego z demonstracji antykomunistycznej sprzed ponad trzydziestu pięciu lat, gdy jeszcze działał w podziemnym związku studentów NZS na Uniwersytecie Warszawskim. Fotografia była czarno-

biała, Rakoczy z długimi, lekko kręconymi włosami szedł w tłumie protestujących pod transparentem, którego napisu fotograf nie zdołał ująć, palce miał ułożone w znak V – symbol Victorii, zwycięstwa.

– To nie tak. – Rakoczy w typowy dla siebie sposób wyciągnął brodę lekko do przodu, wyglądał jak bokser szykujący się do walki, i powtórzył: – To nie tak, myśmy działali w interesie państwa. Nie mogliśmy przewidzieć pewnych zdarzeń. Znałem tego Cydejkę od ponad piętnastu lat, zrobił dla naszej formacji wiele dobrego, wierz mi. Zasłużył się. Nie mieliśmy podstaw, aby go podejrzewać o zdradę, działanie na dwa fronty czy jakieś zboczenia... – Twarz wiceministra zrobiła się różowa, a w kącikach ust pojawiła się biała piana. Jego wydatna szczęka lekko drżała, oczy były rozbiegane.

– Widzę, że się boisz?

– Ja się niczego nie boję, doskonale to wiesz. Moje największe obawy związane są z tym, aby nikt nie poznał prawdy o operacji, szczególnie nasi sojusznicy, a także media. O te... kontrolowane przez nas się nie martwię – dodał z naciskiem.

– Uporządkujmy fakty.

– Będziecie wiedzieli, kto był u niego w dniu zabójstwa?

– Skąd wiesz?

– No przecież... ABW mi podlega. Zostały ślady po jakiejś biesiadzie, mimo że ta Ukrainka zatarła wiele śladów. A swoją drogą warto ją sprawdzić, czy nie miała kontaktów z jakimiś służbami na Wschodzie. Bo wśród tych sprzątaczek biurowych, gosposi czy niań z Ukrainy są ukryci agenci SBU, a może nawet towarzyszy Rosyjczyków...

– To już twoja sprawa...

– Kobieta była przetrzymywana przez kilka miesięcy, krwawiła, była ranna, mamy jej DNA. Jeżeli jest w bazie, gdzieś wyjdzie. Obrażenia miała nietypowe, płatanami zrzucała skórę, tutaj moi ludzie wyjątkowo się popisali, zabezpieczyli sporo materiału biologicznego.

– Widzę, że jesteś fachowcem. Nauczyłeś się wiele...

– No wiesz, człowiek nie próżnował... przez całe życie się uczył. – Rakoczy się rozluźnił i zmoczył usta w kieliszku z koniakiem.

– No, no, jak na historyka, ciekawa droga...

– Zaraz! Ale o co ci teraz chodzi? – natarł.

– O to, że twoja kariera wisi na włosku...

– Co ty pierdolisz? Nie ma mojej kariery, jest kariera nasza, a dokładnie naszej formacji. Ja sam nie dam się zatopić. – Wiceminister potarł dłonie o nogawki.

– Twoja kariera jest na włosku... Nie doceniasz mnie i moich ludzi. Wiemy już, kto był tego wieczoru na miejscu zbrodni.

Brwi Rakoczego podniosły się i podkreśliły stan kompletnego zaskoczenia.

– Ale co? O co chodzi? No mów, kurwa, Zdzisław...

– Twój znajomy.

– Kto? Konkrety, proszę, no nie daj się prosić.

– Natan.

– Mówisz: mój znajomy? On nie jest moim znajomym, mam lepszych.

– To ciekawe... Bo nie wiem, czy wiesz, że kilka razy prowadziliśmy postępowanie sprawdzające w sprawie ujawnienia w mediach tajemnicy służbowej i jakoś tak nam wychodziło, że jesteś źródłem informacji, w tym niejawnym... – Prokurator krajowy zaakcentował to ostatnie słowo. – Dla redakcji, w której ten pan pracuje, a potem je publikował pod swoim nazwiskiem. Wprawdzie niekiedy były one zmanipulowane, tak dla niepoznaki, i nie do końca oddawały prawdę, ale jednak źródło było jedno: byłeś nim ty. – Przechylił się lekko do przodu na fotelu i wyciągnął palec.

Maciej Rakoczy się zapowietrzył.

– Ale, ale, co chcesz przez to powiedzieć, to wszystko to... – zaczął gwałtownie gestykulować – to w interesie naszej partii, formacji, naszego zwycięstwa.

– Może i tak, właśnie dlatego nigdy nie zawracaliśmy ci dupy, nie stawialiśmy zarzutów, a sprawy były przez nasze kierownictwo zamiatane. Rozumiesz! Więc twoje pieprzenie o tym, że nie znasz Natana, jest gównem. Papiery mówią zupełnie coś innego.

– No, ale, ale... Co zatem zamierzasz? – Rakoczy po raz pierwszy od wielu miesięcy czuł, że grunt usuwa mu się spod nóg, zaczął się jąkać.

– W naszym interesie jest to, aby sprawa nie wyszła. Tak?

– Oczywiście. Może jeszcze koniaczku?

– Tak, poproszę.

Rakoczy nalał do kieliszków bursztynowy płyn, prawa ręka mu lekko zadrżała, więc na blat połyskującej politurzy rozlał kilka kropel.

– A może jakieś kanapki?

– Dobrze.

– Proszę poczekać. – Otworzył jedno, a potem drugie wygłuszone drzwi prowadzące do jego sekretariatu. – Pani Basiu, proszę o nasz catering, jeden półmisek – rzucił.

Kobieta chwyciła za słuchawkę, aby powiadomić resortowego kelnera. W tym czasie wiceminister podszedł do skrzynki ukrytej za grubą kotarą, otworzył ją i wyłączył nagrywanie. Nie chciał, aby pozostał ślad tej rozmowy. Po jej zakończeniu miał zamiar skasować wszystko.

– Zaraz wrzucimy coś na ząb. – Powrócił do pokoju i usiadł w fotelu.

– Zatem zależy nam na tym, aby sprawa nie wyszła.

– Tak, właśnie w tym momencie skończyliśmy...

– Dobrze, pierwszy krok zrobiłem ja. Sprawa została odebrana lokalnej prokuraturze. Wybacz, ale pomimo tego, że robimy wszystko, aby mieć pełną kontrolę, nie wszędzie mamy jeszcze pewnych ludzi. Ten prokurator, jak mu tam... – Pstryknął dwa razy palcami.

– Śniezek – odpowiedział Rakoczy i pogładził się z satysfakcją po głowie.

– Faktycznie, Śniezek, nie należy do grona naszych zaufanych, ale chyba nie ma specjalnych ambicji politycznych, zatem na razie zostawiamy go

w spokoju, ale będzie obserwowany. Mam nadzieję, że gdzieś, komuś się nie wygada. Nadzór nad postępowaniem osobiście sprawuję ja i minister sprawiedliwości, będziemy znali każdy ruch prokuratora prowadzącego to postępowanie. To nasz człowiek.

– Doskonale, czyli o przeciek nie mam się co martwić.

– Tak.

– Ukrainka?

– Prokurator zobowiązał ją do zachowania pełnej tajemnicy, pod groźbą odpowiedzialności karnej. Myślę, że skutecznie ją przestraszył groźbą deportacji w przypadku jej złamania. Zakładam, że chce sobie u nas jeszcze popracować.

Rakoczy sięgnął po kieliszek koniaku.

– Mamy ją na smyczy... Nie chodzi tylko o jej telefon. Niedawno dostała ofertę pracy u człowieka, który, powiedzmy to, nam sprzyja. Ma ją dyskretnie podpytywać, sprawdzać, obserwować. Gdyby zaczęła opowiadać, co widziała, będziemy o tym wiedzieli. Zaproponowaliśmy jej godne warunki pracy, niezbyt duży wysiłek, środki oczywiście pochodzą z naszego funduszu operacyjnego... Zresztą... W sumie to sprzęta lokal operacyjny CBA... – Wiceszef MSWiA uśmiechnął się z satysfakcją i znowu lekko wyciągnął do przodu brodę.

Po chwili niepewności poczuł, że ponownie ma pod nogami twardy grunt. Lubił taką huśtawkę nastrojów, był przekonany, że potrafi kontrolować sytuację i kreować działania na kilku poziomach.

– Okej. Teraz Roguski.

– To jest największy problem. Sam zaczął węszyć i do końca nie wiadomo, co wie. Zakładam, że jest świadomy zarzutów, gdyby zdradził, ale... – Rakoczy stuknął paznokciem o cienkie szkło koniakówki, w gabinecie rozległ się charakterystyczny delikatny dźwięk. – Cholera. Teraz jest zawieszony, możemy ukreślić łeb prowadzonego wobec niego postępowania dyscyplinarnego, aby mu ulżyć, ale jaka jest gwarancja, że będzie milczał? Mógłbym załatwić u ministra obrony, aby go wysłał na

kilka miesięcy na placówkę, żeby sobie trochę dorobił do podstawy emerytury, na przykład do ataszatu w Australii? Cholera, no nie wiem... tym bardziej że on sygnalizuje od pewnego momentu, że odejdzie ze służby.

– Zrób rzecz najprostszą. Daj mu szansę. Niech nas pokocha i ma w tyle głowy, że może być gorzej niż teraz. Daj mu tę placówkę, ale musisz wokół niego mieć ludzi, którzy będą go mieli pod kontrolą...

– Spróbuję zrobić tak, aby było jak najlepiej. Masz rację, przekupić można na różne sposoby, ale... – W tym momencie Rakoczy przerwał, bo zauważył, że ktoś chwycił za klamkę drzwi do gabinetu. Do pokoju wszedł kelner w białej koszuli i czarnych spodniach i w milczeniu postawił na stole półmisek z tartinkami – na części z nich był ser, pasta z łososia i ogórek, a na innych salami, pomidorki koktajlowe i oliwki.

– Panie ministrze, jeszcze przyniosę dzbanek z herbatą oraz soki – powiedział pracownik ministerstwa.

– Dziękuję, Witoldzie – odparł Rakoczy, ale robił wrażenie, jakby myślami był w innym miejscu. Już bowiem planował, z kim się spotka i w jaki sposób spowoduje, aby pułkownik, który był niesterowalny i nieprzewidywalny, poczuł się „zaopiekowany” i odpuścił sobie drażnienie tematu zabójstwa Cydejki.

Gdy kelner wyszedł z gabinetu, Rakoczy się odezwał:

– No i jest jeszcze sprawa tych penków...

– Skąd o tym wiesz?

– Zapomniałeś, że podlega mi policja?

– No tak. Puścimy mu płazem sprawę zacierania śladów, kradzież tych dwóch pendrive'ów. Zresztą nagrane były na nich spotkania w sprawie tego porwanego, i tak byśmy tego nie wykorzystali. Zastanawiam się, co chciał w ten sposób osiągnąć.

– Może się przestraszył?

– Może...

– Natana zostaw dla mnie...

– Na deser? Tak. – Prokurator sięgnął po kanapkę, włożył ją całą od razu do ust i wziął drugą. – Pyszne... – przyznał z pełnymi ustami.

Rakoczy intensywnie myślał, na jego czole pojawiły się bruzdy.

– Potrzebujemy go do tego, aby narzucić pozostałym mediom naszą narrację.

– Ty zakładasz, że on nie brał udziału w zabójstwie?

– To oczywiste, moi ludzie z ABW znaleźli ślady jeszcze innej osoby, być może mordercy... Ja się z nim rozmówię, zrobi dla nas wszystko, chociażby ze strachu. A tak w ogóle to sobie myślę, że w naszym interesie byłoby, aby sprawcy nie odnaleziono. Ktoś zadawałby pytania, zeznania przed sądem byłyby dla nas niewygodne, a tak możemy mieć wszystko pod kontrolą...

– To ciekawa koncepcja – odparł prokurator Ziarnicki i sięgnął po kieliszek z koniakiem. – Jest jeszcze jedna sprawa...

– Słucham.

– Sprawa tych obrazów u Cydejki.

– Trafiały pewnie do jakiegoś muzeum. Tym się zajmie nasz minister kultury...

– No właśnie, a jakby nie trafiły do muzeum czy zaległy na dziesiątki lat w jakichś magazynach?

– O czym myślisz?

– Widzisz, zbliża się kampania wyborcza, mojemu szefowi potrzebne są pieniądze, aby spokojnie, bez specjalnych oszczędności, promować swój team. Może by tak część z nich opchnąć na jakichś aukcjach? Nikt się o te malowidła nie będzie przecież upominał.

– No, jest ryzyko, że mogą być poszukiwane. Nie widział ich jeszcze, o ile mi wiadomo, żaden ekspert.

– A musi je widzieć? – Prokurator spojrzął w oczy Rakoczego.

– Okej, ale się podzielmy. Część obrazów trafi do zasobów muzealnych, no przecież za dużo ludzi się wokół nich kręciło, postaram się jakoś dobrze to rozegrać, taki trik, który może nam pomóc PR-owo. A resztą się

podzielimy i po cichu sprzedamy. Może być? Ja wymyślę jakąś sensowną legendę. Odpowiada ci taki układ? – Wiceminister wyciągnął rękę.

Prokurator rozluźnił się i klepnął z całej siły w otwartą dłoń.

– Prawie jakbym kupował konia na targu w Skaryszewie, a wiesz, kiedyś byłem na nim z ojcem, miał sporą plantację truskawek pod Płońskiem. – Maciej Rakoczy zarechotał.

– To napijmy się jeszcze za owocne spotkanie – zaproponował prokurator.

– Koniecznie. – Rakoczy nalał do pełna alkoholu w kieliszki. – Za spotkanie i powodzenie naszego planu. – Wzniósł pożegnalny toast. Wlał w siebie wszystko, a potem włożył do ust tartinkę z pastą łososiową. – Cholernie dobre, a ja jestem głodny, wezmę jeszcze. – Sięgnął po kolejną.

Gdy Ziarnicki wyszedł, Rakoczy odpiął ostatnie guziki w koszuli, odsunął ciężką zasłonę, otworzył okno i wciągnął mroźne zimowe powietrze. Spojrzał na puste, tonące w ciemności patio – wewnętrzny dziedziniec ministerstwa. W budynku świeciło się tylko w skrzydle zajmowanym przez ABW. Nad gmachem resortu spraw wewnętrznych pulsowały światła bawiącej się, jak w każdy piątek, Warszawy.

Ale on czuwał. Odwrócił się i włączył swój telefon, wybrał z pamięci komunikatora WhatsApp numer i nacisnął zieloną ikonkę.

– Paweł, musimy porozmawiać, poważnie porozmawiać. W czwartek u ciebie w domu. Tak? To git. – Odłożył komórkę na biurko i nalał sobie jeszcze koniaku.

ROZDZIAŁ 45

zima 2022 r.

Ożarów Mazowiecki

Milusha zapukała dwa razy do drzwi i włożyła do czytnika kartę hotelową. Weszła do środka. W półmroku na łóżku leżała Ina. Kołdrę odrzuciła na bok, za to na brzuchu oraz ręce miała mokry bandaż. W ten sposób chroniła miejsca, które najbardziej poparzyła w trakcie pożaru na barce. Nie zagoiły się jeszcze.

Były w hotelu w podwarszawskim Ożarowie Mazowieckim, zaledwie kilka kilometrów od miejsca, gdzie rezydencję miał Cydejko. Milusha założyła, że w razie wpadki musi ukryć się w miarę blisko, aby policja nie miała szans ustawić blokad na drogach. Wiedziała, że służby na całym świecie działają tak samo – powoli. Szczelna blokada dróg jest możliwa mniej więcej pół godziny od wykrycia przestępstwa.

Zrzuciła na podłogę skórzaną kurtkę i na stoliku, na którym stały pozostałości po śniadaniu, postawiła sporą papierową torbę. Wyjęła z niej pudełko z laptopem, drugie mniejsze z telefonem komórkowym oraz kartą SIM z dostępem do Internetu. Spojrzała do środka torby i wyjęła jeszcze maszynkę do strzyżenia.

– Wybacz, ale nie mogę cię zostawić w takim stanie. – Spojrzała z politowaniem na jej przydługie, postrzępione włosy.

Ina spokojnie leżała, jakby w półśnie, bo dostała sporo środków przeciwbólowych. Wychudzona, blada, na nadgarstkach rąk i nóg miała okrągłe zasinienia – znaki po kajdankach, którymi ją spinał Cydejko.

– Zaraz pójde do sklepu i kupię ci ubranie, żebyś wyglądała jak człowiek.
– Milusha podeszła do niej, położyła obok hotelowy ręcznik, włożyła baterię do maszynki i zaczęła delikatnie wyrównywać włosy Iny. Zauważyła, że niektóre z nich się srebrzą. – Co ta kurwa z tobą robiła, że osiwiłaś? – zakłęła cicho.

Ina w milczeniu, nieco w zwolnionym tempie wykonywała polecenia Milushy. Ta, widząc, że przyjaciółka się ocknęła, zaczęła jej opowiadać o tym, jak wytropiła Masuda, który zdradził Ziyada.

– A jak do mnie trafiłaś? – odezwała się wreszcie Ina. – Podaj mi coś do picia – poprosiła.

Milusha przerwała na chwilę, podniosła się i sięgnęła po szklanekę z wodą mineralną. Ina piła łapczywie.

– Wody najbardziej mi brakowało – stwierdziła, gdy struzka płynu poleciała jej z ust na hotelową pościel.

– Taki Polak z konsulatu powiedział, że chyba żyjesz. Przejrzałam wszystkie materiały, które zostawiłaś w chmurze, znalazłam kilka adresów, które kiedyś ustaliłaś. No i zaczęłam metodyczną orkę. Ten akurat był pierwszy – opowiedziała bez emocji, potem włączyła telewizor i przejrzała wiadomości. Od trzech dni, które razem spędzały w pokoju hotelowym, nikt nie mówił o zbrodni pod Warszawą. Nie pisały o niej nawet lokalne portale, które co kilka godzin przeglądała. Tak jakby jeszcze nie odkryli ciała Cydejki.

– To milczenie jest zagadkowe – oznajmiła i położyła się plecami na łóżku, obok Iny. Po chwili podniosła się na łokciach, pogładziła ją czule po głowie i pocałowała w czoło.

– Co ty? – Ina spojrzała na nią.

– Wiele wycierpiałaś?

– Nie chcę do tego wracać, może kiedyś. A teraz – podniosła głowę – daj mi komputer i podaj telefon z kartą. Chcę coś przejrzeć.

Ina położyła laptop na zgiętych kolanach i zaczęła coś wklepywać. Po chwili na jej telefon przyszedł SMS. – Włamałam się do ich systemu e-

recepta i wypisałam sobie lek, maść na oparzenia. Zapisz sobie numer kodu i PESEL, zupełnie fikcyjny, kogoś obcego i kup mi ją w aptece. To mi trochę ulży. – Spojrzała zmęczonym wzrokiem na Miluszę i znowu zaczęła coś pisać na komputerze.

– Dobrze, a przy okazji kupię ci jakieś ubrania. – Milusha się podniosła.

Nie było jej dwie godziny. Weszła do pokoju po cichu, aby nie budzić Iny. Usiadła w fotelu obok łóżka, włączyła telewizor, wyciszyła głos i ponownie zaczęła przeglądać wiadomości. O zabójstwie nie było nic.

– Chyba czas się stąd zwijać – powiedziała sama do siebie.

– Co? – Ina gwałtownie się poderwała.

– Spokojnie.

– A, to ty? Przysnęłam.

– Mam dla ciebie to lekarstwo i ubranie. Zobacz. – Wskazała na torbę, która leżała przy łóżku.

– Zdejmij bandażę i posmaruj mnie maścią – poprosiła ją Ina. – Pamiętasz, jak przeglądałyśmy telefon Ziyada. Na pewno pamiętasz... – odpowiedziała sama sobie. – Tam było kilka kontaktów do jego znajomych, także w Iranie, a może w tym ich Kurdystanie, nie wiem. Chciałabym wysłać im informację, kto zdradził, i filmik, który zrobiłaś w kebabie u nas w Düsseldorfie, niech się z nim rozmówią... Co o tym myślisz?

– Dobry pomysł, tym bardziej że są chyba poza naszym zasięgiem. Wydaje mi się, że uciekli z Niemiec. Może do Iranu?

– Podaj mi jego numer telefonu, spróbuję go namierzyć.

Po kilku minutach na twarzy Iny po raz pierwszy od ich spotkania pojawił się lekki uśmiech. – Ta, jest w Teheranie. Mogę im podrzucić jego namiary. I pomysł, jak go odszukać. Co ty na to?

– Dawaj, niech go rozliczą.

Ina wcisnęła klawisz na laptopie.

– No i poszło, a teraz zdejmij te szmaty i mnie nasmaruj.

ROZDZIAŁ 46

zima 2022 r.

Warszawa

W oknie niewielkiego budynku przy ulicy Rumianej w warszawskim Wilanowie zapaliło się światło. Parterowy budynek w kształcie sześcianu o płaskim dachu, zbudowany w latach siedemdziesiątych XX wieku, ukryty był za bujną roślinnością, zimą jednak ogołoconą z liści. Nikt od dawna nie dbał o ogród, pod śniegiem zalegały zbutwiałe liście. Nawet w pęknięciach wąskich betonowych ścieżek prowadzących do drzwi wejściowych i garażu widać było kępki zmrożonej trawy. Aby przejść jedną z nich do wejścia w szarym budynku, trzeba było uchylać się od gałęzi krzewów bzu, które nadmiernie się rozrosły i smagały idącego po twarzy.

Michał Czarnecki wrócił z przesłuchania w prokuraturze. Potraktowano go jako świadka, byłego współpracownika Cydejki. Był wyjątkowo oszczędny w zeznaniach, zasłaniał się niepamięcią. Nie mógł przecież kręcić bata na samego siebie i opowiadać, jak wraz ze swoim przełożonym nagminnie łamał prawo, nie tylko w interesie swoim, ale na zlecenie państwa. Można było odnieść wrażenie, że do końca postanowił być wobec niego lojalny, ale w zasadzie działał po omacku, myślał tylko o swoim bezpieczeństwie. Wiedział, że z chwilą śmierci Cydejki jego firma przestanie istnieć, a on sam będzie musiał szukać dla siebie zajęcia. Nie mógł liczyć na kapitał zgromadzony przez swojego pryncypała, bo został on zagarnięty przez śledczych. Nie miał też dostępu do jego zagranicznego konta.

Czarny zdjął kurtkę, odłożył ją na wieszak. Z lodówki wyjął butelkę podłej whisky, którą kupił w popularnym dyskoncie. Nalał alkohol do

szklanki. Pociągnął spory łyk. Zdjął buty i położył się na kanapie, za pomocą pilota uruchomił telewizor. Nic go nie zainteresowało. Wlał w siebie resztę whisky, odstawił szklankę na zielony dywan i przymknął oczy.

Nie wiedział, jak długo spał. Nagle się ocknął, ale nie miał pojęcia dlaczego. Może spowodował to jakiś hałas na zewnątrz budynku? Spojrzał na zegarek. Dochodziła druga.

Blade światło ulicznej lampy, które z trudem przebijało się przez gęste, pozbawione już liści krzewy, co kilkanaście sekund lekko się ściemniało, aby po chwili z powrotem uzyskać odpowiednią intensywność. Zmrużył oczy, gdy na tle okna zobaczył czyjąś postać.

Podrwał się na nogi, uderzył stopą o pustą szklankę, która poturlała się po podłodze. Podszedł do szafki, otworzył ją. Drzwiczki stuknęły o ścianę. Z metalowej skrytki wyjął pistolet VIS 100, który po jednej z udanych akcji dostał w prezencie od Cydejki. Włożył do niego magazynek, odbezpieczył go i przeładował.

Cicho podszedł do drzwi wejściowych, odryglował je od wewnątrz. Szarpnął gwałtownie za klamkę. Ta jednak była sztywna, zablokowana. Szarpnął jeszcze raz. Nie puściła. W tym momencie przez lewe okno do kuchni wpadł sporej wielkości kamień, poturlał się po posadzce. Identyczny brzęk usłyszał z pokoju, w którym chwilę temu spał. Kamień roztrzaskał szybę, pociągnął za sobą zasłonę i wpadł na leżankę.

Czarny stał za drzwiami z bronią podniesioną do góry i zastanawiał się, co ma zrobić.

Wtedy niemal jednocześnie przez rozbite szyby do mieszkania wpadły dwie butelki z benzyną i zwykłymi szmacianymi płonącymi lontami. Pękły w jednej chwili i płyn rozlał się po obydwu pomieszczeniach. Czarny instynktownie zerwał zasłonę z okna i próbował za jej pomocą zdusić płomień, ten jednak obejmował już dywan, stół i kanapę; monitor telewizora momentalnie pękł.

Spojrzał w rozbite okno. Przez intensywny żółtopomarańczowy płomień, który obejmował coraz większą powierzchnię mieszkania, dojrzał

światło motocykla, na którym siedziały dwie postaci w czarnych ubraniach ze skóry i równie czarnych kaskach.

Ponownie doskoczył do wyjścia, jeszcze raz z całej siły szarpnął klamkę, potężnym ciosem nogi próbował wyważyć zablokowane, solidnie okute metalową płytą drzwi. Wycelował pistolet w zamek, odsunął się i nacisnął spust. Odłamki metalu uderzyły o jego dłoń, rozcięły mu skórę i wbiły się w krawędź ręki. Czarny zaczął gwałtownie kasłać, dusić się.

Upadł, stracił przytomność.

ROZDZIAŁ 47

zima 2022 r.

Warszawa

– Rozumiesz? – Maciej Rakoczy klepnął Pawła Natana w kolano. – Wiele od ciebie zależy. Pamiętaj, że możemy się odwdzińczyć, a ta twoja historia nigdy nie dotrze do innych. Nie będzie ciebie w sprawie zabójstwa Cydejki, chociaż powinieneś być.

– Ale ja nic nie zrobiłem.

– To twoja wersja, ale czy ostateczna? Czy zgodna z prawdą? Nic to. Nie martw się teraz, zrób swoje, będziesz czysty jak bielanka. – Zaśmiał się pod nosem ze swojego dowcipu, chociaż z twarzy dziennikarza nie zniknęło przerażenie po tym, co usłyszał.

– To ja się już żegnam. Kiedy masz ten program?

– Dzisiaj na żywo, o siedemnastej trzydzieści.

– Super, odśwież się, wypocznij. Musisz być przekonujący. Będę oglądał. Pamiętaj: nasza narracja ma narzucić przekaz dla innych. – Podał rękę Natanowi, okręcił szalem szyję i włożył płaszcz. Wyszedł z mieszkania Natana. Na dole w samochodzie czekał na niego kierowca i jednocześnie ochroniarz Służby Ochrony Państwa.

Ekipa programu telewizyjnego *Natan na tropie* ustawiła się przed domem jednorodzinny w warszawskim Wilanowie około godziny siedemnastej. W tle nadal pracowała ekipa strażaków, obok stał radiowóz policyjny, który stanowił dla nagrania doskonałe tło. Wokół rozchodził się zapach spalenizny. Ściany budynku, okna i dach były poczerniałe od ognia.

Natan stanął przed kamerą i jeszcze raz powtórzył na głos tekst, który miał wypowiedzieć.

– Cisza – odezwał się operator kamery. – Wchodzimy za trzy, dwa, jeden, proszę – powiedział.

– Dzisiaj znajduję się przed domem jednorodzinny w Warszawie, który minionej nocy spłonął. Zastanawiają się państwo, dlaczego zajmuję się niby tak błahymi sprawami. Nic bardziej mylnego. – Natan mówił płynnie, miał w sobie wystudiowany spokój i swoisty luz, zachowywał się przed kamerą zupełnie naturalnie. – Otóż z moich ustaleń wynika, że w pożarze zginął Piotr Czarnecki, biznesmen związany między innymi z branżą medyczną. Śledczy podejrzewają, że doszło do rozszczelnienia instalacji gazowej. Niewykluczone, że popełnił on samobójstwo. Ale to oczywiście wymaga sprawdzenia i zebrania dowodów. Tym zajmą się biegli od pożarnictwa. To już kolejna tajemnicza śmierć w branży sprzętu medycznego. Kilka dni temu w swoim domu, jak ustaliłem, na obrzeżach Warszawy został znaleziony Antoni Cydejko, właściciel firmy Agwa. Była to jedna z tych firm, które w trakcie kryzysu pandemicznego sprowadziły do Polski respiratory i maseczki ochronne. Dzięki niej udało się uratować życie wielu Polaków. W przeciwieństwie do innych firm – zaznaczył Natan – ta wywiązała się z kontraktu podpisanego z Ministerstwem Zdrowia, sprowadziła sprzęt o najwyższej jakości, który został przekazany do tymczasowych szpitali covidowych. Dlatego wielką zagadką jest to, dlaczego także Antoni Cydejko popełnił samobójstwo. Może ciągnęły się za nim jakieś tajemnice z przeszłości? To jednak, zakładam, wyjaśnią prokuratorzy, którzy zajmują się sprawą obydwu zgonów. Na razie, jak ustaliłem, w żaden sposób nie wiążą z sobą tych wydarzeń.

W tym momencie Natan przerwał. Realizator znajdujący się w wozie transmisyjnym oddalonym o jakieś sto metrów od spalonego budynku zaczął emisję filmu dokumentalnego o aferze bliskowschodniej trzech europosłów z opozycji, którzy dali się skorumpować biznesmenom z Arabii Saudyjskiej i Zjednoczonych Emiratów Arabskich.

– A teraz przechodzimy do drugiego tematu. Media w Brukseli huczą o korupcji wśród polskiej opozycji. Trzej znani politycy sprzedali się interesom arabskim. Chociaż w wielu swoich wystąpieniach potępiali naszą władzę za rzekomy autorytaryzm, sami bratali się z ludźmi, którzy demokrację i prawa człowieka mają za nic – grzmiał Paweł Natan. – Teraz doniesienia te skomentują nasi rozmówcy...

Z oddali jego spektakl obserwował były oficer Służby Wywiadu Wojskowego kapitan Andrzej Morawski.

Pułkownik Roguski, który oglądał tę audycję, zapalił papierosa pierwszy raz od wielu tygodni. Zrobił to zupełnie świadomie, nalał sobie też do kryształowej szklanki whisky Talisker ze szkockiej wyspy Skye. Wciągnął w nozdrza charakterystyczny zapach torfu i soli. Włączył laptop i otworzył czysty plik edytora tekstu.

Przełączył jeszcze kanał w telewizorze, akurat na popołudniowe wydanie *Panoramy*. Zobaczył fragment wywiadu z ministrem kultury Gabrielem Pieczyńskim. Opowiadał on o wielkim sukcesie swojego zespołu poszukiwawczego, który w jednym z niemieckich antykwariatów odnalazł zaginione w czasie wojny dwa obrazy pochodzące z przedwojennej kolekcji dzisiejszego Muzeum Narodowego we Wrocławiu.

– To olej *Droga leśna koło Przesieki w Karkonoszach* Ericha Kubierschky'ego z tysiąc osiemset osiemdziesiątego pierwszego roku oraz płótno autorstwa Hansa Thomy przedstawiające wodospad, pod którym kąpią się dzieci.

Roguski widział te obrazy w rezydencji Cydejki.

Nie chciał więcej tego słuchać, wyłączył telewizor i zaczął pisać na komputerze raport o odejście ze służby w wojsku.

Zakończenie

wiosna 2023 r.

Teheran

Masud siedział przy jednoosobowym metalowym stolyczku, który co chwilę bujał się na nierównym chodniku. Stała przed nim szklanka z ciemną herbatą i ręcznie malowana w niebieskie wzory miseczka z orzechami pistacjowymi, które były lekko prażone i solone. Co chwilę do niej sięgał, rozgniatał w palcach skorupkę i wkładał do ust kolejną pestkę. Niepokoił się, bo Shafram od kilku minut powinien już być. To właśnie on poprosił go o spotkanie przy Wielkim Bazarze w Teheranie. Wysłał do niego dzień wcześniej SMS-a:

„Mam coś pilnego do przekazania, ale nie chcę rozmawiać przez telefon. Spotkajmy się przy Grand Bazaar w południe. S.G.”.

Masud miał na sobie czarną koszulę, czarne błyszczące spodnie i brązową kufi – czapczkę z ażurowym wzorem, wykonaną z elastycznej włóczki. Jego twarz pokrywał ciemny zarost, włosy brody, pofarbowane na czarno, były dłuższe niż te, w których paradował po niemieckich ulicach. Nieco zmienił swój wygląd. Już nie przypominał amerykańskiego aktora.

Obok jego stolika przepływała fala ludzi. Wśród nich byli handlarze wszystkiego, co można spotkać w Teheranie, przynajmniej takie można było odnieść wrażenie – od sprzedawców arbuźów, owoców świeżych i suszonych, dziesiątków rodzajów przypraw, po mięsa, warzywa, ryby, wyroby ze złota, ręcznie kute miedziane naczynia, wielobarwne dywany o różnych rozmiarach, aż po kiczowate pamiątki, które zostały wyprodukowane w Chinach. Masud lubił to miejsce i rytmiczny szum

ulicy, po której klekotały zdezelowane wózki z towarem, zmieszany z głosami ludzi, klaksonami skuterów, motocykli i samochodów. Najbardziej jednak uwielbiał unoszący się wokół zapach – dziesiątków zmieszanych mniej lub bardziej intensywnych ziół i innych mieszanek wysuszonych i zmielonych roślin.

Shafram spóźniał się coraz bardziej. Masud spojrzął z niecierpliwością na zegarek, wyjął z kieszeni spodni telefon i wysłał wiadomość z ponagleniem. W tym momencie młody, może dwudziestoletni chłopak zaparkował metr od jego pleców potwornie zakurzony skuter jakiejś marki, której Masud nie był w stanie odczytać. Postawił go na nóżkach i odszedł.

Masud spojrzął na treść zwrotnego SMS-a: „Ja się z tobą dzisiaj nie umawiałem. To jakaś pomyłka”.

Rozejrzał się z niepokojem. Chłopak, który zostawił skuter, stał pod ścianą bazaru, jakieś kilkanaście metrów od niego, i bawił się telefonem komórkowym.

Masud gwałtownie się podniósł, wywracając metalowe krzeselko. W tym momencie sygnał z wysłanego przez Tarika SMS-a dotarł do telefonu komórkowego ukrytego w ramie jednoślada, impuls elektryczny przebiegł krótkim kablem do zapalnika, niewielka fiolka z piorunianem rtęci pękła i posłała iskrę do plastycznego materiału wybuchowego.

W ułamku sekundy nastąpiła potężna eksplozja. Semtex rozerwał rurę ramy skutera, kawałki metalu poleciały we wszystkie strony, jednocześnie nastąpiła eksplozja baku z benzyną, płyn rozlał się po okolicy i spowodował pożar.

W ciało Masuda wbiły się setki metalowych mikrokawałków, tnąc jego skórę, żyły, mięśnie, wbijając się w serce, płuca oraz kości. W trakcie upadku już stracił przytomność, potem jeszcze został oblany wrzącą benzyną.

Birzo Amin, który obserwował całą sytuację z wnętrza bazaru i miał w zasięgu wzroku Tarika, dał mu umówiony znak dłonią. Przystawił dwa palce do szyi. To oznaczało, że nie ma potrzeby dobijać zdrajcy z pistoletu.

Obydwaj Kurdowie, nie niepokojeni przez nikogo, spokojnie się wycofali.

W chwilę potem na miejscu pojawił się patrol policji, mundurowi wbiegli do środka bazaru, zerwali ze ściany dwie gaśnice, podbiegli do płonącego. Zdusili ogień białą pianą, ale Masud już nie żył. Funkcjonariusze nie byli nawet w stanie stwierdzić na pierwszy rzut oka, czy mają do czynienia z mężczyzną. Jego ciało było zniekształcone.

Milusha poprosiła stewardesę o kubek wody. Wyjęła z bocznej kieszonki bluzy i łyknęła tabletkę hormonalną. Ina siedziała obok, czytała jakąś książkę. Spojrzała na nią i się uśmiechnęła. Zmęczenie powoli schodziło z jej twarzy. Międzylądowanie miały w Dubaju, za kilkanaście godzin powinny być w Bangkoku. Milusha miała już umówiony termin wizyty u zespołu lekarzy.

Założyła słuchawki na uszy i z komórki włączyła barokowe kantaty Antonia Vivaldiego. Przeniosła się w świat dźwięków.